WACŁAW GĄSIOROWSKI

KRÓLOBÓJCY



img

Królobójcy

Wacław Gąsiorowski

Wydawnictwo MG

I

U podnóża cywilizacji, w mglistych śladach prehistorii, w kształtowaniu się wyobrażeń o Bogu, o władzy, o uleganiu słabego silnemu, ociężałego zwinnemu, prostodusznego przebiegłemu, w pierwszej walce dwóch ludzi o żer, o samicę, o leże, w pierwszym błysku rozumu szukać trzeba królobójstwa. A potem iść w górę i jeno śladów krwi patrzeć. A śladami tymi przebyć można z łatwością całą otchłań czasu, dzielącą naszą erę od epoki człowieka jaskiniowego, kamienia łupanego i kamienia gładzonego. I nie tylko ślady krwi będą nicią Ariadny w labiryncie rodowodu królobójstwa, ale bodaj nieodłącznym, ponurym zgrzytem, towarzyszącym każdemu dźwignięciu się cywilizacji, każdemu zlaniu się rodzin w klan, klanów w plemię, plemion w naród, narodów w państwo, każdemu poprawianiu czy ulepszaniu machin władania, każdemu starciu kultur, idei, poglądów, haseł wiodących ludy.

Upłynęły wieki walk bratobójczych, upłynęły tysiące lat na ciężkim dorobku myśli. (...) W górze burza szaleje – człowiek burzy szuka w przyziemnym szmerze. I ten sam człowiek, targnięty rozpaczliwszym tonem „nie zabijaj” – porusza się gwałtownie i potępia wojny, i znosi kary śmierci, i już robakowi rad by darować życie. I ten sam człowiek ze zgrozą i oburzeniem rozpatruje księgi dziejów, które dlań są zawsze bardzo dawne. I ten sam człowiek, na samo wspomnienie mostu Dei Sospiri, kędy wleczono skazańców politycznych przed senat Wenecji blednie. I ten sam człowiek płacze nad dumnym bólem Marii Antoniny, rzucającej tłuszczy rozbestwionej i rzeczącej, piękne słowa: – Jeżeli nie szanujecie

zdetronizowanej królowej – uszanujcie matkę nieszczęśliwą! I ten sam człowiek z zimnym dreszczem patrzy na bladą twarzyczkę królewicza, widzi krwawofioletowe sińce na obumierającym ciałku Delfina i nie ma dość silnej katuszy dla podłej postaci nikczemnika szewca, kata anielskiego dziecięcia.

I zawsze ten sam człowiek wzdryga się na zgniłą ciemność lochów kastylijskich, kona razem z Marią Stuart, nienawidzi Elżbiety z Schillerem, ma z nią wyrozumiałość dla Essexa, z Brutusem poszedłby na Cezara, ale, po mowie Antoniusza korci go, żeby i Brutusowi się dostało, a dla Giordana Bruno rad by mieć cud, który wydobyłby go z autodafe, niby młodzieńców z pieca Nabuchodonozora. I ten sam człowiek sypia z ulgą, że wyginął ród feudalnych rozbójników i krwiożerczych tyranów, tych nielitościwych Rzymian i tych biednych, męczonych chrześcijan i hugenotów, mordowanych ryczałtem, i królewien, ginących na szafocie, Żelaznej Maski Sinobrodego i klamer inkwizycyjnych, palów i trucizn ukrytych w pierścieniach włoskich, i takich fanatyków, jak Ravaillac i Massalin, Batorówien i Medyceuszów, i wszystkich tych widm przeszłości. I ten sam człowiek śpi i śni. Śni, że pochodnia jego wielkiej cywilizacji, jego idei potężnej ogarnęła świat cały, że już lada sekunda przejmie nawet dziewicze lasy Afryki, że Europą zapłonie dzicz Azji, że Europa zacznie się na każdym skrawku Oceanii! Ach, bo Europa! – Przyjemnie być Europą...

I ten sam człowiek budzi się – budzi do mordu belgradzkiego! Ach, ta Draga, biedna Draga! Podobno pastwili się nad nią. Ciała króla i królowej wywlekli przed Konak, sponiewierali! Co za okropna noc! Strzały, przekleństwa, zbliża się łomot wysadzanych drzwi... Para królewska chce uciekać, wzywa ratunku, daremnie. Wierni słudzy padają jeden po drugim. Aleksander z Dragą kryją się w fałdach portiery. Takie kurze schronisko to nawet zabawne – gdyby nie było straszne, och, bardzo straszne – biedni

oni! Jeszcze chwila i półpijana zgraja, rozbestwiona krwią, rzuca się, poniewiera, znęca. Dradze pierś odcięli! Kobiety nie oszczędzili – zbrodniarze! I... i... to oficerowie! Tak, ale na szczęście jest Europa! I Europa się oburza, Europa potępia, Europa ho – ho – ho! Cała prasa w jedną uderzyła surmę, surmę bojową, wszystkie mocarstwa odwołały ambasadorów – gore zabójcom. Lecz z Genewy wyjrzał zapomniany Piotr Karadżordżewicz. Niech żyje król! Właściwie Draga była lekkiego prowadzenia, Aleksander zaś był neurastenikiem i alkoholikiem... Dostał kosza od greckiej królewny.

Niech żyje Piotr! Karadżordżewicze dawny ród, stary ród. Karadżordżewicz dziad był synem chłopa i u chłopów serbskich został księciem. Karadżordżewicz syn (Aleksander) w roku 1871 został oskarżony o udział w zamordowaniu księcia Michała Obrenowicza i skazany na dwadzieścia lat więzienia przez sąd serbski i na osiem lat więzienia przez sąd węgierski. Karadżordżewicz wnuk (Piotr) póty spiskował, aż osiadł na tronie. On teraz porządek w Belgradzie uczyni, on morderców ukaże. Niech żyje Piotr! Piotr zjechał do stolicy, pożyczył milion franków na koronację, z mordercami jest w komitywie, ale za to na dyplomatyczne audiencje i obiady nie wpuszcza! – wszak Europa!

Nowa okropność, ale już niesłychana. – Fougère! Biedna Fougère! Mój Boże! Taka młoda! Taka piękna! Uduszona... Okradziona... Człowiek w tajemniczym „meloniku” – kabalistyczna depesza. Miała smutne przeczucie. Och – Fougerka! Co za jedna?! Dama! Półdama, jeśli o to chodzi. Najprzyjemniejsza zresztą osóbka, łatwa w obejściu, szyk *Aix le bain’u.* Robiła co mogła. Zagryzła dwóch senatorów? Jakżeż mogła zagryźć! Czyż może być coś twardszego od starego senatora. Odebrała im trochę niepotrzebnej gotówki, no i dalej radziła sobie... I jakiej śmierci doczekać! Jest zbrodniarz Girat i wspólniczka służąca – cóż to za służące

wyradzają się w Europie – i jeszcze jakiś opryszek! I jadą już do Kaledonii na galery. Dziwna względność przysięgłych! Powinni wisieć! I Girat jest na galerach za udział w mordowaniu Fougère.

Aleksander Karadżordżewicz także miał galery za udział w zamordowaniu Michała Obrenowicza. Syn Girata, gdyby był najuczciwszym człowiekiem, miałby co najmniej wstęp wzbroniony do dbającej o opinię rodziny – syn Karadżordżewicza zaś nie tylko może spiskować i „brać udział”, ale odprawiać wjazd do stolicy. Dlaczego? – dlatego, że syn Karadżordżewicza nie kusił się o nędzną biżuterię ladacznicy, tylko kandydował do skarbu serbskiego. Dlatego, że Girat chciał się zadowolić panowaniem nad jednym lokajem i jedną kucharką, podczas gdy Karadżordżewicz postanowił mieć dużo lokajów, dużo kucharek, dwór i poddanych stale dostarczających pieniędzy. Czy to są paradoksy?! – Nie, to jest pospolity mózg współczesny i to mózg znający się na logice, na etyce, na prawach człowieka i na wielu jeszcze podobnie ważkich zagadnieniach. Przyznać należy, iż mózg ten z całym natężeniem szuka już nie Archimedesowego punktu oparcia, lecz bodaj zgoła fantastycznego założenia, które byłoby złagodzeniem kontrastów, rozsadzających go, miażdżących. – Zabicie człowieka jest zbrodnią! – głosi żelaznym głosem mózg nowoczesnego Likurga i dodaje – ale, jeżeli zabicie człowieka warunkuje się potrzebą setek, milionów ludzi, jeżeli zabicie człowieka może podźwignąć ideę, wielką sprawę, jeżeli... Wariantów „jeżeli” nowoczesny Liturg może taką nieskończoność ułożyć, jaką nieskończonością zmierzyć się da całą istniejącą, przeszłą i przyszłą ludzkość. I nowoczesny Likurg, mimo żelaznej postawy, wyświęcającej zabójstwo, daje mu i obywatelstwo, i opiekę, i błogosławieństwo. Taki układ ze zbrodnią Katon nazwał nikczemnością, lecz przedtem uwiązłby na samym zastanowieniu się nad tym, co zbrodnią jest w ogóle. Bo na to

pytanie każde stulecie, każde pokolenie danego narodu, musiałoby dać inną odpowiedź.

Ale jeżeli zabójstwo w ogóle znajduje jakie takie skrystalizowane potępienie u prawodawców, jeżeli przewidziane zostało we wszystkich swych rodzajach pobudek i celów i podzielone dokładnie skalą należnego podziału wymiaru sprawiedliwości, to królobójstwo, w najszerszym tego słowa znaczeniu, pozostało w mrokach, w których gasną promienie kultury, do których nie sięga dotąd cywilizacja, które bronią się każdej etyce, każdej moralności, każdemu cieplejszemu promieniowi uczuć.

II

Królobójca zabił króla i został królem. Mord dla zagarnięcia władzy, dla przywłaszczenia sobie cudzych przywilejów i praw – oto najpierwotniejszy rodzaj zabójstwa, popełnionego na stopniach tronu i najczęstszy. Majestat nie na próżno purpurę obrał za ramy dla siebie. Jaskrawość purpury chłonie każdą rdzę krwi, gasi ją, a może tylko piękniej się nią zdobi. I galeria królobójców w lwiej swej części aż lśni od gronostajów, a cały poczet panujących może stanąć i powinien stanąć w szeregach pupilów Lombrosa. Dość otworzyć księgę dziejów pierwszego z brzegu państwa, narodu, plemienia, aby mord znaleźć nawet na kartach jego legend, jego mitów.

Był człowiek silny, mądry czy szybkonogi, więc go słuchali słabsi, głupsi czy ociężalsi. Drugi zaczaił się i zabił człowieka przewodzącego innym i sam zaczął przewodzić. I słuchano tego drugiego, bo musiano wierzyć, że skoro zabił swego poprzednika, więc był odeń silniejszy, mądrzejszy, czy szybciej biegnący. Oto szkielet każdej legendy o poczęciu narodu, plemienia, państwa – szkielet, w miarę fantazji bujnej, ubarwiony szczegółami. Szkielet taki niekiedy poprzedza sielanka np. o podniosłości pasterskich obyczajów, o wieku złotym patriarchalnych rządów, ale tuż po tej sielance następuje taki zamęt mordów, że ani lilie, zawodzące na mogiłach ofiar, ani myszy, jawiące się na pokaranie zabójców, nie łagodzą wstępu ponurego do kryminalnych akt każdej po kolei cywilizacji. Tam, gdzie szło o wyższość jednego nad drugim, o władzę, tam zabójstwo było zawsze uprawnieniem i wytłumaczeniem.

Jeden Bóg zabił drugiego boga i odebrał mu królestwo. Kronos zabił Uranosa, a Zeus zabił Kronosa. Dwa ojcobójstwa, ale komuż mitologicznego Zeusa przyjdzie lub przyszło na myśl zwać ojcobójcą? Lecz przecież i mitologia, i podanie w dziejach, to wstęp, to zadowolenie pierwotnej logiki, że musiał być ktoś jeszcze i przed Piastem, i przed Menesem egipskim, i przed Numą Pompiliuszem, i to zarazem wytwór wyobraźni ludzi, którzy według tego co przeżywali i widzieli, sądzili o przeszłości – to uwertura, dająca nam w swym pozornym chaosie przedsmak melodii czekających nas w operze, to oswojenie nas, przygotowanie do rozejrzenia się w szczegółach. Bóg zabił boga – zaczyna mitologia i wiedzie nas do wrót dziejów starożytnych. Dzieje starożytne schodzą na ziemię i powiadają: człowiek zabił człowieka, król zabił króla. Mijają lata, biegną stulecia, zmieniają się ludzie, warunki ich bytu, ich potrzeb, ich zamierzeń – walka na śmierć o władzę trwa ta sama, a łagodzi ją jedynie zrywanie się świadomości u stóp tronu, osłabia nowy wróg wspólny, dla dokonania przewrotu politycznego, bez chęci zasiadania na trójnogu monarszym.

Liczba królobójczych królów zmniejsza się, ale liczba królobójców wzrasta, a to nie jest ani żadnym skażeniem obyczajów ani zdziczeniem, tylko nieubłaganym prawem rozwoju, tylko tym przekleństwem natury, zmuszającej każde nowe życie nie tylko kończyć śmiercią, ale i ze śmierci brać swój początek. Przewaga fizyczna jednego człowieka nad drugim była kamieniem węgielnym pojęcia panowania i poddaństwa. I jeżeli człowiek jaskiniowy tylko pod ciężarem pięści ulegał mocniejszemu odeń towarzyszowi, to przecież instynkt dzieciństwa uczył go przedtem chronienia się za plecy swej rodzicielki, ten sam instynkt uczył go, że od niej nawet skarcenie przyjąć musi, bo ona go żywi i chroni. Ale jeżeli jaskiniowy człowiek tracił szacunek dla swej rodzicielki, z chwilą gdy jej

opieki nie potrzebował lub gdy poczuł swą fizyczną równość, to tym bardziej szukał możliwości targania narzuconych mu pęt przez człowieka obcego i baczył, czy aby pięść ciemiężcy nie słabnie. W miarę kształtowania się doświadczenia i urabiania pojąć o łączeniu sił dla osiągnięcia jednego celu, polepszenia czy ułatwienia bytu, rozwijały się stopnie naczelników, przewodników. Doświadczenie uczyło zwolna, iż dla dobrego zużytkowania sił kilku czy kilkudziesięciu ludzi, potrzebna jest równoczesność natężenia muskułów a równoczesność taka musi wyrazić się zawołaniem lub znakiem jednego człowieka i karnością pozostałych ludzi.

Doświadczenie uczyło cenić w ludziach nie samą brutalną siłę, ale i zręczność, a także pomysłowość jej zastosowania i umiejętność jej oszczędzania i jej powiększania. To doświadczenie musiało niewolić człowieka do szukania w swym przewodniku zalet coraz szczególniejszych, coraz wyższych. A naczelnicy ze swej strony, ciągnąc wielkie korzyści z przewodniego stanowiska, starali się najmocniej utrzymywać podwładnych w poszanowaniu, w wierze wartość wielką ich przymiotów, w przewagę sił, w zdolność rozkazywania.

Naczelnicy jednak słabli, tracili na jasnym sądzie, starzeli się, a nie chcąc wyrzekać się swych przywilejów, uciekali się do sposobów byle nic z władzy nie stracić. Niekiedy sposoby się udawały, niekiedy poddani nie postrzegali wybiegów, a niekiedy znów pozbywali się zniedołężniałego przewodnika, lub wykrywszy w jednym z towarzyszy szczególniejsze zalety, a wyższe od zalet głowy pokolenia, zmieniali wybrańca. Pokolenie rozmnażało się, mnożył się dobytek, rosła suma zdobyczy i wznosiła się wraz z nią władza, i potężniało znaczenie naczelników, i komplikowała się trudność wyborów, podwyższał się stopień zalet wymaganych od przewodnika. Przewodnik zaś nie ustawał w zabiegach o utrzymanie się przy władzy, układał się z wybitniejszymi poddanymi, zapewniał im

przywileje, dzielił się z nimi władzą i szukał ich poparcia, opieki współdziałania. A dalej legitymował swe cechy pochodzeniem od istoty nadludzkiej, sam boga udawał, bogiem ogłaszał swego dziada lub ojca, aby, jako potomek Boga, wzmocnić swe dziedzictwo.

Lecz równocześnie z nizin do stóp władcy szedł pogwar zwątpienia, szły skargi na ucisk, szły nowe, głębsze, podnioślejsze wierzenia o Bogu, o człowieku, o celowości jego bytu, jego istnienia. Przewodnicy odgadli niebezpieczeństwo i nade wszystko każdą nową zdobycz myśli ludzkiej starali się zwrócić przeciw poddanym, a gdy ten środek nie starczył, wypowiadali im wszystkim walkę na śmierć i życie. Niziny spływały krwią – aż przewodnikom zabrakło mocy – więc cofali się, układali, czynili ustępstwa. Z bogów schodzili na synów bożych, z synów bożych na bożych namiestników, potomków świętych, najwyższych kapłanów, pomazańców. Wreszcie tu i ówdzie cywilizacja potrafiła przekonać ludy, że panujący już nie potrzebuje być ani wodzem, ani mędrcem, ani cudami słynącym kapłanem, a jedynie człowiekiem strzegącym praw i umów, przez lud ustanowionych.

Ta nauka była ciosem nie lada dla samowładców – ale jeszcze nie zgubą. Bo tu znów rozpoczęły się dowodzenia, że stanowisko przewodnie należy do potomstwa władców, tu okazało się, że dany przewodnik, mimo że upada pod ciężarem trudów rządzenia, jednak za żadną cenę nie ustąpi ze swej Golgoty, tu wyszło na jaw, iż jeżeli władca odmawia swemu ludowi jakichś ulg i przywilejów, to odmawia w imię dobra ludu, w imię swego nieomylnego przekonania, że te nowe ulgi czy przywileje byłyby nieszczęściem dla ludu. I wszystkie te nowoczesne racje stanu miałyby powodzenie, gdyby nie historia, która im na każdej swej karcie zaprzecza, gdyby nie nieomylne świadectwa, że każda nauka głębsza, każdy mocniejszy zwrot myśli ludzkiej był przez władców tępiony, póki im życia

i sił stało. A czy ten zwrot nazywał się zakonem Mojżesza, czy nauką Chrystusa, czy zbadaniem ruchu Ziemi koło Słońca, zawsze miał wrogów śmiertelnych we władcach. Stąd wzrost świadomości, że idei nie osiąga się bez walki, stąd fanatyzm odpowiada przemocą na przemoc.

Władza jak każde wyniesienie jest zawrotna – a im to wyniesienie jest większe, tym zawrotność możliwsza. A choć są górale, którzy nawet z wysokości Mont Blanc potrafią dumnym spojrzeniem mierzyć bezdenne przepaście, jednak są i ludzie nerwowi, którzy już na wieży nie mają odwagi oprzeć się o balustradę i są cierpiący na chorobę przestrzeni, których lada piętro, lada drabina przyprawia o stratę równowagi. Kto pod chmurami, na orlej skale się urodził, kto nauczył się mgły horyzontów ścigać, temu równina będzie tylko podnóżem góry – podnóżem obcym, zlanym w jakąś bryłę jednolitą, szarą, niedościgłym w swych zagłębieniach, trzęsawiskach, piaskach, lasach i urodzajnych niwach, pogrążonym w monotonii szmeru urwiskiem. I przeciwnie, kto życie swe wziął z mrowiska przyziemnego, kto wzrósł wśród znoju oraczy nizin, co toczą się z kości tych kroci, które zginęły pod głazami piramid Cheopsa i Chefrena, kroci, dla których ambicje faraonów były męką i niedolą najsroższą, temu znów obcy jest szczyt, ten ani może pogodzić się z myślą, aby mógł ginąć pod piramidami, i ten ani może wierzyć, iż ten sam, na szczycie stojący, pełną piersią wchłaniający strumienie ożywczego powietrza, ten tam, posiadający pełnię swobody ruchów, był jemu, przyziemnemu niewolnikowi, czymś więcej niż uzurpatorem i ciemiężcą.

I człowiek z mrowiska obojętnie patrzy, jak ku szczytowi wybrańca wspina się współzawodnik i obojętnie przygląda się walce, rozgrywającej się na szczycie i o szczyt, a jeżeli niekiedy dźwiga się sam, to aby nienawistny szczyt ze swoją czarną ziemią zrównać. I w odpowiedzi na to rwą się ze szczytów głazy na zmiażdżenie skradających się ku niemu

śmiałków i wre walka, i fala bije za falą, i fala rzuca jednostki na skały potęgi, i fala znów je strąca, i znów je zatapia. I w całym tym ruchu jest groza pracy oceanu i oceanu zawziętość i nieczułość. Ocean rwie granitowe brzegi w jednym krańcu, a w drugim brzeg buduje, ledwie wzniesie połać nowego lądu, już ją żre, chłonie w swej gardzieli, w przypływie dźwiga brzegom daninę, z odpływem zbiera sam haracze.

To są prawa oceanów i ludów, cywilizacji i myśli. Życie płacić za każdy pal wbity w nurcie walki o byt, tysiącami istnień okupywać każdy nurtu tego zwrot, i dalej, znów rwać samemu wzniesione przez siebie zapory i znów budować nowe na późniejsze druzgotanie. Na tej nieustannej ewolucji schodzi praca ludzkości, bo ewolucja ta jest jej wielkim dobrem, bo ewolucja ta jest jej błogosławieństwem i klątwą. I do tej ewolucji zmierzają bezwiednie wszyscy, prócz tych jednostek, którym, jako zbyt wysoko wyniesionym, każde wstrząśnięcie grozi upadkiem.

Ewolucja idzie nawet po trupach, bo iść musi. Ludwik XVI mógł być dobrym i nieszczęśliwym człowiekiem, ale niemniej Rewolucja Francuska jest wielka i jest wielka nie dlatego, aby skazanie króla na śmierć było czymś wielkim lub nieznanym przedtem w historii – ale dlatego, że miała nieokiełznaną moc żywiołu, że miała odwagę zerwania od razu wszystkich łańcuchów. W tych szarpaniach się rewolucji, Ludwik XVI był okruchem miazgi i był tym atomem zarazka w ranie, który uszedłszy skalpelowi, wnet umie ją rozjątrzyć. Ludwik XVI wszak już żebrał tylko o banicję, o przywilej pójścia na wygnanie! Krwawy konwent wolał, aby króla pożegnały na szafocie słowa – „Synu Ludwika świętego, idź do nieba!”

Wolał go mieć w niebie, niż na ziemi, bo tu „miłości” do Burbonów i tak jeszcze starczyło na całe sto lat zamieszek, wojen, intryg i spisków we Francji! A cóż dopiero, gdyby Ludwik XVI wraz z potomstwem znalazł opiekuna w Maracie, Dantonie, czy Robespierze. Zresztą Ludwik XVI

został ścięty już w sto pięćdziesiąt cztery lata po skazaniu i ścięciu Karola I angielskiego na placu przed pałacem Whitehall w Londynie, w imię najwznioślejszych i najdonioślejszych dwóch wyrazów *habeas corpus* ogniskujących całą Francuską Rewolucję. Ludwik był nezaprzeczalnie kandydatem na dobrego króla, ale spóźnił się o całe sto lat, bo panował w czasie, gdy naród francuski ani myślał ważyć królewskie cnoty i do tego zhardział, bo nawet dobrodziejstwa samemu sobie chciał zawdzięczać.

Idąc dalej w tę otchłań przedmiotu, mimo woli i wiedzy, można by dowieść nie potrzeby, nie sprawiedliwości królobójstwa, ale jego podniosłości. Królobójstwo popełnione dla zagarnięcia władzy – jako płynące z pobudek samolubnych – jest niewątpliwie zbrodnią i niegodziwością. Ale to królobójstwo, przynajmniej w Europie, gaśnie równolegle ze zmaganiem się królobójstwa dla obalenia władzy. I to drugie właśnie od wiek wieków jest błędnym kołem etyki.

Łotrem był Kaligula – zamordowali go Kasjusz z Korneliuszem. Któż rzuci kamieniem na tych wybawców ludu z krwawych rządów półzwierza i półobłąkańca? Fakt źle wybrany.

Henryka IV francuskiego zabił Ravaillac! Najdzielniejszy z królów padł, ugodzony sztyletem. I cóż rzec o Ravaillacu? Nic zgoła złego. Ravaillac był fanatykiem, namówionym przez jezuitów. Jezuici w Henryku IV widzieli zawsze hugenota, no, a sam mord był dokonany w trzydzieści osiem lat po nocy świętego Bartłomieja. Ravaillac nadto na dobrowolne szedł męczeństwo, bo nie miał złudzeń, był pewien, że go za zabicie króla końmi rozszarpią.

Analogiczny mord był dokonany przez mnicha, Jakuba Clémenta, na Henryku III, ostatnim z Walezjuszów – ale Clément podniósł ostrze na wyklętego – więc w swym pojęciu miał już zapewne prawo do zasługi. Lecz i te fakty nie są miarodajne, bo zaprawione fanatyzmem

i średniowiecczyzną. W roku 1809 pochwycono studenta, syna pastora erfurckiego, Staffa, który godził na życie Napoleona. Francja zadrżała ze zgrozy i oburzenia na samą myśl, że jakiś zbrodniarz mógłby zgasić najpotężniejszą z jej gwiazd. I na głowę Staffa posypały się słowa pogardy i potępienia. Równocześnie wszakże w zakamarkach Berlina, w zaułkach Wiednia, wśród poszumu tyrolskich jodeł, łkających pieśnią Andreasa Hofera, iść zaczęła opowieść o młodzieńcu bohaterze, studencie marzycielu, który marzył o pomszczeniu krzywd ludu niemieckiego.

Miną stulecia i zawsze świadectwa francuskie brzmieć będą tą samą pogardą dla przestępcy i zawsze świadectwa niemieckie zadrgają melancholią i rzewnym westchnieniem dla „marzyciela”. Trudno wybrnąć z tych dwóch definicji o Staffie i znaleźć środek między ostatecznościami. Zulusi zamordowali księcia Napoleona, syna Napoleona III. Był rekonesans i podobno przypadek. Rekonesansem dowodził kapitan Carrey. Zulusi napadli. Uciekli wszyscy, nawet koń księcia, śmierć okrutna. Na to urodzić się w złotej kołysce, aby zginąć z rąk dzikich w puszczy afrykańskiej i zginąć opuszczonym przez towarzyszy, zginąć z takiego „przypadku”.

Pogarda dla tych europejskich Zulusów! Ale ci europejscy Zulusi godzili nie w młodzieńca, ale w partię. Zabili wszak nie księcia, ale zabili drzemiącą hydrę wojny bratobójczej, okupili byt Trzeciej Republiki. Biedny książę „Lulu”! Ale równie dobrotliwie wzdychać nie może żaden z tych, którzy w księciu widzieli groźną przyszłość. Zdarza się jednak, iż mord nie ma pozornie już ani tych tłumaczeń, ani tej przewrotnej sentencji – „stało się źle, ale ponieważ się stało, więc stało się dobrze”. Przed siedmiu laty, padła pod sztyletem Luccheniego cesarzowa Austrii, Elżbieta. Pani nie mieszająca się do życia politycznego, stroniąca od wszystkiego, co trąciło śladem dworskiej intrygi. Wielka monarchini, swej tęsknoty szukająca tylko toni dla bólu, a pogody kortuańskiego nieba dla myśli chmurnych, stała się

ofiarą zaślepieńca. Za co? Wszak zdawałoby się, że cesarzowa, schodząca między lud w pancerzu macierzyńskiej niedoli, powinna być niedosięgła, nietykalna. Oburzenie zwróciło się przeciw zabójcy, potępili go wszyscy – a przecież nazwano go tylko anarchistą i przestępcą politycznym!

Dlaczego? Co to jest anarchizm? Czy anarchizm wskazuje mordy w ogóle, a tak nieumotywowane w szczególności? Czy anarchizm jest tak podle słaby i nikczemny, aby go stać było na zwracanie się przeciwko kobietom i to kobietom, w których można zabić nie symbol majestatu, ale symbol smutku. Odpowiedzi brak, bo nie masz podobno większej anarchii nad anarchię etyki na punkcie wszystkiego, co ma cechę mordu politycznego. A przecież jedynym potępieniem dla Luccheniego powinno było być usunięcie go poza anarchizm, poza królobójstwo ideowe, i bądź uznanie go za pospolitego zbrodniarza, bądź poczytanie za szaleńca. Każda inna pobudka przypisywana Luccheniemu, czyni zeń ideowca, usprawiedliwia go w jego własnym sumieniu, gmatwa sąd ludzki, hańbi ani skrystalizowany dotąd, ani zbadany anarchizm, plami czystość przestępców politycznych. Wszak tam, gdzie się zaczynają stopnie tronu, gdzie władza rózgami liktorskimi się otacza, gdzie bat z prawa czerpie siłę swego uderzenia, tam zabójstwo nie jest zabójstwem, tam zbrodnia nie jest zbrodnią. Tam może być tylko pomsta jednostki za krzywdę milionów, tam może być walka o pastuszy bat, tam bywa zamach stanu, świadectwo ideowego terroru, może błąd w wyborze ofiary mordu, fanatyzm, sekciarskie zaślepienie – ale nie zbrodnia.

I to prawda, że nie jest żadnym uczonym wywodem, żadnym oderwanym poglądem, jeno prostym podniesieniem się rtęci mózgowej do stopnia temperatury przedmiotu. A stopniem tym jest zamęt. Zamęt wypadków, zamęt przyczyn, pobudek i skutków. I nie trzeba być ani myślicielem, ani badaczem, aby spostrzec, iż chcąc królobójstwo w ramy

ująć, należy bodaj całe dzieje cywilizacji przejść, wszystkie ognie, w których przeobrażał się umysł ludzki, i co kroku rozpraszać się w lesie szczegółów. Toż dzieje jednego spisku, jednego zamachu bywają dorobkiem całych stuleci!

Wszak aby wniknąć w burzę szalejącą w piersi Brutusa nie starczy ani Plutarch, ani listy Cycerona, ani Lamartin, ani twórczość Szekspira. Klasyczny spisek na Cezara, spisek na tego, którego senat rzymski obdarzył tytułem „Boga niezwyciężonego”, spisek na tego, który miał przed sobą jednego tylko mogącego się z nim równać, Aleksandra Macedońskiego, spisek, prowadzony i kierowany ręką przyjaciela Cezara, człowieka prawego, uczciwego, zaiste, może sam nie lada dzieło wypełnić. Wyłuskanie zaś z dziejów samych imion ofiar i zabójców byłoby drugą ostatecznością. Cóż by na przykład powiedzieć mogła taka litania osób: Brutus zabił Cezara, Bootha zabił Lincolna, Henryka Walezjusza zabił Clément, Ibrahima zabili janczarzy, Senacheryba synowie, Piotra III żona, Henryk VIII zabił dwie żony, Humberta zabił Breshi, Garfielda Guiteau, Karola III, księcia Parmy mściciel, Luccheni zabił Elżbietę, Elżbieta zabiła Marię Stuart, Maria Stuart zabiła Henryka Stuarta, księcia Berry zabił Louvel, Aleksandra II nihiliści, Gustawa III Anackastrom, Henryka IV jezuici, księcia Napoleona Zulusi, Mc Kinleya Czołgosz; Nasr Eddina fanatyk, Pawła I zabił syn, Aleksieja Piotrowicza ojciec, Kaligulę Kasjusz z Korneliuszem, Obrenowicza Karadżordżewicz...

A gdyby litanię taką zaopatrzyć szczegółami. Gdyby wskazać rodzaj narzędzia użytego do zabójstwa, określić miejsce spełnienia mordu, uwydatnić całą jego anegdotyczną stronę, to czyżby w istocie można coś więcej osiągnąć nad prosty wyciąg z pierwszego lepszego archiwum akt kryminalnych? Nie byłobyż to uogólnienie zupełnie różnych wydarzeń? Bo czyż można wszystkie ludy, wszystkie kultury jedną mierzyć miarą, lub

skutki różnych przyczyn ustawiać w kolumny statystyczne? Takie zestawienie nawet nie mogłoby pouczyć ani kandydata na zabójcę, ani ostrzec władcy. Zamęt.

III

Od pewnego czasu do rozmaitych cnót przybyło Europie sumienie. Wielkie, bardzo wrażliwe i nad wyraz sprawiedliwe sumienie. Skąd się to sumienie wzięło, nie wiadomo, może z roku 1848, może 1871, może z fletu, na którym grywał Fryderyk Wielki, może z korespondencji Woltera z Katarzyną II, może od czasu hiszpańskich wysiłków odbudowania ruin mauretańskiej kultury, zburzonej przez arcykatolickich królów, a może ze stryczka, na którym zawisła Perowska?!

Perowska?! No tak, ta sama... nihilistka, anarchistka rosyjska, która brała udział w zabójstwie Aleksandra II. Zresztą osoba nieciekawa, powiesili ją, a raczej dwa razy wieszali, bo się pierwszy stryk zerwał. Europa westchnęła wówczas nie tylko na tę okropną intendenturę rosyjską, która i stryczków porządnych nie umie dostarczyć, ale i na brak galanterii dla kobiety i na zbyt wielkie jej równouprawnienie. Równocześnie wszakże Europa pospieszyła wyrazić swe głębokie zadowolenie, że towarzyszkę Perowskiej, Hesię Helfman, uroczyście ułaskawiono. Przyczyną tego ułaskawienia był odmienny stan nihilistki, a więc skrupuł ludzkości, żeby wraz z przestępczynią nie pozbawić życia niewinnej istoty. Europa na ten ostatni argument znów westchnęła, lecz już z ulgą, bo z całym poczuciem swej cywilizacji i czystości sumienia, a nihilistka Helfman zamiast od razu zakończyć obrachunek z domem Romanowów, musiała wraz z dzieckiem konać w Szlisselburgu i fortecy Pietropawłowskiej i pocieszać się tylko tym, że w tych samych murach konali już przedtem nawet zupełnie wszechrosyjscy imperatorowie.

Lecz byłoby bez wątpienia błędem mniemać, że rok 1881, a więc rok zabicia Aleksandra II, był rokiem narodzin sumienia w duszy Europy, bo to sumienie powstało zgoła niepostrzeżenie, niby obłoczek udający na jasnym firmamencie chmurkę, niby zefir zabawiający się w wiatr. Dawnymi czasy Europy była mniej uczuciowa i tak źle wychowana, że prawie zawsze szczera. Kiedy miała ochotę kogoś zabić, to wyciągała zza pasa taki topór, że ostrze jego na milę wokół błyskało, kiedy chciała kogoś skarać, to ani myślała odprawiać ceremonii procesów politycznych. Nie mówiła nigdy „cywilizuję", tylko „ujarzmiam", nie mówiła „potępiam", ale „morduję", nie mówiła „nawracam", tylko „miażdżę", nie mówiła „żałuję" lub „boleję", tylko „nic mi do tego" itd.

Na szczęście to prostactwo Europy minęło bezpowrotnie, surowość jej obyczajów utarła się, urobiła się na wykwint, a poczucie ludzkości już i ku zwierzętom spłynęło widomym dobrodziejstwem. I nie koniec na tym, Europa idzie dalej, idzie naprzód. Z dnia na dzień podejmuje coraz humanitarniejsze idee, myśli o rozbrojeniu, o pokoju powszechnym i już tylko postanawia poskramiać „żółte niebezpieczeństwo" – a oprócz tego rada by pałace budować anemicznym papugom i sanatoria suchotniczym, a więc za chudym na zabicie, cielętom. Ale że troska jest kwestią ziemskiego bytu, więc i na białym czole Europy osiada czasem i w zmarszczki je fałduje.

Ach, bo te dzieci, te krnąbrne dzieci Europy! Gdybyż chciały słuchać! Jakaż zapanowałaby harmonia! Jednakże Europa pamięta i nikomu nie da zrobić krzywdy. Na przykład była rzeź Armenii. Lecz gdy Turcy wyrżnęli aż dwa tysiące bezbronnych mieszkańców, Europa się oburzyła i złożyła w Konstantynopolu trzy pięknie wystylizowane noty dyplomatyczne. Turcy wyrżnęli jeszcze drugie dwa tysiące Ormian, aż przestali, pewnie obawiając się nowej serii pięknie kaligrafowanych not dyplomatycznych. Przy czym,

urzędowe źródła dowiodły natychmiast, że sułtan jest bardzo a bardzo uprzejmym i dystyngowanym człowiekiem, trochę może nerwowym, lecz jeżeli ktoś musi mieć tyle żon i takie wydatki!

Łatwo potępiać, gdy się nie jest sułtanem! Ale Turcja to więcej Azja niż Europa, trudno o nią kruszyć kopie i wszystko na swój rachunek brać – lecz taka Francja! Zabrali jej Niemcy Alzację i Lotaryngię – prawda, no stało się. Francja wypłaciła pięć miliardów, więc zdawałoby się, iż niesnaski są zakończone. Gdzie tam! Francja boczy się na Berlin. A ten poczciwy Berlin ani myśli żywić do Paryża urazy, Berlin nawet chętnie mówi po francusku, Berlin na zgodą gotów by ofiarować Paryżowi pomnik Bismarcka, a choćby napisać nowe libretto do opery pod tytułem „Trębacz spod Gravelotte". Paryż tych dobrych szlachetnych intencji Berlina uznać nie chce i martwi Europę, bo Europa już nieodwołalnie zmierza do pojednania zwaśnionych, do zgody i do miłości braterskiej na przestrzeni od przylądka Finisterre po Ural i od Szpicbergu po Gibraltar. Francja jest przecież zanadto *bonne fille*.

Aby powoli nie dała się ugłaskać jakimś daktylem marokańskim, a choćby ukołysać coraz mocniejszym hymnem „Międzynarodówki". Wtedy i to zmartwienie Europy nie byłoby wielkie, gdyby, prócz niego, nie miała innych, i o ileż cięższych! Naturalnie pod mianem ciężkiego zmartwienia nie należy rozumieć żadnych marzeń irlandzkich, hanowerskich, katalońskich, albańskich czy w ogóle polskich. Europa nad tymi mrzonkami przeszła dawno do porządku. Idzie tu o wypadki i zatargi smutniejsze, groźniejsze. Oto jak przystało na skrzętną gospodynię, Europa zatroszczyła się, aby w swych granicach zawrzeć coś do każdego gustu i to mile łechcącego podniebienie. Uznała przeto za dobrą każdą formę rządu, dla każdej formy władzy i państwa zachowała miejsce poczesne, dla każdego wyobrażenia, autorytetu postarała się o ujście. Więc obok na wskroś autonomicznych ustrojów, stworzyła pół i ćwierć autonomiczne,

zachowała zupełnie samowładcze obok liberalnych i postępowych, zacofane i klerykalne obok republikańskich i bezwyznaniowych, obok mikroskopijnych gigantyczne.

Ta podniosła zasada sprawiła właśnie, że w koronie i gronostajach zasiada nie tylko Wilhelm II, ale i Mikołaj Czarnogórski, którego państwo liczy mniej kóz niż Niemcy miast, i mniej poddanych niż Bordeaux mieszkańców, i że monarchą jest również Chrystian duński, teść i dziadek pół tuzina dworów panujących, jak i Albert monakijski, ojciec jednej rulety. Nie tu wszakże jest ostatnie słowo zapobiegliwości Europy, nie tu wielkość jej tolerancji – a tam, gdzie się zaczyna państwo białego cara, gdzie potęga samowładztwa i obszar monarchii daje najwspanialszy obraz złotych czasów Persji, Asyrii lub Egiptu. Gdzie miliony trwają w patriarchalnej pokorze, gdzie zasiada zresztą niezmiernie dobry, skromny „batiuszka", gdzie ludzie bywają dosyć naiwni, gdzie może te i tamte prawa są nieco przestarzałe jak na wiek dwudziesty, ale gdzie nie powinno być inaczej i nie może być lepiej.

Och, Europa wie, rozumie przecież! Tak, Rosja niezaprzeczenie jest nieco *ridicul*, ale kto nie oglądał tych tysięcy mużyków, padających na kolana na widok cara, kto nie widział tych tysięcy żołnierzy, rozpłaszczonych na śniegu w oczekiwaniu carskiego błogosławieństwa, kto na koniec nie wie o tym, że w kolosie rosyjskim mieści się sto rozmaitych narodowości i plemion, czterdzieści różnorodnych języków, dziewięćdziesiąt religii, sekt i obrządków, a za to osiemdziesiąt procent analfabetów, że obywatel państwa rosyjskiego wyje z radości, gdy ma kawał czarnego chleba i butelkę okowity, że mieszka w kurnej chacie, że mu jeden barani kożuch wystarcza na całe życie, ten tylko w Rosji może znaleźć coś *ridicul*, temu tylko może się nie podobać samowładztwo.

Tak twierdzi Europa, bo Europa rozumie się na rzeczy! Zna wszak wybornie i cara, i wielkich książąt, i ministrów, i generałów, i nawet tych zabawnych kupców z długimi brodami i z potężniejszymi jeszcze pularesami. Wszyscy oni są bez zarzutu, przesiąknięci na wskroś cywilizacją Zachodu! Z roku na rok pełno ich w Paryżu, Wiedniu i Berlinie, swą hojnością i uprzejmością urobili sławę magicznej nazwie *prince russe*. Czy taki baron Frideryks, minister dworu cesarskiego, nie zasługuje na miano najpierwszego z wersalczyków? Czy w tym eleganckim dżentelmenie, zapatrzonym niedbale w dal morską na Promenade des Anglais w Nicei, może ktoś dostrzec coś despotycznego? Czy te łagodne i filuterne oczy, spoglądające spoza złotych binokli na nie zawsze dyskretnie osłonięte nóżki paryżanek, drepczące wśród tłoku i błota na placu Opery w Paryżu, mogą być oczami wielkiego żandarma dworu, czyż same przez się nie zaprzeczają ponurej władzy barona, czyż nie obalają wszystkich plotek o panu ministrze? Albo te oszczerstwa rozsiewane o książętach rosyjskich, czy nie są najpotworniejszym wymysłem i kłamstwem? Wszak Europa tyle razy sama się o tym przekonała!

Na przykład książę Aleksy Aleksandrowicz, którego obrzucano posądzeniami z powodu floty, wszak to zupełnie sympatyczny i najbezinteresowniejszy człowiek. O tej prawdzie wie lada krupier w Monaco. Wielki książę, pan, mocarz stojący ponad prawem, bogacz mający za sobą niewyczerpane źródła nieskończenie cierpliwej listy cywilnej, a w sali gry w Monaco zjawia się niepostrzeżenie, gawędzi sobie z lada damą, i to dowcipnie, jak niewymuszenie, a potem rzuca paczkę tysiącfrankówek krupierowi, dając mu prawo stawiania według własnego upodobania. W razie wygranej krupier aż musi szukać wielkiego księcia, bo on nie pamięta ile stawiał i czy stawiał.

Aż trudno wyobrazić sobie ten niegodziwy afront, wyrządzony księciu ubiegłej zimy przez publiczność rosyjską na przedstawieniu w teatrze Michajłowskim w Petersburgu. Na kilka minut przed podniesieniem kurtyny w loży ukazał się wielki książę, a w sąsiedniej loży zjawiła się pani wielkoksiążęcego serca madame Ballettea, osóbka bardzo piękna, lecz o wiele piękniejszych od siebie brylantach, wśród których wyróżniał się naszyjnik, opatrzony przepysznym rubinowym krzyżem. Publiczność rosyjska zwróciła oczy na loże. Powstał szmer nieokreślonej natury, a za szmerem rozległ się bezczelny głos z galerii – „Miliony czerwonego krzyża!” I na to hasło cała widownia zawyła w jeden głos u loży pani serca wielkoksiążęcego: „Oddaj diengi!...” Książę opuścił lożę. Madame Ballettea poszła za przykładem swego pana. Choć pogarda i milczenie były najlepszą odpowiedzią na nikczemne insynuacje, na których lada krupier z Monaco by się poznał. O tym Europa wie.

A dalej rosyjscy mężowie zaufania, ci dygnitarze olśniewający rozmową wytworną, którzy tak często w melancholijny uśmiech twarz stroją, gdy ktoś zbyt obcesowo zacznie poddawać krytyce wszechrosyjski system państwowy. Wszak ten ich uśmiech mówi wszystko, ten uśmiech z góry przebacza nieświadomość i ten uśmiech szepce: ja sam bym pragnął, aby było inaczej, ja sam jestem skrajniejszym liberałem, ale u nas, czy podobna? Wieków trzeba.

Właśnie, trzeba wieków! – kiwa z odwagą Europa i w chwilach wieczornej pogawędki zaśmiewa się z kłopotów, jakie miewa zacny „Nika” ze swymi mużykami i kacapami. Dwa lata temu zachciało się mużykom nowego świętego, a raczej radca prawny Pobiedonoscew doradzał zainaugurowanie takiej ceremonii dla wzmocnienia wiary. Okrutny z tym projektem był ambaras. Ale na szczęście znalazł się między nieboszczykami jakiś Serafin. Radca tajny Pobiedonoscew złożył raport

i Serafin otrzymał od cesarza nominację na świętego prawosławnego. Naturalnie, Serafin wobec takiego odznaczenia miał rozkaz usprawiedliwić cudem swój ingres do kalendarza. I Serafin miał niezawodnie po temu dobrą wolę, ale było to widać – zadanie ponad jego siły, bo cud się nie udał. Oto, radca tajny Pobiedonoscew obwieścił, że jakiś chory student z Rygi został uzdrowiony przez zawarcie znajomości z nieboszczykiem Serafinem. W tym obwieszczeniu dla powagi cudu podane było nazwisko studenta. Trafem w Uniwersytecie Ryskim był akurat student o tym samym nazwisku i taki zapaleniec, że ryzykując porachunki z Pobiedonoscewem rozesłał do zagranicznych i rosyjskich czasopism zaprzeczenie, w którym wyparł się i Serafina, i kalectwa. Trzeba być z krwi i kości rosyjskim mężem stanu, aby z tej historii o Serafinie dobyć całą attyckość, żeby dowcipnie a prawdziwie wysnuć dzieje pieriepiski, prowadzonej z różnymi urzędami w sprawie, czy nieboszczyk Serafin nie był bądź w sądzie, bądź żandarmerii, bądź w policyjno-lekarskim komitecie notowany, no i opiać całą paradę cerkiewno-urzędniczą tej osobliwej kanonizacji.

Europa śmieje się i dowcipkuje, ale i przyznaje skwapliwie, że w Rosji nie może być inaczej i, że choć to jest nieco naiwne, ale za to poetyczne, podniosłe w prostocie i bardzo oryginalne. Nie zawsze jednak Europa wspomina Rosję niby piękny, pod kloszem zakonserwowany szkielet mamuta. Bywają chwile, kiedy Rosja staje się wzorem godnym do naśladowania i to bez wysiłku ze swej strony. Wystarczy, aby w którymś z parlamentów wybuchła walka na pięści, aby jakiś krach panamski skompromitował kogoś, lub jakiś proces dreyfusowski okrył niesławą przedstawiciela rządu konstytucyjnego, na miesiące i lata wzburzył opinię, by natychmiast odezwały się głosy, wskazujące na Rosję, jako na państwo kwitnące zgodą i ciszą, wolne od brudów elekcyjnych, parlamentarnych komedii, awantur prasowych, zawsze władne jednym pociągnięciem pióra

cesarskiego zdławić hydrę korupcji, nie dopuścić do publicznego zgorszenia.

Tak czy owak Europa nauczyła się nie tylko Rosję poważać, nie tylko się z nią liczyć, ale i nią się szczycić. Zawsze przyjemniej jest mieć u swego boku takiego Herkulesa, bo takiego i w pole łatwo wyprowadzić i na kogoś poszczuć. Aliści, w ostatnich czasach i w patriarchalnej Rosji zaczęło się coś psuć i to psuć na dobre. Zawsze tam stosunki wewnętrzne były niezwykłe, ale były one wszak dowodem tylko, że Rosja ciągle przeżywać musi wieki średnie. A ponieważ w wiekach średnich na całym obszarze Europy bywało nie lepiej niż w Rosji ostatniej doby, przeto w tym tylko problem, by nie mieszać się do jej wewnętrznych spraw i dać jej powoli przebyć uciążliwą drogę kultury. Ta słuszna zasada kołysała Europę do snu nawet wówczas, gdy za granicami Rosji poświstom knuta wtórować zaczęły bomby. Echa tych odgłosów wywierały przykre wrażenie, ale przecież gdyby przypomnieć sobie dzieje Anglii, Francji lub Hiszpanii sprzed trzystu lat!

Tymczasem, w ślad za tymi odgłosami, stolice europejskie wypełniały się jakąś szarą masą półobdartusów, półnędzarzy, półstudentów a półfilozofów wiążących się w stowarzyszenia, fabrykujących piekielne maszyny, wydających tysiące broszur wywrotowych, klnących po rosyjsku i nagle wszystko, Rosję a wzbudzających odrazę swą nieufnością, ponurością spojrzenia i odludztwem. Zanim Europa oswoiła się z widokiem tych przybyszów, zanim w ziemistych, anemicznych twarzach nauczyła się rozróżniać starca i młodzieńca, mężczyznę i kobietę, już za tymi przybyszami napłynęli inni, wystrojeni, wyperfumowani, zawsze uśmiechnięci i dobroduszni obywatele państwa rosyjskiego i oni dopiero rzucili promień światła na te szare masy, które poprzedziły ich napływ do Europy zachodniej.

Wyraz „nihiliści” zabrzmiał w całej pełni i więcej zdziwił niż przestraszył. Co to za jedni byli ci nihiliści? Nikt się nie łudził, ani w ich poszczególne zamiary, losy i koleje nie wnikał, godząc się z nie wiadomo gdzie powstałym sądem, że nihilista to kwintesencja anarchii, zakała każdego społeczeństwa, potwór zniszczenia, potwór, wobec którego najkrwawszy komunista jest barankiem. To objaśnienie tak znakomicie trafiło do przekonania Europy, że odtąd zaczęła wszystkich Rosjan, zjawiających się na bruku Londynu, Wiednia, Paryża czy Genewy dzielić na dwie kategorie. Pierwsza to najmilsi goście, najweselsi ludzie, najhojniejsi panowie, najprzyjemniejsi towarzysze, a druga to nihiliści, udający niezręcznych artystów, literatów, studentów a nawet uczonych.

Tymczasem szary, obdarty, tłum emigrantów rosyjskich i podróżników, w odpowiedzi na rzucony mu nihilizm, zawołał całą piersią „żandarmi”. Okrzyk ten zastanowił nieco Europę. Rozejrzała się i istotnie wśród przybyszów rosyjskich, którzy zjeżdżali w trop za nihilistami, w tych wyperfumowanych, dobrodusznych, eleganckich, hojnych panach zaczęła rozpoznawać szpicli. Było z tego powodu nieco wrzawy, ale ponieważ ci eleganccy panowie umieli jednać sobie miłość kolegów po fachu tam, gdzie zamieszkali, ponieważ całą ich czynnością było lojalne przyglądanie się nihilistom, przeto weszło w zwyczaj, że każde większe środowisko ludzkie poza granicami Rosji posiadało i swoich nihilistów, i swoją policję rosyjską. Zwyczaj ten utarł się tak w Berlinie, jak i w Rzymie, tak w Barcelonie jak i w Marsylii, a żandarm rosyjski zdobył pole do awansu nie tylko z Kijowa do Moskwy, ale i z Londynu do Genewy. Żandarmi rosyjscy byli zbyt dobrze wychowani, aby swym prowadzeniem mogli dawać powód do niezadowolenia. I nikt na obecność ich nie narzekałby, gdyby nie nihiliści, którzy nie tylko wszczęli hałas na „opiekę”, ale wręcz pomówili żandarmerię rosyjską o bezprawne „porywanie” ludzi (nihiliści

mieli odwagę zaliczać się do ludzi) na terenie obcych mocarstw. Porywanie to miało się odbywać w biały dzień i na równej drodze, i bez wiedzy, i zezwolenia władzy danego państwa. Oto do idącego jakimiś europejskimi bulwarami nihilisty zbliża się pospolity agent policji miejscowej i prosi nihilistę o pofatygowanie się z nim, bo taki jest rozkaz. Nihilista ufny w opiekuńcze skrzydła konstytucji, pragnąc okazać swą wielką lojalność, idzie za agentem. Nie opodal czeka pojazd. Nihilista wsiada bez oporu, nie dziwiąc się nawet obecności dwóch panów cywilnych i ma przekonanie, że lada chwila prokurator da mu pełną satysfakcję za tę oczywistą pomyłkę. Pojazd rusza i ginie raz na zawsze. Nihilista bowiem zamienia się w drodze w bryłę ciała ludzkiego i pada wprost na kamienie Szlisselburga lub podworzec syberyjskiej katorgi.

Nihiliści na wieść o zniknięciu towarzysza podejmują alarm. Władze miejscowe są nieco zafrasowane, na szczęście konsul zaprzecza „w drodze urzędowej”, sprawa cichnie, bądź co bądź w rezultacie kłopot mniejszy, o jednego nihilistą mniej. No i całe porwanie jest tak mało prawdopodobne! Jakże człowieka mieszkającego w Rzymie można mimo oporu wywieźć do Rosji, odbyć z nim rewizje celne, przebyć słupy graniczne? Na to mógłby odpowiedzieć najlepiej pan Manuiłow i akta skandalu, wykrytego w zeszłym roku przez „Trybunę”, która bez ogródek zdemaskowała samowolę żandarmerii rosyjskiej w Rzymie i zatruła do reszty atmosferę, udaremniając rewizytę należną od pary cesarskiej dworowi włoskiemu.

Na to również odpowiedzieć by mógł ów dzielny korespondent jednego z najpoczytniejszych dzienników paryskich. Ów korespondent w pięknym wywiadzie, przeprowadzonym w Marsylii z jednym „niezmiernie eleganckim Rosjaninem”, zwiastował Francji, po zabiciu księcia Sergiusza, że ten elegancki pan jedzie właśnie do Barcelony, bo wpadł na trop spisku nihilistycznego, i że już w Marsylii „załatwił się” z filią wywrotowców. Ów

triumfalny wywiad sprawił wrażenie kojącego, bo cóż komu, w Trzeciej Republice szkodzi, że eleganccy panowie rosyjscy urządzają sobie polowanie na ziemi francuskiej. Żeby szło o przepiórki, kuropatwy czy króliki, mogłoby to kogoś zgorszyć lub krzywdę wyrządzić – ale nihiliści należą wszak we Francji do zwierzyny niejadalnej. Zresztą stany szwajcarskie dały nihilistom przytułek i z całą niegościnnością ograniczyły „polowanie", bo żandarmów rosyjskich otoczyły równą opieką swej policji, jak i nihilistów.

Czego znów niepodobna za żadne osobliwe zjawisko uważać, bo tak się jakoś utarło i przyjęło, że Szwajcaria jest nie tylko składem najwyższych gór europejskich, najpiękniejszych widoków, najmlekodajniejszych krów, ale i magazynem dynamitu, bomb i najczerwieńszych wywrotowców z całego świata. Zaledwie Europa jako tako oswoiła się z nihilistami rosyjskimi, zaledwie uznała ich za artykuł wywozowy rosyjski, równorzędny z takimi wynalazkami jak: tatarski knut i chiński samowar, znów nieprzyjemnie została zdziwiona literaturą rosyjską.

Do niedawna Europa o literaturze rosyjskiej ledwie coś słyszała i dopiero gdy zapanowała moda gwałtownego ubiegania się o alians z najpotężniejszym monarchą, po części dla przypodobania się, a po części z ciekawości, zaczęto tłumaczyć pospiesznie rosyjskich pisarzy i zaczęto ich czytać namiętnie, gorączkowo. Aż zapał ten raptownie ustał. Czemu? Przede wszystkim Europa musiała przyznać, że literatura rosyjska jest niezaprzeczenie godna uwagi, ale tak niepowszednia, tak odskakująca od samodzierżawia rosyjskiego, że wprost fantastyczna. Bo gdzie ci pisarze rosyjscy podpatrzeć mogli te okropne typy, gdzie tak bajecznie dzikie widzieli stosunki, gdzie w dwudziestym stuleciu mogły się zmieścić takie prześladowania religijne, taka walka o wiarę, taka niedola, taka otchłań nędzy i nadużycia? Skąd ci pisarze czerpią te zgrzyty, te strumienie żółci

i jadu? Taki na przykład Gogol. Perła humoru rosyjskiego – powiada „bon mot” o urzędnikach miasta gubernialnego: „Wsie padlecy... odin prokaror poriadocznyj cziełowiek no i tot swinia”. A Szczedrin, a Tołstoj, a Gorki, ten *terrible*? Okropni ludzie. Ani sposób się do nich zbliżyć bez narażenia się władzom rosyjskim, nawet i na nieprzyjemność z żandarmerią. Wszyscy po jednych pieniądzach, byli i są. Puszkin pokutował za swoje wiersze w rodzaju: „W Rosji niet zakona, a tolko stołb, a na stołbie korona.” Turgieniew był nieomal że nihilistą i pół życia przesiedział w Szwajcarii, Szczedrin osiem lat był w Wiatce na prawach katorżnika, Tołstoja wyklęła prawosławna cerkiew, a policja ani mu się ruszyć nie pozwalała z Jasnej Polany.

Po prostu trudno uwierzyć, żeby literatura mogła być tak zawzięta, aby każdy szerszy umysł twórczy koniecznie był w ustawicznych zatargach, już nie z komisarzem policji, lecz z szefem tajnego biura politycznego. A w Rosji do tego już doszło, iż pisarze mają swój specjalny sposób awansowania i wybijania się ponad tłum. W Europie, państwa swoich laureatów literatury obdarzają stypendiami, stosownymi posadami, nawet wstęgami orderowymi. W Rosji odznaczenia te idą inaczej. Zaczyna się niszczenie przez cenzurę wszystkiego, co wyjdzie spod pióra pisarza, który się wyróżnia, za niszczeniem utworów idzie rewizja i zrabowanie pisarzowi wszystkich skryptów, po rewizji dozór policyjny, a następnie administracja (bez sądu) wysyła do odpowiedniego bezludnego kąta, w zależności od zdolności i talentu.

Te odkrycia oziębiły europejski zapał do literatury rosyjskiej, gdyż przez nią nie tylko niepodobna trafić do petersburskiego serca, ale wejść można na manowce wrogie rządowi. I Europa dyskretnie wycofała się z zapałów dla twórczości rosyjskiego ducha i już wszystkie swoje wiadomości o Rosji czerpała z „Prawitielstwiennawo Wiertnika”. I byłoby

z tym Europie dobrze i błogo, gdyby nie bezprzykładne „żółte” wystąpienie Japonii, gdyby nie mord za mordem, dosięgający najwybitniejszych rosyjskich mężów stanu, gdyby nie milknący łomot bomb, i nie na Dalekim Wschodzie, ale tuż nad Wisłą, Niemnem i Dnieprem. Europa się oburzyła i ogłosiła, że takie rozruchy są w Rosji niepatriotyczne, bo współdziałające z Japonią, a więc powinny być odłożone do czasu zawarcia pokoju w Tokio. Ale ponieważ to ogłoszenie Europy nie pomogło, przeto ta sama Europa dała do zrozumienia, że to Niemcy płacą wichrzycieli, albo najpewniej Anglicy weszli w porozumienie z mużykami i naturalnie z rozmaitymi wrogami Rosji jak: Finowie, Ormianie, Gruzini, Polacy, Litwini etc., etc., etc.

Niemcy się obraziły i na dowód swej lojalności, na pierwsze żądanie konsula rosyjskiego, wytoczyły proces swoim poddanym za druk proklamacji podburzających przeciw zaprzyjaźnionemu państwu. Wytoczono okropny akt oskarżenia. Obwinieni zażądali ekspertów. Sprowadzono profesorów uniwersytetu, a między nimi profesora, który na życzenie rządu rosyjskiego był przez pewien czas wykładowcą tomskiego uniwersytetu. Rozprawa poruszyła całe Niemcy i całą dyplomację rosyjską, bo ekspertyza ustaliła, że proklamacje mówiły tylko o faktach niezaprzeczalnych i że istotnie takie a nie inne panują w Rosji stosunki. A już, ku niemałemu przerażeniu Berlina, ta sama ekspertyza zaczęła mówić o pieniądzach rosyjskich w nieudanym zamachu na księcia Ferdynanda bułgarskiego i o prawdziwych opiekunach króla Piotra Serbskiego i morderców pary królewskiej w Belgradzie.

Rozprawę z wyższego rozkazu skrócono, winnych uwolniono i dołożono starań, aby stłumić rozgłos procesu. Przysługa niemiecka była niedźwiedzią. Dyplomacja rosyjska oburzyła się na insynuacje, bo podobne jak w Beglradzie wypadki zdarzają się, ale zdarzają się same, po prostu

komuś z najnikczemniejszych pionków zdarza się źle zrozumieć westchnienie męża stanu – „ach, gdyby tego Aleksandra nie było”. Ale niemniej zarówno ambasador jak i konsul nie posunąłby się do tak stanowczego pozbywania się osób, zawadzających jego polityce. Zresztą, minister spraw zagranicznych Murawiew – otruł się i to niedawno. Mała ta dywersja z procesem wrocławskim zagłuszona została nowymi echami mordów, popełnianych na dostojnikach rosyjskich, i pomrukiem wzrastającego wrzenia. Rosja zabija! Ta potulna Rosja, drzemiąca na łonie cesarza samowładcy, spowita kożuchem ciemnoty, ta Rosja, pozostająca o całe dwieście lat za Europą, chce Europie ustrojem państwowym dorównać!

Ale dlaczego zabija, dlaczego morduje i ciałami niewinnych ofiar plami swe ręce? Dlaczego ta patriarchalna Rosja, nimbem świętości otaczająca swych monarchów, tylu rodzi zbrodniarzy, zabójców czy desperatów?! Skąd w państwie religijnym, strzeżonym tak czujnie przed wszelkim nowatorstwem, tak mocno skutym prastarymi obyczajami, tyle widm złowrogich powstać może? Dlaczego w monarchii, w której majestat taką wzbudza cześć, w której wielki książę nieziemskie już odbiera hołdy, w której minister jest nie tylko pierwszym urzędnikiem, ale królem, panem życia i śmierci milionów ludzi, dlaczego w tej właśnie monarchii zapleśniałej w średniowiecczyźnie ociężałej duchem, powstają takie tłumy reformatorów walczących już nie tylko z konserwatyzmem swej ojczyzny, ale całemu cywilizowanemu światu wyrzucających strupieszałość? Dlaczego w tej właśnie monarchii już nie tylko pojawiają się upiorne postacie dekabrystów, nihilistów i anarchistów, ale i mistyczni męczennicy, głoszący miłość powszechną, pokój, upadek narodowości, powrót ludzkości do życia pasterskiego, do roli i pierwotnej sochy? Dlaczego na koniec,

mord polityczny jest w tym państwie czymś tak powszednim, a śmierć na tronie wszechrosyjskim od wieków przyspieszana ręką spiskowców?

I wreszcie, czy królobójstwo, tak trudne do ujęcia, do ogarnięcia w dziejach ludu, nie da się ująć i ogarnąć, gdy za nić przewodnią weźmie się to właśnie najbardziej królobójcze państwo, które nie tylko w przeszłości krwawiło karty swej historii, ale i krwawić nie przestało do dziś? Czy takie skupienie się nie da potężnej wskazówki, nie rzuci dzielnego promienia w mroki ponurego „nie zabijaj”?

IV

Do wieku XVI Rosja przeżywała te same krwawe czasy feudalizmu, co i Europa, o tyle jednak krwawsze, iż spotęgowane najazdem Mongołów i republikańskimi ideami Nowogrodu, Pskowa, a nawet zupełnie dziś zdziczałej Wiatki. Królobójstwo kwitło i, co dziwniejsze, nie tylko dla zagarnięcia władzy, ale i, co obce było w ówczesnej Europie, dla pohamowania samowładztwa. Dopiero wiek XVI skupia Rosję pod jednym zaborczym berłem carów moskiewskich i wiek XVI jest prawdziwym początkiem dzisiejszej Rosji, a Iwan IV Groźny jest pierwszym wyrazicielem caryzmu i podwalin samowładztwa. A nawet i ten okrutny Iwan może być uważany bardziej za tępiciela oligarchii, niż za panującego, uzurpującego sobie autokratyzm.

Kim był Iwan IV, o tym rozpisywano się już nadto wiele. Okrutnik, zbój, synobójca, półzwierz, półfuriat i sam w ostatku ofiara trucizny. Iwan IV, oglądany oddzielnie, wyrwany bezkrytycznie z historii może swą potwornością ściąć krew w żyłach, ale ten sam Iwan na tle wieku XVI to tylko jeden brylant więcej, pomiędzy godnym towarzystwem Henryka VIII angielskiego, Elżbiety, Karola IX, to tylko skromne uzupełnienie mordów nocy świętego Bartłomieja. I następcy Iwana IV równie są warci szczególnej uwagi – ze zbrodni brali korony, i zbrodnie w następstwie pozbawiały ich tych koron. Iwan IV umarł w roku 1581 i zostawił dwóch synów: Teodora i Dymitra. Pierwszy dostał się w ręce potężnego bojara Godunowa, został jego zięciem i umarł „nagle” w roku 1598. Więc po Teodorze powinien był dziedziczyć Dymitr, ale przezorny Godunow zdążył

go kazać zamordować i sam wstąpił na tron. Po siedmiu latach znów Godunow umarł „nagle”, zostawiając syna Teodora II. Lecz tu zjawił się Samozwaniec, który podał się za zamordowanego cesarzewicza Dymitra i pozyskał sobie stronników. Samozwaniec pospieszył z kolei zamordować Teodora II a wraz z nim całą jego rodzinę, po czym panował „szczęśliwie” siedem lat i to podobno z niemałym zadowoleniem poddanych. Wiek XVII Rosja zaczyna od zamordowania Samozwańca przez spisek Szujskiego i od wstąpienia na tron tego ostatniego. Ale po pierwszym Samozwańcu wystąpił drugi, Dymitr. Szujski chciał terrorem ukrócić wrzenie na rzecz pretendenta, ale doprowadził tylko do poruszenia całego narodu przeciw sobie. Zrzucono go z tronu, osadzono w klasztorze i tam zadławiono.

Za rok ten sam los czekał i Samozwańca II. Carem wybrany został Michał Romanow – czyli, aż od śmierci Iwana IV, w ciągu lat dwudziestu dziewięciu Rosja przeżyła siedmiu carów i dwa lata bezkrólewia. Pierwszy Romanow był w miarę okrutny, ale ani samowładny, ani mogący się odważyć na lekceważenie wieców, umarł śmiercią naturalną w roku 1645. Po śmierci Michała na tron wstąpił jego syn Aleksy, którego panowanie było panowaniem faworyta Morozowa. Naród rosyjski kilka razy próbował potargać łańcuchy, którymi skuwał go Morozow, aż zniewolił cara do wyrzeczenia się doradcy. Aleksy uległ, a chcąc na przyszłość zabezpieczyć się od wyrażenia w ten sposób woli narodu ustanowił tajną kancelarię czyli utwór Lojoli przystosował do środków, zabezpieczających panowanie Romanowów. Aleksy umarł w roku 1676, pozostawiając z dwóch żon trzech synów i sześć córek, a więc mogłoby się zdawać, iż krwi Romanowów wystarczy na nie lada dynastię, tymczasem miało jej zabraknąć już w trzecim pokoleniu. Po Aleksym na tron wstąpił jego najstarszy syn Teodor, lecz już w szóstym roku swego panowania umarł „nagle” w kwiecie wieku. Ze śmiercią Teodora, królobójstwo na rosyjskim

tronie i polityczne mordy zaczynają panować, jak za najlepszych czasów feudalizmu. Wprowadza je cesarzówna Zofia, a utrwala na wieki Piotr Wielki. Teodor jakoby chciał mieć za następcę nie brata swego Iwana, lecz najmłodszego Piotra. Tę wersję o dziedzictwie popierali bojarzy Naryszkinowie, ponieważ Piotr był synem drugiej żony Aleksego – Naryszkinówny. Lecz Wasyl Golicyn, faworyt Teodora, nie chciał wyrzekać się władzy i uczynił zamach na rzecz carówny Zofii, swej kochanki. Naryszkinowie zostali na Kremlu otoczeni i wycięci w pień. Carem został ogłoszony Iwan, następcą tronu Piotr a regentką Zofia. W istocie panował jej kochanek Golicyn. Po objęciu rządów przez Zofię, Golicyn postanowił utrwalić panowanie regentki. Słabowity i uległy car Iwan przedstawiał małe niebezpieczeństwo i nie wróżył długiego życia – Piotr za to, nie tylko, że był silnym i zdrowym młodzieńcem, ale nadto zdradzał już ochotę do intryg. Golicyn postanowił go się pozbyć i w tym celu pozyskał sobie tak zwanych „strzelców” – oddział regularnego wojska, przedstawiający na owe czasy siłę decydującą, bo zawsze zwartą.

Ale młody Piotr umiał uprzedzić Golicyna i swą przyrodnią siostrę regentkę uwięził, brata swego cara Iwana V wziął pod straż, Golicyna zesłał do podbiegunowego Archangielska, a strzelcom wyprawił krwawe dziesięciny. Stało się to już w siedem lat po ustanowieniu regencji przez Zofię, a więc w roku 1689. Car Iwan niby na tronie zasiadał, Piotr umiał go jednak strzec tak pilnie, iż nikt z poddanych więcej Iwana nie oglądał. Wreszcie w roku 1698 Iwan V umarł, i znów według dziejopisów „nagle”, przy czym pozostawił dwie małoletnie córki. Piotr teraz ogłosił się carem, a ponieważ niepokoiła go jeszcze więziona w Moskwie w klasztorze nowodziewiczym siostra Zofia, przeto w roku 1704 umarła „nagle”. Lecz to ostatnie „nagle” baczniejsi dziejopisarze a mniej urzędowi, opatrują dopiskiem: „uduszona”.

W ten sposób wiek osiemnasty oglądał na tronie rosyjskim nie tylko prawdziwego Romanowa, nie tylko młodego królobójcę, ale i monarchę, który wsławił swe imię, ale i cesarza Piotra Wielkiego. Jeden z pisarzy czyni uwagę, że Piotr za przydomkiem „wielki” musiał mieć określenie „łotr” – i jedynie wskutek skrócenia nazywany jest tylko „wielkim”.

Ta zgryźliwość ma swą podstawę i to tak głęboką, że doprawdy w głowie się nie mieści, jak bezkrytycznie niektórzy starają się Piotrowi przypisywać cywilizatorskie zasługi. Piotr I podróżował, uczył się według świadectwa współczesnych i europeizował swój kraj. Ba, ale Europa początku XVIII w. niewiele miała zdobyczy kulturalnych, a jeszcze mniej miały jej szczególnie prusko-niemieckie państwa i państewka. Lecz Piotrowi nie szło wcale o istotny rozkwit kultury, a jedynie o obrócenie całej swej wiedzy na utrwalenie samowładztwa i despotyzmu. Reformy Piotra I zaczęły się od tępienia od wieków w Rosji zasiedziałego republikanizmu, mającego oparcie w sąsiedniej zawsze wolnej Polsce.

Zniósł więc Piotr dawną obieralność urzędników i sędziów, wprowadził kastowość, utworzył czternaście klas urzędniczych, pogwałcił wolność cerkwi przez zniesienie patriarchatu i ustanowienie Synodu bezwzględnie carom podwładnego, a na koniec uwieńczył dzieło reformatorskie, bo włościan zamienił w podlegające prawu bata „dusze”. Na tych cywilizacyjnych dążeniach Piotra poznali się poddani. Jakoż dzwon wiecowy w Moskwie zaczął zwoływać na trwogę. Piotr czuwał wszakże. Morzem krwi odpowiedział na bunt – a z wielkiej pasji car „europejski” kazał dzwonom wyliczyć po pięćdziesiąt knutów i zesłał je na Syberię do Tobolska!

Dalej reformatorstwo Piotra skupiło się na zakazie noszenia bród i długich butów. Poddani odważyli się zaprotestować przeciwko takiemu niewolniczo śmiesznemu obowiązkowi. Piotr osiem tysięcy ludzi skazał na

śmierć! Wyrok był do wykonania co najmniej trudny – lecz Piotr przecież był wielki. Spędzono więc powiązanych skazańców na plac pod Moskwą, otoczony palisadą i zastawiony pieńkami, i tu sam cesarz reformator ze swoimi mężami stanu zabrał się do ścinania nieszczęśliwym głów. Mężowie stanu na tak budujący przykład ze strony cesarza poszli w zawody, który więcej głów zetnie. Palmę pierwszeństwa zdobył ulubieniec Piotra I, Mienszykow. Najdzielniejszym współdziałaczem Piotra był niejaki Romodanowski, naczelnik tajnej kancelarii inkwizycyjnej i zastępca cesarza podczas przebywania tegoż za granicą, a prawa ręka wszelkich niegodziwości.

Po mordach za brody, nastąpiły mordy i knuty, celem obalenia niechęci Rosjan do prowadzenia żon i córek na cesarskie zebrania, jak również oswojenie Rosjan z wódką. Piotr I był nałogowym pijakiem, przeto uważał za właściwe zjednać obywatelstwo alkoholowi. Można tu jeszcze mówić o setkach tysięcy ofiar pochłoniętych bądź przez bezmyślne okrucieństwo cara, bądź przez jego gwałtowne a szerokie pomysły, jak założenie miasta Petersburg, lecz i tych faktów starczy do dosadnego scharakteryzowania gwiazdy XVIII stulecia, tej gwiazdy, która zgasiła na całe wieki świetność narodu rosyjskiego, która go ujarzmiła, zniszczyła i cofnęła nie o dwieście lat, ale o pięćset.

Odtąd dopiero Europa odsadzać się zaczyna od Rosji, bo dotąd Rosja, w pewnych chwilach, mogłaby Europie przodować, a co najmniej być jej nieodrodną córą. Ten skrajny pogląd o Piotrze niewątpliwie osłabłby, gdyby ten straszny władca był człowiekiem chociaż w swym domowym życiu. Lecz to życie domowe bodaj najlepiej charakteryzuje upodobania i zalety Piotra. Pierwszą żoną Piotra była Eudoksja Łopuchina i ta dała mu syna Aleksego, ogłoszonego następcą tronu. Lecz Piotr uprzykrzył sobie żonę i zakochał się w Annie Moens, córce szynkarza moskiewskiego. Carowa

Eudoksja zaczęła się pocieszać z młodym bojarem Chlebowem, tak jak i Piotr nie czyniąc tajemnicy ze swych stosunków miłosnych. Piotr I nie był jednak wyrozumiały na taką wzajemność, żonę obił i zamknął w klasztorze, a Chlebowa kazał wbić na pal. Okropna była to śmierć, ale na taki wyrok zdobyłby się nie lada okrutnik, a Piotr przecież musiał być i tu „wielkim". Więc wbicie na pal odbyło się w obecności cara. Gdy zaś niefortunny kochanek carowej drgał na palu, cesarz wiedziony ciekawością, wdrapał się na belką katowską w pobliżu pala wzniesioną i do wykonywania wyroku potrzebną. Tu znalazłszy się na wprost twarzy męczennika, jął mu morały prawić na drogę do tamtego świata. Chlebow, omdlewający z bólu, spostrzegłszy wykrzywione szyderczo oblicze cesarza, zebrał siły i plunął mu w oczy. Po takim załatwieniu się ze zdradą małżeńską, Piotr wrócił do Anny Moens i zaczął planować osadzenie na tronie córki szynkarza moskiewskiego, gdy niespodziewanie serce jego opanowała inna kobieta, której historia mogłaby ujść za bajkę, gdyby nie była historią prawdziwą i wielokrotnie potwierdzoną.

W miasteczku Lannenwarden w Inflantach mieszkał ubogi wdowiec, Litwin Samuel Skowroński, wyrobnik wraz z córką swą, Martą. Wyrobnik umarł. Nieletnią Martą zaopiekował się zakrystian protestanckiego kościoła. Gdy Marta podrosła, oddał ją na służbę do pastora Glucka w Malborku. Marta była bardzo dorodną dziewczyną i niezbyt przejętą napomnieniami swego pana i pastora, bo nawiązała stosunek miłosny z młodym Tyzenhausem, który od pastora brał lekcje łaciny. Pastor spostrzegł nie tylko zgorszenie, ale i zapowiedź skutków i czym prędzej wydał Martę za mąż za dragona szwedzkiego. Marta, zostawszy panią dragonową, pędziła wraz z mężem życie obozowe, aż do chwili, gdy została zagarnięta razem z nim przez jakiś oddział Rosjan. Dowódca oddziału, według ówczesnego zwyczaju, uznał Martę za swoją brankę i cieszył się

nią, póki mu się nie sprzykrzyła. Wówczas sprawił ją jako prezent swemu naczelnikowi, generałowi Bauerowi.

U Bauera poznał ją Szeremietiew, a że Bauer był w podeszłym wieku, więc nie zawahał się zagrać w kości o Martę. Szeremietiew wygrał i był w siódmym niebie, gdyż Marta ani myślała tęsknić za przeszłością, ani wspominać czasów swego prostego dragoństwa. Od Szeremietiewa dostała się Marta już ogładzona do Mienszykowa. U Mienszykowa poznał ją Piotr Wielki. Od tej chwili Marta awansowała jeszcze szybciej – w roku 1705 poznała cesarza, a w roku 1706 miała już z nim córkę. Rok później przyjęła prawosławie i została poślubiona przez Piotra, później dała mu jeszcze dwie córki, aż w roku 1711 została urzędowo ogłoszona jako Katarzyna, prawowita małżonka cesarza rosyjskiego. Niepowszednie to małżeństwo było tym większą osobliwością, że i dragon, mąż Marty, i Eudoksja, żona Piotra żyli i nie byli przez żaden akt religijny czy wyrok procesu cywilnego praw swoich pozbawieni.

Małżeństwo Piotra poruszyło do głębi młodego księcia Aleksego, następcę tronu, syna Eudoksji Łopuchinej. Książę, który nadto z całego serca potępiał dzikie reformy, pragnąc raz na zawsze uwolnić się z pęt, jemu także narzuconych przez ojca, zbiegł za granicę. Przyjęty gościnnie przez cesarza niemieckiego, młody książę ożenił się z księżniczką Brunszwicką i osiadł w Neapolu, podejmowany tam nie mniej serdecznie przez króla.

Piotr zawrzał gniewem przeciwko krnąbrnemu synowi, ale chcąc za wszelką ceną pochwycić go w swe ręce, wyprawił do syna swego zaufanego Tołstoja z listami rzewnymi i ze słowami przebaczenia. Tołstoj po długich zabiegach, zdołał przekonać następcę tronu do stęsknionego serca ojcowskiego. Aleksy powrócił dobrowolnie do Petersburga z żoną i trzyletnim synkiem. Lecz tu następcę tronu zakuto w łańcuchy i wtrącono

do lochu. Piotr Wielki zwołał sąd wojenny i kazał syna skazać na śmierć. Piotrowski sąd, mimo rozkazu cesarskiego, tknięty litością dla księcia, odwołał się do łaski monarszej. Lecz nim odpowiedź nadeszła, Aleksy został z rozkazu Piotra zamordowany w więzieniu. „Wielki” Piotr zaczynał dbać o pozory, więc obmyślił synowi taką śmierć, która nie pozostawiałaby śladów. śmierć była rzeczywiście wyrafinowanie okrutna. Biednemu następcy tronu wetknięto w odbytnicę rozpalony do białości pręt żelazny!

Załatwiwszy się w ten sposób z dziedzicem korony rosyjskiej, Piotr postanowił na wszelki wypadek, mianować następczynią żonę swą Katarzyną (Martę Skowrońską) i w tym celu sprawił jej w Moskwie uroczystą koronację. Katarzyna wszakże nie czuła się bynajmniej skrępowana swym nowym wyniesieniem i nie gardziła okolicznościowymi miłostkami. Miarą tych upodobań pani dragonowej może być wypadek z kontradmirałem Villebois, awanturnikiem, przygarniętym przez Piotra. Kontradmirała tego cesarz w czasie pijatyki wyprawił z jakimś poleceniem do cesarzowej... Kontradmirał, podchmielony, jak powiadają kroniki, misję swą posunął aż do dokonania zbrodni gwałtu na pięknej Marcie Skowrońskiej.

Czyn ten może nie znalazłby potępienia u cesarzowej, gdyby nie okoliczność, że miał świadków w osobach jej służących! Piotr obszedł się ze swoim faworytem nader wyrozumiale, bo skazał go jedynie na rok galer. Choć w rzeczywistości akt zgwałcenia cesarzowej, tak silnie zbudowanej, tak nawykłej do brutalnych wybuchów życia obozowego, akt dokonany wobec świadków powinien był inne u Piotra znaleźć rozwiązanie. Piotr na tym wyroku poprzestał. Katarzyna tymczasem nie zaniechała swych przelotnych miłostek, aż raptem zapałała silniejszą namiętnością do młodego szambelana Moensa, brata dawnej kochanki Piotra, a obecnie pani generałowej Balk.

Ten stosunek trwał dość długo, pilnie strzeżony i hodowany przez panią Balk. Aż któryś z zauszników Piotra podpatrzył kochanków i doniósł cesarzowi o przeniewierstwie żony. Piotr upozorował wyjazd i w nocy pochwycił panią Balk na czatach a żonę w objęciach Moensa. Gniew cesarza wyraził się na razie tylko w obiciu żony kijem i uwięzieniem Moensa z panią Balk w jednej z cel służbowych pałacu cesarskiego. Ale Piotr nie wyrzekł się zemsty a jedynie zwlekał z nią, aby lepiej nasycić swą złość. Żonę otoczył strażami i zaczął przemyśliwać nad ścięciem Katarzyny, lecz tu Mienszykow, hodujący zawsze dobre stosunki ze swą dawną utrzymanką, umiał podziałać na Piotra, przedstawiając mu, że odsłoni w ten sposób skandal, o którym nikt nie ma wyobrażenia, że samego siebie splami, że na koniec, po śmierci księcia Aleksego i już zamorzonej w klasztorze carowej Eudoksji, za wiele bierze odpowiedzialności przed historią, której jest słońcem. Piotr zręcznie zaatakowany przez Mienszykowa a dalej przez Repnina uległ, lecz to nie znaczyło, aby zapomniał o Moensie i o pani Balk! Tych strzegł tak, że klucz od ich więzienia nosił przy sobie i sam więźniom podawał chleb i wodę. Po tygodniu dopiero Moens z siostrą zostali wzięci na tortury, a to dla wydobycia od nich zeznań w sprawie „namawiania carowej do spisku na cesarza i na ustrój państwa rosyjskiego”. Tortury dobyły z więźniów przyznanie się do win zupełnie nie popełnionych, wskutek czego pani Balk została skazana na dwieście knutów i dożywotnie ciężkie roboty na Syberii. Przy czym razy knuta pospieszył wyliczyć swej dawnej kochance sam cesarz. Moens był skazany na ścięcie. Egzekucja odbyła się na placu przed dawnym senatem. Piotr z ukontentowaniem przyglądał się tej ceremonii z okien senatu, lecz gdy nienawistna głowa stoczyła się z pnia katowskiego, „wielki” Piotr nie mógł pohamować swej fantazji, wybiegł na plac, wskoczył na szafot, ujął za włosy głowę Moensa i roześmiał się

z zadowoleniem. Nie tu koniec tragedii – Piotr pamiętał i o Katarzynie. Tego samego dnia zaproponował żonie spacer – a kresem tego spaceru była zatknięta na tyce głowa biednego Moensa!

Katarzyna po powrocie z tej wycieczki padła zemdlona na progu swej komnaty. Piotr darowując życie Katarzynie nie zaniechał myśli o zmianie następstwa, podarł więc testament, w którym koronę przekazywał żonie, i myślał o spadkobiercy. Spadkobierca był, i to niezaprzeczalny, w osobie maleńkiego Piotra, syna zamordowanego następcy tronu, lecz cesarz ani chciał słyszeć o wnuku i jął plany swe zwracać na córkę swą Annę i na małżeństwo jej z księciem Holstein. Katarzyna odepchnięta i wzgardzona czuwała, pilniej jednak czuwał jej dawny pan Mienszykow, który spostrzegł osłabienie swego wpływu na cara i zrozumiał, że zmiana testamentu będzie jego własnym upadkiem. Lecz Mienszykow nie darmo w szkole Piotra zdobył rekord w ścinaniu głów, a i Katarzyna zasmakowała już w panowaniu. Piotr wielki umarł więc „nagle”, w samą porę dla tej pary. Pięść reformatora i topór katowski tak mocno ciążyły na całej Rosji, iż nikt nie myślał dochodzić przyczyny śmierci Piotra, bo śmierć choć przyspieszona zdawała się być dobrodziejstwem.

Sprawa dziedzictwa wybuchła natychmiast. Lepsza część dostojników postawiła kandydaturę Piotra II, syna zamordowanego następcy tronu, dążąc tą drogą do przywrócenia dawnych swobód politycznych narodu i ograniczenia władzy. Ale Mienszykow nie darmo zadławił cara. Przeto gdy rada zebrała się w senacie, Mienszykow na czele grenadierów otoczył senat, wyłamał drzwi i zmusił zgromadzonych do uznania Marty Skowrońskiej cesarzową. Piotr Wielki był więc i królobójcą, i sam ofiarą tylko zamachów ale i królobójstwa. Ale Piotr nienawidził wszystkiego, co rosyjskie, wymordował setki najprzedniejszych rodzin, tysiące najuczciwszych ludzi, otaczał się niemieckimi włóczęgami i zbirami.

Narodowi zaś rosyjskiemu za to, że tylko łotrów wyróżniał, zostawił na pamiątkę sławetne zdanie: „Chcesz znaleźć uczciwego Rosjanina? Patrz czy ma włosy na dłoni – jeżeli ich nie ma, jest to szelma i oszust”.

Ale wielkość swą historyczną i pomniki Piotr zawdzięcza nie narodowi rosyjskiemu, lecz podobnej mu królobójczyni i prostytutce. Tak więc w roku 1725 na tronie rosyjskim zasiadła Katarzyna I, caryca z bajki, bo nie umiejąca ani pisać, ani czytać. Objęcie władzy przez Katarzynę to początek pojawienia się w Petersburgu całej rodziny „hrabiów” Skowrońskich, wyznaczenie ostatniej emerytury szwedzkiemu dragonowi i zezwolenie mu na przesiedlenie się z Syberii do Rewla oraz wybranie sobie przez carycę aż dwóch naraz kochanków. Poza tym panował Mienszykow. Katarzyna jednak tak zapalczywie zaczęła oddawać się zadowalaniu swych namiętności, iż sprawa następstwa tronu stała się paląca. Energiczna Marta nie namyślała się długo. Córkę swą Annę wydała za księcia Holsztyńskiego i potomkowi z tego małżeństwa deklarowała koronę. Tu wszakże zjawiła się trudność, książę był chory i niezdolny do ojcostwa. Dla Marty był to drobiazg. Wybrała córce pułkownika Bruhmera, adiutanta księcia, a dowodem, że rada doświadczonej matki była dobra, to fakt, że w rok po ślubie narodził się syn Piotr III (w odróżnieniu od Piotra II, syna zamordowanego cesarzewicza), a jak mówili współcześni, „narodził się syn księżnej Holstein”.

Bruhmer został opiekunem i guwernerem młodego następcy tronu i dziedzictwo zostało ustalone. Lecz wkrótce potem wybuchło starcie między księciem Holsztyńskim a Mienszykowem. Ten ostatni poczuł, że ojciec przyszłego cara zamierza go usunąć i uknuł spisek, który miał utrwalić na zawsze imię Mienszykowów. Plan był prosty: koronę zapewnić Piotrowi II, synowi zamordowanego księcia, i ożenić go z panną Mienszykow. Plan ten był może zbyt śmiały, bo przecież ten sam

Mienszykow przed rokiem zwalczał tego samego Piotra II, ale Piotr II miał dopiero lat dwanaście, a zresztą Rosja nawykła już do takich niespodzianek. Książę Holstein miał jednak swe stronnictwo i to ostrzegło go o knowaniach Mienszykowa. Zawiadomiono o wszystkim carycę, doradzając jej uwięzienie Mienszykowa.

Katarzynie zabrakło serca do pognębienia swego dawnego pana, poprzestała więc na przywołaniu go i zobowiązaniu do przysięgi, iż zaniecha knowań przeciwko księciu Holsztyńskiemu. Mienszykow przysiągł, jak na „dyplomatę" przystało i czynił swoje. Druga żyjąca córka carycy, Elżbieta, kochała się w księciu Holstein-Eutin, biskupie protestanckim, lecz że nie dano jej wyjść za mąż, szła śladami matki, tym bardziej, że książę Holstein-Eutin bawił wówczas w Petersburgu. Elżbieta po zamążpójściu siostry swej Anny objęła po niej obowiązki sekretarza swej matki, odczytywała jej papiery i podpisywała je za nie umiejącą pisać. Mienszykow postanowił użyć Elżbiety. Zaprzysiągł jej, iż małżeństwo z ukochanym księciem Eutim doprowadzi do skutku, byle tylko Elżbieta zechciała podpisać rozkaz bez odczytywania go carycy. Elżbieta zgodziła się bez wahania.

Tej samej nocy wszyscy wybitniejsi stronnicy księcia holsztyńskiego zostali uwięzieni. Katarzyna tymczasem była już w agonii. Czwarte sztuczne poronienie, podczas niespełna dwuletniego panowania, nawet dla tak silnego organizmu jak Marty Skowrońskiej, było wyrokiem śmierci, tym bardziej, że odbywało się pod nadzorem włoskiego lekarza Azzaritiego, zausznika Mienszykowa. W chwili, gdy caryca konała, a książę Holsztyński na próżno groził strażom, wzbraniającym mu wstępu do pałacu, Mienszykow z Ostermanem fałszowali testament na rzecz Piotra II. Carem został trzynastoletni wyrostek, carem i narzeczonym panny Mienszykow! Księstwo Holstein z synem (Piotrem III) uszli za granicę. Zaś carówna

Elżbieta doznała klęski losowej, bo kochanek jej, książę Holstein-Eutin, zapadł na ospę i umarł. Mienszykow rządził, ani spodziewając się, że mu Dołgorukowie mimo wszystko zgotują zgubę. Zamach nie był trudny, bo starczyło chwili, aby od rozkapryszonego i zepsutego chłopca wydostać podpis na wygnanie pierwszego ministra na Sybir.

Dołgorukowie oczywiście po to zgładzili Mienszykowa, aby zająć jego miejsce. Jakoż nawet ułożyli nowe małżeństwo Piotra z Katarzyną Dołgoruki. Ale tu młody car o mało nie pokrzyżował im planów, bo trzynastoletni chłopiec zakochał się w swej ciotce, Elżbiecie! Elżbieta, która po stracie księcia Eutin pocieszała się Aleksym Razumowskim, synem kozaka, grenadierem służącym jako trębacz, gotowa była przyjąć zapały trzynastoletniego chłopca, lecz Dołgorukowie mieli carowi przedstawić lekkomyślność Elżbiety i skłonili go do Katarzyny. Dzień ślubu był już oznaczony, gdy car zachorował na ospę i umarł w piętnastym roku życia. Niespodziewana śmierć cara Piotra II sprawiła, że po raz pierwszy od wielu lat najwyższa rada, złożona z ministrów, senatorów i dostojników, mogła swobodnie postanowić o wyborze monarchy. Najbliższymi byli tu Piotr III, syn księżnej Holstein i carówna Elżbieta. Ale rada bała się tych resztek krwi Piotra Wielkiego, tym bardziej, że chciała bezwzględnie ograniczyć samowładztwo. I dlatego wspomniała o księżnej Annie Kurlandzkiej, wdowie i córce Iwana V, przyrodniego brata Piotra Wielkiego. Rada ułożyła z góry warunki ograniczające władzę, a na czele listy postawiła takie osobliwe punkty: – aby księżna nie przywoziła z sobą swego kochanka Birona, – aby nie trwoniła dóbr państwowych i nie rozdawała ich, – aby nie karała poddanych bez oczywistego dowodu winy.

Ta decyzja rady zyskała nawet przychylność Dołgorukich, tym łatwiej, że książę Wasyl był niegdyś kochankiem Anny i miał nadzieję powrócić do łask. Anna podpisała żądane warunki w Mitawie i ruszyła do Moskwy

razem ze swym kochankiem Bironem. Tu caryca, za radą Birona, ogłosiła się samowładczynią i oddała mu ster państwa. Biron rozpoczął od ścinania głów. Topór katowski i katorga syberyjska wytępiła nieomal cały ród Dołgorukich. ĽĆwiartowanie, łamanie kołem, wycinanie języków i wypalanie oczu było u Birona zwykłą odpowiedzią na lada zmarszczkę, lada szept niezadowolenia, lada oczernienie. Jeszcze sto pięćdziesiąt lat nie upłynęło od śmierci krwawego szaleńca, Iwana Groźnego, a na tronie rosyjskim było to już szesnaste panowanie, tak straszne w swej dzikości, jakiego bodaj od dni Piotra Wielkiego całe średnie wieki nie dały Rosji. Biron panował i hołdy monarsze odbierał, został księciem Kurlandzkim i brakowało mu tylko tytułu cara, bo carem był. Wszystkie samodzielniejsze stanowiska obsadzone zostały Niemcami, setki zbirów dzień i noc strzegły osoby Birona. Caryca nie widziała poza nim świata i to do tego stopnia, że gdy carówna Elżbieta przyszła do niej ze skargą na brata żony Birona, iż szwagierek ten zapały swe do niej próbował wyrazić według systemu kontradmirała Villebois, Anna odprawiła swą stryjeczną siostrę uwagą, że nie powinna odmawiać tego szlachcicowi kurlandzkiemu, co ma codziennie prosty grenadier.

Po ugruntowaniu samowładnego panowania Anny, znów powróciła sprawa dziedzictwa. Anna w tej sprawie miała swój własny pomysł, który wprowadziła w życie. Po rodzonej siostrze carycy była księżniczka Meklemburska, jej to synowi miała przypaść po Annie korona. Wezwano więc na dwór rosyjski księżniczkę Meklemburską i wydano ją za mąż za księcia Brunszwickiego. Z małżeństwa tego urodził się car Iwan VI. W kilka miesięcy po urodzeniu się Iwana caryca Anna umarła – lecz przezorny Biron miał już testament sfabrykowany przez Ostermana, mocą którego księstwo Brunszwiccy usunięci zostali od regencji a zarząd państwa do pełnoletności Iwana VI pozostać miał przy Bironie.

Biron wspaniałomyślnie przyjął „ofiarowaną” mu regencję i od razu zaczął snuć swoje plany, bo ani myślał czekać na pełnoletność kilkumiesięcznego cara. Bironowi naturalnie szło o tron i to o osiągnięcie go przez związki krwi. Poza carem Iwanem była tylko carówna Elżbieta i Piotr II, syn księżnej Holstein. Otóż Biron postanowił swego syna ożenić z Elżbietą, a córkę swą wydać za Piotra, i w ten sposób, dwukrotnie imię Bironów połączywszy, usunąć Iwana VI, no i samemu panować.

Zausznikiem Birona i pierwszym ministrem był Münich. Niemiec ambitny i zazdroszczący Bironowi władzy, postanowił więc zgubić Birona. Pozyskanie dla sprawy księcia i księżnej Brunszwickich było rzeczą bagatelną, a do zamachu starczyła jedna rota grenadierów. Münich z wytrawnością starego spiskowca, mając tylko za wspólnika dowódcę roty Mansteina, napadł w nocy na regenta, uwięził go w Szlisselburgu, a później równie energicznie załatwił się z kilkunastu najbliższymi regentowi. Księżna Brunszwicka ogłosiła się regentką, książę objął dowództwo nad wojskiem, Biron poszedł na Syberię, a Münich najniespodziewaniej, dzięki intrydze Ostermana, wpadł w niełaskę. Przewrót ten dokonany był w niespełna kilka miesięcy po śmierci Anny (1740).

Zdawało się, że teraz może panowanie ułoży się jako tako i że Rosja odetchnie. Były to wszakże złudzenia. Regentka przede wszystkim wzięła do swego boku dawnego kochanka, Lynara. Mąż regentki burzył się i próbował odpłacenia równą miarą. Między powaśnionymi rządził Osterman. Carem w kołysce zajmowały się niańki. Ale ponieważ od śmierci Piotra Wielkiego, w ciągu lat piętnastu, była to piąta zmiana panowania i piąty udany zamach stanu, nic przeto dziwnego, że tak skromny człowiek jak Lestocq, lekarz, Francuz, zaplanował szósty przewrót. Lestocq obrał sobie za cel osadzenie na tronie pięknej, a nie skąpiącej nikomu swych wdzięków carówny Elżbiety, córki Marty Skowrońskiej. Lestocq zwierzył

się z tym pomysłem ambasadorowi francuskiemu, któremu po myśli było pozyskanie carycy dla Francji i zadanie ciosu Marii Teresie. Szło tylko o pieniądze, więc ambasador dostarczył je lekarzowi. Elżbieta nie zanudzała nadmierną wiernością swego grenadiera, trębacza Razumowskiego, i miała zwykle w preobrażeńskim pułku wielu „osobiście" znajomych żołnierzy. Przy pomocy pieniędzy i energii Lestocqa, w ciągu kilku godzin zrewoltowała trzystu grenadierów, osaczyła regentkę, księcia małżonka, cara Iwana VI, Ostermana i Münicha, przy czym pierwszych troje osadziła w więzieniu, a dwóch ostatnich oddała sądowi razem z całą kolekcją ich karykatur. I piękna córka Marty Skowrońskiej została w roku 1741 carycą. Wstąpienie na tron Elżbiety nie obyło się bez protestów i nawet nowego przeciwspisku, zapoczątkowanego przez panią Łopuchin, lecz młoda caryca potrafiła rozprawić się z opornymi czy niechętnymi. W zamian grenadierzy, którzy Elżbiecie umożliwili zamach, zostali podniesieni do godności szlacheckiej i gradem złota i rang obsypani.

Naturalnie, że przy tym przewrocie również kariera Razumowskiego była zdecydowana. Trębacz został nie tylko jakimś generałem, ale i pierwszą figurą między najwyższymi dostojnikami, a nawet poślubionym w tajemnicy mężem carycy. Razumowski nie marzył o czymś więcej dla siebie i swej ubogiej kozackiej rodziny, cieszył się ze swego stanowiska kochanka i morganatycznego małżonka, z mitry książęcej, którą ozdobiła go Elżbieta, z Aniczkowskiego pałacu i w spokoju pożywał dary fortuny. Ta skromność Razumowskiego dodatnio oddziałała na bieg spraw, bo Razumowski nie tylko nie zaostrzał ich, lecz swoim prostym umysłem ku łagodzeniu i pojednaniu zawsze się skłaniał. Względność Razumowskiego była aż tak wielka, że nawet godził się na podzielenie faworami Elżbiety z bratem, i równie dyskretnie zamykał oczy na wszelkie inne upodobania i sentymenty carowej.

Owocem stosunku miłosnego z Razumowskim było troje dzieci, które otrzymały tytuł i nazwisko książąt Tarakonowów. Godzi się tu zaznaczyć, iż o ile Elżbieta miała podstawy do skazania na dożywotnią katorgę filarów regencji Ostermana i Gołowkina, to dziwna musi się wydawać surowość dosięgająca Münicha, który w chwili zamachu Elżbiety żadnej roli politycznej już nie odgrywał! „Notabene” proces wytoczony Münichowi był jednym stekiem bezsensów i bezpodstawnych zarzutów – bo nawet Elżbieta nie mogła wytoczyć Münichowi sprawy o to, co sama w dalszym ciągu w swym samowładztwie stosowała. Münich przeto wobec Elżbiety był niewinnym człowiekiem, mimo to skazano go na śmierć a jedynie w drodze łaski zmieniono karę na dożywotnie ciężkie roboty na Syberii. I za co? Po prostu za to, iż Münich, będąc za czasów cesarzowej Anny, dowódcą straży pałacowej skazał na areszt za uchybienie służbowe pewnego trębacza. Trębacz, który na skutek aresztu nie mógł przybyć do czekającej go kochanki, nazywał się Razumowski. Na czele rządu, u boku Elżbiety stanął Bestużew, i to tak mocno, że już w rok miała wyprawić wiernego sługę Elżbiety, Lestocqa, do Archangielska. Oczywiście następstwo tronu po Elżbiecie znów musiało być rozstrzygnięte. Razumowski, który mógłby tu niewątpliwie, jako morganatyczny mąż, zapewnić koronę swym dzieciom, nie był dość ambitny i nie mieszał się do dziedzictwa. Elżbieta więc, pomna swych pierwszych wzruszeń miłosnych z Holsteinem, zadecydowała mianować cesarzewicza swego siostrzeńca, a syna księżnej Holstein-Gottorp, już raz złożonego z tronu przez Mienszykowa, a właściwie syna pułkownika Bruhmera, tak zwanego Piotra III. Czternastoletni książę Karol Ulrych Holstein-Gottorp został wezwany do Petersburga, tu zmienił luteranizm na prawosławie i został ogłoszony wielkim księciem Piotrem Teodorowiczem. Wielkiego księcia trzeba było teraz ożenić. Elżbieta znów poszła za sentymentem dla pierwszego swego

kochanka i wybrała Piotrowi córkę rodzonej siostry księcia Holstein-Eutin, księżniczką Zofię Anhalt-Zerbst. Piotr III był dorodnym młodzieńcem, księżniczka Anhalt-Zerbst piękną, że nie ledwie równającą się Elżbiecie. Narzeczeni podobali się sobie bardzo. Wprawdzie księżniczka w przeciwieństwie do Piotra, zdradzała większą bystrość ale, na razie, różnice nie dały się odczuć. Oboje byli młodzi, oboje luteranami, oboje Niemcami, nie znającymi języka narodu, któremu mieli panować – więc punktów stycznych do zgodnego pożycia nie brakowało. Małżeństwo było postanowione i dzień ślubu wyznaczony, gdy wielki książę zapadł na ospę. Złośliwa choroba, która przed piętnastu laty zabiła młodego cara Piotra II, dla Piotra III była względniejsza, darowała mu życie i poprzestała na zamienieniu twarzy wielkiego księcia w chropowatą, pooraną bezkształtnymi bruzdami maskę. Oszpecenie było tak straszne, że księżniczka Zofia ujrzawszy go po raz pierwszy po chorobie, zemdlała. Małżeństwo można było jeszcze zerwać. Lecz przecież nie szło tu o poślubienie Piotra Gottorpa, tylko korony, do której Piotr był dodatkiem. Pożądane mogło być, aby miał także nadprogramowe zalety – ale i jego wady nie mogły obniżyć wartości korony. Księżniczka była rozsądna i ambitna, bez namów więc i dąsów przyjęła w roku 1745 prawosławie i w tymże roku poślubiła Piotra, przybrawszy imię Katarzyny. Ten związek małżeński, który uporczywie wymieniany jest jako główny dowód, że panujący dom rosyjski nie ma żadnych praw do imienia Romanowów, wart jest zapamiętania dla ponownego uprzytomnienia sobie pochodzenia Piotra III. Piotr III był synem Anny, starszej siostry cesarzowej Elżbiety, córki Piotra Wielkiego i Marty Skowrońskiej (Katarzyny I). Po kądzieli przeto miał w sobie z dziada nieco krwi Romanowów – po mieczu zaś rzeczywistym ojcem Piotra był pułkownik Bruhmer, Szwed, a dekoracyjnym Niemiec, książę Holstein-Gottorp. Piotr III mógł tylko

uzurpować sobie prawo do nazwiska Holstein-Gottorp. O ile miałby potem potomstwo, to i ono jedynie mogło nosić toż samo nazwisko Holstein-Gottorp. Ostatnim Romanowem był Piotr II, syn zamordowanego przez ojca następcy tronu Aleksego. Po kądzieli więc Piotr III miał tyle krwi rosyjskiej co i Iwan VI i nieprawne dzieci Elżbiety. Zresztą w potomkach Piotra III i tej odrobiny krwi miało niebawem zabraknąć.

Pożycie młodej pary wielkoksiążęcej od pierwszego dnia było jak najgorsze. Różne na to składały się przyczyny. Przede wszystkim Piotr III był mniej umysłowo rozwinięty od Katarzyny, wychowany koszarowo, a raczej ogładzony przez Bruhmera. Dalej Piotr III miał dopiero lat siedemnaście i był już przez dwór cesarski ogłupiony na punkcie swej ważności, stąd kłuła go zimna i pewna siebie wyższość żony. Następnie ospa musiała przygnębić Piotra i ta sama ospa niewątpliwie zgasiła sentymenty Katarzyny, o ile bowiem Piotr III, jako dorodny młodzieniec, mógł pociągnąć kobietę nawet wykształconą, o tyle Piotr na poły potwór nie miał zalet ani umysłu, ani charakteru, by bodaj poważanie mieć u żony. Na domiar Piotr III posiadał pewną drobną wadę organiczną, która niekiedy najlepiej dobrane stado rozczepia, która zdarza się często, o której nie mówi się nigdy, a która rujnuje najpiękniejsze gmachy szczęścia małżeńskiego i właśnie dlatego, że nierozumna obyczajowość o niej mówić nie pozwala. Tę wadę u Piotra już w owym czasie lada medyk mógłby usunąć za pomocą śmiesznie drobnej operacji. Następca tronu jednak, bądź przez nieświadomość, bądź przez wstyd, nie chciał się poddać operacji, ani do wady się przyznać. Chcąc zaś usprawiedliwić wobec Katarzyny swe dziwne postępowanie – zaczął od tego, że już nazajutrz po ślubie oświadczył żonie bez ogródek, że kochał się i kocha we frejlinie Łopuchin, że dama dworu, pani Karr jest o wiele ładniejsza od Katarzyny, bo w ogóle on, tylko przymuszony przez ciotkę, zgodził się na to małżeństwo. Całe to

wystąpienie Piotra było na skroś infantylnym rozdrażnieniem przygnębionego swą nieudolnością młodzieńca, gdyż niewątpliwie piękna i młoda księżna nie budziła w nim wstrętu. Ten wstęp wszakże podziałał na Katarzynę, która dotąd miała dobrą wolę i poczucie obowiązku dania mężowi potomka.

Cesarzowa Elżbieta ze swej strony nie zwracała uwagi na pożycie młodej pary, a nade wszystko pozbawiła PIotra III jedynego doradcy i oddanego człowieka, pułkownika Bruhmera. Podejrzliwa imperatorowa, która bądź co bądź była świadkiem pięciu zamachów, a bohaterką szóstego, obawiała się wpływu Bruhmera i dlatego poleciła mu wyjechać do Szwecji i nie wracać. Piotr III zamiast przewodnika, którego jeszcze potrzebował, dostał się w kompanię młodych dworaków i dnie całe spędzał bądź w koszarach z Niemcami, których sobie wynajął i na modłę pruską musztrował, bądź przy kieliszku. Podział młodego małżeństwa był wodą na młyn intryg dworskich, bowiem i Katarzyna, i Piotr byli do zdobycia i do zawładnięcia. Pierwszy minister Bestużew zrozumiał sytuację, a że był z cesarzewiczem w rozdźwięku z powodu swej antypruskiej polityki, podczas gdy Piotr był zwariowanym wielbicielem Prusaków, a nade wszystko Fryderyka Wielkiego, przeto przechylił się na stronę Katarzyny. Jakoż wkrótce urosła za plecami następczyni tronu silna partia, która postawiła sobie za zadanie usunąć Piotra III, a utrzymać na tronie księżniczkę Anhalt-Zerbst. Było to oczywiście preludium planu, gdyż Bestużew myślał o dalszym jego rozwinięciu. Partia zaczęła działać – a więc oczerniać Piotra przed Elżbietą i wystawiać jego chorowitość, ociężałość umysłową, pociąg do pijaństwa, niechęć i nieuszanowanie dla ciotki carycy. Podszepty skutkowały choć nie dość, bo Piotr został tylko wyprawiony do Oranienbaumu i ograniczony w dochodach bardzo dotkliwie. Elżbieta jednak, gnębiąc Piotra III pamiętała i o jego żonie

i przede wszystkim kazała wyjechać z Petersburga matce księżnej, osobie niezwykle uosobionej do intryg, a Katarzynie przesłała jedyny w swoim rodzaju reskrypt cesarski. Reskrypt wyraźnie mówił, że „dlatego powołać raczyliśmy wielką księżnę na małżonkę ukochanego naszego siostrzeńca, iż ufaliśmy i ufamy zawsze Jej wysokim zaletom, które zdolne są przywiązać Jego Cesarską Wysokość, a więc drogiej naszej ojczyźnie zapewnić prawosławnego Cesarzewicza, a Naszemu Cesarskiemu domowi dać godnego dziedzica”.

Czyli, że Katarzynie w razie dłuższej bezpłodności groził już rozwód. Tymczasem wypadki zaostrzyły wkrótce sytuację Katarzyny. Księżna miała temperament wrażliwy, była młoda, zdrowa i obracała się wśród dworu, który choć udawał wersal, to nie pozorował namiętności. Caryca Elżbieta wszystkim świeciła tu przykładem. Modliła się, piła i oddawała rozpuście przechodzącej wyobrażenie. Katarzyna zaś bynajmniej nie miała wstrętu do pospolitych uciech, brakło jej tylko gruntu pod nogami, pierwszego kroku i kochanka. Kochanek znalazł się w osobie Sergiusza Sałtykowa, szambelana cesarzewicza. Sałtykow słynął już jako zdobywca licznych serc a nawet ofiara miłosnych uniesień, bo go Szuwałow za uwiedzenie swej kochanki zesłał na Syberię. Sałtykow miał przeto nie lada urok dla Katarzyny. Nawiązany stosunek trwał dość długo i spowodował dwa poronienia, które księżna zdołała ukryć – lecz wkrótce po raz trzeci znalazła się Katarzyna w stanie odmiennym. Ulękła się trzeciego poronienia, zwłaszcza że drugie już z nie lada wysiłkiem ukryte było – nadto sytuacja jej wobec męża żyjącego w odosobnieniu była groźna. Sałtykow, który jako zaufany Piotra III, znał naturę jego wady organicznej i nie przezwyciężony wstręt do operacji, postanowił mimo wszystko ratować księżnę. Udało mu się przy pośrednictwie pani Naryszkin przedstawić istotę nieudolności Piotra cesarzowej i uzyskać jej zezwolenie

na dokonanie operacji. Ba, Elżbiecie propozycja Sałtykowa trafiła do serca. Wszak cesarzowa musiała odczuć głęboko taką niedolę! To właśnie za Elżbiety pojawił się nie notowany dotąd nigdzie urząd dworskich dam, tak zwanych „probirszczyc”, których zadaniem było sprawdzać zdolności płciowe upatrzonych kandydatów na kochanków.

Posiadłszy upoważnienie Elżbiety, Sałtykow wtajemniczył swych kolegów i zainicjował ucztę, a gdy Piotr III był mocno podpity zaproponował mu poddanie się operacji. Towarzysze tak gorąco poparli Sałtykowa, że pijany cesarzewicz rozczulił się. Bełkot wzięto za przyzwolenie i, nie zwlekając, wprowadzono czekającego lekarza. Gdy Piotr III wytrzeźwiał, lekkie okaleczenie już się goiło. Cesarzewicz był wprawdzie wdzięczny Sałtykowowi, Elżbieta była zadowolona. Kochanek Katarzyny triumfował. Gdy nagle z rozproszonych chmur spadł piorun. Kochanków wykryto i caryca z całym swym szyderstwem oświadczyła Katarzynie przez frejlinę Szczegłokow, że księżna zechce pamiętać o starorosyjskim zwyczaju i przedstawi niewątpliwie dowody swego dziewictwa. Sałtykow nie stracił bezczelności, udał się do Piotra III i ze łzami skarżył się na oszczerców. Piotr III pamiętał, iż to właśnie Sałtykow najgoręcej namawiał go na operację i na pożycie z żoną – z całym zapałem rzucił się do komnat carowej bronić przyjaciela, bronić swego honoru i bronić nareszcie księżnej, która jest może zła, ale przecież nie występna. Ze swej strony Katarzyna również do cesarzowej wystąpiła ze skargą. Czy Elżbieta uwierzyła, czy nie, czy tylko wyszła z prastarej zasady, *Volenti, non fit iniuria*, dość, że dała się przekonać. To zajście miało nawet swą dobrą stronę, bo zbliżyło powaśnioną parę i to tak, że już na drugi dzień Piotr III (za radą Sołtykowa) wyprawił pod eskortą grenadierów holsztyńskich żelazną opieczętowaną skrzynię, zawierającą niezbite dowody dziewictwa Katarzyny... Dwór petersburski zadygotał z tłumionego

śmiechu i pospieszył z życzeniami, gdy księżna uroczyście została ogłoszona za będącą w stanie odmiennym. Jeden Bestużew, zwiastując tę nowinę Elżbiecie, miał odwagę powiedzieć bez ogródek, iż spodziewane dziecko musi być uznane za prawe, gdyż tego wymaga doświadczenie i rozum państwowy, który wskazuje, iż zarówno Katarzyna, jak i domniemany „zastępca" zasługują raczej na nagrodą niż karę, gdyż oni właśnie utrwalają dynastię, a więc zapewniają monarchii długotrwałe lata pokoju.

Głęboki ten a historyczny wywód Bestużewa (choć nie sprawdzony dziejami) Elżbieta przyjęła i „sto armat ryknęło nad kołyską" syna Katarzyny, Pawła. Cesarzowa Elżbieta, bądź wiedziona uczuciem dla wnuka, bądź chcąc go mieć pod swą wyłączną pieczą, zaraz po urodzeniu zabrała go do swoich komnat i matki doń nie dopuszczała. To przymusowe rozstanie z synem Katarzyna zniosła mężniej niż rozdział z Sałtykowem. Bo, po „dowodach panieństwa", stosunki wróciły do dawnych dwuletnich nawyków. Piotr stronił znów od żony, a Sałtykow trwał w sentymencie. Lecz baczny Bestużew, budujący na Katarzynę zamach stanu, spostrzegł w Sałtykowie faworyta, który mógłby mu sprzątnąć najlepszą część, uzasadnił więc carycy potrzebą usunięcia kochanka księżnej i odprawił go jako posła do Sztokholmu, i to posła z nowiną o przyjściu na świat Pawła. Zanim Sałtykow zdążył wrócić, otrzymał rozkaz udania się na stanowisko posła w Hamburgu. Paweł, który stał się faktycznym pniem monarchów następnych, jeszcze mniej od swego nominalnego ojca może rościć pretensji do nazwiska Romanowów.

Piotr III, książę Holstein-Gottorp, powinien nazywać się już tylko Bruhmer, a Paweł Holstein-Gottorp nawet już do nazwiska Bruhmer nie nabrał prawa, bo był po prostu Sałtykow-Anhalt-Zerbst. Narodziny Pawła, a raczej brzemienność Katarzyny zeszła się nadto z brzemiennością

Elżbiety – i to dało powód do uporczywego mniemania, że Paweł jest w istocie synem cesarzowej a nie następczyni tronu. Dowodzono także, iż na świat przyszła dziewczynka i że ją usunięto i podstawiono chłopca. Wszystkie te kombinacje są możliwe, bo nawet te okruchy dziejów dworu rosyjskiego starczą na przeświadczenie, iż żadna fantazja pisarza nie może czasem dorównać grozie prawdy. Przeważająca liczba historyków stwierdza, że odnośnie ojcostwa Sałtykowa nie ma wątpliwości – a przecież charłactwo duszy i ciała, podobne u Piotra III jak u Pawła, nasuwa słuszne u niektórych twierdzenie, że ojcem Pawła niekoniecznie musiał być Sałtykow, o co znów u Katarzyny II trudno nie było. Lecz samo to twierdzenie i odwoływanie się do śladów spustoszeń w organizmie Pawła, znamionujących dzieci pijaków i rozpustników, może być także argumentem za wnioskiem, iż Paweł był podstawionym dzieckiem Elżbiety. Ten ostatni wniosek znajduje jeszcze bardzo szerokie pole w zachowaniu się cesarzowej, która od chwili przyjścia na świat Pawła aż do swej śmierci nie rozstawała się z nim. Pieczołowitość posuwała aż do szaleństwa, Paweł musiał być stale przy niej. Musiał jako niemowlę nie tylko bywać na najwyuzdańszych maskaradach, nie tylko zajmować poczesne miejsce na uroczystościach i przyjęciach, ale swej urzędowej babki nie opuszczać i wówczas, gdy Elżbieta swą godność monarszą nurzała w odmętach zmysłowości. Katarzyna przyglądała się temu i nie próbowała przełamywać muru, którym ją oddzielano od własnego dziecka. Uczucia macierzyńskie ani razu nie zabiły w niej żywiej, ani razu nie zagrały ludzką nutą. Była uznaną matką syna następcy tronu, spełniła to, czego od niej żądano, więc tym śmielej mogła wrócić do intryg i kochanków.

Sałtykowa zmienił z powodzeniem Poniatowski, więc tu podobno uszczerbku nie było, gorzej działo się z intrygami, gdyż wierny sojusznik Katarzyny, Bestużew upadł, i to dzięki Piotrowi III, nienawidzącemu go za

to, że śmiał prowadzić politykę antypruską, a dopiero później za to, że otwarcie ułatwił żonie romans z Poniatowskim. Po Bestużewie nastąpił Woroncow i to z trzema bratanicami. Nowy kanclerz miał nie za żarty zamiary Mienszykowa, Birona i Dołgorukiego *i nie na żarty* jął podsuwać swe kuzynki Piotrowi III. Piotr III po krótkim namyśle wybrał sobie z trzech Woroncówien – najbrzydszą i najbardziej ograniczoną Elżbietę i z całą otwartością zaczął jej składać swe atencje i wyznawać uczucia. Żonie swej, Katarzynie, zaraz po pierwszej schadzce z Woroncówną, zagroził, że pójdzie w ślady Piotra Wielkiego i postąpi z Katarzyną tak, jak tamten z Eudoksją. Imperatorowa śmiała się z amorów Piotra i ciekawie wsłuchiwała w kursujące po dworze opowieści. Nawet przygody Katarzyny z Poniatowskim bawiły ją raczej niż gniewały, a co najpewniejsze, koiły i radowały przeświadczenie, że nie tylko ona hołduje lekkim obyczajom. Cesarzowa doszła do pięćdziesiątki, nie był to wiek, ale był nim dla imperatorowej, bo im więcej lat jej przybywało, tym czas większy mościł przedział między nią a jej młodością, tym cesarzowa mocniej pożądała sił minionych, zapałów przygasłych. Uciekała się do podnieceń i miesiącami życia płaciła za sekundy rozkoszy. A gdy na koniec już i podnieceniom zabrakło władzy – Elżbieta piła. Piła na zabój po całych dniach i nocach. Woroncow nie lada sztuk musiał używać, aby od pijanej wydostać podpis. Katarzyna była w niełasce, mąż jej, Piotr III pił nie gorzej od ciotki, zabawiał się z Woroncówną, uczył pruskich komend swoich żołnierzy i pracował na chwałę Prus, bo do tego posuwał swą przyjaźń dla Fryderyka Wielkiego, że komunikował mu tajemnice stanu, zdradzał wojskowe plany rosyjskie i udaremniał wszystkie wysiłki Austrii i Rosji zarazem.

Po upadku Bestużewa, partia Katarzyny osłabła, lecz była i, choć nieśmiała, działała. Jakoż carowa Elżbieta dowiedziała się, że siostrzeniec jej drwi z jej nałogów i zamierza ulżyć jej w trudzie dźwigania korony.

Imperatorowa zawrzała gniewem kulawego, któremu ktoś wspomni, że jest kuternogą, i postanowiła dziedzictwo tronu przelać wprost na Pawła. Lecz to postanowienie zeszło się już z chorobą Elżbiety. A choroba czyniła piorunujące postępy, gdyż imperatorowa dwóm tylko dowierzała lekarstwom, wódce i modlitwie. Jeżeli drugie z tych dwóch mogło tutaj ożywczą moc wiary objawić, to bez wątpienia nie w towarzystwie alkoholu. Dwór opanowała gorączka niepewności. Dwie partie: Katarzyny i Piotra III gotowały się do walki. Szuwałow zamierzał uderzyć na prusactwo Piotra – a Woroncow miał gotowy manifest o pochodzeniu małego Pawła, o przeniewierstwie Katarzyny, o rozwodzie i małżeństwie z Woroncówną. Dogorywająca Elżbieta tymczasem nie pozwalała dopuszczać do siebie ani Piotra, ani Katarzyny w obawie przed trucizną. Położenie było groźne. Stolica wrzała przekleństwami. Aż na widownię wypłynął Panin, wychowawca małego Pawła. Kim był, łatwo zgadnąć; przez sypialnię carowej Elżbiety szła droga do kariery. Kariera Panina nie była dotąd wielka, bo imperatorowa wyraziła się o nim dowcipnie, że Panin ma tylko złudną powierzchowność. Lecz Panin był ambitny, nie tyle ambitny, ile drżący, aby przy przewrocie nie utracić stanowiska. Ta obawa skłoniła go do misji pojednawczej między małżonkami. Katarzyna bez namysłu przystała na zgodę z mężem, odkładając na później obrachunek i rozumiejąc, że na razie pewniejsze jest stanowisko żony cara. Piotr III zaś nie mniej skwapliwie, ale już zupełnie otwarcie odpowiedział, że Katarzyna nie ma powodu do obaw, bo wprawdzie przyrzekł wziąć z Woroncówną ślub, ale po śmierci Katarzyny, no a przecież Katarzyna jeszcze żyje. Panin pokonał straże otaczające łoże carycy, wprowadził Piotra z Katarzyną do umierającej i upozorował komedię przekazania władzy na Piotra.

Imperatorowa na zadawane jej pytania odpowiedziała śmiertelnym spazmem. I Piotr III został samodzierżcą w styczniu roku 1762.

Dwudziestoletnie rządy Elżbiety były jedynie dalszym cofaniem narodu rosyjskiego, usuwaniem go od Zachodu, dalszym gnębieniem i poniewieraniem, dalszym oddaniem go na łaskę sutenerów. Naród miliony musiał składać na złocenie mitr i koron hrabiowskich ludzi, wyniesionych na najwyższe godności, na fantazje zdeprawowanych zmysłów cesarzowej. Miliony płacił naród rosyjski na zaopatrzenie potomstwa bękartów i naród rosyjski u stóp tych bękartów musiał zapominać o najświętszych prawach poszanowania rodziny, musiał dla bezpieczeństwa życia bić pokłony przed tym, czym gardzić kazało mu sumienie. Panowanie Elżbiety w kronikach prawodawstwa upamiętnione jest zniesieniem kary śmierci dla przestępców. Topór zastąpiono knutem, katorgą i wyrywaniem języka. Przestępcy miast oddawać życie za jednym błyskiem ostrza – musieli konać godzinami, miesiącami, musieli najpierw oglądać własne ciało odpadłe od kości. Nigdy większe barbarzyństwo nie znalazło sobie humanitarniejszego hasła. Elżbieta z tego nowego prawa była dumna. Toć i panią Łopuchin, spiskowczynię, skazała tylko na wyrwanie języka i pięćset knutów, z czego trzysta odebrał trup nieostrożnej damy dworu.

Panowanie Elżbiety było znów jednym ziarnem więcej, które w naród rosyjski miało wszczepić myśl, że tam gdzie korona blask swój zaczyna, tam nie ma prawa, tam nie ma miejsca dla żadnego przykazania boskiego, a ludzkie jest pustym dźwiękiem. Naród rosyjski patrzył na mury Szlisselburga, gdzie Iwan VI, nieszczęsny cesarz pokutował za to, że urodził się w gronostajach; naród rosyjski wiedział kim był Piotr III i czyim synem był Paweł. Naród rosyjski jęczał, bo jak powiada urzędowy dziejopis rosyjski... „Przekupstwo i zwyrodnienie urzędników stało się zarazą...”

Lecz nie tu miał być koniec zapoczątkowanego przez Piotra Wielkiego systemu, ani koniec mordów politycznych. Rosja, raz stanąwszy na pochyłości, zdążała coraz szybciej w przepaść. Przymierze Piotra III

z Katarzyną trwało krótko, a raczej tak długo, dopóki małżonkowie byli zajęci swą instalacją, dopóki knowania nie wybuchły otwartą nienawiścią. Piotr III jako cesarz zaraz w pierwszych dniach swego panowania rzucił się do radykalnych reform i to reform uczciwych i pożytecznych o tyle, o ile półwariat i półcherlak mógł się na nie zdobyć. Bez wątpienia Piotr III był z gruntu człowiekiem dobrym, łagodnym, nawet skłonnym do liberalniejszych rządów – ale Piotr III był zrujnowany fizycznie, był zdeprawowany przez ciotkę, ogłupiony przez zauszników i przez nich powodowany. Zniesienie Tajnej Kancelarii, uwolnienie szlachty od służby wojskowej, pozwolenie jej na „wyjeżdżanie za granicę...", uwolnienie setek i tysięcy więźniów politycznych wywołało w Rosji entuzjazm. Entuzjazm krótki, krótkotrwały, bo zręcznie zgaszony przez partię Katarzyny.

Piotr III był Niemcem, Niemką była Katarzyna. Pierwszy miał odwagę nie zapominać o swoich sympatiach dla Fryderyka Wielkiego, dla wszystkiego co niemieckie, luteranizmem wręcz się chełpił. Katarzynie natomiast wystarczyło hipokryzji i obłudy, aby udawać zapaloną hołdowniczkę prawosławia, aby odprawianie publicznych modłów budzić w duchowieństwie rosyjskim nadzieję osiągnięcia zachwianego wpływu, aby żywić i zjednywać sobie prądy nacjonalistyczne. Agitacja szła żywo, Piotr III sam dostarczał nowych dowodów swej prusackości, tak, że liberalne porywy jego rządów nie wystarczały. Partia Woroncowów po wstąpieniu na tron Piotra III rozwinęła sztandar i gotowała zgubę Katarzynie i jej synowi Pawłowi. Cesarz dotąd nieuświadomiony co do pochodzenia Pawła, został przez swą kochankę pouczony o wszystkim. Wezwano z zagranicy Sałtykowa, obiecano mu krocie i ułożono protokół, mocą którego car zaprzeczał Pawłowi swego ojcostwa, Sałtykow doń się przyznawał, a cesarzowa jako występna małżonka miała pójść do klasztoru. Tymczasem Katarzyna, usunięta od dworu, mieszkała w Peterhofie wraz

z synem i pocieszała się po wyjeździe Poniatowskiego – Strogonowem. Zamach Woroncowów dojrzał i byłby niewątpliwie wykonany, gdyby nie ta trudność, że Piotr usuwając Pawła od tronu, musiał dać monarchii innego następcę. Trudność była nie lada, gdyż Piotr III wielokrotnie przekonał się już o swej niepłodności, więc i małżeństwo jego z Woroncówną nic nie rozstrzygało. Lecz tu wyjściem był Iwan VI, cesarz zdetronizowany przez Elżbietę i uwięziony wraz z rodzicami w Szlisselburgu. Natchnął go otuchą, nakazał godniejsze dla biednego cara traktowanie i czekał tylko pierwszej okazji, aby zadać cios swej żonie, ponieważ oswojenie Iwana VI z nową sytuacją i przeniesienie go ze Szlisselburga na dwór wymagało pewnego stopniowania.

Katarzyna tymczasem czuwała, nie tyle nawet ona, ile mocno wzrastająca partia przeciwników Piotra, czyli po prostu kochanków cesarzowej. Los zdarzył, iż najzacieklejszą stronniczką i sojuszniczką Katarzyny została Woroncówna-Daszkow, siostra rodzona kochanki jej męża, a przedtem kandydatka na tę kochankę, wysuwana przez stryja i ojca. Czy zawiść główną odegrała tu rolę, czy gniew, że Piotr III nią pogardził, trudno orzec, dość, że księżniczka Anhalt-Zerbst w Daszkowej znalazła prawą rękę w prowadzeniu intryg. Panin, Cyryl Razumowski, brat kochanka i męża Elżbiety, Wołkoński, jakiś włóczęga-kochanek Daszkowej Odart, a dalej Villebois, syn admirała, który pozwolił sobie na taką śmiałość z Katarzyną I, byli niebawem połączeni węzłem spisku. Lecz kto wie czy spisek ten udałby się, gdyby mu brakło takich zdecydowanych zbirów, jak bracia Orłow, a nade wszystko najstarszego z nich, Grzegorza Orłowa. Grzegorz Orłow był synem strzelca, któremu Piotr I raczył własną ręką ściąć głowę, a w zamian zatroszczyć się o los syna. Grzegorz Orłow był mężczyzną niepowszedniej budowy i piękności, lecz te wielkie atuty do kariery o mało co nie przyprawiły go o zgubę. Orłow był adiutantem

Szuwałowa (Piotra), brata kochanka Elżbiety. Szuwałow miał za kochankę panią Kurakin, która przedkładała nad niego adiutanta. Szuwałow oburzył się i zesłał adiutanta na Sybir – podobnie jak przedtem Sałtykowa. Orłow wrócił do Petersburga tylko dzięki amnestii Piotra III. Katarzyna zainteresowała się przygodami Orłowa i odegrała z nim komedię, jedną z tych, które stały się później chlebem powszednim na dworze petersburskim. Orłow był obdarzony miłością nieznajomej damy, ale że na szczególniejszą zasłużył łaskę, więc z zachwytem dowiedział się, że kochanką jego i matką jego przyszłego dziecka była cesarzowa. Orłow stał się zajadłym konspiratorem, nie uznającym półśrodków i nie wahającym się niemal otwarcie agitować między wojskiem. Pewnie sama agitacja by nie wystarczyła, gdyby nie pieniądze, dostarczone a raczej pożyczone cichaczem przez ambasadorów, którym pruskie sympatie Piotra III nie były na rękę. Zamach, a raczej ten kontrzamach dojrzewał, gdy dwa wypadki o mało co nie pogrzebały spiskowców. Najpierw Panin, choć przeciwny Piotrowi III, zażądał ogłoszenia carem małego Pawła pod regencją matki i nie godził się na wstąpienie na tron Katarzyny, jako Niemki, cudzoziemki, nie mającej w sobie ani kropli krwi rosyjskiej. Na szczęście dla siebie Katarzyna zdołała ugłaskać Panina obietnicą mianowania go pierwszym ministrem.

Drugi wypadek był może cięższy. Oto Katarzyna dzięki Orłowowi była w odmiennym stanie (przedtem miała córkę z Poniatowskim). Ukrywana długo przed mężem ciąża zbliżała się do rozwiązania. Cesarzowa zaniemogła. Tymczasem ktoś doniósł Piotrowi III, iż Katarzyna leży w połogu. Piotr bez namysłu ruszył odprawiać do Peterhofu sądy. Gdy cesarzowej dano znać o przybyciu męża, upłynęła zaledwie godzina od narodzin małego Orłowa, przyszłego księcia Bobryńskiego. Miecz zawisł nad głowami spiskowców. Ale Katarzyna ani chwili nie wahała się,

zacisnęła zęby, stłumiła ból i wyszła naprzeciw Piotra uśmiechnięta, zdziwiona jego zjawieniem się. Piotr III dał się znowu wyprowadzić w pole. Daszkowa zdwoiła zabiegi, do spisku przystąpił nareszcie metropolita nowogrodzki i syn jego naturalny Tiepłow. Metropolita miał dać błogosławieństwo i pieczęć cerkwi, a syn jego miał zadowolić się rolą mordercy. Sprzysiężeni jeszcze ważyli swe szanse, gdy niespodziewane uwięzienie jednego z ich emisariuszy przyspieszyło zamach. Oto żołnierz gwardyjski, zrewoltowany i przekupiony, głośno odezwał się, że cara nie ma. Oficer nie biorący udziału w zamachu nacisnął żołnierza i pochwycił jednego z agitatorów. Piotr III był w Oranienbaumie, więc dalsze dochodzenie odłożono do dnia następnego. Ale tej jednej nocy starczyło spiskowcom. Katarzyna przy pomocy Orłowa i jego braci wyrwała się z Peterhofu do Petersburga. Tu zaalarmowano gwardię hasłem, że zniemczony car kazał zabić carową i cesarzewicza, zgnębić prawosławie i wszystko co rosyjskie pogrzebać. Zamach był zorganizowany tak dobrze, iż zanim Piotr III dowiedział się o nim, Katarzyna II, namaszczona przez metropolitę na carową, już panowała, już rozdawała ordery i apanaże, i już czyniąc przegląd swych żołnierzy, zwróciła uwagę, że młody oficerek Potemkin ma więcej wdzięku niż Orłow.

Piotr III był tak przerażony, iż nawet odwagi nie miał uciekać, a cóż dopiero myśleć o oporze. Uwięziono go bez trudu, wydobyto urzędowe przyznanie się do niedołęstwa, kazano się zrzec korony i nawet nie słuchano rzewnych próśb cara, ażeby mu wolno było wrócić do rodzinnego Holsteinu. Spiskowcy, zamykając Piotra III, rozpuścili wiadomość o jego śmierci i urządzili symboliczny pogrzeb na ulicach Petersburga. Ale ta pogłoska wkrótce zaprzeczona została przez naocznych świadków. Wraz z dokonaniem przewrotu nastąpiło zastanowienie. Ambicje wielu spiskowców zostały zawiedzione z uwagi na stanowisko Orłowa, który

teraz został już urzędowym kochankiem i który nie krył się ze swymi ambitnymi zamiarami. Lud, z początku oburzony na Piotra III za zamierzony mord syna i Katarzyny, uspokoił się, zreflektował, zaczął prawie żałować swych okrzyków na cześć imperatorowej.

Na domiar Moskwa otwarcie wyrażała sympatię dla uwięzionego cara – najobojętniejsi przyznawali, że dwóch carów w więzieniu (Piotr III i Iwan VI) to za wiele, nawet jak na Rosję. Sprzysiężeni, a raczej główny ich teraz przedstawiciel, Grzegorz Orłow, postanowił zdławić wzmagające się wrzenie przez usunięcie tego, który wzbudzał współczucie. Orłow miał czterech braci, z tych następujący tuż po nim Aleksiej, zaczynający cieszyć się względami i sentymentami imperatorowej, podjął się „misji” i dobrał sobie do pomocy Tiepłowa i młodego księcia Bariatyńskiego. Piotr III osadzony był pod strażą w Roszczy pod Petersburgiem, wyżebrawszy sobie prawo zatrzymania wiernego kamerdynera Francuza. Łatwo więc odgadnąć ukontentowanie cesarza, gdy po pięciu dniach odosobnienia i głuszy zobaczył przed sobą Aleksieja Orłowa z Tiepłowem, którzy mu uroczyście oświadczyli, iż przywożą dlań uwolnienie i zapowiadają mu powrót do ulubionego Holsteinu. Piotr III serdecznie się uradował tak dobrą nowiną i gorąco zapewnił posłów Katarzyny, iż niczego innego nie pragnie, niczego nie żąda, że na skromnej liście cywilnej poprzestanie. Orłow z Tiepłowem całą swą atencję carowi wyrazili, a uprzejmość swą posunęli do tego, iż w więzieniu ukazał się suto zastawiony stół. Car ze szczerym apetytem zasiadł do biesiady z posłami, bardzo nieśmiało wspominając, że był pozbawiony przyzwoitego jadła, że jemu i kamerdynerowi nawet chleba skąpiono.

Tiepłow umiał rozproszyć te narzekania Piotra III i zajął go rozmową. Orłow napełnił kieliszki. Wtem Piotr, ledwie przechyliwszy podany mu kieliszek, odrzucił go ze zgrozą. Wódka miała gorycz, która zimnym

dreszczem go przejęła. Car z okrzykiem: „Jestem otruty!” rzucił się ku drzwiom, ale Orłow zastąpił mu drogą i odepchnął go brutalnie na środek izby. – Pij, co ci dają! Musisz wypić! Za zdrowie imperatorowej! – nalegał szyderczo Tiepłow, podsuwając cesarzowi drugi kieliszek z trucizną. – Mleka! Dajcie mi mleka! Dajcie mi mleka! Otruli mnie! – wołał Piotr, czując, że trucizna, choć w niewielkiej ilości zażyta, skręca go. Na wszczęty hałas wpadł do izby kamerdyner cara, ale tuż za nim był Bariatyński. Kamerdynera ogłuszono i zamknięto w sąsiedniej izbie. Z Piotrem zaczęła się rozprawa śmiertelna. Orłow rzucił się na cara jak rozjuszony zwierz, powalił go na ziemię i piersi kolanami mu przytłoczył. Równocześnie Bariatyński z Tiepłowem porwali za serwetę, omotali nią carowi szyją i zaciągnęli węzeł. Piotr III, cesarz i samodzierżca wszechrosyjski skonał. Aleksy Orłow ruszył co koń wyskoczy z wiadomością o śmierci Piotra do Katarzyny.

Imperatorowa była wzruszona poświęceniem Orłowa. Wezwano Panina na naradę. Nazajutrz dopiero czytała stolica Rosji sentymentalnie łzawo podniosły manifest cesarzowej, która dzieliła się z poddanymi nowiną, że „podobało się Opatrzności powołać do siebie naszego najukochańszego małżonka”, że „Wzywamy wszystkich naszych wiernych poddanych do łączenia się z nami w żalu i modlitwie” itd. Lud ze zgrozą i przerażeniem wczytywał się w bluźniercze wyrazy zbrodniarki. Zbrodniarka tymczasem kłopotała się o każdy drobiazg pogrzebu nieszczęsnego cara. Wszak należało go dobrze pochować, bo wszak z nim znikała głowa partii, głowa buntu.

Ale pogrzeb Piotra miał zakłócić harmonią, której Katarzyna tak mocno pożądała. Uduszony car miał w swoim ulubionym Oranienbaumie oddział grenadierów Holsztynów. Ci grenadierzy, otaczani przez Piotra, jeszcze od czasów jego następstwa tronu za Elżbiety, staraniem i ojcowską pieczą, byli

doń bardzo przywiązani. Śmierć cara była dla nich niepowetowaną klęską. Ci poczciwi Holsztyni, gdy ich dla parady na pogrzeb wyciągnięto, dali upust łzom i skargom, wyrzekaniom i sławieniom dobroci zmarłego pana i powątpiewaniu o jego naturalnej śmierci. Stąd i nowe powstały domysły i silniejszy pomruk ludu. Bezczelność Holsztynów carowa ukarała wydaniem polecenia, aby ich odesłano do Holsztynu. Odesłanie to wszakże odbyło się w dziwny sposób. Holsztynów wsadzono na żaglowiec w Kronsztadzie. Zaledwie tylko żaglowiec wydostał się na pełne morze, zaczął tonąć. Spuszczono łódź ratunkową i załoga żaglowca ruszyła do portu o pomoc. Ale admirał zabronił ratowania żaglowca, aż do czasu dopóki nie nadejdzie zezwolenie z Petersburga na ratowanie tonących. Ani jeden grenadier holsztyński nie powrócił do ojczyzny.

Ale Katarzyna umiała i wynagradzać. Deszcz orderów i złota spadł na spiskowców, a już bracia Orłowie, Bariatyński i Tiepłow na potentatów wyrośli, na luminarzy narodu, gwiazdami wielkiej Katarzyny się stali. Był to rok 1762 zaledwie i był to zaledwie dziesiąty dzień panowania Katarzyny. Królobójstwo w państwie rosyjskim nie miało ani na Piotrze III poprzestać, ani bodaj Katarzynę od dalszych mordów i zamachów powstrzymać. Sztylety zabójców, widma potępieńców z zaciśniętymi na szyi powrozami miały przejąć każdy zakamarek cesarskich pałaców, miały na mękę trwogi skazać wszystkich dziedziców berła rosyjskiego, miały trumny monarsze wypełnić szkieletami ofiar, miały przekleństwem na dziesiątki lat zawisnąć nad dwugłowym orłem.

Biedny Piotr III, jeszcze i po stu czterdziestu latach żaden historyk, zamieszkały w Rosji, nie miał odwagi dać świadectwa prawdzie i rzec, iż Piotr był uduszony z rozkazu żony, iż mordercy jego z zaciśniętych na carskim stryku rąk odebrali całą swych rodów potęgę, że gdyby Bariatyński nie miał odwagi być zbójem, nigdy Katarzyna nie ożeniłaby go

z księżniczką Holstein. No i że, gdyby Piotr III był mniej łatwowierny, ta sama oficjalna historia rosyjska całe oburzenie swe zwróciłaby przeciw tym, którzy są jej ozdobą. Zaiste – mierzyć w pierś monarchy rosyjskiego i chybić znaczy w historii urzędowej tyle, co zostać łotrem, miast być dźwignią państwa, być nikczemnym prochem, miast być brylantem berła rosyjskiego, brylantem, królem brylantów i zwać się Orłowem.

Ten rok 1762 jest wszakże i zwrotem w dziejach Rosji, bo ten rok zaczyna panowanie, podczas którego w narodzie rosyjskim spisek spod baldachimu schodzi do ludu, podczas którego królobójstwo zapowiada swój rozwój i na przeciwnym biegunie.

V

Zabójstwo Piotra III nie stłumiło wrzenia, lecz skierowało je w inną stronę. Wczorajsi sojusznicy Katarzyny, gorliwsi stronnicy zaczęli występować przeciwko niej, przeciwko niej knować. W szeregach niezadowolonych stanął Razumowski, co groźniejsze, metropolita nowogrodzki, a za nim kler prawosławny. Nikt chyba nie doznał tak bolesnego zawodu, jak właśnie popi. Caryca póty im gwarantowała przywileje, póki obiecywała powrót do samodzielności i niezależności, póki nie dorwała się do steru. Popi wszczęli agitację. Moskwa głuchym milczeniem powitała uroczysty wjazd Katarzyny. Prawie równocześnie pomiędzy ludem rosyjskim ukazał się w tysiącach egzemplarzy rozrzucony manifest; manifest będący w dodatku wierną kopią manifestu, wygotowanego przez Piotra III. Ta odezwa zamordowanego cara, piętnująca z całą otwartością rozpustę Katarzyny, dowodząca nieprawego urodzenia Pawła, a zwracająca oczy narodu na Iwana VI, jako jedynego prawego dziedzica, jedyną krew Romanowów, wywarła wrażenie piorunujące.

Nic nie pomogły aresztowania, nic zsyłka na Sybir, nic masowe kary wydawane na winnych czytania manifestu. Dziesiątki tysięcy egzemplarzy manifestu zniszczyli siepacze imperatorowej i dziesiątki zostały i przeżyły płomień. Katarzyna zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Orłow czuwał. Nie żałowano pałek nawet gwardiom, a mimo to, na skatowanych ciałach jednych spiskowców zakwitały spiski nowe. Po skazaniu Guriewa i Chruszczowa, oficerów izmaiłowskiego pułku, nastąpił cały szereg

zamachów na Katarzynę i Orłowa. Zamachy te miały miejsce przede wszystkim w Moskwie. Katarzyna przerażona uciekła z Orłowem do Petersburga – lud moskiewski tego samego dnia spalił na jednym z placów Kremla jej portret.

Powrót Katarzyny do Petersburga był znów tylko wpadnięciem na ślad jeszcze śmielszego zamachu i to znów wśród gwardii. Więzienia wypełniły się po brzegi, wypełniły się tak szczelnie, że Katarzyna zaczęła się obawiać procesów i stosowania kar. Po naradzie z Orłowem postanowiono żadnych nie odprawiać sądów, a uwięzionych bez hałasu i rozpraw zamorzyć głodem. Wszystkie te zamachy były czynione na rzecz i pod hasłem powrócenia na tron cara Iwana VI, lecz o żadnym z nich car Iwan nie wiedział. Iwan VI ogłoszony był carem przez ciotkę swą Elżbietę i zdetronizowany przez Elżbietę, i to wówczas gdy miał zaledwie dwa miesiące!

Do ósmego roku życia car siedział w więzieniu razem z rodzicami, księstwem Brunszwickimi, lecz w ósmym roku życia rozdzielono go i osadzono samego. Iwan VI wychowany więc był w więzieniu, a raczej pozostawiony na łaskę swych dozorców. Jeden z nich z nudów podobno nauczył Iwana VI czytać, zresztą nikt nigdy nie troszczył się zbytnio o niego. Jaśniejszą chwilą życia nieszczęśliwego cara były odwiedziny Piotra III i krótkotrwałe polepszenie bytu, bo przeniesienie do pałacyku pod Petersburgiem, a nawet kilkudniowy pobyt w samej stolicy. Wraz z objęciem rządów przez Katarzynę skończyły się dla Iwana dni swobody, porwano go, zamknięto w Szlisselburgu i trzymano pod silniejszą niż kiedykolwiek strażą. Biedny Iwan był tak oswojony z kratą i więziennym kubrakiem, iż nawet nie umiał się skarżyć na los i ani podejrzewał, że tam za murami Szlisselburga setki ofiar ginie dla jego wyzwolenia.

Katarzynie jednak ten męczennik zawadzał coraz bardziej, coraz częściej przywodził jej na pamięć chwiejność stopni tronu. Wyrok na Iwana VI został wydany i wykonany z perfidią i niegodziwością, której mógłby uczyć się od „wielkiej” Katarzyny każdy pospolity zbir. W Szlisselburgu stał załogą pułk smoleński. W pułku tym służył w randze kapitana niejaki Wasyl Mirowicz, wnuk ofiary Piotra I, który nie tylko zgładził nienawistnego dziada Mirowicza, ale i skonfiskował mu całe mienie. Wnuk postanowił skorzystać ze swej rangi wojskowej i stosunków. Rozwinął starania u dworu, aby mu wrócono mienie dziada, w imię jego, wnuka, wiernej służby. Starania Mirowicza były naturalnie skierowane do Orłowów, bo tylko ich wpływ wróżył przychylną odpowiedź imperatorowej. Mirowicz zabiegał długo, aż odebrał wreszcie odpowiedź, ale warunkową. Imperatorowa była skłonna zwrócić kapitanowi dobra, ale pod warunkiem, że Mirowicz złoży dowody szczególnego przywiązania do tronu.

Kapitan na to oświadczenie deklarował się na najcięższą próbę. Dwór pośpieszył dać mu ją i pouczył co ma czynić. Mirowicz z całym samozaparciem zabrał się do dzieła. Spokojny i lojalny oficer smoleńskiego pułku zmienił się w gorliwego konspiratora i zwolennika cara Iwana VI. Ku wielkiemu zdumieniu kolegów Mirowicz zwierzył im się, że wystarczy uwolnić z więzienia Iwana VI, aby go na tronie osadzić, a tym samym zapewnić sobie przyszłe korzyści. Śmiałość i pewność siebie Mirowicza, z jaką ten odwołał się do największych dygnitarzy państwa, dalej ukaz senatu upoważniający Mirowicza do działania i obrzucający Katarzynę przesadzonymi oskarżeniami, a może silniej pieniądze, którymi biedny odtąd kapitan hojnie szafował, pozyskały mu stronników, zapewniły pomoc żołnierzy. Plan oswobodzenia Iwana VI dojrzał w kilka dni, tym bardziej, że Mirowicz sam podjął się go wykonać i sam podjąć ryzyko na starcie.

Więzienia Iwana VI w Szlisselburgu strzegła dzień i noc warta, złożona z dwunastu grenadierów gwardii, pozostająca pod dowództwem dwóch, przysłanych na krótko przed zamachem, oficerów, którzy mieli rozkaz pozostawać w celi razem z Iwanem VI, a w razie spostrzeżenia chęci ucieczki lub uwolnienia go, zabić więźnia.

O tajnym tym rozkazie noszącym podpis imperatorowej nikt zresztą prócz tych dwóch oficerów nie wiedział. Mirowicz nie zwlekał, nie wdając się w szerszą propagandę, ruszył w nocy wprost na więzienie Iwana VI, na czele pięćdziesięciu ludzi. Dzięki spiskowi straże forteczne nie czyniły przeszkód, były przekupione. Jeden komendant fortecy, zbudzony hałasem, odważył się wystąpić z persfazją, na którą zresztą Mirowicz nie myślał zważać. Dopiero grenadierzy strzegący wejścia do więzienia cara zgotowali opór kapitanowi i ogniem powitali jego oddział. Ale ogień karabinowy nie czynił żadnemu ze spiskowców krzywdy – naboje były ślepe. Spiskowcy mieli teraz do wysadzenia ostatnie drzwi do celi Iwana, zamknięte z wewnątrz przez oficerów, nieodstępnych dozorców cara. Mirowicz rzucił się pierwszy do drzwi, za jego przykładem poszli jego wspólnicy. Drzwi były żelazne i do wysadzenia niełatwe. Spiskowcy dobijali się dość długo i gdy już byli bliscy ich wyłamania, otwarły się na oścież, ukazując nieoczekiwany widok. Na środku celi leżało drgające jeszcze a pławiące się we krwi ciało cara Iwana VI.

Oficerowie dozorcy w ociekających krwią rękach trzymali rozkaz imperatorowej. Spiskowcy oniemieli ze zgrozy. Pierwszą ich myślą było pomścić śmierć Iwana VI, lecz gdy zwrócili się do swego dowódcy, ten machnął lekceważąco ręką, najspokojniej zawrócił do komendanta fortecy i z uśmiechem oddał mu swoją szpadę. Spiskowców bez oporu aresztowano. Tej samej nocy dano znać do Petersburga, ale carycy nie było. Imperatorowa była tak daleka tej zbrodni, że nie wiadomo po co wyjechała

przed samą śmiercią Iwana VI do Inflant i w Rydze dziwiła się, że się gońcy z nowinami tak spóźniają. W zastępstwie carowej Panin rozpatrywał więc rzekomy wykaz senatu znaleziony przez spiskowców. Wydał pierwsze zarządzenia śledztwa, pogrzebu ofiary i ukarania winnych. Wieść o zamordowaniu Iwana wzburzyła okolice Szlisselburga. Tłumy ciekawych ruszyły oddać ostatnią posługę nieszczęśliwemu carowi. Ale Panin, a za nim Katarzyna, która z całym swym oburzeniem zjechała do stolicy, ograniczyła ceremonię pogrzebu do zawinięcia zwłok cesarskich w kożuch barani i pochowania ich w fosie fortecznej. Lud tymczasem zwrócił się przeciwko ofiarom – dozorcom i zabójcom, ale i tych im zabrakło, gdyż ci dwaj oficerowie uważali za właściwe wyjechać do Danii i tam szukać pomocy i opieki ambasadora rosyjskiego.

Najdziwniejsze i najmniej zrozumiałe było zachowanie się samego Mirowicza. Nigdy chyba sędzia nie miał mniej kłopotu z oskarżonym. Mirowicz z całym spokojem, pewnością siebie i humorem opowiedział dzieje spisku, powtórzył wszystkie swe namowy i rozmowy z kolegami, sam dokładną ich listę sformułował i uśmiechał się pobłażliwie, nawet gdy mu wyrok skazujący go na śmierć odczytywano. Sędziowie nie ważyli się zastanawiać nad spokojem i pewnością siebie Mirowicza, a wspólnicy kapitana mimo woli poddawali się jego zapewnieniu, że włos im z głowy nie spadnie, że im który więcej pracował dla spisku, tym większa czeka go nagroda. To przeświadczenie, ta pewność siebie Mirowicza były tak głębokie, że nawet nie opuściły go na stopniach szafotu. Ktoś pilny spostrzec mógł, że kapitan zaczyna z pewnym zniecierpliwieniem szukać wzrokiem pędzącego z ułaskawieniem feldiegra imperatorowej, a wraz z nim i końca odegranej tak starannie komedii.

Ale snadź tam w górze uznano, że Mirowicz złym jest aktorem, bo zbyt nieostrożnie, zbyt szczerze pozwala widzom przyglądać się swym

sztucznym pozom spiskowca. I w górze postanowiono raptem, że komedię trzeba tragizować, że Mirowicz powinien umrzeć, bo lepiej, żeby go w ogóle nie było. Topór kata, do ostatniego znaku również wierzący w to, że nigdy mu siły nie stanie, aby nad arteriami życia takiej osoby, jak Mirowicz, zawisnąć... Zwlekał, rozglądał się... aż spadł. Mirowicz zginął – zginął za to, że wypełnił rozkaz Katarzyny, zginął dlatego, że imperatorowa w oczach narodu chciała mieć winowajcę. Jeżeli wszakże koniec Mirowicza rzuca tylko światło na niegodziwość imperatorowej, małą budzi sympatią dla najętego siepacza, który wiedział, że jest narzędziem upozorowania zabójstwa, to już los jego pięćdziesięciu towarzyszy, ludzi odurzonych przez Mirowicza, ludzi nie żywiących w gruncie ani entuzjazmu dla Iwana VI, ani nienawiści do Katarzyny, ludzi będących zaledwie lichymi statystami – zasługuje na wielkie współczucie.

Od dwóch do dwunastu tysięcy pałek odebrali towarzysze Mirowicza lub ich zakrwawione trupy. Dla wytrzymałych czy mniej bitych był jeszcze Sybir. Stała się jednak rzecz niepojęta. Zabójstwo Iwana VI, tak po mistrzowsku uplanowane, tak doskonale zainscenizowane, umotywowane i pomszczone – nie zwiodło nikogo. Naród rosyjski nie zawahał się wskazać na zbrodniarkę, naród ze zgrozą pojął, że to jeszcze nie kres rządów Katarzyny, że pójdzie dalej. Imperatorowa wyczuła oskarżenie w oczach ludu i ulękła się nieco. Na liście ofiar byli rodzice cara Iwna VI, pokutujący od lat w więzieniu i wychowujący tam czworo dzieci zrodzonych w więzieniu. Katarzyna dała jednak umrzeć księstwu Brunszwickim spokojnie pod zdwojoną strażą, a dzieciom ich równie wspaniałomyślnie zezwoliła pójść na wygnanie do Archangielska.

To załatwienie się z pretendentami do korony nie przeszkadzało przewrotnej Anhaltce korespondować z Wolterem, skarżyć się na ciężar odpowiedzialności berła, tęsknić za życiem wyższym, dalekim od trosk

monarszych, od pustych pochlebstw, od nieuduchowionych polotów. Wolter, olśniony rozumem, dobrocią i szczodrobliwością wielkiej imperatorowej, palił jej kadzidła i płakał, że mu nie dane było być poddanym tej „najlepszej z najmądrzejszych”. Wolter nie czuł, że owa „fatalność” oddalająca go od carycy chroniła i od pałek, i od Sybiru, i Wolter z całą naiwnością poety i filozofa siebie samego ośmieszał. Imperatorowa roztkliwiała się, stylizując listy do Woltera, a mały następca tronu Paweł pytał się matki z całą potulnością „dlaczego zabiła mu ojca – dlaczego ona odebrała koronę Pawełkowi, kiedy ta korona jemu tylko się należała?”

Iwan Groźny lub Piotr Wielki odpowiedziałby nożem własnemu dziecku, Katarzyna uczyniłaby to samo, gdyby się nie bała. Bo jednak ten Paweł był jedynym parawanem, osłaniającym inwazję na tron rosyjski obcej pochodzeniem, religią, duchem księżniczki, bo śmierć Pawła, ręką imperatorowej zadana, mogłaby się dla niej samej zamienić w sztylet lub truciznę. Ale i bez udziału bezpośredniego matki nad Pawłem gromadziły się chmury. Paweł był dzieckiem wątłym, anemicznym, noszącym ślady skrofułów, zdeprawowanym płciowo przez Elżbietę i dwór. Lada niedomaganie zamieniało się u Pawła w poważną chorobę.

Następca tronu miał wprawdzie doświadczonego medyka, Krauzego, bo mianowanego na to stanowisko w nagrodę za dostarczenie Orłowom trucizny dla Piotra III, ale i ów Krauze nie uchronił go od częstych chorób. Jerzy Orłow, który ciągle grał rolę pierwszego kochanka, a coraz częściej musiał zamykać oczy na niedwuznaczne upodobania carycy, zaczął nie na żarty przemyśliwać nad utrwaleniem swego stanowiska. Droga była prosta – ożenić się z Katarzyną, zostać bodaj księciem małżonkiem, a syna swego, obecnie zwanego Wasylem Bobryńskim, ogłosić następcą tronu. Ambicja Orłowa znalazła jakby przychylność Katarzyny, bo ta aż u Marii Teresy

wybłagała dlań tytuł księcia, pragnąc pouczyć tym swych poddanych, że przymioty Orłowa i u obcych potencji znajdują najwyższe zaszczyty. Ale baczny i przebiegły Panin umiał wniwecz obrócić małżeńskie zamiary nowo mianowanego księcia, co u miłującej niezależność carycy trudne nie było.

Orłow, zawiedziony w planach matrymonialnych, tym mocniej uczepił się myśli osadzenia na tronie swego syna. Nową intrygę prowadził jednak ostrożniej. Paweł nie był kochany przez matkę, lecz tylko tolerowany, a niekiedy tylko dla zabawy, pozoru lub nudy psuty. Orłow wytężał siły, aby Paweł został znienawidzony i odepchnięty. Ale ponieważ łagodny, dobry charakter chłopca największą był po temu zaporą, Orłow uciekł się do innego sposobu i zepsutego Pawła jął deprawować. Trzynastoletni wyrostek miał już romans z damą dworu, Wierą Szczegłokow. Katarzyna bawiła się serdecznie tym wydarzeniem, ale gdy Orłow, biorąc asumpt z rozegzaltowania Pawła, wróżył mu śmierć rychłą i niezawodną bezpłodność, a więc nowe dla Rosji walki o tron – imperatorowa zbyła kochanka, rozszyfrowała go i zarządziła próbę. „Próba” urągała w pomyśle najdoskonalszej ekspertyzie. Na dworze Katarzyny, wśród frejlin-kurtyzan, bawiła młoda wdowa po Michale Czartoryskim, zaledwie dwadzieścia lat licząca, a szukająca zarówno partii odpowiedniej, jak i miłosnych przygód. Imperatorowa porozumiała się z piękną wdową i powierzyła jej opiece czternastoletniego już Pawła. Rezultatem opieki Czartoryskiej, „notabene” opieki mocno poddawanej kontroli, było przyjście na świat tak zwanego Semena Wielikawo, syna Pawła. Po tak świetnym zakończeniu próby imperatorowa nieodwołalnie postanowiła skończyć z podszeptami Orłowa. Katarzyna bowiem mimo całego przywiązania do swego syna Bobryńskiego, mimo dostrzegania niższości fizycznej i umysłowej Pawła, nie mogła przyznać się otwarcie przed światem do dwukrotnego wobec

Piotra III wiarołomstwa, nie mogła stwierdzić, że manifest jej męża nazywający Pawła Sałtykowem mówił prawdę, i nie mogła chwalić się, iż za życia męża została również matką Bobryńskiego.

Takiego ogromu bezczelności mógłby nie znieść naród rosyjski, podnoszący teraz głowę. Lecz odmówić Orłowowi to nie znaczyło jeszcze skłonić go do wyrzeczenia się nadziei. Orłow nie był człowiekiem bez energii. Paweł nie darmo skarżył się, iż w podawanych mu ciastkach znajduje kawałki szkła, nie darmo ze swą naiwną głupotą pytał, czy doktor Krauze i jego otruje? Ratunkiem dla Pawła i środkiem niweczącym knowania Orłowa było małżeństwo następcy tronu i utworzenie dynastii. Wybór padł na księżniczkę Wilhelminę von Darmstadt, która wydała się Katarzynie biernym i podatnym do urobienia materiałem. Księżniczka przyjęła prawosławie i pod imieniem Natalii Aleksiejewny została żoną Pawła. Małżeństwo zapowiadało się niezwykle harmonijnie. Imperatorowa odetchnęła – teraz więc, po dziesięciu latach zajadłej walki ze współzawodnikami i spiskami dążącymi do wydarcia jej władzy, mogła śmiało stanąć na stopniach tronu. Niespodziewanie ten sam rok 1773 zgotował carycy niespodziankę, targnął całymi podwalinami już nie jej tronu, ale państwa rosyjskiego; w roku tym wybuchła pugaczowszczyzna.

Pugaczowszczyzna, to dzisiejsze *bon mot* rosyjskich mężów stanu, nie była w roku 1773 nowym zjawiskiem w Rosji. Miazgę narodu rosyjskiego stanowił mużyk, chłop, prostak i nieokrzesaniec. Chłop biedny, wyzyskiwany, obdzierany ze skóry przez urzędników, popów i władyków, trzymany z dala od oświaty, chłop dziki, surowy, ale nie głupi, z całą pokorą i mocą dążący do rozwikłania smutnych swoich losów. Takim mużyk był i takim podobno został. Lecz chłop ten przez wieki zachował wspomnienia czasów, kiedy to i panów nie było, i popów nie było. I chłop ten, choć ciemniejszy był za czasów Katarzyny, ale wspomnieniom bliższy

i bliższy zeszłym w jego bycie zmianom. Piotr Wielki oddał chłopa w niewolę, a Wielka Katarzyna, „gwiazda północy”, tę niewolę rozciągnęła na sługi bezrolne, nawet na Ukrainę, gdzie poddaństwa nie było, wprowadziła nawet niewolnictwo do prowincji odebranych Polsce, a nadto dała panom prawo skazywania swych mużyków już nie na knuty, ale na katorgę i Sybir.

Mużyk zastanawiał się i dochodził powoli do podstawy swego rozumowania, że „Bóg wysoko, a car daleko” – a tuż nad nim jest pop-złodziej i pan lub niemy jego służka, urzędnik-oprawca. Car, ten „biały car”, jawiący mu się w złocie, łaskawie doń się uśmiechający, rzucający w skotłowany tłum miedziaki, wytaczający na uroczystości kufy wódki dla mużyków, nie miał wszak nic z Marsa wyniosłości i knuta. Tak samo jak Boga dobrego, wyrozumiałego, łaskawego nie mógł przypominać ziemski jego apostoł, zdzierca, rozpustnik i pijanica – pop. I mużyk dolę swoją uzasadniał nieuczciwością, nikczemnością tych, którzy dzielili go od dobrego Boga i od dobrego cara. Pop weźmie ostatni grosz i oszuka, bo Panu Bogu nie przedstawi uczciwie troski mużyckiej, oszuka i urzędnik i pan, bo też mużyka oczerni. A tu znów ani Panu Bogu wprost z mużykiem nie pasuje, ani carowi. Położenie bez wyjścia. Mużyk cierpi i milczy. Ale łatwo sobie wyobrazić jego stan psychiczny, gdy gdzieś do zapadłego kąta trafi doń wieść ze stolicy o zamordowaniu cara, wystrojona już w najfantastyczniejsze domysły. A cóż dopiero dziać się musi w duszy mużyka, gdy po pewnym czasie dojdzie go nowina, że ów car, ofiara mordu, więc ten najlepszy, najgodniejszy orzeł, że idzie w lud, że między mużykami szuka obrony przeciwko popom, panom i urzędnikom, że przychodzi sprawiedliwość uczynić, więc nade wszystko oddać temu cielę skradzione, tamtemu plaster na sińce po knucie dać, owemu skrawek łąki na paśnik przydzielić, innemu drzewa z lasu użyczyć.

Hasło „za cara” porywa mużyków na nogi, wkłada im w ręce kłoy i żagwie, wybucha żywiołem, który tylko morze krwi zgasić jest zdolne. Żywioł taki właśnie nazywa się „pugaczowszczyzna” i w istocie swej nie ma nic łącznego z „jacquerią” i do niej tylko przez nieopatrzność bywa zaliczany. Żywioł ten, przed Katarzyną na sto kilkadziesiąt lat, rewoltował mużyków na rzecz zmartwychwstałego niby cara Dymitra i dał Rosji aż dwóch carów samozwańców, teraz dawał trzeciego – Pugaczowa. Mord Piotra III w interpretacji mużyków musiał urość na fantazję, bo najpierw ów symboliczny pogrzeb, urządzony w pierwszym dniu zamachu, pogrzeb drugi prawdziwy podawał w umyśle ludu w wątpliwość. Dalej, manifest pośmiertny Piotra III, rozpowszechniany przez popów, znów był szerokim polem dla imaginacji, na koniec nagła śmierć cara mogła znakomicie być wytłumaczona jako plotka, skrywająca ucieczkę uwięzionego cara i usiłująca wyrwać z pamięci ludu imię Piotra III – więźnia lub tułacza. Zresztą rozruchy chłopskie, wojna, morowa zaraza wytworzyły atmosferę podatną do najdziwniejszych wieści. Przykładów i wzorów, jak się to robi, nie brakło. I oto w końcu roku 1774 Piotr III ożył, zmartwychwstał nagle na wschodnim krańcu Rosji i wydał złotymi literami gramotę do ludu. Lud ruszył bez namysłu za carem-myślicielem, carem-wybawcą, carem-męczennikiem. Tym Piotrem III był Kozak, półżołnierz, półopryszek, półrozbójnik i póławanturnik – Pugaczow.

Pugaczow był odważny i przedsiębiorczy. Umiał sięgnąć do największych bolączek mużyckich, umiał otoczyć się nimbem posłannictwa bożego, umiał przyciągnąć do siebie nie tylko sekciarzy, ale i bałwochwalców, nie tylko prawosławnych, ale i Tatarów. Pugaczow ponadto był łudząco podobny do Piotra III. Rewolta w oka mgnieniu zmieniła się w powstanie. Petersburg zadrżał. Kilka tysięcy kozaków, wyprawionych na zrównanie z ziemią zbuntowanych wsi, przeszło na

stronę Pugaczowa. Powstanie szło już na Moskwę, miało w swym ręku fortecę. Generałowie Katarzyny ponosili klęski, a ku brzegom Newy szło echo groźne i złowróżbne – „car Piotr III idzie! Prawda idzie!”

Pugaczow szedł i każdy swój krok znaczył szubienicami, na których wieszał carskich urzędników z popami pospołu. Katarzyna w rok ledwie zdołała z największym wysiłkiem ściągnąć i wysłać na pobicie Pugaczowa całą armię. Lecz i ta armia potrzebowała bez mała roku, aby w pień wyciąć zbuntowanych mużyków i nawet ta armia musiała uciec się do przekupstwa i zdrady, aby dosięgnąć samozwańczego Piotra. Pugaczow w klatce żelaznej osadzony, poddany był najstraszniejszym torturom – aż go nareszcie kołem poszarpano na szczątki. Pugaczow zginął, lecz wśród mużyków został jego duch i pozostała świadomość, że biały car i matka caryca bywają nie tylko ofiarami mordów, ale i zabójcami.

Pugaczowszczyzna wywarła piorunujące wrażenie w całym państwie, no a w szczególności w stolicy. Pugaczowszczyzna podpowiadała cichym wrogom samowolnej Katarzyny nowy zamach. Zamach przygotował teraz sam Panin. Panin robił dotąd co mógł, byle utrzymać się przy władzy, stręczył Katarzynie kochanków, bronił ją przed nimi, a cichaczem podsunął myśl Katarzynie ogłoszenie senatu za najwyższą instancję rządzącą. Imperatorowa nie dała się podejść. Panin poszedł więc inną drogą i znalazł dzielnego sprzymierzeńca w młodej Natalii Aleksiejewnie, żonie następcy tronu. Natalia była bystra, rozumna i odważna. W ciągu dwóch lat opanowała tajniki dworu, a na przekór Katarzynie otaczała się ludźmi najmniej zabłoconymi, pozyskała sobie takiego potentata jak Repnin i z Paninem zaplanowała zamach.

Zamach polegał na osadzeniu na tronie Pawła. Paweł bez trudu poszedł za radą swej żony, do której był mocno przywiązany i z całym młodzieńczym zapałem podpisał konstytucję, wypracowaną przez Panina

i złożył wobec spiskowców uroczystą na nią przysięgę. Naród rosyjski nie spodziewał się, że przeżywa wigilię przewrotu, który miał mu zapewnić najświetniejszą przyszłość. Caryca również się nie spodziewała spisku ze strony syna, pochłaniała ją zaborcza polityka, dogaszanie zgliszcz pugaczowszczyzny i schadzki z kochankami. Pech chciał, że jeden z pionków zamachu zapragnął judaszowych srebrników od Orłowa. Spisek został wykryty. Ale zawierał takie imiona, że nawet Katarzyna się ulękła.

Paweł został wezwany do carycy. Po krótkiej indagacji następca tronu ze łzami w oczach wyznał jej całą prawdę. Imperatorowa bojąc się karać – przebaczyła, ale o pomście nie zapomniała. Paweł został odsunięty od dworu i władzy, lecz aby nie miał czasu żałować swej potulności, imperatorowa obdarzyła go nowiną, że jego żona Natalia zdradza go z przyjacielem, towarzyszem lat dziecinnych – Andrzejem Razumowskim. Cios był wymierzony celnie. Paweł wpadł w szał zazdrości, Natalię bowiem kochał szczerze. Struny były potargane. Imperatorowa jednak się tym nie zadowoliła. Natalia była dla niej przeciwnikiem groźnym, jak się okazało zdolnym do nie lada przedsięwzięć.

Zamach drugi mógł być lepszy, pewniej wymierzony. Natalia raptem zaniemogła, zdradzając objawy przedwczesnego, czy przyspieszonego połogu. Po kilku godzinach męczarni wydała na świat nieżywe dziecię, a w parę godzin, gdy niebezpieczeństwo było usunięte, umarła... śmierć Natalii miała tyle cech prawdopodobieństwa, że może nigdy i niczyjego nie obudziłaby podejrzenia, gdyby nie akuszerka następczyni tronu. Akuszerka ta, nie znana przedtem na dworze Katarzyny, doszła po śmierci Natalii do raptownej fortuny, była przyjaciółką Potemkina i Orłowa, a z carycą pozostawała w poufałej zażyłości. Akuszerka, po debiucie przy połogu Natalii, nigdy więcej do swej specjalności nie wróciła. Do tych szczegółów

starczyłoby dodać, że akuszerka ta była przysłana do Natalii przez Katarzynę, żeby nie mieć wątpliwości.

Dzieje pozostawiły wszakże ślady mocniejsze niż westchnienia i chorobliwe wizje Pawła, ponieważ akuszerka, która przeżywszy i Katarzynę, i następcę tronu, miewała chwile filozoficzno-pijackich wynurzeń. Katarzyna była więc królobójczynią po raz trzeci. Zgon Natalii był krótkotrwałą dystrakcją w życiu dworu petersburskiego, bez wątpienia mniejszą niż oddalenie Panina, którego imperatorowa, nauczona doświadczeniem, nie chciała mieć w pobliżu Pawła.

VI

Wraz ze śmiercią Natalii znów dynastia musiała pamiętać o zatroszczeniu się o nowy związek dla następcy tronu. Baczna caryca nie zwłóczyła i w tym samym jeszcze roku rzuciła w objęcia syna księżniczkę Zofię Wirtemberską tak zwaną Marię Teodorównę. To nowe małżeństwo, mimo licznego potomstwa, bo dziewięciorga dzieci, nie było szczęśliwe, a już Maria Teodorówna podobno miała prawo zazdrościć ostatniej ze swych poddanek. A przecież księżniczka Wirtemberska, obok piękności ciała, odznaczała się tak wielkimi przymiotami serca, jakie bodaj nie postały dotąd na tronie rosyjskim. Ale księżniczka była nie tylko uczciwą kobietą, lecz i nie umiejącą walczyć, nie umiejącą ani lawirować, ani za intrygę płacić intrygą. Paweł zaś, który niezaprzeczenie miał grunt serca dobry, był już człowiekiem wyniszczonym nerwowo, drżącym ustawicznie przed widmami skrytobójców, dźwigającym w piersiach niezabliźnioną ranę po stracie Natalii, a może po zgotowanym mu zawodzie, po ciosie, zadanym dwóm najdroższym uczuciom – miłości dla pierwszej żony i przyjaźni dla Andrzeja Razumowskiego.

Następca tronu im bliższy był berła, tym silniej stronił od dworu, unikał ludzi. Po nocach walczył z halucynacjami, w dni przy lada okazji wybuchał chorobliwą imaginacją, bał się każdej łyżki jadła, każdego łyku napoju, bał się pustej komnaty pałacowej i bał się własnej służby. Paweł stał u wrót obłędu. To cierpienie cesarzewicza z łatwością mogłaby ukoić kobieta tak łagodna i uległa, jaką była Maria Teodorówna, lecz Katarzyna tym razem nie dopuściła do zharmonizowania się małżonków. Katarzyna umiała już

pierwsze chwile drugiego pożycia małżeńskiego zatruć Pawłowi jadem podejrzeń i jad ten umiejętnie w nim hodować. Paweł nie ufał nikomu, a najmniej własnej matce, ale wierzył każdemu, kto nieufność w nim podsycał. Lecz mimo wszystko tak słaby i chorowity umysł, jak Pawła, musiał znaleźć sobie jakiś punkt oparcia dla swych gorączkowych zwierzeń, obaw, skarg, żalów – no i znalazł go, lecz tam, gdzie w swym chytrym rozumieniu spodziewał się, jeżeli nie bezinteresowności, to zupełnego oddania, zwierzęcego poświęcenia i wierności.

Następca tronu niebawem doszedł do przeświadczenia, że jedynym człowiekiem, godnym jego przyjaźni, jest jego pokojowiec i pucybut Iwan Kutaisow. Turek – niewolnik, wychowany w stajniach dworu cesarskiego. Nowe życie Pawła, choć mocno pochwalone i dobrze widziane przez carycę, przejęło trwogą żądnych wpływów dworaków, którym nie dane było zasłużyć sobie choćby na stopień krewnego kochanka imperatorowej, lub którzy roili o trwalszym wpływie lub o następnym panowaniu. I dworacy wszelkich użyli sił i zabiegów, aby przerwać odosobnienie się Pawła, aby samotności jego dać świadka, ucho, podszept. Pokojowiec Kutaisow za głupi jeszcze na to, aby ocenić jak potężne zajmuje stanowisko, dał się użyć znakomicie. Frejlina Nelidowa została kochanką cesarzewicza. Dlaczego Nelidowa? Dlaczego Paweł żonę zdradzał dla kobiety tak brzydkiej, przewrotnej i pospolitej, pozostanie to niezawodnym sekretem Kutaisowa. Być może, iż starczyło, aby podobała się słudze, by i w panu rozgorzał ku niej płomień miłości. I rządziła następcą Nelidowa, bo Kutaisow nie chciał. A Maria Teodorówna robiła wszystko to, co czyni zwykła uczciwa kobieta, która w chwili stwierdzenia niewiary męża, bodaj nigdy go nie nawraca, nie naprawia. Więc Maria Teodorówna martwiła się, płakała, robiła Pawłowi wyrzuty, a w końcu u świekry poszła szukać rady, pomocy, obrony.

Katarzyna za całą odpowiedź podprowadziła synową do lustra i ozwała się ze śmiechem: – Ależ zobacz jakaś piękna i daruj temu biednemu potworkowi – Nelidowej! Och, ty ją zwyciężysz. Niełatwe jednak było zwycięstwo i Maria Teodorówna, pragnąc ratować własną godność, chcąc skłonić męża ku sobie, musiała pójść do jego faworyty, przed nią się ugiąć i z nią przymierze zawrzeć. Rozdźwięk między Pawłem i Marią był dla Katarzyny asekuracją, że z tej strony o zamach może być spokojna. Nie było już ani Iwana VI, ani Pugaczowa, spiskowcy rosyjscy nie mieli już hasła, a hasłem tym w Rosji musiał być ktoś z dynastią więzami krwi połączony. Spiskowcami rosyjskimi byli dotąd albo panujący sami, albo ludzie udający panujących (samozwańcy, Pugaczow), albo dworacy. A że wszyscy walkę podejmowali o tron a nie o ustrój państwa, że nawet ów ustrój potępiając mieli tylko swoje „ja” na celu i widoku, że i powstanie Pugaczowa, i niezadowolenie popów, i rewolta bojarów, tylko swoją kasetę za pokrzywdzoną miały i nie sięgały nigdy do ideałów ludowych, przeto raz po raz, po zamordowaniu pretendenta, knowania musiały na jakiś czas wygasać.

Katarzyna miała prawo triumfować, bo zabić dwóch carów i następczynię tronu i nie załamać się wraz z tronem, to bądź co bądź szczęście nawet i w Rosji. Życie jednak i Katarzynie zgotowało niespodziankę i to nie lada, bo gdy się najmniej spodziewała – pod słońcem Italii ukazało jej ducha carycy Elżbiety. Elżbieta z prostym żołnierzem Aleksiejem Razumowskim, założycielem potężnej rodziny Razumowskich, miała troje dzieci. Jedno z nich, tak zwana księżniczka Tarakanow, mieszkała w Petersburgu w chwili, gdy książę Karol Radziwiłł zapałał zemstą do imperatorowej za jej niegodziwe gnębienie Rzeczypospolitej Polskiej. Dla takiego potężnego pana jak Radziwiłł porwanie księżniczki było drobiazgiem. Radziwiłł porwał ją, wywiózł do Rzymu i tu

najstaranniej kazał wychowywać, pouczając dokładnie o wszystkim, co Rosji, monarchów i Katarzyny dotyczyło. Imperatorowa zemściła się na Radziwille zajechaniem mu dóbr. Radziwiłł długo protestował przeciw bezprawiu, aż wreszcie zgodził się na zaproponowaną mu ugodę, księżniczkę Tarakanow pozostawił w Rzymie własnemu losowi i dobra swe odzyskał.

Jakie plany miał Radziwiłł – nietrudno zgadnąć. Księżniczka, mimo swego nieprawego urodzenia, była bezsporną córką Elżbiety, starczyło więc obudzić w niej świadomość i pożądanie władzy, starczyło lada momentu, aby pod jej hasłem wywołać co najmniej nową pugaczowszczyznę. Katarzyna spostrzegła niebezpieczeństwo, mimo gniewu na Radziwiłła, pierwsza wyciągnęła do niego rękę. Pozbawienie księżniczki opieki Radziwiłła było jednakże dopiero wstępem. Młoda, piękna, przez pięć lat kształcona księżniczka, już sama nie lada stanowiła siłę, bo z godziny na godzinę mogła wokół siebie zgrupować bądź malkontentów, bądź błędnych rycerzy i to potężniejszych od Radziwiłła. Co gorsza, księżniczka była w Rzymie, więc o tysiące mil od samowładztwa rosyjskiej carycy. Zadanie było ciężkie, ale Aleksy Orłow, morderca Piotra III, brat kochanka Katarzyny i sam jej kochanek, nie cofał się przed niczym, nie wahał się życia stawić, gdy niegodziwość odpowiadała dzikim jego instynktom. Wyprawa podjęta przez Orłowa do Włoch, jego poznanie się z księżniczką, jego miłość do niej, komedia odegrana dla jej usidlenia, wreszcie uczucie księżniczki dla „szlachetnego”, poświęcającego się dla niej Orłowa, ślub, uroczystości weselne zdumiewające przepychem całe Włochy, a w końcu niewinna wycieczka dla zwiedzenia okrętu rosyjskiego i zakucie księżniczki Tarakanow, żony Orłowa, w jego obecności i w chwili, gdy jej stopa dosięgnęła pokładu okrętu, to coś tak przechodzącego wyobraźnię, iż ledwie temu wierzyć można. Tam gdzieś, w kącie archiwum

dyplomatycznego Wiednia i Petersburga, tułają się może jeszcze strzępy protestów, wystosowanych z tego powodu przez księcia Toskanii Leopolda i dźwigają bodaj jedyny wyraz potępienia publicznego, spadłego na Orłowa. Na dnie okrętu odbyła księżniczka podróż do Petersburga, mając szczęście ledwie dwa razy w ciągu długiej podróży być przywleczona do nóg pijanego Orłowa.

W Petersburgu czekał na księżniczkę loch cytadeli nadnewskiej, knut dozorcy i kaftan obłąkańców. Księżniczka w na poły pod wodą stojącym lochu męczyła się przez kilka lat podobna do widma. Aż Newa ulitowała się nad jej cierpieniem, wzniosła swe fale na wysokość szczeliny, zastępującej okno i zatopiła córkę carycy Elżbiety. A Europa? Europa pod koniec osiemnastego wieku umiała równie wdzięcznie mrużyć oczy i zatykać w porę uszy, jak to czyni w wieku dwudziestym. Europa zresztą niekiedy bolała, wiedziała zawsze i o wszystkim, lecz całą jej zasługą stały się góry papieru, zapisanego przez kancelarie konsulów i ambasadorów. No i od tej Europy z drugiej połowy osiemnastego wieku nie można było żądać nic nadto. Miała ona w każdej ze swych stolic na dość intryg, knowań, niegodziwości i mordów – wulkan Rewolucji Francuskiej dopiero głucho dudnił.

Katarzyna II starzała się, ale miłostki jej nie ustawały ani na chwilę. Lista kochanków dosięgła liczby trudnej do uwierzenia, aż wreszcie dobiegła kresu. Ostatnimi „adoratorami” stęchłych wdzięków imperatorowej byli – Płaton Zubow i w mniejszym zakresie brat jego Walery. Katarzyna miała wówczas lat sześćdziesiąt dwa, Płaton Zubow dwadzieścia cztery a Walery tylko dwadzieścia. Katarzyna była już babką dorosłych wnuków, zdołała ich już nawet pożenić, a mimo to jej zapały do Zubowów były ogromne. Katarzyna do ostatnich dni wierzyła w miłość Zubowów, szczególnie Płatona. A ten z całą bezczelnością i cynizmem

sutenera rwał pełnymi garściami wszystko, co rwać się udało. Imperatorowa zaś była hojniejsza i słabsza. Ostatni jej kochankowie w ciągu tygodni i miesięcy zdobywali to, na co Potemkin lub Orłow strawić musieli lata. Płaton Zubow już w drugim roku udawania sentymentów dla zwiędłej staruszki przeszedł wszystkie stopnie zaszczytów, dzielące pospolitego kapitana od generała gwardii kirasjerów, obwieszonego orderami dygnitarza, milionera i księcia dziedzicznego. Miłostki cesarzowej budzić już zaczynały odrazę nawet wśród jej własnego dworu.

Czterdziestoletni następca tronu nie krył swego oburzenia i głośno groził, iż rządy swe rozpocznie od ćwiczenia ostatnich kochanków Katarzyny. Ta pogróżka obudziła w Zubowach nienawiść ku Pawłowi i skłoniła Katarzynę do knucia ostatniego swego zamachu, przeciw własnemu synowi. Imperatorowa zaczęła przysposabiać grunt do osadzenia na tronie wnuka – księcia Aleksandra, gdy zaskoczyła ją śmierć. Katarzyna umarła w roku 1796, więc już po wydaniu Francji śmiertelnej wojny za rewolucję i w chwili, gdy w całej Europie chylić się zaczynało ku upadkowi samowładztwo, gdy już i za Pirenejami lud hiszpański domagał się swobód, gdy zamach Ankarstroma i śmierć Gustawa III, zgilotynowanie Burbonów, zapowiadało rozszerzenie władzy prawa. Umarła w chwili, gdy Wilhelm Godwin rzucał w Anglii pierwsze nasienie anarchizmu, gdy Monteskiusz przestał być odosobnionym doktrynerem, gdy cała ludzkość zdawała się drgać w posadach zardzewiałej kultury. Katarzyna umarła nagle, raptownie. Czy była ofiarą zabójstwa, jak tego chcą niektórzy pisarze, trudno orzec. Świadectwo dworaków przemawia za apopleksją. To pewne jednak, że czy to było zerwanie przeciągniętej struny życia, czy zabójcza kropla kurary, śmierć zaskoczyła Katarzyną tak, jakby uważała ją za niegodną innego miejsca spoczynku. Imperatorową znalezioną bez życia w ustępie. Dla samego porządku godna znaczenia jest uporczywa wersja, iż śmierć

Katarzyny była mordem, i to mordem złośliwie okrutnym. Według tej wersji, siedzenie ustępu miało sprężynę i ukryte w poduszkach noże. Cesarzowa, osuwając się na siedzenie, całym swym ciężarem wbiła się na ostrza. Sam pomysł takiego zamachu jest tak niepowszedni, że budzi wiarę. Plotka czy domysł wybrałyby formę bardziej prawdopodobną. Któż mógł być tu spiskowcem? Niewątpliwie wszyscy, prócz cesarza Pawła i nikt z tych, którzy myśleliby o zamachu stanu. Raczej należy tu widzieć zemstę, zemstę prędzej kobiety niż mężczyzny, prędzej skwitowanie się pokrzywdzonej niż cel polityczny. A że w najbliższym otoczeniu nie mogło braknąć Katarzynie II wrogów, dowodem choćby epizod ze stosunków dworskich.

Jednym z ostatnich kochanków Katarzyny był Mamonow, poprzednik Zubowów, a następca Jermołowa. Mamonow, pomimo cesarskich łask, nie wytrwał długo w objęciach staruszki. Imperatorowa, uczuwszy małą żarliwość kochanka, wspaniałomyślnie przyłożyła rękę do małżeństwa jego z młodą i piękną księżniczką Szczerbatow. Mamonow był w siódmym niebie. Małżonka jego ciekawa, a on sam chętny do humorystycznych uwag o spóźnionych sentymentach carycy. Pani Mamonow tak pikantnych opowieści nie chowała dla siebie. Moskwa, gdzie Mamonowie zamieszkali, pokładała się ze śmiechu, powtarzając sobie tajemnice „toaletowe” władczyni. Za Moskwą zachichotał równie serdecznie, choć dyskretniej Petersburg. Katarzyna II posiniała z gniewu. W tydzień później naczelnik policji moskiewskiej otoczył w nocy dom Mamonowów i w towarzystwie sześciu kobiet wszedł do sypialni przerażonych małżonków. Mamonow został przez kobiety związany, a żona jego rozebrana do naga, rozciągnięta na ziemi i ćwiczona do krwi przez drabów, niezręcznie kobiety udających. Po tej operacji naczelnik policji skłonił się Mamonowom i okazał im rozkaz

cesarzowej, objaśniając, iż jest to jej odpowiedź na pierwsze plotki, za drugie może być katorga.

Panią Mamonow na pewno odbiegła ochota od wydobywania od męża tajemnic „toaletowych” imperatorowej, ale bezsilny gniew bodaj był dla niej większą karą od rózeg. Tych rózeg Katarzyna nie żałowała swemu otoczeniu nigdy, stąd pewność, iż niejedna z pohańbionych i posiniaczonych myślała o krwawym odwecie. A nadto imperatorowa igrała miłością, odbierała innym kochanków, a właściwie kazała im się kochać. Więc i stąd mogły począć się noże. Ze zgonem imperatorowej kończą się rządy kobiet na tronie rosyjskim, kończy się panowanie cudzoziemek, a z nimi typ utrzymanków, świetnie przezywanych po rosyjsku „wremieńszczykami”. Kończy się nawet do pewnego stopnia zachłanność polityki rosyjskiej. Bo ten niezdrowy apetyt caratu, to ciągłe pożądanie nowych obszarów, nowych poddanych, ta chęć rusyfikowania całych narodów przy własnej ciemnocie, przy własnym obskórantyzmie, stoi w bliskiej niewątpliwie łączności z carycami.

Rosja była wszak wyssana, zniszczona, zrujnowana rabunkowymi rządami ludzi chwili, ludzi wyrastających dla kaprysu imperatorowej na książąt, na bogaczy. Rosja potrzebowała na to ciągłego odurzenia, ciągłej gorączki, ciągłego odwracania jej uwagi od własnej niedoli i Rosja co chwilę podejmowała wojny, latami je prowadziła i nie kończyła, a gdy wreszcie mogła rzucić kawał ziemi na pastwę swym urzędnikom i faworytom, mogła tłumić protesty w niewolę pędzonych, mogła rabować i konfiskować. Błędem byłoby rozumieć tu pod mianem Rosji naród rosyjski, bo ten na tym rozpychaniu granic sam nie zyskiwał, lecz tracił, bo tysiącami trupów musiał okupywać zdobywane prowincje, bo dał się tumanić hasłom pięści, bo dał się mamić zasadzie, że nie praca, nie własny dorobek lud bogaci, ale łupienie sąsiadów.

Ze śmiercią Katarzyny Rosja już coraz mniej miała do zabrania wokół. Faworytów wprawdzie zabrakło, wprawdzie już zabrakło takich Potemkinów, którego urzędowanie kosztowało pięćdziesiąt milionów rubli, a na drugie pięćdziesiąt milionów okradł skarb, lecz w zamian pokolenie filarów tronu rozrosło się na tysiące ssących polipów, na krocie pasożytów, złodziei i prostytutek płci obojga. Kto wiatr sieje ten zbiera burze – Aryman mści się. Ze śmiercią Katarzyny Rosja zaczyna okres przymusowej cywilizacji, tej cywilizacji, która nie dąży do podniesienia oświaty do wykształcenia duszy, ale tej, która ją czyni wyrafinowanym środkiem władzy oświeconego nad ciemnym, uczonego nad prostakiem, która sięga do zdeprawowania serc, do spaczenia myśli ludzkiej. Od Katarzyny spada na Rosją grad praw, ukazów, manifestów, reform – lecz i te prawa, i te ukazy, i te manifesty, i te reformy są tylko tym, czym zamiana postronka na powróz, powroza na rzemień, rzemienia na łańcuch żelazny, żelaznego łańcucha na stalowy, stalowego na niklowy... i tak do końca.

Płakać nad swoimi poddanymi, tylko o nich pamiętać i wyrzekać się dla nich wszystkiego, prócz samowładztwa, prócz przywilejów Iwana Groźnego, to dola i klątwa nie tylko monarchów rosyjskich, to ten sam sprawiedliwy gniew rzeźnika, dziwiącego się krnąbrności oprawianego cielaka. Już przecież oprawianego postępowo, po ludzku!

VII

Paweł I wstąpił na tron. Lewek, straciwszy trzy czwarte życia na zapasach z kratami klatki, na rozprawach z rozpalonym żelazem pogromcy, na snach o wolności, o pustyni bezbrzeżnej, o ciszy oaz, o zdobyczach, o walkach zwycięskich, spostrzegł naraz drzwi klatki stojące otworem i to wprost na dal niezmierzoną, na królowanie za mgły sięgające. Dał susa lewek i przystanął, i jeszcze raz spojrzał na klatkę mizerną, i zdumiał się, że ta nędzna krata tak długo zdała mu się potężną, i ruszył... Minęło dni kilka, lewek ustał nagle, raptownie i zamiast panować, zamiast grozą przejmować, ryczał jeno, szamotał się, aż przez nędzne hieny zagryziony został. Takim lewkiem był Paweł I. Paweł wstąpił na tron niby przeinaczony Szekspirowski Hamlet, niby mściciel wielkoduszny, bo do głębi ludzkiego sumienia zaglądający. Pierwsze rozkazy nowego cara zabobonnym lękiem przejęły cały dwór, zaprzeczyły wyobrażeniu o charakterze i zaletach umysłowych imperatora. Pierwsze rozkazy? Więc pogrzeb Katarzyny? – tak. Paweł zabawił się w Szekspira i w Hamleta zarazem. Krótko mówiąc, nakazał sprawić pogrzeb nie tylko Katarzynie ale i jej mężowi, Piotrowi III. Rozbito trumnę, zawierającą szczątki uduszonego cara, wystrojono kościotrupa w szkarłat, złotogłów i insygnia cesarskie, ustawiono obok wiejącego jeszcze za duchem życia obrzękłego trupa Katarzyny. I tak wspólnie sprawiono ceremonię. Nie byłoby tu jeszcze w tym rozporządzeniu Szekspira, gdyby nie okoliczność, że straż honorową przy trumnie Piotra III musieli pełnić Aleksiej Orłow i Bariatyński.

Morderców rozkaz carski mianował wyrazicielami żałoby. Widowisko było straszne. Setki tysięcy oczu wpijały się w każdy skurcz powieki zabójców, setki tysięcy oczu paliły godzinami czoła zbirów najemnych. A oczom tym przodowało spojrzenie melancholijne i sarkastyczne Pawła I – tak a nie inaczej spoglądałby Hamlet. Aleksy Orłow był zbyt wielkim łotrem, aby go coś innego ugiąć mogło niż łańcuch lub knut, twarz jego wrzała bezsilną wściekłością i obawą, aby go coś gorszego nie spotkało. Bariatyński mienił się, drżał, omdlewał. Petersburg był przekonany, że koniec pogrzebu będzie wyrokiem śmierci dla Bariatyńskiego i Orłowa (trzeci wspólnik Tiepłow już nie żył), że Paweł rozpoczął dopiero z nimi porachunek. Petersburg się zawiódł. Paweł jako Hamlet wytrwał – odsunął Orłowa i Bariatyńskiego od dworu i na tym poprzestał. W tym pomszczeniu ojca Paweł objawił niemałą szlachetność i sporą ilość mistycyzmu a bodaj uduchowienia i przejęcia się jakimiś teoriami o życiu pozagrobowym. I ten hamletyzm podniósł go w oczach poddanych – ale ten hamletyzm był zarazem tym, czym jest w istocie, granicą obłędu. Szekspir u tej granicy ma śmierć dla swego bohatera – Paweł miał dla siebie cztery lata panowania. Po pogrzebie nastąpiły reformy. Reformy zmierzające ku dobremu. Wypuszczono znów tysiące przestępców politycznych i ofiar faworytów Katarzyny; zapoczątkowano jakieś łagodzące prawa, przerwano kroki wojenne, zatroszczono się o budowanie szkół i uniwersytetów, słowem, naród rosyjski miał prawo znów roić o szybkim swym rozwoju, o zrównaniu się z Europą. Lecz ten powiew ożywczy był krótkotrwały, cesarz podlegał wybuchom potarganych na strzępy nerwów. Wizje i halucynacje ścigały go i na jawie, doprowadzały do rozdrażnienia, które nie miało na nic względów, dla nikogo szacunku. Paweł dokoła siebie widział samych spiskowców, samych morderców, konspiratorów, intrygantów i szpiegów. Jeden pucybut Kutaisow, wyniesiony na

koniuszego dworu, do godności generała lejtnanta i naturalnie obwieszony najprzedniejszymi orderami europejskich mocarstw, zachował względy cesarza. On jeden, ani tego pragnąc, ani umiejąc się troszczyć o swe wpływy, ani myśląc nawet dbać o wyższe stanowisko, kiedy już był bogaczem i przechodzącym swe pojęcie dygnitarzem, rządził, panował, miał posłuch i znaczenie. A te osobiste przywileje dawnego pucybuta były tym ciekawsze, że Kutaisow żadnego naprawdę urzędu nie sprawował, nie miał żadnych pod sobą sług, ani upozorowanego czy narzuconego tytułu władzy. Kutaisow trwał gorliwie przy funkcjach golibrody cesarskiego i był z siebie zadowolony. Nietrudno się domyślić, że dwór dokładał wszelkich sił, aby się pozbyć Kutaisowa. Nawet dyplomacja europejska uprzykrzyła sobie składanie czołobitności pucybutowi, który pozwalał sobie na poklepywanie ramion wizytujących go ambasadorów lub na przyjacielskie wykrzykniki w rodzaju – „No, łżesz coś bratku, ale bierz cię diabli, Kutaisow nie wilk, ty z nim dobrze, on z tobą dobrze”! Ale z Kutaisowem, a raczej z Pawłem I, była ciężka walka. O Kutaisowie nie wolno było źle się odezwać nawet żonie, nawet synowi, nawet kochance Nelidowej. Pahlen wytłumaczył faworytowi, że powinien usunąć Nelidową, bo ona źle o nim mówi cesarzowi i jest przyjaciółką Kurakina, do którego Kutaisow żywił swoją własną antypatię. Golibroda uwierzył i bez wysiłku wypędził Nelidową z pałacu. Naturalnie Bezborodko, Pahlen i Kurakow mieli pod ręką gotową i pouczoną dobrze kochankę dla Pawła w osobie szesnastoletniej dziewczyny, Anny Łopuchin. Kutaisow z całym zaufaniem „załatwił” schadzkę i zainaugórował nową miłość cesarską. Łopuchina była młoda, piąkna i dostatecznie cyniczna. Paweł był zachwycony swą kochanką, był tak dalece zachwycony, że w kilka dni, ojciec Anny nie znany dotąd Piotr Łopuchin, doczekał się bombastycznego ukazu

cesarskiego, ozdabiającego go mitrą książęcą... „za zasługi położone dla ojczyzny”.

To wyniesienie Łopuchiny poruszyło dwór, zwróciło ku niej twarze, jako do nowego słońca, zwiastowało tak upragnione runięcie golibrody. Nadzieje te zawiodły. Wpływ Łopuchiny musiał głowę kłonić tam, gdzie się zaczynał Kutaisow. Paweł nie dał ust kochance otworzyć na wyrzeczenie najlżejszej uwagi o pucybucie. I pucybut został. Rządy Pawła tymczasem z reform na rzecz rozluźnienia łańcuchów stoczyły się raptem na kraniec zakazów i ograniczeń. – Nie wolno nosić okrągłych czapek! – obwieszczał cesarz swoim poddanym. – Nie wolno sprzęgać koni po rosyjsku! – Nie wolno wpuszczać w granice państwa książek podejrzanych! – Nie wolno wpuszczać w granice państwa książek bez ocenzurowania! – Cenzurę się znosi! – Nie wolno żadnych książek z zagranicy przywozić! To „nie wolno” stało się hasłem wszystkich zarządzeń Pawła, a że rozgorączkowany, schorowany umysł cesarza nie miał chwili równowagi, nie znajdował w samowładnym ustroju żadnej tamy, żadnego hamulca, że miał w dodatku przywilej nieomylności głowy państwa – więc już nie zamęt powstał w Rosji, lecz tragikomiczny chaos, tym bardziej, iż w tych nie usprawiedliwionych, nie wytłumaczonych zakazach nie było żadnego logicznego ładu, że zakazy te znosiły się wzajemnie, kłóciły, przeczyły swemu założeniu i wydawały naród na łaskę i niełaskę siepaczy, wytwarzały tysiące spraw o czapki, o guziki, o uprzęże, czyniły twarde życie rosyjskie nieznośnym. Paweł zrywał się o czwartej rano. O piątej nie tylko przyjmował ministrów, ale i kopał ich. O północy alarmował gwardię, zarządzał przegląd rynsztunku i trzciny łamał na plecach oficerów. Te trzciny podobno najbardziej się przyczyniły do jego własnej zguby. Wicekanclerz po konferencji z cesarzem zaniemógł z powodu odebranych razów. A w tydzień później, gdy Łopuchina pokazała Pawłowi list pełen

wymówek i napomnień odebrany od cesarzowej, Paweł wpadł w szał. Wytłukł żonę w obliczu dam dworu i kazał zamurować wejście łączące jego sypialnię z sypialnią Marii Teodorówny. Dwór nie wątpił, że cesarz jest na drodze do obłędu. Zamach stanu wisiał w powietrzu, spiskowcy już stali w pogotowiu i nie tylko spiskowcy, ale i wrogowie cara. Więc przede wszystkim bracia Zubowie – dwaj ostatni kochankowie Katarzyny – usunięci od dworu, pogardliwie odprawieni. Płatona Zubowa odpędzono, jak się odpędza psa od ogryzanych kości. Waleriana Zobowa, udającego dowódcę wojsk przebywających w Prusach, spotkało nie mniejsze poniżenie. Oto wojsko otrzymało rozkaz powrotu, a natomiast wódz, będący w drodze, nie odebrał o tym żadnego zawiadomienia, żadnej dymisji urzędowej. Wykreślono go z listy urzędowej. Wykreślono go z listy generałów czynnych i na tym poprzestano. Za Zubowami stanął Pahlen, gubernator wojenny Petersburga. Pahlen nienawidzący Pawła I, marzący o przewrocie, jako o tej jasnej chwili, która mu da zakosztować władzy pierwszego ministra. Ci trzej zaplanowali zdetronizowanie Pawła I, zmuszenie go do abdykacji i osadzenie cesarzewicza Aleksandra, najstarszego z czterech synów.

Plan ten, wobec wzburzenia dworaków i wzrastającego niezadowolenia i szemrania narodu rosyjskiego, był do przeprowadzenia, ale i potrzeba było na to zgody księcia Aleksandra, gdyż spiskowcy inaczej nic by nie zyskali, a może nawet ucierpieli. No a żaden z nich nie miał ochoty kroić się ani na Ravaillaca ani na Brutusa. Był koniec roku 1800. W Paryżu huk maszyny piekielnej, godzący na życie pierwszego konsula zdawał się witać wiek dziewiętnasty. Dwory europejskie pokiwały głowami i westchnęły na oczywiste niedołęstwo baryłki wypełnionej prochem i petardami. To pobożne życzenie odbiło się i w Petersburgu i zrodziło chwilowy zamiar poprawienia systemu baryłki paryskiej i wypróbowanie jej na osobie Pawła.

Zresztą system wysadzania w powietrze nie był już w roku 1800 nowiną, bo matką jego i pierwszą pionierką była ta słodka, liryczna Maria Stuart, na cześć której i na chwałę Schillera tyle gorzkich łez już wylano i wylewać się będzie. Tak, Maria Stuart już w roku 1567 zainicjowała z późniejszym swym mężem Bothwelem podminowanie domku, w którym leżał jej chory pierwszy mąż Henryk Stuart. I próba się udała, Henryk Stuart wyleciał w powietrze dla pewności z całym domkiem. Były więc wszelkie szanse, że takie zdetronizowanie Pawła I mogło by się udać, lecz spiskowcy woleli iść na pewne, woleli mieć gwarancje, że nie będą wyciągali kasztanów z pieca dla kogo innego. Pahlen podjął się poselstwa do Aleksandra. Cesarzewicz miał skrupuły. Paweł kochał dzieci, dbał o nie, a choć im dokuczył i dokuczyć umiał, przecież one najmniej miały powodu do niezadowolenia. Namowy podobno trwały dość długo, zanim Aleksander dał spiskowcom upoważnienie do zamachu. Jak daleko sięgało udzielone pełnomocnictwo, poucza sam zamach.

Noc z dnia 23 na 24 marca 1801 została wybrana przez spiskowców na „zdetronizowanie” Pawła. Miejsce zebrania zostało wyznaczone u Płatona Zubowa. Zebranie zaczęło się wieczorem sutą ucztą, zakrapianą strumieniami alkoholu. Rej wodzili Pahlen, Zubowowie i generał Boenigsen. Resztę spiskowców stanowiła czereda oficerska, z rozmaitych pułków i oddziałów. Pito na zabój, na pohybel Pawłowi, na pomyślność Aleksandrowi, na królestwo niebieskie matce Katarzynie. Szczerość zapanowała taka, że jeszcze przed ukończeniem uczty doniesiono Kutaisowi o spisku. Kutaisow, który po nudnej dlań służbie, sam właśnie rozrywał się w wesołym towarzystwie – machnął ręką, schował do kieszeni listę imienną spiskowców i uznał, że dość czasu będzie nazajutrz. Ta zwłoka tłumaczyła się tym, że doniesienie nie było dokładne i być nie mogło, bo w istocie, prócz prowodyrów, nikt nie wiedział „kiedy” ani „jak”.

Większość uczestników zebrania u Zubowów oswajała się dopiero z myślą przedsięwzięcia zamachu. Przed północą, gdy głowy dobrze były rozpalone trunkiem – Płaton Zubow rzucił plan natychmiastowego napadu na pałac cesarski, pochwycenia Pawła i zmuszenia go do abdykacji. Spiskowcy osłupieli, było to coś, co przechodziło na razie ich pijaną odwagą. Nastąpiła chwila wahania, niezdecydowania, otrzeźwienia. Lecz tu czuwał Pahlen i z całą mocą uderzył w spiskowców zezwoleniem cesarzewicza Aleksandra, więcej niż zezwoleniem... bo rozkazem.

Skutek był piorunujący. Rzucili się do szpad, pałaszy i pistoletów. Podzielono się na dwie partie i stu ludzi ruszyło na tego, który był panem życia i śmierci stu milionów poddanych. Zamach był zaplanowany drobiazgowo. Przed Pahlenem, jako gubernatorem wojennym Petersburga, otwarły się bramy i furty pałacowe. Spiskowcy obstawili wejścia i mieszkania służby i uformowali kordon, odgradzający komnaty Pawła. Nigdzie nie natrafili na opór, bo nikt ze straży ani go śmiał stawić, ani uważał za potrzebne, zwłaszcza że widział przed sobą swych bezpośrednich zwierzchników. Po przejęciu wszystkich arterii pałacu przez spiskowców, Pahlen, trzej Zubowie: Płaton, Walerian i Mikołaj, stanęli wraz z generałem Boenigsenem przed drzwiami wiodącymi do sypialni cesarza. Dalej już tylko oni mieli iść. Nie marnowano czasu. Bracia Zubowie podważyli drzwi boczne do umywalni cesarskiej i świecąc sobie ślepymi latarkami wtargnęli. Młody, dyżurny kamerdyner cesarski, mający swą izdebkę na lewo od umywalni, na wszczęty hałas porwał się na równe nogi i jął wołać o pomoc, zagradzając sobą wejście do sypialni Pawła. Zubowie z Pahlenem rzucili się na kamerdynera. Czworo rąk wpiło się w szyję sługi, pałasz Płatona rozszczepił mu czaszkę. Trupa rzucono do izdebki za umywalnią. Krew jakby zastanowiła zbirów – lecz nie na długo – spojrzeli po sobie – nie czas było się cofać. Ruszyli naprzód...

Paweł zbudzony krzykiem kamerdynera wyskoczył z łóżka. Paweł nie miał złudzeń, był wszak synem Piotra III. Pierwszą myślą było ujść, schronić się. Cesarz rzucił się ku stronie, gdzie były drzwi wiodące do sypialni carowej, lecz te drzwi były z jego własnego rozkazu zamurowane. Pawła ogarnął lęk; szukał kryjówki daremnie... Tymczasem drzwi się otwarły. Do sypialni wpadły złowróżbne światełka latarek. Cesarz drżał w fałdach portiery okiennej... Spiskowcy zwrócili światło ku pościeli, a nie widząc Pawła osłupieli... I znów nastała chwila niepewności, wahania. Aż wszyscy pięciu, jedną tknięci myślą – zaczęli cara szukać. W kilka sekund siny z przerażenia cesarz wił się już w żelaznych rękach dwóch starszych Zubowów. Boenigsen jednak czuwał i zakrzyknął na kamratów. Pawła posadzono na krześle i podano mu pióro do podpisania zrzeczenia się tronu. Cesarz ani próbował się wzbraniać. Drżący, trzęsący się wziął pióro, lecz nie mógł go w ręku utrzymać... tak, że Boenigsen ujął cesarza za kiść i prowadzić musiał ręką. Cesarz przestał panować. Boenigsen z aktem abdykacji uciekł. Paweł został teraz z Zubowami i Pahlenem. Ci mieli z nim swoje porachunki. Mikołaj Zubow daje hasło, obrzucające cesarza karczemnymi wymysłami. Płaton z Walerianem wtórują mu. Pahlen wspomina razy wzięte od Pawła i policzkuje cesarza. Następuje scena piekielna, dzika, okropna. Pięści zbirów zamieniają twarz samowładcy wszechrosyjskiego w jedną krwawą ranę. Paweł jęczy, wzywa pomocy, wreszcie już tylko osłania się przed razami – już tarza się pod obcasami zbójów. Lecz ci syci są zemsty. – Skończyć! – komenderuje Pahlen. Płaton i Walerian Zubowie odpasują szarfy oficerskie, wiążą je w stryczki i zarzucają na szyję Pawła. Cesarz broni się z całym wysiłkiem, z całą rozpaczą mordowanego. Ostatkiem przytomności udaje mu się wsunąć rękę pod węzły stryków i tym uduszenie opóźnić... – Powietrza! Dajcie mi odetchnąć jeszcze! – bełkoczą posiniałe wargi. Płaton Zubow odpowiada

przekleństwem i ciśnie stryk. Mikołaj Zubow zamierza się pałaszem i odrąbuje zawadzającą rękę. Teraz już nie ma zwłoki. Płaton z Walerianem zapierają się nogami o piersi Pawła – i oto już leży i pławi się we krwi sponiewierany trup... Cesarz zamordowany – niech żyje cesarz! Siepacze odpoczywają. W skroniach łomocze im pytanie – co teraz? co dalej? Ale pośród tych wytrawnych łotrów jest młody, zadufany w sobie, Mikołaj Zubow. Co jemu? Drwi z braci, drwi z Pahlena, i do cesarza, do Aleksandra rusza z wieścią i z powitaniem go na tronie.

Mikołaj Zubow tak jak stał, ze śladami krwi cesarza Pawła, ojca, rusza do cesarza Aleksandra, syna. Aleksander czuwał, czekał na wieści. Gdy Mikołaj Zubow zwiastował mu śmierć ojca, Aleksander, według zapewnień kronikarzy, zemdlał. Kronikarze niektórzy idą dalej, bo dowodzą, że Aleksander dał pozwolenie na zamach, na zmuszenie Pawła do podpisania abdykacji, ale nie na mord; że Pahlen z braćmi Zubow dopuścili się zabójstwa na własną rękę, z własnej inicjatywy, że przekroczyli otrzymane od następcy tronu pełnomocnictwo. Czy frazesy te mogą jednak zaprzeczyć faktom, czy bodaj jedną kroplę krwi zmazują z rąk ojcobójcy? Czy Aleksander bodaj upozorował swą niewinność ukaraniem zbirów, niełaską lub oddaleniem ich od siebie? Na te pytania odpowiada zimna, nieubłagana historia. Zubowie, Pahlen i Boenigsen byli karierowiczami pospolitego gatunku, karierowiczami, dla których Paweł był zawadą, którzy nie tylko chcieli pomścić swe domniemane krzywdy, nie tylko zrzucić z tronu znienawidzonego monarchę, ale nade wszystko posiąść łaskawość następcy. Paweł z pewnością był na drodze do obłędu, był klęską państwa, ale i nie był gorszy od całej galerii swych poprzedników i poprzedniczek, a może lepszy lub uczciwszy, bo nie splamiony żadną zbrodnią. Ale nawet dopuszczając przymus detronizacji, nawet mord ten osłaniając całą argumentacją o potrzebie poświęcenia życia szkodliwej jednostki dla

milionów ludzi – nie można dojrzeć nic, co byłoby z idei, co tłumaczyłoby zwierzęcość zbirów, co nie pochodziłoby z egoizmu, z pobudek niskich, nikczemnych. A ludzie przecież tak podli, jak trójka Zubowów, Pahlen i Boenigsen, ludzie, którzy lizali przedtem stopy Pawłowe, którym razy trzciny cesarskiej były niczym, gdyby je okraszano złotem i zaszczytami, ludzie, których odwaga była desperacją tchórzostwa – tacy ludzie drżeć musieli przed zmarszczką nowego pana Aleksandra, tacy ludzie nie zrozumieliby nawet półsłówka, baliby się domyślnika. Historia Mirowicza, zbira Katarzyny II, nie była jeszcze zapomniana. Dlaczegóż Aleksander nie mógłby poświęcić Pahlena i Boenigsena? Spiskowcy o tym pamiętali.

Na ostatek – epilog. Bracia Zubowie po zgonie Pawła wrócili do łask cesarskich, odebrali najwyższe uznanie, powołano ich na członków Rady Państwa, obdarowano ich nadaniami, utrwalono na lata ich wpływy. Boenigsen z generała stupajki wyrósł na potężnego wodza, choć zawsze lichego generała, opływającego we wszystko, co berło ma dla swoich ulubieńców, mężów zaufania, filarów. Najmniej świetne były dalsze losy Pahlena, bo czy Aleksander powziął doń niechęć lub wstręt, czy Pahlen sam poczuł odrazę do dworu – dość, że oddalił się dobrowolnie ze stolicy i unikał cesarskiego otoczenia, lecz co ominęło Pahlena ojca, człowieka już podstarzałego, spadło na trzech jego synów, którym wstąpienie na tron Aleksandra I – otworzyło szeroko wrota do kariery. Jeden z historyków powiada o Aleksandrze I, że tego najmniej pragnąłby ujrzeć królobójcę. Niewątpliwie, monarcha ten objawił wszak tyle porywów szlachetnych, tyle mówił o dobrej woli, tyle rzekomo chciał dla swego państwa postępku, światła, powietrza i swobód, iż z żalem stawia się go w rzędzie tak ponurych satrapów, jak Piotr I, Katarzyna II czy Iwan Groźny. A może właśnie widmo ojca uczyniło Aleksandra tak marzycielskim, tak szczerze choć nieśmiało rojącym o wielkim, wolnym państwie rosyjskim? A może te

zalety Aleksandra były jedynie wyrzutami sumienia, pokutą, żalem, chęcią zmazania winy? I wina Aleksandra, wina straszna, gdyby zmazana została, to mimo wszystko tej okropnej karty historii ani wydrzeć, ani zniszczyć nie mogłaby. Smutny to miał być prognostyk dla dziejów dworu petersburskiego na wiek dziewiętnasty, a może i dwudziesty. Paweł I w rodowodzie panującego domu rosyjskiego jest twórcą nowej gałęzi – gałęzi nazywającej się Romanow – a mogącej mieć tylko roszczenia do nazwiska Holstein-Gottorp, bo przecież Paweł był synem oficjalnym Piotra III, księcia Holstein-Gottorp Niemca i Niemki, księżniczki Anhalt-Zerbst (Katarzyny). Ale gdyby oprzeć się na manifestach Piotra III, świadectwie Sałtykowa, wszystkich współczesnych dworaków i na koniec na zdaniu samej Katarzyny – to linia Pawła mogłaby się nazywać jedynie Sałtykow-Anhalt. Drażliwa ta nieco forma została umiejętnie osłonięta przez giętszych pisarzy – mianem „Pawłowiczów". Właściwością jej jest, że odtąd utrzymuje się w kolei następstwa i nie czyni zboczeń – i że w swym najbliższym środowisku, choć ściera się i walczy, jednak nie posuwa się do tak gwałtownych środków, jak Piotr I, Anna, Elżbieta, Katarzyna II lub drugi przedstawiciel wyżej wspomnianej linii, Aleksander I. Paweł pozostawił czterech synów i pięć córek – więc założył podwaliny do nie lada dynastii. Aleksander I był najstarszym synem Pawła, a ponieważ dzieci nie miał z żony swej Elżbiety Aleksiejewny (księżniczki Badeńskiej) przeto cesarzewiczem, następcą tronu został brat jego młodszy, Konstanty. Za Konstantym byli jeszcze książęta Mikołaj i Michał. Aleksander I otrzymał dosyć wszechstronne wykształcenie i to wykształcenie liczące się mocno z czekającym na chłopca tronem. Katarzyna II sama zajmowała się wyborem nauczycieli dla wnuka. Szczególnie Szwajcar Laharpe wpoił wiele dobrego w serce młodego cesarzewicza. Jednakże dwór Katarzyny II musiał wycisnąć swoje piętno na Aleksandrze, musiał zniewieścić go,

zepsuć, oswoić z życiem i użyciem zmysłowym. Aleksander I na swoje szczęście najmniej z braci był podobny do ojca, a może najwięcej do matki Marii Teodorówny, szkoda, że ciałem tylko. A że cesarzowa ta miała i głowę otwartą, i prawą duszę, świadczą napomnienia, które słała księciu Konstantemu na wieść, że cesarzewicz znów wojnę z żoną swą prowadzi i bryka zanadto. „Wierzaj mi synu – pisała carowa – iż tylko istotnie nasze cnoty mogą zniewolić nasz lud do wiary w nasze posłannictwo i wyższość, a taka wiara głęboka jest jedyną rękojmią spokoju i rozwoju państwa". Zasad tych nie wyznawał nikt zresztą prócz Marii Teodorówny – ani przedtem, ani potem.

Nie wyznawał ich i Aleksander I, lecz miał ambicję wielką, miał sztukę zjednywania sobie ludzi, umiał zachwycać swą skromnością, umiał śmiać się i płakać, i tęsknić, i w obłokach szukać natchnienia. Aleksander I był egzaltowany i był marzycielski. Był aktorem na sekundę nie zapominającym, że ma obowiązek zachwycić widzów, był tym aktorem, który nawet porwany rolą, pamięta i o peruce, i o dolepionej brodzie, i o pudrze trzymanym pod ręką a mającym w chwili bólu twarz mu wybielić. Aleksander I niekiedy ulegał drżeniom szlachetności i wspaniałomyślności, ale i w tych drgnieniach gonił za bengalskimi ogniami, przybierał pozy cezarowe, czyniąc wszystko to, z czym mu było do twarzy. Lecz Aleksander ten był promieniem, był błyskiem tęczowym w galerii ciemnych postaci wszechrosyjskich monarchów; był tym zbawczym światłem, jakim się staje najlichszy kaganek dla więźnia skazanego na całe lata nocy w wilgotnym ciemnym lochu. Ale Aleksandra niepodobna ani sądzić, ani mierzyć miarą Europy, bo niepodobna księżyca mierzyć słońcem, ani brzasku południem. Przeciwieństwem Aleksandra był brat jego, cesarzewicz Konstanty o twarzy uosabiającej brzydotę Pawła, o charakterze gwałtownym, instynktach dzikich, nieokiełznanych. Już

babka Katarzyna II nie lada kłopot miała z wybrykami Konstantego i Paweł I, i w końcu Aleksander nigdy nie był pewny, czy jego brat – następca tronu nie wypłata figla, uchybiającego już nie monarszej powadze, ale chłopskiej obyczajności. Ożenienie Konstantego z księżniczką Saską-Koburską, która miała utemperować cesarzewicza stało się tylko łańcuchem zatargów, sporów i dworskich skandali. Konstanty z żoną żyć nie chciał i nie godził się nawet na zachowanie pozorów wobec galerii. „Wybryki" Konstantego dochodziły aż do sławnych spacerów w pięknej uroczystej kurtce generalskiej i stosownym kapeluszu z piórami, ale boso i nago... aż do miejsca, gdzie zaczynała się kurtka. Pomysły wielkiego księcia były w ogóle niepowszednie i często ordynarne. Ale też Konstanty – w przeciwieństwie do Aleksandra – odebrał wychowanie zaledwie koszarowe, nikt o niego nie dbał, ani się nim zajmował, gdyż za życia babki i ojca nikt w nim nie przewidywał następcy, a gdy został następcą to znów nie wątpiono, że Aleksander będzie miał jeszcze syna, któremu Konstanty będzie musiał ustąpić miejsca. Stąd to zaniedbanie cesarzewicza, trwające jeszcze długo po objęciu rządów przez Aleksandra I.

Cisza i skromność znamionowała ceremonie odprawiane przy zwłokach Pawła. Grobowym milczeniem powitał naród rosyjski swojego pana. A i sam pan wyglądał na onieśmielonego, na skonfundowanego, na wstydzącego się rozkazywać, a może wstydzącego się zanadto podnosić głowę. Młody i silny tygrys, od dawna buntujący się przeciwko pogromcy, rzucił się na niego, powalił i jednym szarpnięciem pazurów wydarł nienawistne mu życie. Trup leży bezwładny pod łapami tygrysa, tygrys pianę toczy, czeka jeszcze na znak do walki, na zapasy śmiertelne... Martwe ciało stygnie... I tygrys cofa się w róg klatki i zezuje niepewnie i wstydzi się, że zwycięstwo przyszło mu tak łatwo, tak szybko. Spojrzenie

i zachowanie się Aleksandra w pierwszych tygodniach panowania miało coś z tygrysiego onieśmielenia.

Młody cesarz słuchał, spełniał rozkazy i czekał, czy jakiś sobowtór rodzica nie zjawi się przed nim i nie odegna go od tronu. Trup Pawła milczał i raz jeden podobno śmiał przemówić przez usta metropolity Płatona. Oto pod koniec azjatycko przesadzonych ceremonii koronacyjnych książę Walerian Zubow, jeden z morderców Pawła, biorący wyróżniający udział w imprezie, odezwał się do starca: – Wasza ekscelencja musi się czuć bardzo zmęczony. – Och bardzo! – odrzekł spokojnie metropolita, nauczyciel religii Pawła I – ale sądzę, że nie dacie mi znów po raz drugi tak samo się męczyć. Zubow poczerwieniał i odciął się hardo. – Nie ma obawy! „Ten” nie jest uczniem ekscelencji.

Koronacja nieco ośmieliła Aleksandra czy też przytłumiła jego zabobonny charakter. Młody car okadzony, wybłogosławiony, namaszczony olejami, wytarty najdrogocenniejszymi świętościami, uspokoił się i powiedział sobie – albo Boga nie ma i ja sam Bogiem jestem, albo Bóg jest, a więc oczywiście nie ma do mnie urazy, gdyż nie pozwoliłby mi być za pan brat ze swoimi symbolami. Panowanie Aleksander rozpoczął od reform i ulg. Więc znów zniesiono Tajną Kancelarię, choć ją już zniósł przedtem Piotr III – więc rozluźniono więzy cenzury, zatroszczono się o oświatę, poczyniono ustępstwa dla włościan, wyrzucono mnóstwo rupieci i śmieszności nagromadzonych w ustawach, prawach i przepisach – i nieomal że przygotowywano w Rosji grunt, na którym pod ręką cara dobroczyńcy zakwitnąć miało drzewo cywilizacji, wolności, szczęścia, pod którego rozłożystym cieniem cała Europa szukać mogłaby ożywczego chłodu.

Aleksander panował i Aleksander marzył. Roił o chwale Marka Aureliusza i Trajana, chciał być i Karolem Wielkim, i bajecznym Kalifem

z „Tysiąca i jednej nocy”. Marzył car, marzyła i Rosja – car łudził samego siebie i Rosję. Rosja łudziła siebie i łudziła cara. Te rozkoszne, piękne sny trwały krótko. Wojna święciła krwawymi festynami narodziny geniuszu Napoleona. Wojna dosięgła granic Rosji, Aleksander wdział zbroję, nałożył szyszak i rzucił się w odmęt bitew, koalicji i aliansów. I tu marzycielstwo go poniosło, lecz unosząc skazywało na śmierć setki tysięcy poddanych, niszczyło kraj, ubożyło, udaremniało jego rozkwit. Rosja w istocie nie miała żadnych korzyści w awanturowaniu się z Francją, nie miała żadnych sprzecznych z nią interesów i mogła była spokojnie przyglądać się Austerlitz i Jenie, i Frydlandowi, tym bardziej, iż nawet system kontynentalny dla tak mało morskiego państwa był zyskiem. Aleksander wszakże chciał zabawić się w rycerza trojańskiego. Więc przysięgał przyjaźń Austrii i brał razem z nią cięgi. Więc kastorem był dla króla pruskiego i wrogiem dla Bonapartego i znów cięgi odbierał, więc raptem szanował potężnego nieprzyjaciela, wodę na szpadę lał i szampana i ślubował Napoleonowi wojnę z Anglią, więc mścicielem całego świata się mienił i skazywał Rosję na ruinę, więc znów płakał w ramionach pruskiego Fryderyka i znów bolał nad „wielkim Korsykaninem” i jeszcze miał wzruszenie dla gwiazdy Burbonów i Agamemnonem na kongresie wiedeńskim się wydawał, i sprawiedliwość ludom wymierzał. Aktor był zadowolony z siebie i aktor był zadowolony z dekoracji, które mu służyły. Tu przyjaciel w Królewcu tulący uciekiniera, króla pruskiego. Tu znów w Tylży, przyjaciel Napoleona, a w swoim rozumieniu pan drugiej połowy tego samego lauru, noszącego nazwę „Napoleon Aleksander”.

Syn Pawła I nie spostrzegł, że tu mogła być mowa o Aleksandrze, ale chyba o Wielkim Macedońskim. Pole Możajska, łuny pożaru Moskwy, brama St. Denis w Paryżu, to przecież już nie lada tło dla nimbu. Ale aktor był nadto płytki, albo kulejący wobec talentu kapitana z Tulonu – a bodaj

i tuzina jego podkomendnych. Aktor czynił co mógł. Przepisywał Cezarowe odpowiedzi, mówił jak Cyrus i jak Solon i wzdychał niby Krezus. Starał się być Achillem, Hannibalem, Scipionem, Ksenofontem, aż zbladł, aż mu ze spoconego oblicza opadły szminki i aż wrócił, aby symulować odnowiciela a zostać tyranem. Rosja pokornie przeżywała „dies irae”, z pokorą rozumiała, że nie czas na reformy i zmiany, nie czas na porządkowanie izby, gdy pali się dach nad głową. Aż raptem zabrakło pobudek wojskowych, zabrakło okrzyków „ojczyzna w niebezpieczeństwie”, zabrakło i nieprzyjaciela, i wojen. Rosja odetchnęła i czekała, czekała długo. Reformy nagle ustały, uszy łaskawe na skargi i westchnienia ogłuchły. Rosja jęła słać carowi memoriały i czynić nieśmiałe propozycje. Daremnie Aleksander wzdychał, kiwał głową, a gdy memoriały w silniejszy uderzyły ton – cesarz-reformator rozpłakał się i przypomniał sobie o Sybirze, knucie i stryczku. Rosja podjęła rzuconą rękawicę.

VIII

Aleksander I marzył, olśniewał, łudził nie tylko dwór i poddanych, ale i samego siebie. Już w roku 1812 mówił do pani Staël z melancholijnym uśmiechem: – Ach, nie zdążyłem jeszcze dać Rosji konstytucji! – Najjaśniejszy panie, tyś sam jest najlepszą dla swego państwa konstytucją! Cesarz samodzierżca odrzekł skromnie: – Gdyby tak było – byłby to jedynie przypadek. I to głębokie, choć niemniej przypadkowe, orzeczenie Aleksandra rozeszło się wokół niego, znajdując szerokie uznanie, bo cóż mogło być wspanialszego w ustach monarchy nad szczere wyrażenie, że osobiste przymioty panującego nie mogą być opoką dla narodu, że szczęście poddanych musi mieć podstawy głębsze, dalsze, dłuższe nad jedno życie człowieka.

Ale to pewne, że gdy Aleksander słowa te wypowiadał, nie przypuszczał, że naród jego nie tylko dobrodziejstwa konstytucji pożąda, ale już zaczyna sam ku niemu wyciągać ręce. Dekabryści – nazwa powtarzana często, nazwa wywrotowców, stawianych obok nihilistów, a granicząca prawie z anarchistami, nazwa groźna, ponura, jawiąca się niby widmo narodzin krwawej Rosji, Rosji mściwej, podstępnej, zgangrenowanej niezdrowymi ideami, Rosji przerażającej cichego zachodnioeuropejczyka. Dekabryści, po prostu „grudniowy” kwiat inteligencji, zacności i szlachetności ponapoleońskiej Rosji, lilie wyrosłe na cmentarzysku ludzi i myśli, głos potężny i smętny, dźwięczny i rozmodlony, dumny i nieśmiały – głos męczeński, wołający – wszystko dla ziemi mojej, a nie dla mnie! Dekabryści poczęli się, jak się poczyna fala

morska, jak się poczyna odpływ po przypływie. Tu wzbiera morze, pieni się, na najwyższy szczyt rzuca swe białe bryzgi, a tam w niedosięgłym dla oka ludzkiego zamęcie już odpływ gra, już wzmagać się zaczyna. Pod gradem kul, pod uderzeniami napoleońskich bagnetów, w piekle okrzyków *vive l'empereur!*, w świetle łun pożarów Smoleńska, Moskwy i Lipska, w bohaterskiej ciszy zamilkłego pola Waterloo były narodziny dekabrystów, a raczej ludzi idei, ludzi nie wiedzących, że się dekabrystami staną, że dekabrystami ich zwać będą. Na biwakach armii rosyjskiej, przy obozowych ogniach gawędzono, wspominano dawne czasy, mówiono o ledwie co minionych, przyglądano się z bliska ocknięte kulturze zachodu, rozprawiano, ścierano się, kształcono wzajemnie.

Rewolucja Francuska, walka za swobodę Stanów Ameryki, hiszpańska wojna o niepodległość, wolnomularstwo, tajne związki niemieckie, rozpacz konającej Polski, echa szwedzkiego zamętu wewnętrznego biły tak mocno w pierś rosyjskiego żołnierza, że nie wytrzymał uderzenia nawet pancerz cesarskiego gwardzisty nawet giwer lejb-grenadiera. Bo i ten giwer i ten pancerz były tym dla duszy rosyjskiej, czym jest ściana kamienna dla słońca. Jasne promienie słońca nie są w stanie przeniknąć tej ściany, ale te ciemne, te grzejące, palące na wskroś ją przechodzą. I żołnierz rosyjski, wychowany w półbarbarzyńskim rygorze mody Fryderyka, zahartowany dyscypliną knuta, często batożony i policzkowany z lada powodu, trzymany na poziomie uczuć nocnego brytana, ten żołnierz drwiący z całą głupotą z wariactwa Polaków, mrących za jakąś idiotyczną konstytucję, ten żołnierz przemówił. Przemówił tak jak zefir letniego wieczoru, niosący w swym objęciu i oddech kwiatów polnych, i łzy róż, i westchnienie konających jaśminów i słodycz akacji, i sosen żywiczność, i łubinów łagodność, i zbożowych łanów urodzajną siłę. Zagadał o Dantonie i Maracie, o Lafayetcie i Waszyngtonie, o Palafaxie i o Moreau, o Robespierze,

o Ludwikach, o Wellingtonie i Blücherze, o 18 brumaire’a i o Trzecim Maja, o Kościuszce, o śmierci Pawła, o Tugendbundzie i o Andreasie Hofferze, o „Gwieździe wielkiego wschodu” i o „świątyni słońca”, o 14 lipca, o angielskiej Magna Charta, o Napoleonie, o Cambronnie... o Carnotcie...

I oto w głównej kwaterze drugiej armii rosyjskiej, tuż pod namiotem feldmarszałka Wittgensteina, dwaj bracia Murawiewowie, dwaj sztabowcy, gwardziści, pankowie, rzucają pierwszą myśl związku tajnego, związku dobra, związku miłości ojczyzny i miłości ludu. Murawiewom dość było wokół się obejrzeć, dość było rzec słowo, aby cały zastęp towarzyszy znaleźć. Nikt tu nikogo nie namawiał, nikt nie pouczał, nikt nie apostołował. Nowy sojusznik przychodził, łączył się i łącząc już tylko własne słyszał poglądy, własnych ideałów dźwięki, echa głosu własnej wiary. Armia rosyjska wracała po latach wojen, a gdy wodzom jej zdawało się, że dźwiga tylko zrabowane złoto i kosztowności, gdy wodzowie ci słusznie wstydzić się musieli łupiestwa swych „bohaterów”, nie wyobrażali sobie, że ci sami żołnierze dźwigają ponadto zdobycz, której po wiek wieków już żadna rewizja tornistrów im nie odbierze, żadna moc nie wydrze. Armia rosyjska niosła wnukom swej ojczyzny pochodnię, niosła sztandar na całej tej ojczyzny życie.

W Petersburgu głową i sercem stowarzyszenia został adiutant księcia Wittgensteina, Pestel, syn jednego z najsroższych generałów-gubernatorów Sybiru, syn półdzikiego despoty, którego pięść zgasiła setki istnień. Pestel był wychowankiem korpusu paziów, Pestel był dumą sztabu, był bogatym, przystojnym oficerem-gwardzistą, był już pułkownikiem i był republikaninem. Za Pestelem przystąpił do związku książę Trubecki, a dalej Bestużew, Kachowski, książęta Oboleńscy, Wołkoński i Golicyn, Szachowski, kniaź Briatyński i Rylejew. A za nimi wszystko, co się mieniło

przyszłością Rosji, co było jej chlubą, jej jutrem rzuciło się do Pestela, Murawiewów, Bestużewa i Trubeckiego. Skromne stowarzyszenie „Wszechdobra”, które powstało ze związku „Zbawienie”, rozrosło się na potężną organizację „Południową” i „Północną” i na „Zjednoczenie Słowian”. Co najciekawsze i najgodniejsze uwagi, że stowarzyszenia te nie miały w swych szeregach wydziedziczonych inteligentów, bo tacy nie byli jeszcze w Rosji znani, nie miały nic ani z proletariatu, ani nikogo z wrogów Aleksandra I, ani żadnego z przeciwników dynastii. Stowarzyszenia te ani myślały o terrorze, ani dyskutowały o zamachu, ani sądziły, by cele szczytne, wielkie, dały się osiągnąć środkami niegodnymi. I na koniec stowarzyszenia te marzyły o przewrocie drogą woli uświadomionych milionów, drogą uzdrowienia zgangrenowanych arterii państwowych, drogą obuczenia nawet w wyschniętej piersi ostatniego z czynowników uczuć obywatelskich, ludzkich. „Zjednoczeni Słowianie” szli już dalej, sięgali pewniej, logiczniej. Bo programem ich było sfederowanie w jedną, wolną republikę wszystkich szczepów słowiańskich, począwszy od Rosjan i Polaków, a skończywszy na Serbach i Bułgarach. Obok tych trzech wybitnych stowarzyszeń, nie brakło i drobnych prowincjonalnych klubów, w rodzaju związku dążącego do niepodległej Ukrainy, ale te uległy i milkły wobec haseł stowarzyszeń macierzystych. Co zaś już nie tylko jest ciekawe, ale wprost niesłychane, wszystkie tajne związki miały oczy zwrócone na cesarza Aleksandra, Wszystkie owe spodziewały się urzeczywistnienia swych rojeń i wszystkie propagandę swoją zwracały ku temu, aby urzędnik nie kradł i na złe nie obracał danej mu władzy, aby pan nie gnębił poddanych mu włościan, aby oficer szanował w szeregowcu człowieka, aby sądy przestały być sługami możnych, aby religia nie była narzędziem polityki, aby oświata coraz szersze zakreśliła kręgi. To skupienie się tajnych stowarzyszeń na osobie cesarza Aleksandra nie było pozbawione podstawy,

ponieważ Aleksander ciągle bawił się i nadużywał manii udawania liberała, ciągle wzdychał nad swoim ludem i raz po raz upewniał go, że dlań odrodzenie gotuje.

Między innymi historycznymi odezwaniami się Aleksandra i to nie ulegającymi wątpliwości, bo wypowiedzianymi publicznie w odpowiednio poważnej chwili, są słowa wyrzeczone na otwarciu sejmu polskiego w roku 1818 w Warszawie. Jak wiadomo, rozćwiartowana Polska, po dziesiątkach lat walk strasznych u boku Napoleona, zdołała na kongresie wiedeńskim uzyskać niepodległość na małym swym ułomku, które poddano berłu cesarzów rosyjskich jako „królów polskich”. Otóż, w początkach swych, to skurczone Królestwo Polskie bądź co bądź wróciło do swej autonomii i oddychało całą piersią. Aleksander brata swego, Konstantego, mianował dowódcą wojsk polskich, no i Aleksander bawił się w rolę „wskrzesiciela Polski” i króla „konstytucyjnego”.

Stąd na otwarciu sejmu polskiego, car z wysokości tronu nie tylko Polaków do serca przyciskał, ale kategorycznie oświadczył, że „da konstytucję i swoim rosyjskim poddanym, gdy tylko ci ocenią jej wartość”. Stowarzyszenia tajne miały zatem zadanie proste, uświadomić współbraci o wartości konstytucji, a resztę dokona wola cesarza. Stowarzyszenia nie przypuszczały, że jeszcze i w osiemdziesiąt lat po nich obywatele państwa rosyjskiego będą uznani za niezdolnych do rządzenia się konstytucją, że zachód Europy poczyta ich żądania za wygórowane, że ten sam Zachód, który wykształcenie swoje konstytucjom zawdzięcza, będzie szeroko rozprawiał nad „możliwością” konstytucji w Rosji. Jakby konstytucja była czymś innym, niż alfabetem ustroju państwowego, jakby ktoś mógł się nauczyć czytać bez znajomości alfabetu. Wykrętne to czy błędne mniemanie nawet nie chce pamiętać, że ta sama ciemna, surowa Rosja do połowy XVI stulecia rządziła się wolą ludu, że ta sama Rosja miała

Republikę Nowogrodzką i Pskowską, które istniały i kwitły przez siedem stuleci! Że Rosja przez zamachy stanu Piotra I, od wieców, narad bojarskich i woli ludu stoczyła się na dno samodzierżawia, że ta sama Rosja, biorąc przykład z wolnej, sąsiedniej Polski umiała jeszcze Iwana Groźnego zmusić do składania przysięgi „w ręce ludu" na placu Radnym w Moskwie, że ta Rosja autonomię miała wówczas, gdy Zachodowi o tym się nie śniło! Europa woli o tym nie wiedzieć, zachwyca się posłannictwem Piotra I i co najwyżej dziwi się jego oryginalności.

Oto jak powiedzieliśmy, Piotr I zesłał na Sybir i kazał skatować knutami nawet dwa dzwony wiecowe. Dzwony te do dnia dzisiejszego są na zesłaniu w Tobolsku. Wina tych dzwonów polegała na tym, że uderzyły na trwogę zagrożonych swobód, że wzywać chciały do buntu przeciw tyranowi. Niewątpliwie tajne stowarzyszenia wiedziały o dzwonach zesłanych i o dacie powstania samowładztwa rosyjskiego, ale wierzyły Aleksandrowi I i czekały. Tymczasem sprawa następstwa tronu, pomimo że cesarzewiczem był brat Aleksandra, wielki książę Konstanty, przybrała około roku 1819 zgoła niespodziewany obrót. Wielki książę, który na stanowisku wodza wojsk polskich mieszkał w Warszawie, zakochał się w pięknej szlachciance Joannie Grudzińskiej. A był to wypadek doniosły, gdyż dumna Polka ani myślała pokusić się o tytuł metresy cesarzewicza i zająć stanowisko baronowej Fryderyka. Konstanty, porwany miłością, zażądał od brata nie tylko zezwolenia na rozwód ze znienawidzoną żoną, ale i na zaślubienie Grudzińskiej. Między Petersburgiem a Warszawą wszczęła się gwałtowna korespondencja. Carowa matka i Aleksander zaklinali Konstantego, aby opanował uczucie, aby wyrzekł się związku, który musiałby być uznany za morganatyczny i co do potomstwa swego wydziedziczony. Wielki książę z całą gwałtownością swej dzikiej, nieokiełznanej natury trwał przy swoim i nalegał. Aż nadeszło

z Petersburga zezwolenie, ale zezwolenie zawarunkowane tym, iż Konstanty zrzeknie się tronu na rzecz młodszego swego brata, Mikołaja, dopiero co ożenionego z Karoliną, córką króla pruskiego.

Wielki książę ani chwilę nie wahał się poświęcić czapki „monomachia" dla ubóstwianej Joanny. Małżeństwo Konstantego z Grudzińską, której cesarz nadał tytuł księżnej Łowickiej, odbyło się w roku 1820, a w dwa lata później prawa do tronu przeszły na księcia Mikołaja. Ta zgodnie załatwiona zmiana zeszła się wszakże już ze zmianą drugą, donioślejszą może dla Rosji, bo ze zmianą liberalnych intencji Aleksandra. Przyjacielem i powiernikiem cesarza został Arakczejew, despota i czynownik. Aleksander zresztą nie dlatego ulegał wpływowi Arakczejewa, żeby ten ostatni imponował mu siłą swego przekonania, ale po prostu, że jemu takie uleganie dogadzało.

Nowy prąd rządu zaczął się od zaaresztowania całego słynnego siemionowskiego pułku gwardii i osadzenia go w Twierdzy Pietropawłowskiej. Pułk ten, biorący udział w zamachach dokonywanych przez carów Rosji był „popsuty", „pewny siebie", „chwalący się znajomością nawet matuchny Katarzyny" a na koniec „mocno rezonujący". Aleksander, chcąc go upokorzyć, dał mu za dowódcę zdziczałego Niemca, Szwarca. Szwarc w ciągu kilku dni skazał całą pierwszą rotę na więzienie. Za tą rotą ujął się cały pułk. Siemionowcy razem z oficerami zostali rozpędzeni na cztery wiatry, szeregi zaś siemionowskiego pułku sformowano na nowo z ludzi wybranych z innych pułków.

Tuż za tym wydarzeniem spadł na Rosję rozkaz cesarski zniesienia lóż masońskich i rozwiązania wszelkich stowarzyszeń i klubów, nawet sekciarsko-religijnych. Zanim Rosja zdążyła się oswoić z tą zmianą frontu, już czasopisma odebrały ostrzeżenie, aby nie tylko nie ważyły się pisać nic o konstytucji, ale nawet imienia jej wspominać. W odpowiedzi na te

gwałtowne odruchy samodzierżcy, posypały się do stóp tronu najpoddańsze prośby i przedstawienia. Aleksander ogłuchł nagle, bo jak mówił poeta – „szlachcie nie wierzył, a ludu nie znał”. A ponieważ prośby te coraz częściej wspominały, że Polacy pod dobroczynnym płaszczem konstytucji rozwijają się, szybko goją swe męczeńskie rany, car już i na to królestwo krzywym okiem zaczął spoglądać i konstytucję czynić zależną od swego humoru.

Po tych lojalnych protestach i szczerych wypowiedziach nastąpił nagły zwrot. Głosy doradcze umilkły. Tajne stowarzyszenia zaczęły zastanawiać się nad pytaniem: – Co należy uczynić w razie powodzenia, z członkami rodziny cesarskiej? Gdy jedni proponowali wygnanie, drudzy więzienie, trzeci troszczyli się o rentę dla cesarza i książąt, inni jeszcze obstawali, aby ich w pałacach zostawić, Pestel tylko miał odwagę powiedzieć: – Rodzinę cesarską należy zniweczyć! Okrzyk grozy powiał oświadczenie Pestela. Tajne związki marzyły wciąż jeszcze i ledwie rozumiały, że przewrotu trzeba dokonać bez Aleksandra. Paryż wrzał w roku 1820 echami mordu popełnionego przez Louvela na księciu de Perry. Paryż rozniósł wieść o zamachach na księżnę Berry, na słynnego „garde de corps Moucharda”, na księcia Deci~es. Petersburg zaś, ten siecią sprzysiężonych pokryty Petersburg, oburzał się i potakiwał zgrzytowi ostrza, ucinającego Louvelowi głowę.

Aleksandra tymczasem ogarnęła jakaś mania prześladowcza, jakiś gorączkowy niepokój, obawa przed zamachem, przed ręką skrytobójcy, obawa, jakiej w równym stopniu nie miał może nawet car Paweł I. Pomnożono szpiegów i żandarmów, otoczono Aleksandra łańcuchem pachołków, mur nieprzebyty wzniesiono między panującymi a poddanymi, ugruntowano znów bezkarność faworytów. Aleksandrowi i tych ostrożności nie wystarczyło. Donosy, raportowane mu starannie, a nie bez

wyrachowania budzące w samowładcy nieufność, powiększały rozdrażnienie, potęgowały niepokój cesarza. Aleksander nigdzie nie czuł się bezpiecznie, nigdzie pewny. Bał się ponurych komnat Pałacu Zimowego, nie dowierzał Kremlowi, strachem przejmowała go już i Warszawa, która coraz bardziej bronić chciała naruszonej konstytucji, a wypominała dawne swe granice. W kolosie wszechrosyjskim nie było dość zacisznego miejsca dla imperatora, dość niedostępnego dla chorobliwych wizji, dla zabobonnych lęków najpotężniejszego z panujących. I Aleksander jeździł, jeździł z krańca w kraniec. Mówiono, że gonił za chwilą uspokojenia i mówiono, że uciekał przed własnymi myślami. Mówiono, że car liberał, postępowiec, półfilozof, został mistykiem i mówiono, że car szukał w modlitwie ukojenia dla wrzącej w nim burzy. Jakoż pod czaszką imperatora rozgrywała się jakaś walka nieodgadnięta, niezrozumiała...

Czy niezrozumiała? Aleksander nie tylko się modlił, ale w listach swych do Arakczejewa nade wszystko do Boga się odwoływał, a gdy Arakczejewowi zabito kochankę, Anastazję Szumską, car wzywał archimandrytę Fotia, aby ten, przy pomocy Wszechmogącego pocieszył Arakczejewa. I car w zakończeniu prosił rzewnie, aby archimandryta i jego, Aleksandra, nie pominął w modlitwach, aby mu błogosławieństwo przesłał. Listy te noszą datę jedną i tę samą, dnia 30 października 1825 roku. Podróże cesarskie tymczasem niszczyły i ubożyły kraj, bo stan dróg w państwie rosyjskim jeszcze i dziś jest opłakany, a przed laty osiemdziesięciu, oprócz kilku taktów, nie miał nic wspólnego z pojęciem o drogach jako o wstęgach możliwie najprostszych, łączących wszystkie ogniska ludzkie danego narodu czy władania. Ówczesna administracja rosyjska, która te pierwsze, ubogie fundusze na utrzymanie dróg wyznaczone kładła, musiała zabiegać, aby nie być zdemaskowana. Stąd krocie ludu spędzano batami dla moszczenia drogi kawalkadzie cesarskiej,

dla umożliwienia Aleksandrowi wygodnego przejazdu, dla ukrycia przed nim nędzy i ruiny miast, miasteczek i wsi. Lud wył z udręczenia. Knut niewolił go do posłuszeństwa i lud pracował w pocie czoła, aby na dzień cesarskiego przejazdu nawet wyciętymi z lasu sosnami, lipami i dębami wysadzić trakt, aby każdy kamień wybielić, każdą piędź ziemi wysypać piaskiem.

Car był zachwycony ładem i carowi ani się śniło, że dość mu było przejechać... aby piękne drzewa spróchniały i zgniły, aby „droga”, sztucznie a prowizorycznie wymoszczona, zamieniła się w niemożliwe do przebycia wertepy. W końcu lata roku 1825, imperator przedsięwziął wyprawę na południe, nad brzegi Morza Azowskiego, a to rzekomo dla poratowania zdrowia cesarzowej Elżbiety. Wyjazdowi Aleksandra ze stolicy towarzyszyły szczególne okoliczności. Oto cesarz udał się do Aleksandro-Newskiej ławry i tu prosił o błogosławieństwo metropolitę Serafina. Dalej w ławrze wysłuchał nabożeństwa i to, według kronikarzy – żałobnego. Na koniec udał się od celi jednego z najstarszych zakonników, z którym długą odbył konferencję.

Aleksander, według kronikarzy, zdawał się mocno wzruszony tą konferencją. Cesarz wyjechał w połowie września do Taganrogu i tu, zainstalowawszy cesarzową, sam w dalszym ciągu jął bawić się objazdem Krymu. W końcu listopada Aleksander powrócił do Taganrogu, jakoby przeziębiony mocno. Lekarz przyboczny miał stwierdzić silną febrę. Do tych cierpień przyczyniły się niemało i alarmujące donosy generała Witta o istnieniu sprzysiężenia, nieogarniętego w rozmiarach, bo przejmującego wskroś całą armię. Donosy były jeszcze niejasne, ogólnikowe, ale zapowiadały już pochwycenie śladów spisku. Nowiny te miały wstrząsnąć do głębi cesarzem, pogorszyć mocno chorobę, uczynić ją groźną.

Aleksander zażądał spowiedzi i sakramentów. W kilka dni potem 1 grudnia skonał.

Cesarz Aleksander I umarł w Taganrogu w 1825 roku. Umarł, mimo opowieści o febrze, „nagle”, w pełni męskiego wieku, bo licząc zaledwie lat czterdzieści osiem. Ta niespodziewana, nieoczekiwana śmierć imperatora wśród współczesnych obudzić musiała pytanie, na co umarł cesarz, czy to istotnie febra rzuciła go w objęcia śmierci? I jeżeli współcześmi różne tu dawali odpowiedzi, to potomni stoją ciągle wobec zagadki, czy cesarz Aleksander I umarł istotnie w Taganrogu dnia 1 grudnia 1825 roku? A raczej, czy ze śmiercią Aleksandra I samowładcy umarł także i syn pierworodny Pawła I i Marii Teodorówny. Pytania te byłyby dziwne, gdyby nie dziwniejsze jeszcze świadectwa ludzi i rzeczy, gdyby nie dziwna tajemnica stanu, do której dotąd nie zdołano dotrzeć, a która bez wątpienia istnieje, która przetrwała, a której strzeże argus ambicji rodowych panującego domu. Faktem jest, że Aleksander był ojcobójcą; faktem jest, że pierwsze lata jego panowania lśniły iskrami dla swoich poddanych wszechdobra i wszechszczęścia; faktem jest, że wojny były dla Aleksandra oderwaniem się nie tylko od pracy twórczo-monarszej, ale i od myśli ciężkich, chmurnych; faktem jest, że koniec wojen napoleońskich i uciszenie się zgiełku kongresów, zjazdów i triumfalnych bram, powróciło cesarza tym myślom; faktem jest, że Aleksander łudził siebie i innych swym wielkim pragnieniem wyzwolenia uciemiężonych, bo wbrew opinii swych poddanych Europy, przeglądał się obojętnie mordowaniu Greków, walczących o niepodległość przeciw Turcji; faktem jest, że Aleksander mówił często o abdykacji, o życiu cichym, nowym, lepszym. Dalej znów faktem jest, że stosunek Aleksandra z egzaltowaną panią Krüdner wzmocnił budzący się w nim mistycyzm, podniecił wizjonerstwo, sprowadził każde

rozumowanie cesarza do samozaprzeczenia, spaczył utopijnym filozofowaniem.

Aleksander I na kilka miesięcy przed śmiercią, w Warszawie, nie wahał się namawiać brata Konstantego i jego żony, księżnej Łowickiej, aby porzucili marności tego świata i z nim razem udali się do Rzymu. Aleksander namalował tak żywymi barwami nowe życie, tak gorąco argumentował, tak dokładnie przedstawiał sposób wykonania projektu, że oboje księstwo ledwie obronić się zdołali. Następstwo tronu było załatwione, i to jak jeszcze! Wielki książę Konstanty, niezależnie od uroczystego zrzeczenia, wysłał Aleksandrowi w roku 1823 ponowny akt rezygnacji. Cesarz do aktu tego dołączył swój testament na rzecz Mikołaja i testament oddał pod straż radzie państwa. Aleksander był co najmniej przezorny. Dalej faktem jest, że na kilka miesięcy przed Taganrogiem cesarz odezwał się głośno do jednego z generałów – „wiem, że jestem otoczony mordercami i że godzą na moje życie” – i że raporty Witta ostrzegały, że samowładztwo wisi na włosku. I na koniec faktem jest, że po śmierci Aleksandra między Mikołajem a Konstantym rozegrała się osobliwa scena. Jeden i drugi przysięgli sobie wzajemną wierność. Jeden i drugi wyrzekali się tronu. A choć kurier z Taganrogu już po siedmiu dniach przywiózł Konstantemu do Warszawy wiadomość o śmierci cesarza, a Mikołajowi do Petersburga w dni dziewięć, przecież Rosja przez dwadzieścia pięć dni czekała na manifest Mikołaja.

Powyżej przypomniane fakty wieńczy ostatni. Mianowicie wkrótce po śmierci Aleksandra I, w Tomsku na Syberii osiadł tajemniczy pustelnik. Pustelnika brano z początku za jakiegoś znacznego rodu dekabrystę, ale podobno najśmielsze domysły władz naczelnych niewiele wiedziały o pustelniku Fomiczu. On sam milczał, badać go zaś było rzeczą ryzykowną, gdyż rozkazy ze stolicy wyraźnie zapowiadały najbaczniejsze

strzeżenie się wygnańca, obok najgłębszego dlań poszanowania. Fomicz zajmował odosobniony, skromnie umeblowany domek z ogródkiem. Udzielał się mało komu, a z tymi, z którymi się zetknął, starannie unikał wszelkich rozmów, mogących rzucić światło na jego przeszłość. Jeden z gubernatorów tomskich, sam zainteresowany tajemniczym więźniem, spróbował dochodzenia na własną rękę, ale go spotkało takie napomnienie z Kancelarii Jego Cesarskiej Mości, że ciekawy urzędnik omijał później jak najdalej sadybę tajemniczego Fomicza.

Mieszkańcy Tomska oswoili się powoli z wygnańcem, bo i od wieków nauczyli się patrzeć na książąt i najpierwszych dostojników, wlokących łańcuchy kajdan. A choć tym i owym osobliwością się zdało, że Fomicz odbiera niekiedy przesyłki przywożone przez cesarskich feldiegrów, lecz i o tym zaprzestano mówić. Dopiero, gdy cesarz Aleksander II, syn Mikołaja I, przybył (w roku 1857) do Tomska, a na drugi dzień po przyjeździe kazał się zawieźć do domku Fomicza i u tego ostatniego sam, bez świadków, chwil kilka spędził, wieść o pustelniku-starcu znów mocniej przemówiła, dała powód do nowych komentarzy. Około roku 1870 Fomicz umarł, a pochowany został według życzenia swego, w ogródku przylegającym do domu. Fomicz umarł przeżywszy lat dziewięćdziesiąt.

Życie Fomicza kryło tajemnicę nie lada. Ale ani jego pobyt w Tomsku, ani osoba nie miała w sobie nic takiego, czego by tam już nie oglądano, nie znano. Dopiero śmierć pustelnika miała silniejsze sprawić wrażenie. Osamotniony bowiem domek pozostał takim, jakim go zostawił Fomicz. Po dawnemu strzeżono go, po dawnemu ochraniano i naprawiano. Gubernatorzy zmieniali się, ale rozkaz z Petersburga, aby pustelni Fomicza strzec, aby ją zostawić nietkniętą, przetrwał. W roku 1893 następca tronu Mikołaj, a obecnie panujący cesarz, gdy w podróży swej po Syberii przybył do Tomska, nie pominął domku Fomicza, zwiedził go i modlił się przed

skromnym ołtarzykiem pustelnika. Od tego czasu pustelnia stanęła otworem i dla ciekawych. Zwiedzić ją można, można przeczytać skromny napis na kamieniu grobowym „Fomicz” i można oglądać w ołtarzyku nieboszczyka małą, srebrną ikoną. Ta ikona mogłaby podobno powiedzieć wiele, a kto wie, czy nie wszystko. Do niezwykłych okoliczności bowiem towarzyszących śmierci Aleksandra I dwór zaliczał zawieruszenie się małej, srebrnej ikony, z którą monarcha nieomal się nie rozstawał i która miała dlań jakąś szczególną, mistyczną wartość.

Czyżby ten Fomicz był cesarzem Aleksandrem I? Wieść z roku na rok coraz pewniej powiada „tak” i nigdzie nie znajduje zaprzeczenia, ani w datach, ani w wypadkach, ani w charakterze i zamiarach Aleksandra I. Imperator ten marzył od dawna o zaciszu, odosobnieniu, a może o pokucie. Imperator w Taganrogu nie tylko postrzegł ruinę swej równowagi duchowej, ale i przekonał się, że tron jego osunął się na brzeg przepaści, że frazesy ukazały poddanym wrota swobód, że brak woli i siły pogrzebał wszystkie jego carskie, dobre chęci. W Taganrogu był dla Aleksandra moment krytyczny, równie krytyczny jak wówczas, gdy w pamiętną noc czekał na wiadomość, że ojciec jego Paweł I abdykował pod zaciśniętym na szyi strykiem. Naród rosyjski zbliżał się do chwili, kiedy już nie chciał prosić o swobody, nie chciał dziękować za nie, lecz pragnął je sam zdobyć i sobie je zawdzięczać. Jedynym punktem wyjścia było śledztwo, więzienie, knut, katorga i miecz kata. Lecz środka tego Aleksander się obawiał, obawiał może dla swego sumienia, dla swej chorej imaginacji, potarganych nerwów i uciekł się do śmierci...

Czy śmierć ta była tylko polityczna, czy i fizyczna – była ona dla Aleksandra pożyteczna, zjawiła się w porę. Cesarz ten bowiem mógł już tylko burzyć, ale nie budować. Godne znaczenia jest, że lud rosyjski przez lat dziesiątki wytrwale wierzył, że cesarz Aleksander I żyje, że się ukrywa,

że baczy na wszystko i że wróci na tron, aby pomścić krzywdy i uciśnionych wyzwolić. (Tę legendę uwiecznił Tołstoj nowelą. Według tej noweli, Aleksander I był świadkiem egzekucji żołnierza skazanego na dwa tysiące pałek. Żołnierz po pierwszym tysiącu stracił przytomność. Egzekucję przerwano i zaniesiono biedaka do szpitala, gdzie, według zasady rosyjskiej miał wydobrzeć na to, aby drugi tysiąc pałek odebrać. Jednakże żołnierz umarł. Aleksandra I zdjęła jakby wówczas myśl o zamianie ról. Żołnierza zaciągnął do swej sypialni, a sam w łóżku szpitalnym poddał się kuracji, no i drugiemu tysiącowi pałek. Następnie ruszył na Syberię na dobrowolne wygnanie.)

Ta legenda wszakże bez istotnych danych nie miałaby wartości, bo cierpienie mużyków, ich nędza skłania ich ciągle do wiary w fantastycznych zbawców. Dość rzec, że w okolicach Moskwy po dzień dzisiejszy trwa sekta... „napoleonistów”. Sekta oddaje cześć boską cesarzowi Francuzów i ufa, że on wróci znów do Kremla, dla wytępienia zła i ustanowienia nowych praw. Puszkin scharakteryzował Aleksandra dwuwierszem: *Był wsio w darogie i umier w Taganrogie*. Słuszne orzeczenie! Aleksander I ciągle dążył do reform, do zmian, do wielkich zarządzeń, na żadnym nie zatrzymał się, bo mu się wydawało zbyt nikłe, aż w Taganrogu znalazł kres. A przecież mimo wszystko najmocniej pamiętać należy, iż Aleksander I nawet tymi frazesami, nawet tymi sekundami uniesienia, którymi tyle daremnych wzniecał nadziei, nawet tym swoim wrodzonym komedianctwem umiał rozjaśnić ciemne karty dziejów państwa rosyjskiego.

IX

Upozorowana czy prawdziwa śmierć Aleksandra I wywołała niespodziewany zamęt w sprawie następstwa tronu. Zamęt tym większy, że cesarzewicze Konstanty i Michał przebywali w Warszawie, Mikołaj zaś był w Petersburgu. I tym większy, iż mimo zrzeczenia się Konstantego, część dworu i wojska uparcie w nim widziała następcę tronu. Wyrazem tego uporu był już feldieger z Taganrogu, wiozący Konstantemu wiadomość o zgonie Aleksandra. Feldieger padł do nóg wielkiemu księciu i powitał w nim swojego cara. Konstanty wszakże nie chciał słuchać o tronie i wyprawił do stolicy kuriera do brata i cesarzowej matki, oświadczając, że trwa w postanowieniu, koronę odrzuca i nakazuje przysięgę Mikołajowi. Równocześnie Mikołaj, w Petersburgu, po długiej naradzie z matką, udał się do soboru i uroczyście przysiągł na wierność bratu swemu, Konstantemu. Zamieszanie udzieliło się całemu państwu. Gubernator moskiewski organizuje przysięgę senatorów na imię Konstantego, a metropolita moskiewski odmawia przyjęcia przysięgi, bo ona „nie ma sensu” ponieważ on wie o jednej bardzo ważnej tajemnicy, która czyni taką przysięgę bezcelową. Odpowiedź metropolity oburza generała-gubernatora. Następują spory i rozprawy, a na domiar metropolita nawet nie mówi nic o Mikołaju, jakby wprost wątpił o śmierci Aleksandra. Korespondencja między Petersburgiem a Warszawą nie ustaje, nie ustają obustronne zrzekania się korony, aż nareszcie Mikołaj decyduje się i zezwala na dobycie z Rady Państwa Aleksandrowego testamentu i wydaje manifest.

Manifest ten ukazał się jednak dopiero 24 grudnia, w dwa dni później był ogłoszony wojsku. Czyli że przez dwadzieścia pięć dni Rosja była bez cesarza. Tymczasem tajne związki patriotyczne, które pod przywództwem Pestela gotowały się do stanowczego kroku w przyszłym roku, 1826, zostały zaskoczone zarówno śmiercią Aleksandra I, jak i więcej może zdradą organizacji. Głowa spiskowców pułkownik Pestel był wówczas na południu Rosji przy głównej kwaterze Wittgensteina i stał na czele oddanego mu pułku, a oprócz tego wśród sprzysiężonych miał jeszcze sześciu pułkowników, gotowych na dany znak ruszyć ze swoimi pułkami. Pestel, choć od stolicy oderwany, umiał i tutaj powziąć plan śmiały i gotować do niego towarzyszy. A mianowicie doczekać się chwili przyjazdu Aleksandra na manewry, uwięzić cesarza razem z braćmi pośród wojska i ogłosić republikę. Plan ten wobec zrewolucjonizowania armii był pewny. Lecz ten plan znalazł Judasza w osobie kapitana Majborody, który doniósł o nim hrabiemu Wittowi, a ten zakomunikował go w Taganrogu. Donos nadszedł już po śmierci Aleksandra I i dostał się do rąk generała Debicza, tak, że równocześnie z wiadomością o śmierci cara pędził do Kijowa generał Czernyszew, słynny „eskamoter” planów Napoleona, aby Pestela i jego wspólników uwięzić.

W Petersburgu wówczas pierwszą osobą w związku był Rylejew. Rylejew poeta, marzyciel, zapaleniec. Rylejew przecież ani nie organizował, ani nie planował, ani nie obliczał sił na zimno, Rylejew roił, gorzał i pisał: *Życie za mój kraj położę... o tym wiem – wiem i czuję. I z radością, Wielki Boże, za ten wyrok ci dziękuję!*

Lecz nie jeden Rylejew pałał tą szlachetną dumą spodziewanego męczeństwa, miał ją w równym stopniu młody podpułkownik, idealista Sergiusz Murawiew-Apostoł... *Je passerai sur cette terre, toujours rêveur et*

solitaire, sans que personne ne m’ait connu. Ce n’est qu’à la fin de ma carrière que, par un grand trait de lumière, on verra ce qu’on a perdu.

W Petersburgu do sprzysiężenia należeli już nie tylko wojskowi, ale co najprzedniejsi urzędnicy. Związek miał w każdym odłamie władzy swoich stronników, a co najmniej sprzymierzeńców i to jakich sprzymierzeńców – kwiat inteligencji, kwiat lepszej części społeczeństwa, kwiat tego, co pragnęło się dźwignąć ponad płytkie karierowiczostwo, ponad lokajstwo. Sprzysiężenie było tak rozgałęzione, tak potężne, że aż słabe, aż ubezwładnione mnogością sprężyn. Dość powiedzieć, że na usługach spisku byli już nie tylko arystokraci ducha i rodów, nie tylko młodzież zapalna i lekkomyślna, ale i takie potężne osobistości, jak prokurator senatu Krasnokutski! Sprzysiężeni byli powiadomieni o wszystkim, co się działo w Pałacu zimowym, o każdym słowie wyrzeczonym przez kogokolwiek z rodziny cesarskiej, o każdym drgnięciu maszyny samodzierżawia. Oczywista rzecz, że w chwili takiego zamętu jaki powstał po śmierci Aleksandra, między sprzysiężonymi wszczął się gwar. Sposobność była tak wielka, tak kusząca, że niepodobna jej było pominąć. Owe przeczące sobie przysięgi, owo wyrzekanie się tronu i przez Mikołaja i przez Konstantego było atutem poważnym, było terenem, na którym nie tylko tak zorganizowany spisek mógł był się udać, ale i każdy dorywczy bodaj zamach wróżyłby powodzenie. Nadto sam plan działania był przez wypadki uproszczony. Bo zamiast prowadzić propagandę o dobrodziejstwach konstytucji, miast jednać stronników dla idei lub przelewać krew cesarskiej rodziny – starczyło podsycać umiejętnie zarówno stronników Konstantego jak i Mikołaja, a dopiero wśród walczących wnieść posąg swobód i u stóp tego posągu wzywać do stłumienia waśmi, do utrwalenia ładu.

Plan ten wśród sprzysiężonych znalazł jednomyślny poklask, ale planowi temu brakowało co najmniej Metternicha, jeżeli nie

Machiavellego. Plan ten niby był, ale dawał się unosić fali. Czas upływał szybko. Dnia 23 grudnia, a więc w chwili, gdy sprzysiężeni wiedzieli już o tym, że Mikołaj gotuje manifest o swym wstąpieniu na tron, książę Trubecki, pułkownik słynnego preobrażeńskiego pułku lejb-gwardii a w sprzysiężeniu dyktator, jeszcze nie był zdecydowany na żaden krok. Spiskowcy snuli najdziwniejsze i najromantyczniejsze projekty i nie mniej od swego dyktatora odwlekali decyzję czynu. Wahanie to nie miało nic z tchórzostwa, nic z chęci oszczędzania się, wynikało jedynie z głębokiego wstrętu do zbrodni i gwałtu, ze szlachetności uczuć, z pragnienia uniknięcia ofiar.

Noc 23 grudnia spełzłaby znów na niczym, gdyby nie Rylejew, który wpadł za sprawą listu podanego przez młodego Judasza – Rostowcewa, Mikołajowi. Treść listu znał już jutrzejszy cesarz, sprzysiężeni nie wiedzieli bowiem o tym, że Mikołaj miał w ręku raporty Witta, że Pestel już targał łańcuchami kajdan. Lecz i wiadomości Rylejewa starczyło, aby przekonać wszystkich, że dzień męczeństwa nadszedł. Sprzysiężeni stropili się, osłupieli. Rylejew podniósł głowę. – Jesteśmy zgubieni! Ale gińmy z bronią w ręku! Spiskowcy okrzykami zapału powitali wezwanie Rylejewa. Bez ociągania ułożono ostateczny plan.

W razie wezwania do przysięgi na rzecz Mikołaja, odmówić przysięgi i wyprowadzić gwardyjskie pułki na plac przed senatem. Tu zmusić senat do ogłoszenia manifestu, zwołującego Sobór Ziemski i do ustanowienia rządu tymczasowego. Reszta należeć będzie do soboru, bo on jeden ma prawo stanowić o formie przyszłego rządu i o losach rodziny panującej. Takie legalne traktowanie zamachu stanu, że nieomal naiwne, wydawało się sprzysiężonym więcej niż pewne, bo mieli na usługach tylu wybitnych ludzi. Na cóż rozlew krwi, na cóż mordy, gdy tu sama liczba rozstrzygnie!

Oni, przywódcy, są zgubieni, ba, zginąć muszą na starcie, ale niech ich ciała uścielą drogę rozkwitowi Rosji!

Dnia następnego książę Oboleński, adiutant dowódcy gwardii pieszej, postawił pytanie, ilu każdy ze spiskowych może wyprowadzić żołnierzy na plac Senatu? Odpowiedzi posypały się niejasne, niepewne... Nadeszła wigilia dnia 26 grudnia 1825 roku. Spiskowcy zebrali się po raz ostatni. Nazajutrz miała się odbyć w koszarach poszczególnych pułków przysięga na wierność cesarzowi Mikołajowi I. Obrady były gorące. Pułkownik Bułatow ręczył za lejb-grenadierów, Bestużew za pułk moskiewski. Inni według sił zobowiązali się zrewoltować wojsko. W razie niepowodzenia zrewoltowane pułki miały ruszyć z Petersburga w stronę Nowogrodu i szukać po drodze partyzantów. Już na rozejściu ktoś zagadnął: „A gdyby Mikołaj miał odwagę wyjechać przed zbuntowane szeregi?!” Młodemu Kachowskiemu oczy rozbłysły ponuro i warknął: – Trzeba go zabić! Rylejew ujął go za ramię. – Na Boga, to byłoby... straszne! – Lecz nieuniknione! – wybuchnął Kachowski – o sprawę idzie! Klnę ci się, że go zabiję! Rylejew umilkł. Przy rozstaniu Rylejew zwierzył się Bestużewowi, ten ostatni odciągnął Kachowskiego na stronę, aby odwieść szaleńca od zamiaru. Gdyby tej okoliczności nie potwierdził urzędowy protokół komisji śledczej, można by ją poczytać, w rozumieniu rewolucji, za farsę, albo za obłąkanie. Ale ta farsa i właśnie to obłąkanie może być miarą wielkości duszy dekabrystów. Nazajutrz sprzysiężeni zaczęli działać od samego rana. Cywilni poszli między lud, wojskowi czekali na przysięgę...

Aleksander Bestużew pierwszy i jedyny tylko wykonał więcej niż się zobowiązał, bo porwał, przy pomocy kapitana Szczepina, cały pułk moskiewski i wywiódł z koszar na plac przed senatem. Za Bestużewem, Konowicyn przyprowadził pułk lejb-grenadierów, którzy choć już zdążyli przysięgnąć Mikołajowi, ale dali się pociągnąć hasłu „niech żyje

Konstanty!” Za lejb-grenadierami przybyli marynarze gwardii. I to bodaj wszystkie siły, jakie nie zawiodły. W pozostałych pułkach bądź zdołano opanować bunt, bądź stłumić w zarodku i uwięzić burzycieli, bądź samym spiskowcom nie stało odwagi czy przytomności umysłu.

Na placu przed senatem tymczasem zawrzało. Za zrewoltowanymi pułkami stanęły masy ludu, wydającego okrzyki na cześć Konstantego i... „jego żony” Konstytucji. Bestużew, Rylejew, Gorski i kilkunastu ze spiskowców przewodniczyło i zagrzewało do oporu, ale zarazem czekało na dyktatora księcia Trubeckiego. Dyktator się nie zjawił, żaden z obecnych nie chciał brać odpowiedzialności, nie czując się upoważnionym. Jeden Rylejew nie wahałby się objąć dowództwa – lecz Rylejew był cywilem, nie miał ani powagi w wojsku, ani kompetencji wobec swych towarzyszy. Upływały godziny. Naprzeciw rokoszan zaczęły ustawiać się pułki utrzymane w karności. Nareszcie pułk konny gwardii ruszył do szarży, ale salwa moskiewskiego pułku osadziła go na miejscu. Położenie zaostrzyło się.

Generał Miłoradowicz rzucił się sam ku zrewoltowanym i chciał do nich przemówić, ale Kachowski ranił go z pistoletu a książę Oboleński dźgnął śmiertelnie bagnetem. Na placu przed senatem ukazał się Mikołaj I z bratem Michałem i świtą. Przybycie cesarza stłumiło pomruk idący już z „wiernych” pułków. Nastąpił moment przełomowy. Losy państwa rosyjskiego zależały od determinacji spiskowców. Jedna salwa karabinowa mogła zrzucić Mikołaja z tronu. Na domiar „wierne” pułki zaczęły do zbuntowanych nadsyłać przez tłum zapewnienia, że gdy wytrwają do nocy, to oni w koszarach niezawodnie się zrewoltują.

Mikołaj ocenił sytuację i z właściwą sobie bystrością pojął, że wystarczy jedno śmiałe zawołanie, aby „wierne” pułki przeciw niemu zwróciły ostrza bagnetów. Mikołaj czasu nie tracił. Sprzysiężeni natomiast

czekali na dyktatora, nie próbowali szukać osłony i obojętnie spoglądali na wysuwające się ku nim paszcze armat. Zrewoltowani żołnierze byli baczniejsi i ostrzegali cisnący się za nimi lud, aby uchodził, aby za ich bunt nie odpowiedział krwią. Armaty przygotowano. Mikołaj skinął na swego generała-adiutanta Suchozaneta. Rozległa się komenda. Armaty milczały. Suchozanet wpadł na najbliższego ogniomistrza: – Nie słyszałeś rozkazu? – To przecież swoi – wybełkotał ogniomistrz. – Pal!! Armaty huknęły. Grad żelaza runął na dekabrystów i na lud. Za pierwszą salwą poszła druga, trzecia, piąta, dziesiąta, póki kartacze nie zalały krwią placu przed senatem, póki prócz ciał poległych i rannych zabrakło im piersi ludzkiej do celu, póki ostatni wyrostek, zwabiony mundurami żołnierzy i niezrozumiałym dlań zbiegowiskiem, nie zdołał ujść. Kartacze w kilka minut oczyściły plac. Dekabryści, wystawieni na tak bliski ogień armatni, przeplatany salwami piechoty, ani marzyć mogli o oporze, byli zresztą bez dowódcy. Złożyli więc krwawą dziesięcinę i rzucili się za masami ludu do ucieczki. Na placu przed senatem zaległa cisza.

Wierne pułki biwakowały i zbierały całą noc ciała poległych, dla których grobem miały być przeręble wyrąbane w Newie. Zamach był stłumiony dla historii i dla historii skończony: dla dekabrystów był to jednak dopiero początek ostatniego aktu tragedii, a dla dziejów podziemnej Rosji pierwszy posiew krwi. Po pogromie na placu przed senatem nastąpiły gromadne aresztowania. Aresztowania nie wymagające ani sprytu policyjnego, ani zachodu. Sprzysiężeni nie myśleli o ucieczce, o ukryciu i pozwalali się brać z jakąś fanatyczną wiarą w potrzebę męczeństwa. To zachowanie się dekabrystów było równie bezprzykładne jak i sam „zamach”. Dość go rozważyć, aby się przekonać, że nie było faktycznego zamachu stanu, że spiskowcy nie próbowali uciec się do środków, przed jakimi nie cofał się ani Piotr I, ani Elżbieta, ani Katarzyna, ani Rewolucja

Francuska, ani senat rzymski. Rozumieli konieczność ofiar, ale tymi ofiarami postanowili być sami. Jeden może Pestel miałby dość zimnej krwi i stalowej woli do strącenia dekabrystów spod obłoków na twardą ziemię nieubłaganych konsekwencji każdej rewolucji. Ale Pestel był o setki mil od stolicy i był już więziony w Tulczynie, w głównej kwaterze księcia Wittgensteina. Gromada wiernych przysiędze oficerów chciała odbić Pestela, zdołała nawet wraz z podburzonym oddziałem wojska stoczyć jedną potyczkę, a echami buntu poruszyć cały Kijów, ale ostatecznie, znów działając bez przebiegłego planu, bez doświadczonego wodza, uległa.

A przecież dekabryści, gdyby chcieli, to już z jednym batalionem moskiewskiego pułku mogli opanować Pałac Zimowy. Wszak nie ma tronu łatwiejszego do obalenia nad tron samowładcy. Wszak samowładca stojący ponad prawem ponad wolą narodu, ponad religią tym samym co dnia jest na łasce i niełasce swego służbowego dowódcy warty pałacowej. Dość, aby ta warta zgładziła cesarza, dość, aby kto inny wdarł się na wierzchołek i aby machina dalej obracała swe miażdżące tryby. Tej prawdy historia Rosji tyle razy dowiodła, iż niewątpliwie znał ją każdy dekabrysta, ale dekabrysta był idealistą, był fanatykiem wielkiej miłości bliźniego, szafot, trybuna narodowego był mu droższy od stopni tronu.

Mikołaj I z energią zabrał się do wypleniania spiskowców. Członkowie wszystkich trzech związków – „Południowego”, i „Północnego” i „Słowian” – zostali wtrąceni do kazamat. W Petersburgu uwięzienie odbywało się w sposób szczególny. Sprzysiężonych odwożono najpierw na główny odwach. Tu sprawdzano tożsamość ich osoby, zdzierano z nich odznaki służbowe i skuwano im ręce na plecach. Tak przygotowanych odwożono do Pałacu Zimowego, gdzie cesarz obietnicami przebaczenia i groźbami sam próbował dobywać pierwsze zeznania. Następnie dopiero dekabrystę odstawiano na sankach do Twierdzy Pietropawłowskiej.

Zachowanie się sprzysiężonych wobec cesarza było różne. Ale słabych duchem było mało. Mikołaj hamował się, tłumił jeszcze wówczas swą nieokiełznaną gwałtowność, lecz i ta miała już swój specyficzny wyraz. Oto, gdy cesarz nie mógł ani wyrazu dobyć za stojącego przed nim podpułkownika Sergiusza Murawiewa-Apostoła, wpadł w furię. Zaczął tupać i pięścią grozić skutemu więźniowi. – Ja jestem twoim cesarzem! Ja jestem panem twego życia i śmierci! Murawiew obrzucił trzęsącego się z gniewu cesarza dumnym spojrzeniem i rzekł zimno: – Ty? Ty dla mnie jesteś tylko synem bękarta! Mikołaj rzucił się z furią na bezwładnego Murawiewa, powalił go i jął go bić i kopać. I kto wie czy Murawiew doczekałby się stryczka, gdyby nie marszałek dworu Benkendorf, który posłyszawszy hałas w gabinecie cesarskim wpadł i wyrwał nieszczęsnego dekabrystę spod nóg Mikołajowi.

W Twierdzy Pietropawłowskiej czekały na dekabrystów nie tylko kazamaty, ale i tak zwana komisja śledcza wybrana spośród oddanych Mikołajowi generałów. Komisja miała sformułować właściwy akt oskarżenia, a więc określić winę każdego ze sprzysiężonych i naturalnie pochwycić jeszcze tych, którzy dotąd uwięzieni nie byli. Komisja zabrała się do pracy z zapałem, z góry za zasadą postawiwszy sobie potępienie wszystkich. Dekabryści milczeli, a jeżeli mówili to wystrzegali się nazwisk. Komisja nie mogła oczywiście aprobować takiego oporu i usiłowała go przełamać. Zaczęły się tortury, obietnice, wezwania podstawionych popów do spowiedzi, przesiadywanie w kazamatach szpiegów, szukających zwierzeń, a nareszcie zapisywanie bezkrytyczne wszystkiego, co ktoś powiedział, lub czego nie powiedział, co w malignie wybełkotał lub co w bólu jęknął. Protokół komisji rósł szybko – tymczasem dwóch spiskowców skonało z wycieńczenia, dwunastu dostało obłędu, trzydziestu zapadło w melancholię. Mikołaj się niecierpliwił, Petersburg pomrukiwał

groźnie. Najprzedniejsze rodziny miały wśród dekabrystów swych synów, braci, ojców. Komisja śledcza zakończyła wreszcie swe prace w dniu 30 maja 1826 roku. 3 czerwca rozpoczął swe posiedzenie „Wysoki Sąd Kryminalny”. Sąd ten całe rozprawy sprowadził do odczytania protokołu i do żądania, aby oskarżeni podpisali swe zeznania, o obrońcach nie było nawet mowy. I sąd wydał wyrok, rozdzielający aż na jedenaście klas winy i jedenaście rodzajów kary. A więc pięciu dekabrystów skazano na ćwiartowanie, trzydziestu jeden na ścięcie toporem, siedemnastu na „wieczną” katorgę z ceremonią „polityczną”, to jest położeniem głowy na pień katowski, dwóch na „wieczną” katorgę bez takiej ceremonii, szesnastu na piętnaście lat katorgi i na zesłanie na Sybir, pięciu na dziesięć lat katorgi i na dożywotnie zesłanie na Sybir, ośmiu na sześć lat katorgi i na dożywotnie zesłanie na Sybir, piętnastu na cztery lata katorgi i na dożywotnie zesłanie na Sybir, osiemnastu na dożywotnie zesłanie na Sybir, ośmiu na pozbawienie praw stanu i trzydzieści lat służby prostego żołnierza.

Wyrok ten był przestępstwem, gdyż kara śmierci została zniesiona przez cesarzową Elżbietę. „Wysoki Sąd Kryminalny” nie uważał za właściwe zwracać uwagi na manifest prababki cesarza, może dla racji niepewnego rodowodu. I wyrok ten był dla wszystkich śmiercią, a tym najniezawodniejszą tam, gdzie mówił tylko o służbie prostego żołnierza, bo żołnierz ten był przeznaczony na Kaukaz, na walkę z rozpaczliwie broniącymi swej wolności Czerkiesami. Lecz ten niemiłosierny wyrok miał na celu dać tym większe pole do popisu nowemu monarsze. I monarcha przemówił z całą wspaniałomyślnością. Więc nade wszystko pięciu „największym” zbrodniarzom „pozwolił” łaskawie zmienić ćwiartowanie na stryczek – a wreszcie śmierć pod toporem złagodził „wieczną” katorgą, lub nawet skrócił lata katorgi, lub zamiast „wiecznej” męki, wyznaczył im

dwadzieścia lat. Natomiast w tym samym ukazie (z dnia 26 lipca 1826 roku) nie tylko wielu przestępcom potwierdził karę (jakby wyrok sądu nie wystarczał) ale jakiegoś biednego porucznika Cebrżkowa skazał na cięższą karę, bo trzydzieści lat służby żołnierskiej zamienił mu na dożytownie sołectwo na Kaukazie. Chyba niepowszedni to akt łaski. Rosja zatrzęsła się ze zgrozy – bo już i pięć lat katorgi i samo zesłanie na podbiegunowe jakuckie jurty było śmiercią i tylko śmiercią, bo i ten wyrok miał jeszcze zależeć od fantazji urzędnika, bo taki Batienkow, po wyroku skazującym go na katorgę, dwadzieścia lat czekał w lochu Twierdzy Pietropawsłowskiej zanim go wywieziono na Syberię, bo wyrok ten dosięgał ludzi noszących niezatarte ślady okaleczeń, przewyższających wyrafinowanie inkwizycyjnej tortury. Petersburg zawył na ten mord stu dwudziestu pięciu młodych ludzi, moralnych, nieskalanych, mających często za sobą już przeszłość dzielnych czynów i najpiękniejsze rokujących nadzieje. A wśród tych ludzi było ośmiu książąt, sześciu hrabiów, trzech baronów i kwiat rodzin bojarskich – i wśród tych ludzi było dwóch generałów i dwudziestu trzech pułkowników, a nie brakło ani sekretarza stanu, ani kamer-junkrów, ani wysokich urzędników cieszących się jak najlepszą opinią. Ale i Rosja i Petersburg byli bezwładnymi świadkami tego sądu, Mikołaj miał już bowiem zorganizowaną armię szpiegów i policji, już rzucił kamień węgielny pod system trzymania w karbach zachcianek narodu, już Aleksander Benkendorf piastował nową godność szefa żandarmów i budował (mający zasłynąć) Trzeci Oddział Carskiej Kancelarii i na tej drodze pracował na hrabiowską koronę. 14 lipca, dzień opadnięcia murów Bastylii, jasny dzień Rewolucji Francuskiej, dzień święta wolnej, wielkiej Francji, był w roku 1826 dla Rosji dniem triumfu Twierdzy Pietropawłowskiej, dniem wyroku dla dekabrystów. O świcie stu dwudziestu skazańców wyprowadzono pod strażą, zdzierano z nich mundury (w które im się ubrać wcześniej kazano)

i palono je, łamano szpady nad głowami więźniów, golono głowy i odziewano w siermięgi katorżników. Dekabryści ani drgnęli i spoglądali obojętnie na palące się mundury. Jeden Łunin, gdy mu odczytywano wyrok skazujący go na dwadzieścia lat katorgi odezwał się głośno do towarzyszy po francusku: – *Messieurs, la belle sentence doit être arrosée* – i spełnił, co powiedział. Dowodzący „ceremonią” generał Czernyszew doniósł natychmiast cesarzowi o zimnym zachowaniu się dekabrystów. Mikołaj, mimo że to była godzina trzecia po północy, czuwał. Po zoperowaniu wszystkich dekabrystów, Czernyszew kazał czworobokowi otaczającemu więźniów, ruszyć ku wyjściu z fortecy. Ale zaledwie kolumna uszła kilkaset kroków, jeden ze skazańców postrzegł cienie szubienic. Między dekabrystami rozległ się pomruk, a tuż za nim komenda francuska, aby wyrwać broń konwojującym żołnierzom. Czernyszew, który chciał więźniom zgotować piękne widowisko, a który znał dobrze język francuski, czego dowody dał przy kradzieży planu Napoleonowi, zrozumiał niebezpieczeństwo walki z rozpaczą i kazał czworobok zawrócić do kazamat. Równocześnie prawie pod szubienicami stali Pestel, Rylejew, Sergiusz Murawiew, Bestużew i Kachowski. Stali odważnie. Pestel zmierzył dumnie szubienicę i bąknął po francusku: „C’est trop”, Rylejew błogosławił Rosję i wierzył, że w dniu wyzwolenia nie zapomni skazańców. Murawiew tulił w obięciach płaczącego Kachowskiego, Bestużew milczał, a miał zaledwie osiemnaście lat, nie posiadał więc nawet prawnej pełnoletności do rosyjskiej kary. Pętle stryków założono – kat nacisnął sprężynę, na której stali skazańcy, opadła. Dwa ciała zawisły w powietrzu, trzy zerwały się i runęły między belkowania szafotu. Generał-gubernator Kutuzow, dowodzący szubienicą, natychmiast kazał nowe stryki założyć. Dobyto pokrwawione ciała oberwanych – byli to Pestel, Rylejew, Kachowski. Pestel nie jąknął, Rylejew szepnął smutnie – „co za

nieszczęście!” Kachowski był nieprzytomny. Podniesiono pomost, zasunięto pętle i po raz drugi oberwanych powieszono. Ale sznur Pestela był za długi, końce nóg nieszczęsnego przywódcy dekabrystów dotykały belki szafotu, miały na niej dość oparcia, aby powieszonemu wieki męczarni zgotować. A przecież Pestel miał dość tortur w kazamatach, wszak na głowie dwie krwawe obręcze znaczyły jeszcze uścisk pierścienia żelaznego, wszak nie żałowano mu ani węgli, ani kleszczy. W pół godziny medyk zaraportował Kutuzowowi śmierć. Ciała obcięto ze stryków. Pestel rzęził, nie dociekano przyczyny, na ciała czekały worki z kamieniami, wóz, dalej barka i fala morska. Lecz prócz zaprzysiężonych dekabrystów byli jeszcze żołnierze, był cały pułk moskiewski, byli lejb-grenadierzy, marynarze gwardii. Ci nade wszystko pierwszą dziesięcinę złożyli na placu przed senatem. A potem bez sądu i dochodzenia, bez wyroków i spisywania nazwisk, wybrano kilkunastu energiczniejszych i zatopiono na pełnym morzu. Potem jeszcze według uznania wiernych Mikołajowi oficerów, wyprawiono całą partią na Syberię, a resztki ustawiono nazajutrz na placu przed Pałacem Zimowym.

Mikołaj wyszedł ku winnym buntu, wyszedł w roli cara-ojca i zawołał pamiętne: – Na kolana! Nieszczęśliwi żołnierze, czując wiszący nad ich głowami stryk, padli na twarz przed cesarzem. I Mikołaj wspaniałomyślnie im przebaczył. Łaskawość cesarska rozległa się po całej Europie i huczała podobno jeszcze wówczas, gdy ci „ułaskawieni” ginęli jeden po drugim na straconych placówkach kaukazkich. Bo prawie wszyscy zbuntowani zostali powoli wytraceni. I ta podniosła tragedia mimo swego ogromu, przeszła niepostrzeżenie, przeszła cicho. Nikt się nad nią nie zastanowił, nikt ani przypuszczał, aby ona miała stać się posiewem pokoleń mścicieli. Dekabryści nawet nie zajęli dłużej Europy, nawet nie zdobyli u Zachodu szerszego współczucia. Oczy wszystkich zwrócone były na Mikołaja, on

był wschodzącą gwiazdą, on słońcem. Prawda bywa gorzka, ale zawsze jest droga uczciwemu sądowi. To, że daleki Zachód spoglądał obojętnie na rzeź petersburską, temu się trzeba mniej dziwić, ale że Królestwo Polskie równie obojętnie a nawet ironicznie rozprawiało o dekabrystach – to smutne. A niestety, współcześni Polacy, ci sami, co za parę lat mieli podnieść broń przeciw ciemiężcy, w pamiętnikach swych często najmocniej potępiają dekabrystów i wyrzekają się wszelkiej z nimi łączności, nawet duchowej. A przecież ci dekabryści w wielkiej swej idei mieścili owo piękne hasło „za naszą i za waszą wolność". Fatalność i otumanienie zrządziło, iż Polacy nie zrozumieli tego zawołania w roku 1825, Rosjanie zaś nie pojmowali go ani w roku 1830, ani w 1863. Sprzysiężenie dekabrystów było zgniecione do szczętu. Mikołaj w roku 1826 z dumą powiedział, że „Rosję wyleczył z toczącej ją skrycie gangreny", jakby można było knutem lub katorgą zdławić ducha, zgasić myśl. Mikołaj rzekł w roku owym „koniec!" – historia zaś potrząsnęła łańcuchami katorgi i odpowiedziała „początek!". I był to istotnie początek ruchu ludu rosyjskiego, a raczej pierwszy skutek działania wiekowej niedoli, wiekowego uciemiężenia. Ruch się objawił, więc musiał iść dalej. Musiał iść, bo ruch myśli ludzkiej jest ruchem ciała w próżni, a więc nie kończący, nie dający się zatrzymać, nie pozwalający się dosięgnąć sile ziemskiego przyciągania. Ruch ten można osłabić, idąc razem z nim, ruch ten można wykorzystać niby siłę wodospadu – ale ruchowi temu położyć tamy niepodobna, bo zabić można człowieka, ale nie myśl.

X

Panowanie Mikołaja I rozpoczęło się zdziesiątkowaniem tłumów na placu przed senatem w Petersburgu i dalej już toczyć się miało w tym samym kierunku dziesiątkowania wszystkiego, co zawadzało samowładczym zarządzeniom nowego cara. Aleksander I łudził swój naród półsłówkami, zachwycał, olśniewał swym liberalizmem całą Europę i do ostatnich chwil swego panowania nie miał dość woli, aby pokładanym w nim nadziejom szczerze zaprzeczyć. Mikołaj jeden nie próbował iść śladami bata, a jeżeli pobłażliwie słuchał z początku aluzji do konstytucji, do swobód, to czynił to raczej z rozwagi, nakazującej stopniowe zaciskanie obręczy, powolne nabijanie jej na kufę, aby ta ścisnęła tym trwalej. Zaledwie dwa lata minęły od wstąpienia na tron, zaledwie ostatnie echa podekabrystowskich ruchów stłumione zostały w Orenburgu i w Moskwie, Mikołaj I zdarł maską i rozpoczął swe despotyczne rządy.

Mikołaj I odebrał bardzo liche, koszarowe wychowanie, był przecież przeznaczony tylko do odegrania roli cesarskiego brata, tylko na synekurzystę manekina, mającego brać udział w paradach i rewiach. Mikołaj był więc ledwie wyszkolony na oficera niższej rangi. Gdy zrzeczenie się Konstantego zapewniło mu koronę, było już za późno na rozwijanie dojrzałego młodzieńca, a z drugiej strony młodzieniec ten nie objawiał pociągu do nauki. Mikołaj był z matki Niemcem, a przez małżeństwo swe z córką pruskiego króla sprusaczał, co znów pociągnęło obranie sobie za ideał Fryderyka Wielkiego. Ideał ten Mikołaj I pojął z najgorszej strony, a może tylko dla umysłu jego dostępnej, więc od strony

militaryzmu i ślepej karności. Rządy młodego cara skupiły się na żandarmerii, na policji i wojsku. Te trzy czynniki były powołane do utrwalenia samodzierżawia, te trzy czynniki na dziesiątki lat miały Rosję zamienić w niespożytej siły machinę państwową. Ta wytyczna myśl monarchy w samym swym początku znalazła istotne przeszkody w składzie państwa rosyjskiego, bo państwo to w roku 1826 zamykało w swych granicach dwa konstytucyjne obszary: Księstwo Finlandzkie i Królestwo Polskie. Pierwsze, wciśnięte w północno-zachodni skraj, z natury swego geograficznego położenia małą z Rosją miało styczność, drugie natomiast, będące jedynym traktem łączącym Rosję z Europą, musiało rozbudzać w Rosjanach konstytucjonalizm i utrudniać Mikołajowi tępienie go. Cesarz począł przeto bez ceremonii konstytucję polską gwałcić. Wielki książę Konstanty, człowiek tępy i ograniczony, mimo wpływu swej żony, księżnej Łowickiej, szedł za wskazówkami brata i na stanowisku dowódcy wojsk polskich pracował gorliwie a bezprawnie. Polska szarpnęła się i zawrzała niezadowoleniem, rozpoczynając destrukcyjną robotę przeciwko „królowi”. Konstanty, który po swojemu „kochał” Polaków, ani śmiał przypuszczać, aby Mikołaj nie pragnął ich dobra, był ślepym narzędziem terroru policyjnego, którym Mikołaj powitał utyskiwanych Polaków. Prowokacja samodzierżawcy doprowadziła do rewolucji w Polsce w roku 1830. Rewolucja zwróciła się przede wszystkim przeciw Konstantemu, gotując nań zamach podczas pierwszych rozruchów w Warszawie. Ale i ta sama rewolucja, uniósłszy się wspaniałomyślnością, nie tylko pozwoliła Konstantemu uniknąć śmierci, ale nadto pozwoliła mu bez przeszkód odejść z całą gwardią. Ta wspaniałomyślność ewolucji polskiej była podobno pierwszym i niepowetowanym dla niej ciosem. Konstanty, według wieści, uszedł jakoby po raz drugi śmierci, gdyż – według niektórych pisarzy – na krótko przed rewolucją, jeden z żołnierzy stojących na warcie

u drzwi gabinetu wielkiego księcia postanowił zabić ciemiężcę. Lecz w stanowczej chwili młodzieńcowi zabrakło woli do popełnienia mordu. Żołnierz zwrócił lufę karabinu do własnej skroni i padł trupem u drzwi wielkoksiążęcych. Rewolucja polska po zażartych bitwach, po półtorarocznym samorządzie, mimo całej sympatii Europy, została przez Mikołaja pokonana. Pogrom rewolucji był śmiercią polskiej konstytucji i rozciągnięciem na ziemie polskie samowładztwa. Rosja równocześnie traciła dech w żelaznym uścisku Mikołajewskiego systemu. Wybuchające wciąż wojny niszczyły ją, policja i żandarmeria deprawowały, gangrenowały, wódka i propinacje truły, ograniczenia i ucisk swobody wyznania budziły nienawiść nawet dla prawosławnego Boga. Car potroił armię, car zmusił całą nieomal Europę do podniesienia do kwadratu ciężarów wojskowych i car ciągle o zaborach przemyśliwał i zaborami gasił wewnętrzny rozwój państwa. Mało mu było ciągłych walk na Kaukazie, mało krwi, mało mordów polskich i litewskich. Ludność Rosji drżała ze zgrozy i przerażenia, nie ważąc się na słowo protestu, bo tam, gdzie jeden wyraz starczył, aby być wziętym na „wieczne” czasy (urzędowy współczesny termin) na prostego żołnierza, gdzie za guzik oberwany u munduru lub za niedozwoloną formę zarostu, winny brał setki pałek i knutów, gdzie syn był zaprawiany za młodu, aby umiał denuncjować ojca, gdzie judaszostwo było w obliczu cara jedynym dowodem wierności, tam nie było czasu na spiski, tam musiała rozpacz doprowadzić tysiące do zlania się w komunę, w żywioł zniszczenia. Mikołaj ani myślał zastanawiać się nad przepaścią, którą rył między tronem i rosyjskim ludem. Nieokrzesanemu monarsze, płytkiemu samowładcy starczyło, że pół Rosji umundurował, ogolił pod jeden strychulec i batem do jednej cerkwi zapędził – po nim zaś mógł być choćby i potop. Stąd nie tylko rok 1830, rok tak krytyczny dla Europy, ale i rok 1848 nie znalazł echa w państwie

rosyjskim. Wprawdzie policji rosyjskiej udało się i w roku 1830 wpaść na propagandę rewolucyjną Jastrzębskiego, a w roku 1849 pochwycić wici tak zwanego „spisku” Pietraszewców, wprawdzie obydwa procesy wypełniły żywymi ludźmi wymierającą katorgę dekabrystów, ale te procesy były może tylko świadectwem, że myśl w piersi ludu rosyjskiego żyje, że pracuje, snuje wróżby o przebudzeniu, ale jeszcze marzy tylko. Ale i te procesy, szumnie do miana politycznych zamachów podniesione, nic nadto nie ujawniły. Rok 1848 zaniepokoił jednak Mikołaja, wzmocnił wpływ żandarmerii i stanowisko Trzeciego Oddziału.

Mikołaj nie zawahał się, dla dania przykładu swoim poddanym, wysłać wojska na pognębienie powstania Węgrów przeciwko Austrii. Równocześnie w państwie rosyjskim reakcja wzniosła mury, byle do zarazy roku 1848 nie dopuścić. Mury te doszły do tego, że podano projekt zupełnego zakazu wyjazdu poddanych rosyjskich z granic państwa. Projekt ten rozważany szeroko w roku 1849 jedynie dzięki zamętowi wojennemu nie doczekał się cesarskiego podpisu. Szkielet jego i pouczające wywody, że w ten sposób Rosja raz na zawsze wybawiona zostanie od „importowanej z zagranicy” gangreny – przetrwał w archiwach na świadectwo Mikołajewskich rządów i na świadectwo, że wielki despota czuł, iż lada hasło może zagrzebać go pod gruzami tronu. Lecz i bez tego importu Rosja była już gmachem spękanym w chwili wybuchu wojny krymskiej. Cały system dyscypliny wojskowo-policyjnej ukazał swe zwyrodnienie. Wojnę wypowiedział cesarz, żołnierze się bili i ginęli, ale żaden żołnierz ani rozumiał, ani pojąć mógł, aby ta wojna była czymś więcej, jak prostym nakazem samowładcy, aby on, żołnierz, mógł pójść dalej niż bezduszna, obojętna, ustająca za lada drgnieniem kółka, machina. Cesarz sam z Petersburga prowadził wojnę, sam wydawał co chwila rozkazy i kontrrozkazy, pięściami bił nieszczęśliwych feldiegrów, którzy

mu przywozili hiobowe wieści, pluł w oczy oficerom ordynansu, bił po twarzach generałów, intendentów armii, ministrów, a nawet żandarmów. Gmach się walił, militaryzm policyjny Mikołaja ponosił klęskę za klęską, grom za gromem uderzał w stolicę. Dumny despota dochodził do szału, ogłupiał do reszty złych generałów, maltretował dostojników państwa za to, że byli takimi, jakimi ich chciał mieć. Aż w bezsilnym gniewie i pasji na hańbiące warunki pokoju – car otruł się. Otruł się ten, o którym po dziś dzień przetrwał czterowiersz Poleżajewa: *Kogda by w miesto fonaria, czto swietit tuskło w niepagody, powiesit despota – caria, to zablistał by łucz swabody*.

Mikołaj I był, po Pawle I, drugim dopiero cesarzem, który nie unurzał rąk we krwi królobójstwa, a który nadto sam wolał skrócić dni swego panowania. Ale ten sam Mikołaj był rewolucjonistą i spiskowcem najzagorzalszym, bo dokonał całego szeregu zamachów na wprost przyrodzone prawa swych poddanych, bo przeszedł niewątpliwie Piotra Wielkiego w pogwałceniu ustaw i samowoli, bo nie tylko zniszczył wszystkie ślady porywów Aleksandra, nie tylko przywrócił panowanie ciemnoty z czasów Elżbiety i Anny, ale nadto wzniecił prześladowania religijne. Tysiące unitów, katolików, protestantów, żydów i mahometan zapędzał nahajkami do prawosławnej cerkwi. Prawosawnym zaś pod karą „wiecznej” katorgi nie wolno było odtąd zmieniać wyznania. Nabożeństwa prawosławne stały się ceremoniami opiewania chwały monarszej. Nad spowiedzią i praktykami religijnymi czuwać zaczęli żandarmi. Sprawami cerkwi rządził pułkownik lejb-gwardii.

Dnia 1 marca 1855 roku wstąpił na tron syn Mikołaja, Aleksander II. Aleksander II urodził się w roku 1818, a więc w czasach, gdy ojciec jego nie był jeszcze następcą i gdy małego księcia rosyjskiego czekała podrzędna tylko rola cesarskiego kuzyna. Z tych przyczyn Aleksandrem II

nie zajmował się dwór i z tych przyczyn niewątpliwie Aleksander II w dzieciństwie swym uniknął zdeprawowania, spaczenia, tak łatwego dla pasowanych już w kolebce władców i z tych przyczyn Aleksander niejedną jasną chwilę dzieciństwa zachował i ostał się przesadzonej opiece, zamieniającej cesarzewiczów w anemiczne lalki. Dopiero przekazanie tronu Mikołajowi zwróciło uwagę na Aleksandra. Cesarzewicz oddany został w ręce wychowawców – generała Merdera, Uszakowa, a także i pisarza Żukowskiego. Pierwsi dwaj zabiegali, aby w następcy tronu wyrobić ideały militaryzmu żołnierskiego, ostatni – płytki choć nie pozbawiony szlachetnych porywów myśliciel, za hasło postawił Aleksandrowi wyrazy „wolność i porządek”. Jak sobie Żukowski poradził z tą osobliwą dewizą – nie wiadomo, jak ją pojął Aleksander – poucza historia jego panowania, będąca jedną wstęgą chwiejności, sprzeczności i niekonsekwencji. Aleksander II był ogłoszony następcą tronu dopiero w roku 1831, a więc w sześć lat po wstąpieniu na tron Mikołaja. Mikołaj bowiem miał zamiar przekazać koronę młodszemu synowi Konstantemu. Jeszcze za życia ojca między Aleksandrem i Konstantym wynikł spór o tron. Konstanty utrzymywał, że Aleksander, który przyszedł na świat w chwili, gdy Mikołaj był jedynie wielkim księciem, nie ma prawa do dziedzictwa, gdyż ono należy się jemu, jako urodzonemu już w purpurze. Ten spór nie ustał nawet po ogłoszeniu Aleksandra cesarzewiczem i był tak groźny, iż Mikołaj niezależnie od testamentu zobowiązał Konstantego uroczystą przysięgą do wyrzeczenia się korony.

Konstanty wierny przysiędze uległ i uznał cara w Aleksandrze II, lecz równocześnie stał się na dworze rosyjskim głową rodu Konstantynowiczów, książąt nie cieszących się względami panujących, książąt lubiących akcentować swoją wolnomyślność i skazanych na zupełną bezczynność i usunięcie od władzy. Aleksander II jako cesarzewicz musiał oczywiście

być ślepo posłuszny woli ojca, musiał całą swą inteligencję skupić na paradach wojskowych, mundurach i owej bezsensownej i śmiesznej karności i formalistyce, doprowadzającej państwo rosyjskie do tragedii z powodu niedopowiedzianego wyrazu, braku przecinka w manifeście. Pomimo to, Aleksander II jako cesarzewicz właściwie nie wiadomo dlaczego, obudził w narodzie otuchę, nadzieję, że przyszły cesarz poczynać sobie będzie inaczej, lepiej. Nadzieje te były tak wielkie, że Mikołaj I uznał za właściwe wydać rozkaz słynnemu Trzeciemu Oddziałowi Kancelarii Jego Cesarskiej Mości, aby nie spuszczał oka z następcy tronu.

Aleksander II był prawnukiem Katarzyny, księżniczki Anhalt-Zerbst, wnukiem księżniczki Doroty Wirtemberskiej i synem księżniczki Karoliny pruskiej, a z linii męskiej był wnukiem Pawła I, a prawnukiem księcia Holstein-Gottorp (Piotra III) czyli, usuwając nawet wszelkie „powikłania" odnośnie pochodzenia tych dwóch ostatnich, trudno byłoby w żyłach Aleksandra II doszukać się śladów krwi Romanowów. Mikołaj I umarł dnia 2 marca 1855 roku. Moskwa dopiero po trzech dniach dowiedziała się o śmierci, a w czwartym dniu wezwana została do przysięgi na wierność nowemu cesarzowi. W dniu przysięgi w Moskwie, w starej wieży Iwana oberwał się dzwon. Zabobonny lud rosyjski w zdarzeniu tym upatrywał złowrogą wróżbę dla nowego panowania. Cenzura rosyjska o niewłaściwym zachowaniu się niesfornego dzwonu nawet słowem nie pozwoliła wspomnieć, czym znakomicie spotęgowała znaczenie tego oczywistego prognostyku.

XI

Rok 1855, rok wstąpienia na tron Aleksandra II, w dziejach królobójstwa i mordów politycznych, był zwrotny, bodaj nie tylko dla samej Rosji, ale i dla całej Europy. Do roku 1855 wiek dziewiętnasty rozpoczęty zabójstwem Pawła I, przynosi zamach na Napoleona I (1800), mord księcia Berry (1820), mord Kapodistriasa, znienawidzonego despoty greckiego, na usługach Mikołaja I (1831), a dalej zamach na Ludwika Filipa (1835) i piekielną maszynę zgotowaną przez Feschiego, Pepina i Moreya. Lecz dopiero drugi zamach na tego ostatniego króla, wykonany przez Ludwika Alibaud (1836), może być poczytany za pierwszy czyn tak zwanego „anarchizmu”. Alibaud bowiem rzucił z szafotu harde słowa: „Umieram za wolność, za lud, za zniweczenie monarchii”. Choć słowa te przez współczesnych uważane były raczej za kredo republikanina, niż za hasło anarchisty. Rok 1844 przynosi zamach Tschecha na króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV, a rok 1850 gotuje temu królowi ponowny zamach Stefelogego. W dwa lata potem fanatyczny ksiądz Marcin Marino usiłuje zabić Izabellę hiszpańską, a w cztery Karol III, okrutny despota parmeński, pada na ulicy śmiertelnie raniony i umiera.

I oto cały plon królobójstwa do roku 1855. Oczywiście zamachów nieudanych było oprócz powyższych jeszcze wiele, bo takie lata krytyczne dla ustrojów państwowych, jak 1830, 1831, 1848, 1849 i 1851 musiały niejednokrotnie ku głowom ukoronowanym zwracać oręż spiskowców, ten jednak zawodził mocno, dawał się wykrywać zawczasu i nie miał dla siebie tak wielu desperatów jak Alibaud. A zresztą fazy przekształceń

państwowych następowały po sobie tak szybko, iż brakło czasu na wytworzenie dłuższej opozycji. Idealistyczne dzieła Anglika, Wilhelma Godwina, ojca anarchizmu, wpajały dopiero przekonanie, że ludzkość drogą prostego uświadomienia dojdzie do zniesienia państwa. Nadto Godwin raczej przepowiadał niż apostołował, był tylko prorokiem czy wróżbitą, ale nie agitatorem i był twórcą teorii, której nawet nie nazwał, która dopiero w następstwie miała być rodzicielką anarchizmu.

Dopiero od drugiej połowy XIX wieku ruch królobójstwa wzmaga się, a wzmaga się równolegle do potężniejącego ruchu umysłowego Europy. Rozwój nauk społecznych, gruntowne zastanowienie się nad dziejami Rewolucji Francuskiej, rzut oka wstecz na szalony skok uczyniony przez ludzkość na dystansie od roku 1770 do 1850, musiały podniecić pożądanie równie szybkiego postępu w ludach zapóźnionych, musiały nie tylko spotęgować dążność do osiągnięcia przez jednostkę największej sumy swobód, ale musiały skłonić ją do zwalczania przeszkód i zapór. Ruch ten stał się tak potężny, tak wszechstronny i żywiołowy, iż zniewolił wielu monarchów do pójścia za nim, iż zniewolił ich do zgodzenia się na rolę ludzi ponoszonych przez rozszalały prąd, iż porwał ich ku prawu, stanowiącemu nie o tym, co władca może ludowi dać, lecz co może od ludu jako pierwszy jego urzędnik uzyskać. Ruch ten sprawił, że każdy rok zwiększał przywileje poddanej jednostki, osłabiał władzę, skracał płaszcze gronostajowe.

Jakiż ruchu tego kres, lub jak się ma zwać pierwsza stacja tego ruchu? Na to pytanie usiłuje odpowiedzieć i socjalizm, i anarchizm. Pierwszy zdobył sobie już obywatelstwo i z rewolucji urósł na „wielką zdobycz myśli i etyki ludzkiej”, drugi dotąd skazany jest na błąkanie się w szatach wyrodnego syna, półszaleńca. Pierwszy wszedł w krew Europy, drugi jest ciągle pianą tej krwi. Pierwszy stał się chlebem powszednim ładu

i poczucia sprawiedliwości, drugi ciągle jest równie potępiany, jak i nie zbadany i nie ujęty w karby zwartych postulatów. Ale też pierwszy przede wszystkim ku najżywotniejszym i najbliższym zwrócił się sprawom, drugi zaś poszybował we mgły przyszłości. Pierwszy nie tylko od razu stanął do walki na śmierć i życie, ale i umiał zwyciężyć, drugi do dnia dzisiejszego miewa nie bojowników, ale tylko zapaleńców zrozpaczonych, oszołomionych ogromem idei, fanatyków.

Po Godwinie przyszedł Proudhon, a choć ten anarchizm już anarchizmem nazywał, choć pognębić swą teorią chciał Babuefa, St. Simona i Fouriera, lecz ledwie że zaznaczył potrzebę propagandy dla osiągnięcia ideałów anarchizmu. Aż dopiero Max Stirner, a dalej Bakunin i książę Krapotkin oświadczyli się za potrzebą rewolucji i terroru. I w tym miejscu nasuwa się pytanie, skąd naród rosyjski, skąd czasy Mikołaja I mogły wydać Bakunina, skąd w kraju, gdzie wyraz „konstytucja” wiódł na katorgę, mógł się począć książę Krapotkin, potępiający każdy najliberalniejszy ustrój państwowy, skąd na ziemi tak niedostępnej nawet dla codziennych zawołań zachodu Europy mógł narodzić się duch tak gwałtownie rwący naprzód? I skąd wreszcie w monarchii, do której lada świstek, zadrukowany śmiesznymi dezyderatami, nie ma wstępu, do której wszelki import płodów ducha ludzkiego skazany jest na wapno i karbol kwarantanny samowładztwa – mógł się począć tak silny eksport kierunków tak skrajnych.

Bo, że Anglia wydała Godwina, Francja Proudhona, Niemcy Stirnera, tego za nadzwyczajność poczytać nie można, bo kraje te tłumaczą się postępowością swych zabiegów reformatorskich. Ale jak Rosja stworzyła Bakunina i Krapotkina? Wszak tu nie talent, ani szczególny przypadek rozstrzygał, a jedynie stopniowanie cywilizacyjne. Skąd ludzie z ziemi,

uprawianej przez chłopów-niewolników, ludzie spod knuta mieli dość siły, aby nawet humanitarnej i wolnej Europie rzucić rękawicę?

Odpowiedź na to zawiłe pytanie jest łatwa. Anarchizm jest czymś tak gwałtownym, tak skrajnym, że trzeba dopiero takiej świadomości niedoli jak u Krapotkina, aby ku niemu się skłonić i za nim pójść i to pójść z dynamitem w ręku. Dekabryści zostali wytępieni, bo na rewolucję iść chcieli z rękami skrzyżowanymi na piersiach – potomkowie dekabrystów uciekli się do drugiej ostateczności, do mordów. Żandarmeria Mikołaja I nie rozumiała słowa „ludzkość”, gdy szło o przekonania polityczne. Żandarmeria Mikołaja zgasiła tysiące istnień – ale za to te, których nie dosięgła, rozpaliły się w łuny.

Rok 1855 w dziejach Rosji jest przede wszystkim uważany za rok narodzenia się nihilizmu i nihilistów. Co to jest, lub czym był ów nihilizm? Nihilizm – według prostej odpowiedzi encyklopedycznej – jest zasadą filozoficzną, odrzucającą wszelki wyższy, moralny porządek polityczny i społeczny, uznający jedynie wieczność materii i nieomylność badań doświadczalnych. Nihilizm jest zaprzeczeniem nie tylko prawa, władzy, państwa, ale i bóstwa. Nihilizm zaznaczył się tym, że dotąd nigdy żadną zwartą gromadą nie rządził, że był raczej chorobliwym i bezwiednym następstwem materialistycznego pesymizmu jednostki, niż ugruntowaną logicznie teorią stowarzyszenia. Skąd nihilizm wziął się w Rosji? Otóż tu następuje niespodziewana już odpowiedź: nihilizmu w Rosji nie było nigdy, a nihiliści rosyjscy nie mają żadnego związku i nie mieli nigdy żadnego związku z teoriami nihilistycznymi. Po prostu żandarmeria rosyjska, chcąc zarówno Europie jak i całej Rosji obrzydzić prąd, domagający się reform państwowych i to reform dawno w ościennych państwach wprowadzonych, nazwała go nihilizmem, a zwolenników tego prądu nihilistami, w czym uciekła się do konceptu Turgieniewa, który w jednym ze swoich utworów

nihilistami nazwał socjalistów a raczej inteligentnych proletariuszy. Nazwa nihiliści pochwycona przez prasę francuską, jako *mot du jour*, została rozgłoszona i zyskała sobie prawo obywatelstwa. Podczas, gdy ci nihiliści w swoim programie domagali się konstytucji, a nawet tylko zwołania przedstawicieli narodu dla przeprowadzenia nieodzownych reform. Jeżeli nihilizm ten w uczonych wywodach publicystyki europejskiej o utopii filozoficznej mógł niejednemu mieszczuchowi zatruć sen, to już niewątpliwie dla spokojnego obywatela państwa rosyjskiego stał się straszydłem o cechach zdeklarowanych i namacalnych.

Oto w roku 1865 policja rosyjska nareszcie urzędowo nawet zdefiniowała, jak wygląda nihilista. A więc, o ile jest kobietą – nie nosi krynoliny, strzyże włosy i chodzi w czapeczce futrzanej, o ile zaś jest mężczyzną – to nie strzyże włosów i chodzi w niebieskich okularach. ówczesny policmajster moskiewski, Arapow, rozesłał do swoich podwładnych taki cyrkularz: „Ponieważ daje się spotykać na ulicy osobistości ważące się nosić kostium właściwy nihilistom, przeto nakazuje się niniejszym zobowiązać zamieszkałych w pańskim cyrkule nihilistów do nienoszenia niebieskich okularów i okrągłych czapek, do strzyżenia włosów (u mężczyzn) i niestrzyżenia (u kobiet) i do chodzenia (te ostatnie) w krynolinach. W razie, gdyby nihilistka lub nihilista naruszyli zobowiązanie powyższe – wysłać ich w ciągu dwudziestu czterech godzin sposobem administracyjnym z Moskwy. Wszyscy członkowie policji upoważnieni są do aresztowania nihilistów dla wzięcia od nich pomienionego zobowiązania. Winni oporu mają być wysłani sposobem administracyjnym.”

Ten autentyczny cyrkularz Arapowa dostatecznie chyba maluje pogląd policji rosyjskiej na nihilistów. Koroną zaś tego poglądu było pouczenie ludu rosyjskiego, jaką zakałą jest nihilista. W dwa tygodnie po pierwszym

zamachu na Aleksandra II – po ulicach Moskwy prowadzono symbolicznego nihilistę. Policjant przedstawiający ową gangrenę był wystrojony w wielką, lnianą, rozwichrzoną perukę, w okrągłą czapkę futrzaną i jakiś pstry kostium. W ręku niósł dębową pałkę, a na nosie i czole miał aż osiem par różnej wielkości niebieskich okularów. Symboliczny „nihilista” wywijał od czasu do czasu pałką i ryczał ponuro: „Jestem nihilistą! Jestem socjalistą! Ojca rodzonego zabiłem! Matkę rodzoną zjem! W Boga nie wierzę. Wszystko spalę, wszystkich wymorduję!” Działo się to w roku 1865 w Europie.

Kimże byli ci tak zwani nihiliści rosyjscy? Nawet nie rewolucjonistami, nawet nie spiskowcami, dopiero w lat kilka przeistoczyli się w socjalistów, a w lat kilkanaście, z desperacji, uzbroili się w terror i rozwinęli w socjalrewolucjonizm. Nihiliści poczęli się z czasu, więc i z dekabrystów, i z bezprawia samowładnej policji, i prześladowań religijnych, i z Hegla, i z Marksa, i z Mille’a, i z St. Simona, i z roku 1848, i z mroków zaścielających Rosję, i ze światła bijącego z Zachodu. Nihiliści ani myśleli iść za Bakuninem, ten był im za daleki. Ojcem duchowym nihilistów stał się Hercen, syn moskiewskiego milionera. Hercen odebrał bardzo staranne i gruntowne wykształcenie, które wraz z podróżami otworzyło oczy myślącej duszy na niedolę współbraci i skłoniło do pracy nad ich wyzwoleniem. Śmierć ojca i osiągnięcie wielkiej fortuny było dla Hercena momentem deydującym. Hercen spieniężył majątek i osiadł w Londynie w roku 1854. W roku 1855 zaczął pisać, w dwa lata później ukazał się pierwszy numer „Kołokoła” (Dzwonu), w którym Hercen wzywał naród rosyjski do walki z absolutyzmem. „Kołokoł” pomimo czujności policji wszystkimi porami dostawał się do Rosji, budził uśpione myśli, skupiał, łączył. I Hercen swą ognistą broszurą „Kto winien?” targnął trzewiami

Rosji. Czernyszewski odpowiedział na to pytanie realnym, trzeźwym „Co czynić?”, a Bakunin zaciskał pięści i wzywał do piekielnych maszyn.

Tymczasem Aleksander II panował i jakoby zapowiadał rozluźnienie więzów. Akt łask koronacyjnych (1856) zachwycił Europę dobrocią młodego monarchy. Akt ten był amnestią dla dekabrystów, amnestią dla Polaków winnych rewolucji i darowaniem dwudziestu trzech milionów rubli w postaci zaległych podatków. Akt ten niezawodnie samego cesarza przekonał do własnej wspaniałomyślności, ale akt ten był znów tylko pustym frazesem, rzuconym niedoli. Dekabryści prawie nie istnieli, bo trzydziestu lat katorgi nawet jedna trzecia skazanych nie miała siły przetrzymać. Ułaskawienie więc po trzydziestu latach dosięgło już tylko kilkunastu schorowanych, wycieńczonych, przedwcześnie zestarzałych widm, bo o ułaskawieniu późniejszych zesłańców nikt nie pamiętał. Polaków ogarniętych amnestią było więcej, lecz ci przeważnie pozostawali na Syberii, bo woleli uniknąć powtórnego zesłania. Darowane podatki były łaską już zgoła skrystalizowaną, bo dotyczyły sum, które nagromadziły się przez dziesiątki lat, które urosły w rubrykach biuralistyki, które przypadały od ludzi dawno zmarłych, dawno zrujnowanych, nie posiadających żadnego zgoła dobytku. Skreślenie tych milionów stanowiło więc ulgę dla rachmistrzów, uwolnionych tym samym od obliczania fantastycznych procentów i fantastycznych kar i bezcelowego powiększania sumy urojonej należności.

Aleksander II był zdaje się zadowolony z siebie i ze swego wstępu do liberalizmu. Rosja nie mniej udawała zadowolenie i z całym skupieniem i cierpliwością przebyła pierwsze lata panowania Aleksandra II, spodziewając się lada chwila ziszczenia pokładanych w nowym cesarzu nadziei. Stąd ani zamach na Ferdynanda, króla obojga Sycylii (1856), ani bomby Orsiniego, skierowane przeciw Napoleonowi III (1858), ani mord

księcia Daniła czarnogórskiego (1860), ani zamach Drusiosa, z poduszczenia rosyjskiej dyplomacji, na greckiego Ottona I, nie znalazł oddźwięku wśród narodu rosyjskiego. Naród czekał.

Należy przyznać, iż Aleksander II miał zadanie niełatwe, gdyż gmach państwowy walił się, polityka zagraniczna musiała wytrzymać upokorzenia po krymskiej kampanii, wszystkie sprężyny wewnętrzne pordzewiały, popękały. Co najgorsze, Aleksander nie miał wokół siebie ludzi wyrobionych, bo w spadku po ojcu dostali mu się tylko płytcy, zdziczali wśród dyscypliny generałowie, przywykli do „nieomylności" cesarskiej. Każdy inny monarcha byłby się tu załamał razem z tronem, gdyby nie posiadał talentu Aleksandra II. Talent ten niezaprzeczony podoba się jednym zwać obłudą, drugim chwiejnością, trzecim udanym marzycielstwem, czwartym maskowanym despotyzmem, ale te nazwy talentu tego nie zaprzeczają. Czy Aleksander świadomie czy bezwiednie szedł za tym talentem, to może stanowić kwestię sporną. Rezultat wszakże był i pozostał, gdyż Aleksander II zdołał mimo wszystko ocalić samowładztwo dla syna i dla siebie mniemanie, że on był właśnie tym monarchą, skłonnym do najdalej idących ustępstw, tym monarchą, któremu żywioły wywrotowe zakłócały najważniejsze przekształcenia, który nawet w wigilię śmierci podpisał konstytucję, który tę konstytucję dałby od dawna, gdyby naród rosyjski dorósł do niej umysłowo. Ten wywód wszak nie był za panowania Aleksandra nowiną – podobnie rozprawiał nie tylko Aleksander I, ale i Mikołaj. Naród nie dorósł do konstytucji! Jakby konstytucja sama nie była jedynym czynnikiem rozwoju, jakby Anglia lub Francja nie zawdzięczała całego swego życia obywatelskiego konstytucji, jakby chłop rosyjski był ciemniejszy od chłopa francuskiego w przeddzień rewolucji, jakby ktoś mógł tańczyć, nie umiejąc chodzić. A przecież owo żądanie okazania dojrzałości jest właśnie tylko żądaniem, aby człowiek

pozbawiony władzy w nogach dowiódł, iż umie tańczyć. Jednakże Aleksander II, szczerze czy nieszczerze, z dobrej woli czy pod przymusem wzmocnienia spękanego gmachu, był zniewolony do pewnych nieuniknionych reform, jak na przykład zniesienie pańszczyzny. Reforma ta, przeprowadzona kosztem obywateli ziemskich, bo polegająca na odebraniu im stosownych obszarów ziemi i osadzeniu na niej bezrolnych, poddanych dotąd włościan, posłużyła zarazem za celowe obudzenie nienawiści mużyków do większych posiadaczy.

Mużyk odtąd w cesarzu miał widzieć „oswobodziciela", miał nie pamiętać, że to cesarz Piotr I zaprzedał chłopów w niewolę, że wszyscy jego następcy zawsze opierali się wyzwoleniu ludu i że Aleksander uległ mu z przymusu. I mużyk, patrząc na samowolę i nadużycia, jakich dopuszczali się urzędnicy przy wprowadzaniu ich w posiadanie ziemi, musiał uwierzyć, iż w ogóle cała ziemia należy do mużyków i tego chciał cesarz, ale panowie potrafili oszukać i mużyków, i cesarza. Te urojenia chłopa rosyjskiego nie tylko nigdy nie zostały sprostowane, ale najstaranniej podtrzymywane i hołubione w imię zasady *divide et impera*. A i po dziś dzień, dzięki gorliwym zabiegom Petersburga, pilnie strzeżone jako broń przeciwko inteligentom. Doniosła ta reforma, która nareszcie w roku 1861 zniosła w Europie niewolnictwo, zeszła się z wigilią powstania polskiego.

Polacy doprowadzeni do rozpaczy przez okrutny system mikołajewski chwycili za broń. Europa zabrzmiała sympatiami dla Polski, większość Rosjan również nie kryła przyjaźni dla Polaków – ba, Aleksander II godził się na ulgi. Aż naraz, mówiący o ulgach cesarz sam stanął na czele reakcji i wypuścił na Polaków wszystko, co miał do dyspozycji z dzikiego militaryzmu. Tysiące ludzi padło pod kulami, setki zawisło na strykach, tysiące popędzono na Syberię, tysiące ruszyło na dobrowolne wygnanie.

Rozmiary pogromu polskiego ukazały Aleksandra II w pełni światła nawet i Rosjanom. Administracyjne przemiany monarchy były jedynie rozumną pracą pogromcy i hodowcy lwów. Rosja rozrastała się, mężniała – więc rozszerzano klatkę, ale i wzmocniono kraty. Z dnia na dzień niby przedsiębrano jakieś głębsze ulepszenia, z dnia na dzień rozprawiano o przeszczepieniu z Zachodu godziwszych form władzy, o potrzebie wzmocnienia oświaty itp., ale i z dnia na dzień myślano tylko o tym, jak daną reformę przykroić do samowładztwa, bez nadwyrężania któregokolwiek z jego przywilejów. Stąd każde wielkie hasło musiało kurczyć się na parodię swego echa. Bo cóż na przykład znaczyła reforma sądowa i co wszystkie prawa rosyjskiego kodeksu, jeżeli z rozkazu Aleksandra II każdy generał-gubernator, bez sądu, bez potrzeby dowodu winy, mógł zawadzającego mu człowieka wysłać na Syberię? Cóż znaczyło zniesienie cenzury czasopism (tylko w Petersburgu), gdy czasopismom tym dano cały komitet policyjny, grożący zamknięciem pisma, gdy ten komitet z góry zabraniał pisać o tym lub owym, gdy na koniec, w roku 1867, poczta rosyjska w Petersburgu nie wysłała w ciągu trzech miesięcy żadnego czasopisma na prowincję!

Tymczasem „Dzwon” Hercena huczał z Londynu ku granicom Rosji. W roku 1859 Hercen wydał słynne swoje „Pod sąd”, w roku 1860 przybył nad Tamizę Bakunin, który zdołał ujść z syberyjskiej katorgi, a rok 1861 zaczyna krwawą listę ofiar powieszeniem mużyka Petrowa, winnego buntu chłopskiego w guberni kazańskiej. Za Petrowem idą do ciężkich robót Michajłow a na wygnanie Ogarew. Rok 1862 przynosi już osiem procesów politycznych, w tym sprawę pierwszego związku „Wielkorosjanina”, założonego w Modlinie przez trzech oficerów i trzech żołnierzy. Obrachunek tego roku daje trzy trupy rozstrzelanych przestępców i kilkunastu nowych galerników. Następne trzy lata słabną pozornie, bo

przynoszą razem trzynaście procesów, w tym pięć trupów i trzydziestu sześciu politycznych katorżników rosyjskich. Plon tych pięciu lat zszedł się nadto z setkami i tysiącami skazańców Polaków. Ale, o ile skazańcy polscy mieli pełnią poczucia sprawy, za którą ginęli, skazańcy rosyjscy byli najczęściej ofiarami niepojętego dla nich samych terroru. Bo nie mieli ani organizacji spiskowych, ani nie przedsiębrali żadnych gwałtownych środków przeciwpaństwowych, na katorgę szli za wyraz, za książkę, za potępienie samowoli urzędnika, za donos głupca, za czapkę okrągłą, za niebieskie okulary. Bezwzględność terroru rządowego obudziła czujność prześladowanych, zatruła jadem dziesiątki rodzin skazańców, poić zaczęła myślą, że zamiast padać jak muchy, godziwiej padać w walce.

Dzień 14 kwietnia 1865 był dniem mordu prezydenta Stanów Zjednoczonych Lincolna przez Boothę, dzień 4 kwietnia 1866 był dniem pierwszego zamachu na Aleksandra II, pierwszym w Rosji usiłowaniem królobójstwa pod hasłem niesamolubnym. Zamachu tego dokonał student, Dymitry Karakozow. Zamach nie był skomplikowany, gdyż w roku 1866 osoba cesarza choć strzeżona już pilnie, nie była jeszcze zawsze otaczana murem bagnetów. Cesarz spacerował w Letnim Ogrodzie, w Petersburgu, jak to miał w zwyczaju czynić. Ogród był otoczony posterunkami policji, za cesarzem postępowali adiutanci, zamach więc z pozoru był trudny, ale nie dla człowieka stawiającego własne życie. Karakozow zdołał tak manewrować w ogrodzie, iż cesarz musiał go minąć. Gdy Aleksander nadszedł, Karakozow zdjął czapkę, a osłoniwszy nią pierś, wyciągnął pistolet z zanadrza i strzelił do cesarza. Strzał chybił, Karakozowa pochwycono i zawleczono do Trzeciego Oddziału Kancelarii Jego Cesarskiej Mości. Rosja zatrzęsła się ze zgrozy – urzędowa Rosja wpadła w szał. Zamach Karakozowa wzbudził setki domysłów, a jeden z nich trafił nawet do komisji śledczej. Według tego domysłu, zamach musiał być

popełniony na czyjąś korzyść, więc z poduszczenia i za zgodą brata cesarskiego, a dawnego pretendenta do tronu, księcia Konstantego. Domysł ten opierał się snadź na fakcie, że dotąd królobójstwo miało w Rosji za cel wydarcie zamordowanemu korony i że szło zawsze z pałacu do pałacu. Na domiar Karakozow odmawiał wszelkich zeznań, udawał Niemca, Polaka, zmieniał nazwiska, nie wydawał nikogo i na siebie tylko brał winę.

Aleksander II zaskoczony wypadkiem, ze swej strony ani myślał unosić się wspaniałomyślnością i prowadzenie śledztwa oddał generałowi Murawiewowi, który właśnie po mordach na Litwie w czasie polskiego powstania osiadł w Petersburgu z tytułem hrabiego od monarchy i przydomkiem Wieszatiela od ludu. Murawiew z całym doświadczeniem zabrał się do Karakozowa. Lecz ani obietnice, ani groźby nie działały – Karakozow milczał lub mówił, co mu ślina na język przyniosła, a nazajutrz po uwięzieniu usiłował przegryźć sobie arterię w ręce. Murawiew otoczył więc Karakozowa „opieką” i wziął pod swój wypróbowany system. Karakozowa skuto łańcuchami, łącząc lewą rękę z prawą nogą, a prawą rękę z lewą nogą, a nadto ręce i nogi razem. Łańcuchy te krzyżowały się na żelaznym pasie, od którego znów szedł powróz na plecach do szyi i powróz ten udaremniał wszelkie nachylenia głowy ku skutym rękom. Tak opatrzonego Karakozowa ułożono na łóżku wysłanym wojłokiem i stojącym w wielkiej, widnej, także wojłokiem wybitej, komnacie Kancelarii Jego Cesarskiej Mości. Łóżko dzień i noc otaczało czterech żandarmów z oficerami, którzy nie tylko mieli za obowiązek śledzić każdy ruch więźnia, ale i każde jego drgnienie powiek, ponieważ Murawiew postanowił zabronić mu prawa snu. Gdy przeto Karakozowa ogarniała śpiączka, żandarmi kułakami, łechtaniem i szczypaniem zmuszali go do czuwania. Co kilka godzin zaś więźnia wleczono na śledztwo. Murawiew pytał, knut darł ciało Karakozowa, lekarz badał puls i po każdym

skatowaniu aplikował środki gojące. Karakozow milczał, aż po trzech dniach męczarni postanowił się zagłodzić i odmawiał jadła. Murawiew i na to miał środek – więźniowi otwierano usta i za pomocą rurki wlewano mu bulion. W takich warunkach Karakozow przetrwał pełnych osiem dni i osiem nocy. Murawiew odchodził od zmysłów. Masowe aresztowania nie dawały śladu, mimo próśb, gróźb, obietnic i tortur. Już nie tylko Petersburg, ale i Moskwa i Warszawa, Charków i Odessa były w stanie najzajadlejszych pościgów tajnej, i nie tylko tajnej, policji. Ale nieostrożność Karakozowa pozwoliła Murawiewowi wpaść na ślad. Karakozow przed zamachem stanął w Hotelu Znamenskim i zajął pokój opatrzony numerem 65, przy czym tak manipulował, że nie okazał swego paszportu właścicielowi hotelu. Właściciel ani myśląc zresztą upatrywać związku zniknięcia swego lokatora spod numeru 65 z zamachem, dopiero po kilku dniach, gdy lokator nie wracał, zaniepokoił się i dał znać policji. Gdy policja przybyła na rewizję numeru, znalazła kuferek wypełniony starą bielizną z wyprutymi znakami i szkatułkę drewnianą, której całą zawartością był kawałek sznurka. Na ziemi wszakże leżały jakieś pocięte drobno kawałki papieru. Kawałki z wielkim trudem złożone utworzyły kopertę z adresem studenta Iszutina w Moskwie. Dano natychmiast rozkaz aresztowania adresata, a wraz z nim wszystkich jego towarzyszy, przyjaciół i ludzi, z którymi przestawał. Iszutina przywieziono do Petersburga ekstra pociągiem i wprost pokazano mu Karakozowa. Iszutin, z całą serdecznością straszonego przyjaciela, nie mógł powstrzymać się od okrzyku przerażenia. Tożsamość Karakozowa została stwierdzona – teraz szło o wspólników. Było ich już około pięciuset w kajdanach! Doaresztowano jeszcze kilkaset osób płci obojga i rozpoczęto badania – po najsilniejszych torturach, najdziwaczniejszych protokołach, sądownie zdołano skazać osiemnaście osób, ponieważ cały proces dowiódł, że Karakozow działał istotnie z własnej inicjatywy i bez wspólników, że

całe stowarzyszenie młodzieży, pod nazwą „Piekło”, rewolucyjność swoją zaznaczyło otworzeniem z upoważnienia władzy, szkółki elementarnej dla dzieci, szkółki nie różniącej się od innych, że stowarzyszenie namówiło cztery biedne szwaczki do prowadzenia szwalni na wspólny rachunek i do tego samego kroku skłoniło czterech introligatorów, że całe „Piekło” składało się z sześciu młodzieńców, między którymi był i Karakozow, a na koniec, że „Piekło” urodziło się w głowie Murawiewa.

Wyrok „wyższego” sądu kryminalnego winę poszczególnych streszcza w słowa: „Za należenie do stowarzyszenia, którego czynności zmierzały do przewrotu ekonomicznego”. A dalej zarzuca im utrzymywanie związku „ze wszystkimi komitetami rewolucyjnymi i zamiar wymordowania wszystkich panujących”. Karakozowa skazano na powieszenie; choć nie wątpiono ani na sekundę, że ułaskawienie dosięgnie skazanego na szafocie, cesarz nie uznał go godnym takiej łaski. Za to Iszutin nie tylko był ułaskawiony, ale zamiast katorgi na Syberii zamurowany w Szlisselburgu, gdzie w kilka lat powolniejszą śmiercią niż Karakozow skończył. Reszta oskarżonych poszła do ciężkich robót, a prócz nich dziesiątki ludzi spokojnych i lojalnych, którzy mieli nieszczęście znać nihilistów. Pierwsze dni uwięzienia Karakozowa dają jeszcze jeden ciekawy szczegół. Mianowicie – dostojnicy państwa nie tylko uważali za swój obowiązek złożenie monarsze życzeń z powodu „cudownego” ocalenia, ale i wyrażenie pogardy dla sprawcy zamachu. Stąd Karakozowa zaczęli odwiedzać najprzedniejsi potentaci, zadawać mu pytania, badać na swój sposób, moralizować przestępcę, a nawet wymyślać mu i pluć w oczy. Karakozow wił się na rzucane mu obelgi, lecz tym jedynie pilnujących go żandarmów do bicia zachęcał. Aż w ostateczności uciekł się do środka radykalnego i każdego wchodzącego dostojnika witał słowami: – No widzisz pan, a ostrzegałem pana, że się nam zamach może nie udać! Widzisz teraz, co za nieszczęście! Dostojnicy na

takie powitanie dostawali febry i uciekali ze strachu, aby ich Karakozow nie wplątał – a to nie było trudne. Wszak Murawiew wcale niedwuznacznie zapewniał Aleksandra II, że poza winowajcą i nihilistami, dostrzega wielkiego księcia Konstantego. Do osób, które wbiły się w pamięć współczesnych łącznie z Karakozowem, należy mużyk Komisarew, który w chwili strzału stał w pobliżu Karakozowa i miał podobno schwytać go za rękę i w ten sposób celność strzału udaremnić. Faktem jednak jest, iż niewątpliwie Komisarew pierwszy pojmał niedoszłego zabójcę. Mużyk więc uznany był za wybawcę cesarza i jako taki obsypany łaskami. Towarzystwo dworu petersburskiego starało się swą lojalność dla tronu zaznaczyć fetowaniem „państwa” Komisarew na balach, zebraniach i obiadach. Biedny mużyk oszołomiony bogactwem i zaszczytami wpadł w manię wielkości i po kilku miesiącach powiesił się z rozpaczy, gdy odmówiono stanowczo jego nowym żądaniom. Zamach Karakozowa wywołał gwałtowną i nierozważną reakcję. Obostrzenia cenzuralne, powiększenie etatów policji i żandarmerii, a dalej dymisję ministrów oświaty i spraw wewnętrznych i osadzenie na tych stanowiskach ludzi równie dzikich, jak i niewykształconych, miało zadać cios wywrotowi.

Pościg trwał ciągle, prześladowanie spadało na każdego inteligenta nie ubranego w mundur. A tymczasem te masowe aresztowania, te nieustanne śledztwa, nie dosięgały tych, którzy istotnie rośli na siłę nie lada, którzy istotnie coraz bardziej zdecydowany obierali kierunek. Nie zdołały wykryć ani bodaj przypuścić, że w granicach Rosji istniało już stowarzyszenie „Ziemla i Wola”, że organizowało kadry rewolucyjne, że wychowywało całe pokolenia królobójców. Ster władzy chwycił Piotr Szuwałow, który nie tylko posiadał zupełne zaufanie Aleksandra II, ale i potrafił z Trzeciego Oddziału Kancelarii Jego Cesarskiej Mości uczynić biuro Torquemady. Cała Rosja drżała na samo wspomnienie Trzeciego Oddziału, bo Trzeci

Oddział nie miał żadnych względów, gdy szło o denuncjacje, gdy szło o usunięcie zawadzającego Szuwałowowi człowieka. Szuwałowa nie darmo zwano Piotrem IV.

Aleksander II choć postrzegał samowolę faworyta, ani myślał go usuwać. Cesarza zaczęły zajmować miłostki i łatwe zwycięstwa buduarowe wśród frejlin i dam z arystokracji. Zresztą Aleksander II był rad, że energia Szuwałowa ujmowała mu trosk monarszych i zmuszała do milczenia żywioły wolnomyślne, które nawet do Pałacu Zimowego dosięgały. Terror Szuwałowa i gromadna wysyłka podejrzanych osób, bez sądów i wyroków, na Syberię, jakby istotnie radykalnie wyleczyła państwo od „gangreny", bo o nihilistach nagle ucichło. W roku 1867 Aleksander II przedsięwziął podróż do Paryża. Wystawa nastręczyła okazją do odwiedzin i wygładzenia resztek goryczy żywionych przez Napoleona III do Aleksandra II z powodu sprawy polskiej.

Lecz wszechrosyjskiego mocarza czekały nad Sekwaną przykre niespodzianki. Więc najpierw Karol Floquet (według Juliusza Claretie, Leon Gambetta) powitał Aleksandra II przed Pałacem Sprawiedliwości groźnym okrzykiem „Vive la Pologne"!, a w kilka dni później, gdy cesarz wracał z rewii na Longchamp, emigrant polski Berezowski, strzelił doń z pistoletu, lecz chybił. Kula raniła konia, dosiadanego przez koniuszego dworu francuskiego, pana Raimbeau, który jechał u drzwiczek powozu od strony Aleksandra II. Winowajcę pochwycono. Tego samego dnia (6 czerwca 1867 roku) Aleksander na balu w ambasadzie rosyjskiej starał się okazać zupełną obojętność dla zamachu – tymczasem policja powzięła wiadomość o nowym niebezpieczeństwie, mającym grozić carowi w chwili odjazdu z Paryża, lecz skończyło się na fałszywym alarmie i strachu. Berezowski poszedł pod sąd. Śledztwo nie ujawniło żadnych wspólników. Wygnaniec polski działał na własną rękę, chcąc pomścić śmierć setek

niewinnych ludzi, których samodzierżca skazał podczas powstania w roku 1865. Sąd w toku rozpraw starał się Berezowskiemu okazać wyrozumiałość i względność – prawo jednak domagało się ofiary, ambasada rosyjska nalegała. Berezowskiego zesłano na całe życie do ciężkich robót, ku wielkiemu zgorszeniu wspomnianej ambasady, która upominała się o głowę przestępcy. Sympatie polityczne przeważyły, poszły może wbrew polityce, nawet w Tuileries znalazły oddźwięk. Mija lat czterdzieści jeden – Berezowski dobrym sprawowaniem swym przejednał literę prawa i jest cichym osadnikiem, starcem w Nowej Kaledonii. Czterdzieści jeden lat pokuty to wiele, to może za wiele za jeden chybiony strzał! Berezowskiemu od dawna należy się amnestia i miałby ją niewątpliwie; gdyby „dobrym sędziom" Trzeciej Republiki nie bruździła polityka, obawiająca się urazić wnuka Aleksandra II.

Po roku 1867 nastąpiła chwilowa cisza w dziejach tajnych rosyjskich politycznych stowarzyszeń – ale cisza ta była jedynie ciszą roboty, była organizacją, krystalizowaniem się, łączeniem. Trzy lata następne nie przyniosły ani jednego procesu politycznego. Pachołcy Szuwałowa umieli i bez sądów winnych chować do fortecy, a tym samym swemu szefowi zjednać zasługę zupełnego wytępienia nihilizmu. Ale rok 1871 nawet i Szuwałowa zniewolił do poruszenia sądu, bo znów statystyka zaczyna przerwaną rubrykę. Rok 1871 był stanowczo rokiem krytycznym dla Trzeciego Oddziału, bo nie tylko przyniósł dwa procesy, ale jednym z nich ogarnął tak zwanych „Nieczajewców" w liczbie osiemdziesięciu siedmiu osób płci obojga. „Nieczajewcy", pomimo całej zabiegliwości śledztwa, wyszli zwycięsko, gdyż dowiedli, iż agitując za reformami socjalnymi, stawiając sobie za program upominanie się o wydziedziczonych, o światło, o wolność słowa i sumienia – nie myśleli o terrorze, nie przedsiębrali żadnych gwałtownych środków, nie godzili na życie cesarza ani jego

urzędników. Sąd, choć najgorliwiej szedł za wskazówkami odebranymi z góry, skazać mógł tylko trzydzieści trzy osoby i to na kilkuletnie więzienie i osiedlenie.

Piotr IV (Szuwałow) zadygotał z irytacji. Uniewinnieni przez sąd oddani zostali żandarmerii na łaskę i niełaskę. A nadto, żeby zapobiec podobnej wolnomyślności sędziów, w dniu 14 lipca 1872 roku ogłoszone zostało „prawo" o oddawaniu przestępców politycznych specjalnie wyznaczonym sądom, czyli karanie ich sądem polowym, lub w dowód szczególnej łaski, wojskowym. Nowe prawo było konsekwentnym uzupełnieniem ukazu cesarskiego (maj 1871), który śledztwo w procesach politycznych powierzał żandarmerii i pozostawiał jej do uznania wybór sposobu prowadzenia śledztwa i terminu ich ukończenia.

„Prawo" i wymieniony ukaz były środkami strasznymi, które powinny były wszelką myśl o przewrocie osłabić. Stało się przeciwnie. Hercen nadawał z Londynu, młodzież oddychała ideami Dobrolubowa i Czernyszewskiego, pseudoreformy Aleksandra II męczyły, dokuczały nawet umiarkowanym. Stowarzyszenie „Ziemla i Wola" urosło na wielką partię, a raczej na dziesiątki partii. Katorga, tortury, śledztwa, budziły odwagę, chęć męczeństwa, chęć położenia życia za sprawę. Ideowcy, marzyciele coraz częściej brali pod uwagę możliwość wyrzeczenia się skrupułów. Aż w roku 1876 jedna z gromad spiskowych postawiła sobie za zadanie silniejszą propagandę. Jakoż w oka mgnieniu na Rosję spadł deszcz broszur rewolucyjnych, odezw, a tuż za nimi nastąpiły demonstracje. Ale gdy rok 1877 sprowadził aż dziesięć procesów, a w nich słynny „proces stu dziewięćdziesięciu trzech", gdy żandarmeria pochwyciła nici związku robotników – pośród gromady działającej rozległo się stanowcze hasło odpowiedzenia terrorem na terror i z nim powstała partia „Narodnoj Woli".

Zachód Europy, od czasów zamachu Berezowskiego na Aleksandra II w Paryżu, raz po raz do mordu politycznego sięgał. Po zamordowaniu Michała Obrenowicza serbskiego strzelała ręka Kullmana do Bismarcka (1874), a nawet Wilhelmowi I na rok jubileuszu (1877) przyniósł dwa zamachy – Maksa Hödela (11 maja) i Karola Nobilinga (2 czerwca). Ten ostatni zamach okupił Wilhelm I dość ciężką raną, a Nobiling śmiercią od samobójczej kuli przy aresztowaniu. A ponieważ Nobiling był już trzecim z kolei godzącym w Wilhelma I (14 lipca 1861 roku student lipski Becker strzelał i chybił), a cesarz niemiecki panował na laurach militaryzmu i zadowolenia opitej krwią i cudzym złotem ojczyzny Goethego, Kanta, Shopenhauera i Karola Marksa, przeto Aleksander II nie czuł się odosobniony i rad był dowodzić, iż nihiliści rosyjscy są tylko współdziałaczami Nobilingów i Hödlów, dążących do wywrócenia tronów w ogóle.

Tymczasem wybuchła wojna rosyjsko-turecka i zgrozą przejęła poddanych białego cara. Generałowie głodnych i bosych żołnierzy wiedli na rzeź, całą swą sztukę wojenną opierając na rachunku, że dla zgładzenia jednego Turka nie żal bodaj i dwudziestu Rosjan. Jeżeli zasypywanie transzei tureckich ciałami rosyjskich żołnierzy burzyło Rosję, to stokroć więcej rewoltowały ją wieści o kradzieżach popełnionych na krzywdę żołnierzy. Kradzieże te były tak okrutne dla doli wojska, iż zniewoliły rząd do wszczęcia procesu karnego. Ale opinia nie tylko wymieniała winnych, nie tylko sięgała do mundurów generalskich, lecz odważyła się wskazać na stryja cesarskiego, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Sąd założył akta i zaczął badania... W toku badań przerwał czynności i zatelegrafował do Petersburga. Cesarz Aleksander na skutek tej depeszy kazał przerwać śledztwo i uciąć sprawę, bo kompromitacja sięgnęła za wysoko. Gdy opinia z tym zakończeniem procesu nie mogła się oswoić, wielki książę chcąc

ratować swe stanowisko, wydrukował w paryskim „Nouvelle Revue” słynny artykuł, w którym winę zrzucał na administrację i próbował dowieść swej uczciwości. Grunt więc dla rewolucjonistów był użyźniony i dobrze uprawiony przez samowładztwo.

„Narodnaja Wola” nie czekała i nie myślała zwlekać. Krwawą listę terroru rozpoczęto mordem czterech najdokuczliwszych szpiegów (Tawlejewa w Odessie, Szaraszkina i Finogepowa w Petersburgu i Nikonowa w Rostowie). Ale tuż po tym, po demonstracjach petersburskich i po pamiętnych gwałtach, dokonanych przez ówczesnego policmajstra petersburskiego, Trepowa, Wiera Zasulicz na własną rękę i z własnej inicjatywy przedsięwzięła na niego zamach. A więc udała się na audiencję do dzikiego satrapy i tu wobec licznych świadków, przy podawaniu prośby – strzeliła. Rewolwer niewprawną kierowany ręką drgnął – kula ominęła Trepowa. Zasulicz została pochwycona i wtrącona do więzienia. Lecz zamach dokonany przez młodą, nieposzlakowaną na honorze dziewczynę, nie tylko nie oburzył opinii, lecz zjednał ją niespodziewanie dla biednej Wiery, która tak mocno i tak głęboko odczuła razy knuta, skierowane przez Trepowa na tłum bezbronnych demonstrantów. Dla ugłaskania opinii, sprawę Wiery Zasulicz oddano sądowi przysięgłych w przekonaniu, że mimo całej względności takiego sądu czynu nie da się zaprzeczyć, a więc będzie ukarany. Tymczasem przysięgli Wierę Zasulicz uniewinnili. Wyrok oburzył na odmianę stojących u steru reakcjonistów. Tego samego dnia cesarz wydał rozkaz ponownego aresztowania Zasuliczówny, lecz tę zdołano w porę przestrzec i ułatwić jej ucieczkę za granicę. Przeznaczenie chciało, że niedoszła zabójczyni Trepowa dożyła w Genewie ostatnich wypadków i w redagowanym przez siebie czasopiśmie „Iskra” walczy przeciwko Trepowowi synowi, ba, wybiera się nad Newę.

Zamach Wiery Zasulicz dokonany 5 lutego 1878 roku stał się hasłem bojowym dla walki terroru czerwonego z terrorem białym. W tym też miesiącu w Odessie napadnięta przez policję gromadka rewolucjonistów strzałami powitała wysłańców Trzeciego Oddziału, również w tym miesiącu zarząd „Narodnoj woli" objął ponury, nieubłagany Komitet Wykonawczy i ogłaszać zaczął wyroki śmierci. Już w marcu w Kijowie prokurator Kotlarewski (7 marca) ledwie że przypadkowi zawdzięczał ocalenie życia, równocześnie w Petersburgu pogrzeb Padlewskiego, ofiary żandarmerii, zmienił się w rewolucyjną manifestację. Manifestacje takie powtarzały się coraz częściej, coraz odważniej się organizowały. Komitet Wykonawczy nie zważa na aresztowania, drwi z procesów. W kwietniu reakcjonista i rektor kijowskiego uniwersytetu Matwiejew znów unika szczęśliwie zgotowanej mu śmierci, ale już 6 czerwca kapitan żandarmerii Geikin od uderzenia sztyletu pada trupem w biały dzień na ulicy Kijowa, a 16 sierpnia również sztylet zadaje śmierć Mezencewowi, znienawidzonemu naczelnikowi Trzeciego Oddziału. Mezencew ginie pośród zgiełku ulicznego, na jednym z placów Petersburga. Sprawców tych zabójstw nie ujęto; nazwiska ich po dziś dzień są nieznane. Obydwa te zabójstwa poprzedziły wyroki Komitetu Wykonawczego przesłane skazanym. Partia „Narodnoj Woli" nie tylko już grozi, nie tylko walczy, ale i rzuca rękawicę każdemu, kogo postanowiła dosięgnąć. Wyroki te drukowane w tysiącach egzemplarzy poruszyły Rosję, zjednały nihilistom urok, zaczęły przysparzać im cichych stronników, zaczęły drżeniem przejmować żandarmerię, policję, służbę szpiegowską i całą machiną władzy szarpać.

Na rachunek nihilistów zapisywano odtąd każdy śmielszy odruch gnębionego, każdy nawet zbieg okoliczności, który udaremnił w ten sposób przemoc. Trzeci Oddział po stracie Mezencewa objął generał Drenteln i z całą pasją i zawziętością podjął walkę z nihilizmem, szczególniejszy

nacisk kładąc na odjęcie rewolucjonistom aureoli męczeństwa i poświęcenia. Nihiliści odpowiedzieli na to ogłoszeniem „testamentu dwudziestu czterech”. Testament ten napisany i podpisany został w Pietropawłowskich kazamatach przez skazańców politycznych, których przedstawiono do łaski monarszej po wyroku w „procesie stu dziewięćdziesięciu trzech” (5 listopada 1877 roku), z których dwunastu skazanym cesarz podwyższył katorgę, a dwunastu lata kary pozostawił bez zmiany. Testament nawoływał do wytrwania, do podwojenia energii, wiał hartem i mocą ludzi, gotujących się na śmierć. Skazańcy ci szli wprawdzie tylko na katorgę – lecz na katordze na więźniów politycznych czekały obręcze żelazne na szyję, stosowane do skucia ich z taczkami, czekały knuty, choroby syberyjskie, głód i mróz, a nadto gorliwość oprawców, rozumiejących, że każda wiadomość o śmierci przestępcy jest westchnieniem ulgi dla Petersburga.

Stąd, kto szedł na Syberię, ten nie miał złudzeń. Drenteln otoczył rezydencję cesarską murem argusów, zdwoił tajną policją i setki osób podejrzanych wtrącił do więzień. Procesy, choć liczne, były teraz tylko środkiem mającym dać przykład pouczający tym, którzy chcieliby czytać Hercena lub Krapotkina, były tylko demonstracją sądową dla nauki poddanych, bo z karaniem załatwiano się bez sądu. Ukaz najwyższy (z dnia 24 maja 1877 roku) ostatecznie utrwalił i uprawnił „wysyłanie administracyjne” to jest wyprawianie na Syberię osób na zasadzie prostego przeświadczenia danego żandarma o nieprawomyślności aresztowanego. Pościgi nieustannie trwały, szpiedzy czuwali na każdym szczeblu pracy społecznej, a mimo to tenże rok ujawnił zamach Wittemberga na Aleksandra II, zamach gotowany cesarzowi w Mikołajewie i nie wykonany z powodu napotkanych trudności. Drenteln wpadł w szał.

Pytanie powtarzane raz po raz przez cesarza, czy mordercy Gejkina i Mezencewa zostali wykryci, doprowadzało gorliwego żandarma do wściekłości. Wściekłość skrupiała się na podejrzanych o nihilizm. Nihiliści na śledztwach milczeli – tortury potęgowano. Szły obustronne wyroki. 21 lutego 1878 roku gubernator charkowski książę Krapotkin, brat rodzony słynnego rewolucjonisty i anarchisty Piotra, wychodząc z balu został zabity przez jakiegoś zamaskowanego człowieka wystrzałem z rewolweru. To nowe zabójstwo było odpowiedzią na gwałty, popełnione przez gubernatora przy tłumieniu studenckich rozruchów. Następnie rewolucjonista Mirski strzelał do Drentelna, lecz chybił. Mirski zdołał zbiec, lecz po kilku miesiącach, zdradzony przez kogoś na torturach, mimo zbrojnego oporu został pojmany w Taganrogu. Po tej nieudanej egzekucji nastąpiła znów nieudana na gubernatora Czertkowa w Kijowie i aż trzy udane. Padli pod sztyletami – pułkownik żandarmerii Knoop i policmajster Piotrowski w Odessie, agenci tajnej policji – Reinstei w Moskwie i Baranowski w Kijowie. Mordercy we wszystkich trzech wypadkach uszli.

Dzień 14 kwietnia 1879 roku znów skierował rękę rewolucjonisty ku osobie cesarza. Aleksander II był już od zamachu Karakozowa mocno strzeżony, już unikał spacerów w Letnim Ogrodzie, a na ulicach ukazywał się rzadko i tylko po obstawieniu ich przez silne oddziały policji. Gdy zaś Komitet Wykonawczy „Narodnoj Woli” posłał cesarzowi wyrok śmierci, ostrożności zostały jeszcze bardziej spotęgowane. Umiał je jednak zmylić Aleksander Sołowiew i przedostał się przez kordon policji na plac przed Pałacem Zimowym i to w chwili, gdy cesarz odbywał swój zwykły spacer. Tu dzięki mundurowi urzędnika Sołowiew bez trudu zbliżył się do cesarza i strzelił z rewolweru. Kula chybiła – Sołowiew strzelił po raz drugi. Aleksander zaczął uciekać do pałacu. Sołowiew rzucił się za cesarzem, nie bacząc na biegnących zewsząd pachołków, i wystrzelił jeszcze po raz trzeci,

czwarty i piąty... Aleksandra ocaliła przytomność umysłu, bo dla zmylenia celu uciekał zygzakiem. Sołowiewa pojmano, torturowano i powieszono.

Równocześnie zastosowano nowe obostrzenia, nowe środki do zwalczania nihilizmu. Generałowie-gubernatorzy stali się panami życia i śmierci podwładnej im ludności. Setki ludzi ginęły w więzieniach, tysiące szły na Syberię. W Petersburgu każdy dom otrzymał swego stałego szpiega. Zdawało się, że Komitet Wykonawczy już ani drgnąć nie potrafi. Nihiliści wszakże rozporządzali nie armią spiskowych, lecz za to dziesiątkami ludzi odważnych, inteligentnych, utalentowanych i zdeterminowanych na wszystko. Cesarz Aleksander jesień roku 1879 spędził na Południu Rosji i dopiero, gdy szesnastu nihilistów zawisło na szubienicach, a pięciu nie wytrzymało męki śledztwa, gdy dwadzieścia dwa procesy polityczne pozwalały przypuszczać, iż rewolucjonistom zabrakło krwi ofiarnej – monarcha przedsięwziął podróż powrotną przez Moskwę do stolicy. Ale na pociąg cesarski czekały dwa zamachy, dwa podkopy, dwa naboje dynamitowe.

Zamach pierwszy (dnia 30 listopada 1879 roku), przygotowany na drodze żelaznej łozowo-sewastopolskiej, nie udał się wskutek niedokładnego zbudowania aparatu zapalającego. Drugi zamach nie zwiódł ani co do godziny, ani co do minuty, w drzazgi rwąc cały pociąg razem z ludźmi. Ten zamach był wykonany już w dniu następnym, pod Moskwą na drodze żelaznej moskiewsko-kurskiej, był rezerwą na wypadek niepowodzenia na kolei łozowo-sewastopolskiej. Drugim podkopem kierował Hartman. Aparat funkcjonował bez zarzutu. Przejazd pociągu cesarskiego był obliczony co do sekundy; pociąg cesarski został zniszczony, a mimo to Aleksander II ocalał. Ocalał dzięki obawom jego stróżów bezpieczeństwa, którzy przewidując możliwość niespodzianki,

zmienili dla pewności porządek pociągów cesarskich i Aleksandra II wysłali w pierwszym, zamiast drugim.

W chwili, gdy dynamit szarpał na kawałki służbę cesarską, monarcha był już w Moskwie. Lecz zamachy te, choć chybiły, wywarły na Aleksandrze piorunujące wrażenie. Cesarz samowładca po raz pierwszy odezwał się do poddanych z prośbą o współdziałanie i pomoc przeciw wywrotowcom. „Narodnaja Wola" na tę alokucję odpowiedziała manifestem, że ponieważ Aleksander II jest osią wszystkich bezprawi, sprężyną terroru rządowego, przeto umrzeć musi i umrze jeszcze przed swoim dwudziestopięcioletnim jubileuszem, a zatem przed dniem 2 marca 1880 roku, oraz, że „Narodnaja Wola" gotowa jest uchylić wyrok i wstrzymać kroki swego Komitetu Wykonawczego, ale pod warunkiem, że cesarz ustąpi z samowładztwa i podda się reprezentacji złożonej z przedstawicieli wszystkich warstw narodu. Manifest „Narodnoj Woli", mimo całej swej mocy, brzmiał przechwałką. Cesarza, który zdołał uniknąć sześciu zamachów, otaczała umiejętnie podtrzymywana aureola nietykalności. Lud w tylokrotnym ocaleniu widział widoczny znak Opatrzności.

Duchowieństwo prawosławne za wskazówką żandarmerii gorliwie popierało ten nowy dogmat i pouczało naród o cudach i o świętości osoby monarchy. Ale „Narodnaja Wola", ogłaszając swój manifest, miała już w Pałacu Zimowym Chałturina, człowieka, którego poświęcenie dla partii graniczyło z bohaterstwem, który za jedyny cel życia obrał sobie zabicie cesarza, który tylko tym celem żył. Chałturin powziął i przeprowadził plan, mający śmiałością swą i rozmiarami przejść wszystkie kiedykolwiek dokonane zamachy. Chałturin był stolarzem i lakiernikiem. Jako taki przystał do stowarzyszenia robotniczego o charakterze socjalistycznym i przez lat kilka gorliwie zajmował się propagandą wśród towarzyszy.

Bystry, uczynny, dobry rzemieślnik, oddany zawsze sprawie polepszenia doli robotników, Chałturin zjednywał sobie ogromną sympatię, a wraz z nią popularne imię Stiepana. Stiepana lubiano wszędzie, szanowano i słuchano chętnie. Stiepan zresztą nie należał do rewolucjonistów, a choć dobrowolnie zjednywał im przyjaciół, nic go nie łączyło z „Narodną Wolą”.

XII

Około roku 1877 terror rządowy poruszył Chałturina do głębi i wyrobił w nim przekonanie, iż jedynie śmierć cesarza może zmusić jego spadkobiercę do ustępstw na rzecz ludu. Chałturin, widząc równocześnie daremne zamachy Komitetu Wykonawczego, postanowił samemu spróbować szczęścia i ułożył plan, plan zdumiewająco śmiały, piekielnie straszny. Z tym planem Chałturin zdołał dotrzeć do Komitetu Wykonawczego. Dobrowolne zgłoszenie się Chałturina przyjęto i przyrzeczono mu pomoc. Komitet Wykonawczy w tym czasie właśnie prowadził podkopy na drogach żelaznych, ale plan Chałturina na wszelki wypadek uznał za godny poparcia.

Chałturin ze swej strony przedsięwziął starania, aby się dostać najbliżej osoby cesarza i dworu. Przy swoich stosunkach robotniczych i uzdolnieniu w rzemiosłach, Chałturin zdołał otrzymać miejsce lakiernika na jednym z jachtów cesarskich. Pracował tak gorliwie i był takim majstrem w przyrządzaniu lakierów, że przy najlepszych rekomendacjach, po skończeniu robót na jachcie, otrzymał posadę w stolarni Pałacu Zimowego w Petersburgu. Chałturin na swym stanowisku był już w październiku 1879 roku. Naturalnie pierwszym krokiem przyszłego królobójcy było dokładne zaznajomienie się z planem pałacu cesarskiego i ze wszystkimi jego zwyczajami. To była rzecz łatwa, gdyż cesarz bawił wówczas w Liwadii, a pałac aż wrzał od samowoli i nieładu. Chałturin ze zdumieniem przyglądał się wszystkiemu i dokładał wszelkich sił, aby dostroić się do ogólnego tonu. Ten ton polegał przede wszystkim na najbezczelniejszych

kradzieżach i pijaństwie. W chwili, gdy pojazdów cesarskich dzień i noc strzegła policja, gdy do komnat pałacu nie dopuszczano dla większego bezpieczeństwa nawet dostojników państwa, którzy chcieli zwiedzić cesarską rezydencję, izby służbowe wrzały pijatyką, gromadziły całe bandy kamratów.

Chałturin rad nie rad musiał kraść i godzić się na filozofię kamer-lokajów, którzy głośno usprawiedliwiali swą nieuczciwość małym wynagrodzeniem, wcale nie cesarskim (15 rubli miesięcznie). Chałturin w Pałacu Zimowym, tak samo jak i na jachcie, miał fałszywy paszport na imię włościanina z ołonieckiej guberni i znakomicie rolę tę odgrywał. Dziwił się wszystkiemu tak serdecznie, że towarzysze obyci z dworem mieli prawdziwą satysfakcję oprowadzać go po pałacu, pokazywać bogactwa cesarskich apartamentów, pouczać o życiu w chwilach obecności cesarza i wykładać mu, w jaki sposób należy się zachowywać wobec dworu, jak komu odpowiadać, a jak kogo tytułować. Chałturin był... tępy i tak naiwnie prosty, iż nie tylko stolarnia, ale i cała służba boki zeń zrywała i lubiła poczciwca z ołonieckiej guberni.

Poczciwiec tymczasem miał już sporządzony plan sytuacyjny. Plan ten dokładnie określał, że nad stolarnią znajduje się kordegarda warty pałacowej, nad kordegardą zaś sala jadalna pałacu. Na zasadzie tego planu, Chałturin zawiadomił jednego z członków Komitetu Wykonawczego (Kwiatkowskiego), że najlepiej byłoby wysadzić w powietrze salę jadalną razem z cesarzem i jego rodziną. Projekt ten przyjęto, choć spodziewano się, że zamach Hartmana, pod Moskwą, pozwoli Chałturina zużytkować inaczej. Chałturin ze swej strony zabrałby się od razu do dzieła, gdyby nie wiadomość o powrocie cesarza do Petersburga, a z nią gwałtowna praca przy porządkach. Chałturin, jako jeden z najzdolniejszych robotników, pracował w komnatach jego cesarskiej mości, w sypialni, gabinecie,

a nawet w jadalni, którą chciał wysadzić. Ale pośpiech i wytężony nadzór nie pozwalał Chałturinowi oddalać się z pałacu, bez narażenia się na zarzut opieszałości. Komitet Wykonawczy zaś nawet nie próbował naglić, ciągle mając przekonanie, iż Aleksander II żywy do Petersburga nie wróci.

Stąd, gdy w początkach grudnia cesarz przybył do Pałacu Zimowego, zamach nie był przygotowany i stąd dopiero od tej chwili Komitet Wykonawczy zwrócił się z całą energią do Chałturina. Lecz Chałturin miał teraz już zadanie przechodzące nieomal siły i odwagę, gdyż przyjazd cesarza zbiegł się z aresztowaniem Kwiatkowskiego, u którego znaleziono sporządzony przez Chałturina plan Pałacu Zimowego. Na planie tym sala jadalna była zaznaczona czerwonym krzyżem. Policja pałacowa poruszona była do żywego pytaniem, co mógł znaczyć krzyż, zdobiący jadalnię. Kwiatkowskiemu nawet tortury nie potrafiły wydrzeć tajemnicy. Policja pałacowa jednak na ślepo zaczęła czynić obostrzenia i poszukiwania. Cały pawilon mieszczący jadalnią cesarską od piwnic do dachu został najstaranniej obszukany. Liczba policjantów strzegących pałacu była podwojona. Do sutereny, gdzie była stolarnia, a z nią razem mieszkanie rzemieślników, sprowadził się żandarm, który dzień i noc strzegł Chałturina i jego towarzyszy.

Niezależnie od tych środków, dowódca policji pałacowej zorganizował dzienne i nocne rewizje izb służbowych. Chałturin, który komunikował się teraz z Komitetem Wykonawczym za pośrednictwem Żelabowa, zdążył już przynieść pierwszy kawałek dynamitu. łatwo sobie wyobrazić, przerażenie spiskowca, gdy tej samej nocy do stolarni na rewizję zeszła żandarmeria pałacowa. Chałturin potrzebował niemałej dozy zimnej krwi, aby się nie zdradzić. Rewizję dokonano dość dokładnie i nie znaleziono nic. Dynamit leżał pod poduszką Chałturina. Te rewizje nocne zaczęły się powtarzać. Dynamit jednak wciąż spoczywał pod poduszką Chałturina nie wykryty.

Chałturin oswoił się z rewizjami, przestał się ich obawiać, bardziej natomiast musiał zważać na nowe rozporządzenia, dotyczące wychodzenia na miasto służby pałacowej. A więc służba musiała mieć przy sobie miedziane tabliczki zastępujące legitymacje, tabliczki te, przy wydalaniu się z pałacu, była obowiązana oddawać specjalnym kontrolerom, żandarmom, a wracając, otrzymywała je, ale po rewizji osobistej. Chemik Komitetu Wykonawczego (Kibalczyc) określił, że do wybuchu potrzeba było około trzech pudów dynamitu! Ilość taka była nieodzowna z uwagi, iż Chałturin nie miał możności wykonania miny, a tym samym nadania wybuchowi kierunku.

Wybuch przeto potrzebował takiej siły gazów, dla której izba stolarni byłaby wyrytym w murze otworem. Ale rewizje osobiste, którym podlegał za każdym wyjściem z pałacu Chałturin, zmuszały go do znoszenia dynamitu ledwie okruchami i za każdym razem groziły mu wykryciem, a więc szubienicą. Chałturin znosił dynamit przez całe trzy miesiące. Do tych udręczeń przyłączyło się nie lada cierpienie. Sąsiedztwo z dynamitem, jeżeli nie było nawet takiemu desperatowi jak Chałturin miłe i bezpieczne, miało jeszcze i dolegliwsze konsekwencje. Dynamit, który jak wiadomo jest prostą mieszanką nitrogliceryny z ciałem stałym obojętnym (krzemionką, żwirem, lub piaskiem) i jest tylko kompozycją ułatwiającą operowanie, wybuchającą za lada dotknięciem, posiada wszystkie własności nitrogliceryny. A więc dynamit pod poduszką Chałturina parował, wydzielał trujące gazy nitrogliceryny. Chałturin zaczął doznawać szalonych bólów głowy, a wraz z nimi ataków nerwowych. Cierpienia te mogły być złagodzone jedynie pozbyciem się sąsiedztwa. Chałturin ledwo mógł wytrwać, bo nawet skarżyć się ani narzekać nie mógł w obawie, aby go nie uznano za chorego i nie wyprawiono do szpitala. Męczarnie Chałturina miały i swą tragikomiczną stronę. Poczciwiec z ołonieckiej

guberni stał się ulubieńcem żandarma, który z całą serdecznością kształcił Chałturina i pouczał go o tym, czym są nihiliści, a nadto miał widoki nań poważniejsze, bo zamyślał wydać za młodego, tak dobrego rzemieślnika swoją córką. Chałturin był powolny na te zakusy. Od czasu do czasu w stolarni wszczynano rozprawy o nihilistach, którzy rzemieślnikom pałacowym wydawali się półdemonami, a nawet prawdziwymi diabłami. Lecz pewnego razu jeden z nich, śmielszej natury, ozwał się: – Chciałbym kiedy takiego nihilistę zobaczyć – bodaj gdzie na ulicy spotkać! Chałturin nie mógł powstrzymać się od spokojnej uwagi: – Tylko jakbyś poznał, że to nihilista, przecież nie ma napisu na czole. Stolarnia parsknęła śmiechem, a żandarm zgromił surowo poczciwca. – Jakbyś poznał! Ech, ty wsi zabita! Nihilistę poczujesz! A poczujesz to ustępuj mu z drogi, bo ani spostrzeżesz, jak ci pryśnie czymś szpetnym w same ślepia! Takie rozmowy naturalnie tylko umacniały zaufanie do Chałturina, zresztą przyszły zięć żandarma pałacowego takim się cieszył wzięciem, iż jemu tylko powierzano roboty w komnatach cesarskich.

Roboty te prowadzono zawsze w chwilach, gdy cesarz był w danym pokoju nieobecny. Raz jednak zdarzyło się, iż Aleksander II wrócił niespodziewanie z jakiejś wycieczki tak szybko, iż nie zdołano Chałturina wyprowadzić. Cesarz spotkał się oko w oko z Chałturinem. Ten ostatni pochylił głowę, monarcha ledwie postrzec zdołał nędznego robaka, ani przypuszczając, aby taki robak zdolny był ważyć się na podobne szalone przedsięwzięcie. Było to jedyne spotkanie Chałturina z cesarzem. Pod koniec stycznia zapas dynamitu doszedł nareszcie do potrzebnej ilości trzech pudów, co według techników Komitetu Wykonawczego miało wystarczyć do wysadzenia w powietrze jadalni bez czynienia bezużytecznych spustoszeń i pochłaniania niewinnych ofiar w innych częściach pałacu. Chałturin był zdania przeciwnego i domagał się większej

ilości dynamitu, utrzymując, że ponieważ suterena znajduje się pod kordegardą, a dopiero nad tą ostatnią mieści się sala jadalna, i ponieważ kordegarda dzień i noc jest pełna żołnierzy, przeto liczba ofiar niewinnych będzie i tak poważna, a wobec tego jeszcze liczba ofiar dziesięciu lub trzydziestu ludzi więcej nie może być brana pod uwagę, gdy chodzi o niego. Lepiej przeto zaaplikować większą dozę, aby na próżno ludzie nie ginęli i aby pewność była zupełna.

Komitet Wykonawczy zwołał naradę swoich techników-chemików – i ci jednomyślnie orzekli, iż trzy pudy dynamitu wystarczą i że dalsze jego gromadzenie opóźnia niepotrzebnie egzekucję i bezcelowo naraża Chałturina. Chałturin opierał się temu i byłby niewątpliwie zmusił Komitet Wykonawczy do przychylenia się jego żądaniom, gdyby nie zakomunikowana mu przez przyszłego teścia wiadomość, iż policja pałacowa, ciągle nie mogąc wpaść na znaczenie krzyża czerwonego na planie Pałacu Zimowego, zdecydowała stolarnię przenieść gdzie indziej i to lada dzień. Bo chociaż żadnego ze stolarzy nikt nie podejrzewa, bo wszyscy są ludźmi wypróbowanymi, ale policja przecież od tego jest, aby coś nowego wymyślić. Nad głową Chałturina zawisło więc nowe i straszne niebezpieczeństwo. Chałturin dynamit już trzymać musiał w swej skrzynce z rzeczami – trzypudowa ilość już się bowiem nie mogła zmieścić pod poduszką bez zwrócenia uwagi. Poduszka więc służyła tylko za składzik podręczny, bo nieraz dwóch i trzech dni trzeba było na upatrzenie chwili, gdy w stolarni nikogo nie było i gdy dynamit spod poduszki mógł być dołączony do dynamitu na dnie skrzynki. Skrzynka zaś już dwukrotnie była rewidowana przez żandarmerię i tylko dzięki poczciwo-głupiej minie, jaką umiał przybierać Chałturin, nie zrewidowano skrzynki do dna. Przeprowadzka wszakże musiałaby wykryć ciężar trzypudowy, już nie mówiąc, że udaremniłaby zamach.

Wobec tego Chałturin, zgodnie z życzeniem Komitetu Wykonawczego, postanowił działać natychmiast. Dynamit miał zostać w skrzynce, która powinna była odegrać rolę kapsla... Chałturin pozostawić ją miał pod łóżkiem i jedynie zadowolić się przesunięciem jej do ściany szczytowej. Do zapalenia dynamitu chemik Kibalczyc przysposobił rurki szklane, wypełnione kompozycją, mogącą płonąć bez dostępu powietrza. Kompozycję zaś w rurce miał zapalić Chałturin zapałką, zakorkować rurkę szklanym, hermetycznie przystającym korkiem, i włożyć ją do skrzynki z dynamitem. Pęknięcie rurki, a więc i podpalenie dynamitu, było wyliczone na czas potrzebny Chałturinowi do wyjścia z pałacu. Wykończenie tych przygotowań i postanowienie dokonania zamachu nie rozstrzygało jeszcze o jego możliwości, bo na to trzeba było dwóch warunków – aby monarcha znajdował się w jadalni i równocześnie, aby Chałturin nie miał świadków. Pierwszy z tych warunków był łatwy do określenia, gdyż cesarz obiadował około godziny szóstej wieczorem i z bardzo małymi różnicami czasu, które dały się opanować bez trudu, z tego względu, gdyż obiad trwał około trzech kwadransów. Trudniej o wiele było doczekać się chwili, aby godzina obiadu cesarskiego zeszła się z chwilą samotności Chałturina w stolarni, zamieszkiwanej przez kilkunastu robotników i żandarma.

Chałturin miał polecenie „skończyć” – ale przez cały szereg dni nie mógł podpalić dynamitu. Chałturin był przy tym obowiązany co dzień, w czasie przewidzianym dla wybuchu, spotkać się z Żelabowem, gdyż ten na wypadek spowodowania eksplozji miał Chałturina zaprowadzić do przygotowanej kryjówki. Żelabow czekał na Chałturina na skraju olbrzymiego placu przed Pałacem Zimowym, wśród mroków nocy lutowej. Chałturin mijał Żelabowa z głową pochyloną i mruczał ponuro: „nie można było!”. A potem zawracał szybko w przeciwną stronę, aby nie obudzić

czujności pilnujących pałacu argusów policyjnych. Dwa tygodnie powtarzał Żelabowowi Chałturin te same wyrazy, tylko z coraz większym zniecierpliwieniem.

Aż nareszcie dnia 17 lutego 1880 roku Chałturin przywitał się z Żelabowem i rzekł spokojnie: – Gotowe! Zanim Żelabow zdołał odpowiedzieć, rozległ się piorunujący huk i łomot od strony pałacu cesarskiego. Światła pałacu zgasły. Całun śmierci otulił rezydencję cesarską. Chałturin pałał ciekawością dowiedzenia się, co krył ten całun, kogo dosięgnął, kogo ogarnął. Pusty i głuchy plac naraz wypełnił się ludem. Straż ogniowa nadciągała ze wszystkich stron, za strażą nadbiegało wojsko. Rozsądek nakazywał spiskowcom myśleć o odwrocie. Żelabow powiódł Chałturina szybko do przygotowanej kryjówki. Tu twórcę wybuchu siły nagle opuściły. Nerwy, całą mocą wolą trzymane od miesięcy na uwięzi, zadygotały. Chory, ledwie teraz na nogach mogący ustać Chałturin, drżał na samą myśl, że go w kryjówce wytropią, że go pochwycą. Dopiero, gdy Żelabow pokazał Chałturinowi naboje dynamitowe, które stosownie do jego żądania broniły przystępu i zdolne były cały dom na pył rozbić, Chałturin uspokoił się. Żywcem nie chciał się dać pojmać (szczegóły te spisane są ze słów Żelabowa.).

Tymczasem w Pałacu Zimowym na chwilę przed wybuchem sala jadalna była zastawiona i gotowa na przyjęcie liczniejszych niż zwykle biesiadników, gdyż z okazji wizyty Aleksandra I Battenberga, księcia bułgarskiego, na obiad zebrała się cała rodzina cesarska łącznie z braćmi monarchy i krewnymi obecnymi w Petersburgu. Cesarz Aleksander udał się na dworzec drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, dla uroczystego powitania gościa, nowo wybranego na władcę Bułgarii. Grzeczność ta niepowszednia ze strony samowładcy wszechrosyjskiego tłumaczyła się tym, że książę Aleksander Battenberg był synem brata żony cesarza

Aleksandra II, więc siostrzeńcem pary cesarskiej. Najniespodziewaniej wskutek ciężkiej, bo zaśnieżonej drogi, pociąg wiozący księcia opóźnił się, i to znacznie. Cesarz niecierpliwił się na dworcu, niecierpliwiła się rodzina cesarska czekająca w apartamentach, niecierpliwiła się świta, a kucharze lamentując zabierali się do zastąpienia przestarzałego obiadu nowymi potrawami...

Nikomu na myśl nie przyszło, że każda sekunda opóźnienia ocala jedno życie więcej. Eksplozja nastąpiła wtedy, gdy w jadalni byli tylko kamer-lokaje. Lecz skutki były nadto straszne, aby przerazić najodważniejszego. Stolarnia, kordegarda warty pałacowej, a za nią jadalnia zamieniły się w jedną bezkształtną wyrwę, grzebiąc w swych gruzach sześćdziesięciu ludzi, a czterdziestu z górą kalecząc i raniąc najokrutniej. Ofiarą padli przede wszystkim żołnierze warty, a potem kamer-lokaje, paziowie dyżurujący w jadalni i kilku ze starszych urzędników dworu. Można wyobrazić sobie przerażenie cesarza, gdy pojazd jego, w kilka minut po wybuchu, stanął przed pałacem. Wprawdzie huk eksplozji uprzedził go w drodze, lecz czy monarcha mógł przypuszczać, że on targnął właśnie murami Pałacu Zimowego.

Aleksander II drżał ze wzruszenia wiodąc gościa do apartamentów bocznych. W apartamentach tych omdlewała ze zgrozy rodzina cesarska. Wicher lutowy przez wybite szyby dął od Newy i hulał po złotem wykładanych apartamentach, gasił światła i dzwonił kryształami świeczników. W parę godzin po wybuchu Żelabow zawiadomił Chałturina o rezultacie. Nieubłagany królobójca na słowo, że „on” ocalał, runął na łóżko zgnębiony, wycieńczony, złamany zawodem, który go tyle pracy kosztował. Gorączka, febra i ataki nerwowe przez całe tygodnie dręczyły wyniszczony organizm rewolucjonisty, a stokroć więcej podobno dokuczała mu myśl, iż tylu niewinnych ludzi przyprawił o śmierćć. Dopiero relacje

otrzymywane o potędze wrażenia, osiągniętego w całej Rosji i nieomal w całym świecie, ukołysały Chałturina. Lecz i mimo to Chałturin nie przestał obwiniać Komitetu Wykonawczego twierdząc, może i nie bez racji, że gdyby dynamitu było pięć pudów, to co najmniej lwia część rodziny cesarskiej znalazłaby grób w pałacu!

Chałturin nie miał podobno równego sobie w królobójczej determinacji. Czy Chałturina a raczej „poczciwego lakiernika z ołonieckiej guberni" poszukiwano? Z pewnością nie, śledztwo błąkało się, wpadało na domysły i myślało o podkopie, dalej sądziło, iż sprawca zamachu znalazł śmierć w gruzach, że najpewniej mógł być żołnierzem z warty itd.. Nieobecność Chałturina oczywiście nic nie mogła znaczyć tam, gdzie tyle ciał ludzkich zamieniło się w miazgę, gdzie liczba znalezionych kadłubów nie odpowiadała liczbie rąk i nóg. Niedoszły teść-żandarm tak wierzył Chałturinowi, że po wybuchu zakupił na cześć jego panichidę. Chałturin z Petersburga przeniósł się do Odessy i tam mógł pozostać nie poznany i nie podejrzany, gdyby nie nowa jego działalność. Pochwycono go mimo zbrojnego oporu dopiero w dwa lata później, w dniu mordu prokuratora Strelnikowa (30 marca 1882) i w ciągu dni czterech osądzono i powieszono wraz z odeskim towarzyszem Żełwakowem.

Czy sąd odeski wiedział, że Chałturin był twórcą zamachu w Pałacu Zimowym? Prawdopodobnie tak, gdyż w kronikach nihilistów wspominają, że jeden z późniejszych królobójców nie wytrzymał tortur i sypał. Chałturin miał jednak wszystkie dane, aby najspokojniej wyprowadzić się za granicę, czego najlepszym dowodem jest to, że dwa lata był na wolności i to w Odessie. Lecz Chałturin należał do ludzi, którzy z pola walki tylko wówczas ustępują, gdy nieprzyjaciel się podda, a że o tym mowy nie było, więc Chałturin walczył, póki stryk kata nie zdławił w nim życia. Cała wina za zamach spadła na razie na Kwiatkowskiego i jego towarzyszy, bo to

u niego znaleziono fatalny plan pałacu cesarskiego z salą jadalną oznaczoną krzyżem!

Już teraz znaczenie krzyża było aż nadto zrozumiałe. Kwiatkowski musiał być członkiem tej samej rodziny nihilistycznej, jednak milczał. Przez osiem miesięcy zadawania mu męczarni, walczył z życiem, walczył z opieką lekarzy, aż się nad jego dolą szubienica ulitowała. W dwa dni po zamachu Komitet Wykonawczy wydał proklamację i zapowiedział nieodwołalnie dalsze zamachy. Aleksander II dopiero po tygodniu otrząsnął się z osłupienia i ze swej strony radykalne przedsięwziął środki, to jest za silniejszą jeszcze opowiedział się reakcją. Na głowę państwa powołany został Loris-Melikow w charakterze przewodniczącego wyższej komisji wykonawczej i naczelnika Trzeciego Oddziału na miejsce oddalonego generała Drentelna. Loris-Melikow, choć oficjalnie miał niezdecydowane tytuły, posiadał faktycznie władzę dyktatorską, mógł decydować o wszystkim. Nowy dyktator Loris-Melikow dzielił się władzą tylko z faworytem cesarskim, ministrem dworu, hrabią Aleksandrem Adelbergiem, zwanym popularnie Aleksandrem III.

Tymczasem cesarz w dwanaście dni po wybuchu w Pałacu Zimowym święcić miał dwudziestopięciolecie swego panowania. Aleksander II chciał obchodu zaniechać, a przynajmniej go odłożyć. Ale Loris-Melikow nalegał. Cesarz ustąpił. Wykreślono tylko z programu wszystkie przejazdy cesarza, przejazdy zbliżające monarchę do poddanych, zamieniono pałac cesarski w obóz i w obozie tym próbowano gody odprawić. W dwa dni po jubileuszowych godach rewolucjonista Młodecki strzelił do Loris-Melikowa. A gdy go ujęto i wzięto na śledztwo – oświadczył z całą stanowczością, że dyktator wszechrosyjski jest skazany na śmierć, więc jeżeli nie ustąpi, nie złoży urzędu – będzie zabity, bo taki jest wyrok Komitetu Wykonawczego „Narodnoj Woli”.

Tymczasem żandarmeria działała z rozpaczliwą energią, chwilami zdawało się, że już pochwyciła rdzeń podziemnej Rosji – lecz złudzenia te rozwiewały nowe zamachy, nowe wybuchy dynamitu. Dość przypomnieć, że w styczniu agenci Trzeciego Oddziału wykryli i otoczyli drukarnię „Narodnoj Woli", ale tu agentów powitały bomby, pożar, a na koniec samobóstwo Łubkina, który po zażartej obronie wystrzałem z rewolweru udaremnił zadawanie mu pytań. Rewolucjoniści rosyjscy, zwłaszcza należący do terroru, w ogóle postawili sobie za hasło nie oddawać się żywcem. Hasło to spowodowało głuche wieści, idące z więzień, o męczarniach zadawanych pojmanym, i ponure, ścinające krew w żyłach relacje z Syberii.

Stąd rewolucjonista Polikarpow, wykonujący w Kijowie wyrok na osobie niebezpiecznego szpiega Zambrowskiego (16 marca 1880), którego tylko zdołał zranić, w chwili pojmania zwrócił lufę rewolweru do własnych ust i roztrzaskał sobie głowę. Stąd też członkowie partii Holdenberg i Kazarski, nie czekając na drugie badanie i narzędzia tortury, powiesili się w Twierdzy Pietropawłowskiej. Ta determinacja raz po raz rwała nici, zacierała ślady spiskowców. „Narodnaja Wola" w roku 1880 miała w swym składzie dwanaście grup, rozrzuconych w rozmaitych częściach Rosji, i ogniskowała z górą pięciuset ludzi, a tych dopiero otaczały tysiące „niewtajemniczonych".

Ale błędem byłoby mniemać, że tych pięciuset wyborowych członków istotnie wiedziało coś o robocie Komitetu Wykonawczego. Do wyroków miał komitet tak zwane gromadki bojowe, liczące nie więcej nad dziesięciu ludzi dobranych przez atamana i zharmonizowanych z sobą. Taka gromadka bojowa otrzymywała jedynie wskazówkę od komitetu co ma robić, a komitet nie mieszał się do tego, jak przedsięwzięcie ma być wykonane. A choć współdziałał w robocie, to pozostawiał bojowej gromadce swobodę

ruchów. Gromadki takie rządziły się same, rozstrzygając kwestie większością głosów, a jedynie na czas walki obranemu atamanowi oddawały władzę dyktatorską. Członkiem takiej gromadki mógł być tylko wybrany i wypróbowany przez Komitet Wykonawczy towarzysz lub towarzyszka i tylko ten, kto pod karą śmierci zobowiązał się dla osiągnięcia celu własne życie poświęcić. Gromadki bojowe składały się więc z ludzi idących prawie zawsze na niezawodną śmierć. Kto raz do gromadki przystał, ten w zasadzie podpisywał na siebie wyrok. Za uchylanie się, za brak odwagi czekał takiego sztylet kolegi – za zbytnią odwagę mścił się często królobójczy dynamit, a odwaga najdzielniejsza i nawet pewna ilość szczęścia nie starczyłaby jeszcze, by w końcu nie wpaść w ręce policji, a więc skonać na torturach lub katordze, czy zawisnąć na pętli między niebem a ziemią.

Niewielu też z tych gromadek bojowych ocalało, a jeszcze mniej myślało naprawdę o ocaleniu. Rewolucjoniści rosyjscy często dobrowolnie oskarżali się, często solidaryzowali się z najciężej oskarżonymi, aby z nimi razem zginąć. Mieli taką wolę męczeństwa, takim płonęli samozaparciem, że gotowi byli za każdą literę konstytucji setkami istnień swych zapłacić. Samowładztwo dyszało pragnieniem, aby za wszelką cenę, za cenę najgorszych skutków dla prawnuków, dla potomności, system na dziś jeszcze utrzymać – bodajby nazajutrz miał potop zalać monarchią. Rewolucjonizm rosyjski godził się z góry na własną zagładę, byle tym zimnym, obojętnym, wątpiącym, słabym i ciemnym, lepsze życie usłać. Do wyjątku ocalałych z gromadek terroru należy słynny Hartman, twórca zamachu na kolej pod Moskwą w 1879. Hartman bowiem zdołał zatrzeć za sobą ślady i uciec do Paryża. Tu jednak wykryła go policja rosyjska i zażądała aresztowania. Hartman został pochwycony na spacerze na Polach Elizejskich 16 lutego 1880 roku i osadzony w więzieniu. Rosja domagała

się wydania niebezpiecznego królobójcy. Ambasada rosyjska poruszała niebo i ziemię, byle Hartmana dostać, ale tu zwyciężyła opinia i sympatia ludu francuskiego, który ze swej strony nie dopuścił do pogwałcenia praw gościnności, nie zezwolił, aby wydano na śmierć przestępcę politycznego, który tak głęboko zaufał konstytucji Trzeciej Republiki – Hartmana uwolniono.

Reakcyjny dziennik rządu „Moskiewskie Wiadomości” zalał się żółcią Katkowa na opiekę zapewnioną „zbrodniarzowi” na bezkarność francuską. Dyplomacja rosyjska zbladła z gniewu. Polityczne sfery Francji były aż zakłopotane. Naród francuski drwił z tego, bo czuł, że w tej chwili jedna sobie miliony serc różnojęzycznych. Rok 1880 dla podziemnej Rosji miał jeszcze mord popełniony na osobie rewolucjonisty Żarkowa za zdradę i ten sam rok objął pięciu powieszonych, czterech samobójców, trzech zmarłych z mąk więziennych i dwadzieścia jeden procesów politycznych ze stu dwudziestoma trzema katorżnikami. Rok 1880 – od dnia wydania „Prawa” oficjalnie upoważniającego gubernatorów do wysyłania bez sądu podejrzanych politycznie na Syberię – doprowadził liczbę zesłanych do ośmiu tysięcy.

Loris-Melikow w początkach swego panowania zesłał tysiąc ludzi, należących do kwiatu młodzieży i sił inteligenckich, na powolną śmierć w jurtach Kamczadałów i Jakutów. Loris-Melikow miał bowiem pełnomocnictwo nawet całą Rosję zesłać do ciężkich robót. Monarcha podpisałby i taki rozkaz, bo podpisywał wszystko, co chciał dyktator. Ale strzał Młodeckiego znikomość doczesnego życia tak dobitnie Loris-Melikowowi przedstawił, tak mu dowiódł bezsensowność terroru, iż naraz dyktator zmienił front i przeistoczył się w liberała, i mówić zaczął o konstytucji.

XIII

Cesarz Aleksander II żonaty był z księżniczką hesko-darmstadzką Marią, która przy zmianie luteranizmu na prawosławie przybrała imiona Marii Aleksandrówny. Z tego małżeństwa miał cesarz aż sześciu synów: Mikołaja, Aleksandra, Włodzimierza, Aleksieja, Sergiusza i Pawła. Następcą tronu był z prawa pierworodztwa książę Mikołaj. Pożycie pary cesarskiej nie było przykładne, a to z winy romansowego usposobienia i erotycznych zapałów Aleksandra II. Monarcha ten w obejściu swym i całym wzięciu odznaczał się wielkim opanowaniem i dystynkcją. Bywał nawet skądinąd człowiekiem uprzejmym, o wiele mniej przestrzegającym bałwochwalczej etykiety niż ojciec Mikołaj I, lubił zwierzać się i olśniewać, jak Aleksander I, i filozofować po trosze, i w miarę bawić się mistycyzmem. A że do tego był mężczyzną przystojnym, więc dla dworu Apollinem, zdobyczy naturalnie mu nie brakło. Stąd żaden z panujących nie doczekał się takiego licznego potomstwa nieprawego jak Aleksander II. Cały szereg można wyliczyć rozmaitych Buturlinów, Aleksiejewów i Jurjewskich. Cesarzowa bolała bardzo nad tym i starała się być dobrym duchem, gotowym zapomnieć winę skruszonemu. Lecz Aleksander jeżeli skończył jedną miłostkę to jedynie w tym celu, aby rozpocząć drugą. Stąd cesarzowa odznaczająca się istotnie wielkim przywiązaniem do męża, wiodła życie smutne i poniekąd odosobnione. Pomimo jednak niewiary małżeńskiej, cesarzowa Aleksandra wywierać mogła poważny wpływ na męża o charakterze tak słabym, chwiejnym i łatwym do kierowania.

Maria Aleksandrówna żadnych jednak do tego nie miała warunków, a cnoty jej były jedynie cnotami mieszczki, dbającej o swe gniazdko, poza którym świat się może walić w gruzy. Równocześnie więc cesarzowa posiadała dane, aby stać się biernym narzędziem w ręku Machiavellego i nieomal tak się stało. Cesarzową opanowała hrabina Błudowa, kobieta ograniczona, tępa, oddana prawosławiu i nienawidząca z całym obskórantyzmem wszystkiego, co nie było równie jak jej umysł ciemne, płytkie i ciasne. Błudowa zjednała Marię Aleksandrówną dla prawosławia i pchała ją do reakcji, do fanatyzmu. Cesarzowa bez oporu powtarzała słowa Błudowej mężowi, a cesarz często słuchał, bo niekiedy uległością pragnął małżonce nagrodzić inne zawody, bo sam w głębi duszy nie myślał inaczej, bo w ogóle do myślenia skłonny nie był.

Cesarzewicz Mikołaj pozostawał tymczasem pod kierunkiem matki, która go wyróżniała swym przywiązaniem. Był nawet lubiany i bardzo popularny, gdyż jak słusznie pisze Kołosow, w Rosji od wieków tradycja każe, bez żadnej logicznej podstawy, uważać następcę tronu za liberalniejszego, bardziej ludzkiego, skłonniejszego do ustępstw. Tym razem ta niewyrozumowana nadzieja znalazła dla siebie urok zgonu, który przeciął młodzieńcze lata księcia Mikołaja. Cesarzewicz był słabowity od urodzenia. Zbyt troskliwe wychowanie przeczuliło wątły organizm, popęd więc do samogwałtu, który opanował następcę, trafił na grunt najbardziej podatny i wyplenić się nie dał. Żadne metody leczenia nie zdołały zapobiec temu, co odkryto po niewczasie, co było obłędem płciowym. Ale ponieważ nawet taki wzgląd, na stopniach tronu, nie może ani na sekundę opóźnić przepisanej chwili małżeństwa księcia następcy, przeto i książę Mikołaj, dogorywając w Nicei a objawiając chorobliwy wstręt do kobiet, urzędowo zakochał się w córce króla duńskiego, Dagmarze.

„Uczuciom” tym stanęła na przeszkodzie śmiereć księcia (23 kwietnia 1865). Królewna duńska, równie zakochana w cesarzewiczu, wdziała szaty żałobne i w dalszym ciągu nie przestała być narzeczoną następcy tronu, ale już idącego z prawa starszeństwa za Mikołajem, wielkiego księcia Aleksandra. Cesarzowa głęboko odczuła śmierć najstarszego syna, w którym widziała wspomnienie jedynych może szczerych uczuć płochego męża. Przygnębienie Marii Aleksandrówny rzuciło ją tym silniej na drogę praktyk religijnych. Pop Bażanow stał się wyrocznią cesarzowej, a kumoszki i przyjaciółki Bażanowa – hrabiny Błudowa i Protasowa – jedynymi powierniczkami i satelitami monarchini.

Aleksander II filozoficzniej zniósł śmierć księcia Mikołaja, może dlatego, iż potomstwo jego faktycznie sięgało już liczby trzech tuzinów dzieci różnorakich, a może dlatego, iż pochłonęła go miłość do młodej księżniczki Eugenii Dołgorukow. Miłość w bardzo szybkim tempie od przelotnych zapałów przeszła w nieokiełznaną namiętność. Daremnie dwór cesarski spodziewał się i czekał na nowy poryw motyli Aleksandra II. Cesarz wprawdzie nie dochowywał księżnej wierności filistra, ale jak na monarchę przystało, był wierny do zapamiętania, a Dołgorukównę zdradzał bardzo oględnie i prawie tyle ile musiał. Toż wszystkie wybitniejsze ogniska ludzkie Rosji były usiane tak zwanymi cesarskimi instytutami dla panien. Instytuty te zajmowały się wychowaniem bezpłatnym sierot szlacheckich lub córek podoficerskich i wyższych urzędników. Wychowanie to zmierzało jedynie do urobienia pięknych, ładnie ułożonych lalek, do stanowienia kadr haremowych dla samczych popędów monarszych i wielkoksiążęcych.

Ilekroć do miasta zjeżdżał choćby najmniejszy w hierarchii domu panującego, tylekroć razy setki dziewcząt wydekoltowanych do pasa defilowały kornie pod okiem „przełożonej”, szukającej na twarzy gościa

znaku przyzwolenia. Łatwo wyobrazić sobie jak się taka atmosfera podnosić musiała, gdy do instytutu zjeżdżał monarcha i ze swymi adiutantami raczył rozpraszać klasztorne życie wychowanek. A wizyty te były tak pilnie przez Aleksandra czynione, że aż dziwne i kompromitujące. Miłość do Dołgorukówny, pomimo tych pokus ciągle trwała. Trwała nawet, gdy owoce sentymentalizmu Aleksandra II przybrały realne formy trojga dzieci (Jerzego urodzonego 30 kwietnia 1872 roku, Olgi urodzonej 9 listopada 1873 i Katarzyny urodzonej 9 wrześNia 1878 roku). Cesarzowa była załamana. Aleksander II większą część dnia spędzał w pałacu księżniczki Dołgorukow. Dwór u niej szukał kornie dopełnienia majestatu. Czy i o ile księżniczka Dołgorukow miała wpływ na bieg spraw państwa, o tym kroniki milczą. Żywiła podobno istotnie dla monarszego kochanka wielkie uczucie i nie była ani wymagająca, ani ambitna. Zdawało się, iż za cenę przywiązania Aleksandra, gotowa była do wszelkich kompromisów z potentatami władzy.

Partia cesarzowej Marii Aleksandrówny była dosyć potężna i groźna, a zwłaszcza gdy do niej przyłączył się następca tronu, zatrwożony miłością ojca do swych nieprawych dzieci z Dołgorukówną. Niespodziewanie ostatni zamach Chałturina i na historię miłości Aleksandra wywarł wpływ nie lada. Zamach ten bowiem ujawnił, jak dalece silna jest organizacja wywrotowa, jak na każdym kroku żadnej nie pomija sposobności, jak dzień i noc czyha na chwilę, umożliwiającą skierowanie śmiertelnego ciosu ku osobie samowładcy rosyjskiego.

Stąd tajna policja nie tylko musiała czuwać dzień i noc, nie tylko kordonami Aleksandra II otaczać, ale i równocześnie nalegać, aby monarcha zaniechał zbyt częstych wyjazdów, i to głównie wyjazdów do jednego i tego samego punktu. Aleksander II był zbyt przestraszony i pouczony przykładami, aby się opierać, ale i zbyt oddany księżniczce

Dołgorukow, aby wyrzec się spędzania z nią wolnego czasu. Cesarz nie namyślał się długo i w roku 1880 księżniczka Dołgorukow przeniosła się do Pałacu Zimowego i zamieszkała razem z dziećmi pod jednym dachem z Aleksandrem II i cesarzową. Ta ostatnia, od dłuższego czasu niedomagająca, zapadła na zdrowiu silniej. Wstrząs moralny dopełnił miary i Maria Aleksandrówna zakończyła życie w dniu 3 czerwca 1880 roku, a więc tylko dwa miesiące zniosła sąsiedztwo rywalki.

Śmierć żony była dla Aleksandra II wyzwoleniem i to tak gorąco upragnionym, iż monarcha nie myślał liczyć się ze względami, a nawet z pozorami. W tym przypadku wolał pójść za przykładem nieokrzesanego mużyka, któremu zwłoki połowicy są nade wszystko kłopotem, jak po stypie wyprawić wesele. Maria Aleksandrówna umarła w czerwcu – w sierpniu tegoż roku księżniczka Dołgorukow, pod nadanym jej mianem księżnej Jurjewskiej, została morganatyczną żoną cesarza, a potomstwo jej oficjalnie uznane za krew cesarską. To pogwałcenie przez cesarza nawet praw zwyczajowej żałoby wywołało w Rosji nie zgorszenie ale satyryczne uśmiechy i podkopało do reszty i tak słaby urok majestatu samowładczego. Równocześnie dwór, a raczej jego część, skupiająca się koło następcy tronu, zadrżała ze zgrozy. Tu oczywiście nie szło ani o niestosowność tak szybko zawartego małżeństwa, ani o stronę moralnego wrażenia spływającego ku poddanym, ale jedynie o nagle wzrosły wpływ księżnej Jurjewskiej, o przywiązanie cesarza do dzieci morganatycznych... o władzę, o koronę! Cesarzewicz ze swą żoną Dagmarą duńską, która zmieniając luteranizm na prawosławie nazywała się Marią Teodorówną, użyli wszystkich możliwych środków i wymogli na Aleksandrze II, aby akt ślubny zawierał warunek, usuwający księżnę Jurjewską od wszelkiej działalności politycznej i politycznego znaczenia.

Cesarz dla świętego spokoju ustąpił i warunek wymieniony zastrzegł, tym niemniej cicha, uległa dotąd księżna Jurjwska nie na żarty uczuła się cesarzową i to cesarzową według świadectw (nawet wrogów), rozumną, energiczną, tylko nadto wolnomyślną. Ile w tym jest szczerej prawdy, trudno dociec, ale i trudno zaprzeczyć, gdyż na ten czas przypada właśnie w panowaniu Aleksandra II kilka błysków jaśniejszych, godziwszych, mających mało wspólnego z chwiejnym, spaczonym umysłem sterroryzowanego i terroryzującego samowładcy wszechrosyjskiego. W tym czasie zachód Europy sporadycznie, choć aż nazbyt często, zaczął zapisywać zamachy na życie panujących i naczelników władzy, oraz urabiać sobie pojęcie o międzynarodowej partii rewolucyjnej dążącej do anarchii.

Pojęcie to było błędem do pewnego stopnia i błędem rozmyślnie odtąd rozpowszechnianym przez dany rząd, który często wolał królobójcę zapisać na czerwoną listę jakichś szaleńców zniszczenia, apostołów bezprawia, niż spowiadać się ze swych zakulisowych walk, uzbrajających jednostki w królobójcze narzędzia. Więc po zamachach na Wilhelma I, w Europie zanotowano zamach w Neapolu kucharza Passamantiego na Humberta I (1878) i w tymże roku zamach Moncasiego na Alfonsa XII hiszpańskiego. Rok 1879 przyniósł zamordowanie księcia Napoleona przez rzekomych Zulusów (1 czerwca) i znów strzał chybiony Gonzalesa Otero do Alfonsa II. Rok 1880, choć według żądnej mordów raportów policji tajnej, miał liczyć potężną ilość rozmaitych spisków królobójczych – ale te jako udaremnione (częściej w imaginacji policyjnej) nie zdobyły większego rozgłosu. Rosja przeto, rozbrzmiewająca łomotem dynamitu i błyskająca ostrzami sztyletów, Rosja dzwoniąca łańcuchami katorgi, trzymała prym.

XIV

Wielki żandarm cesarstwa, naczelnik sławetnego Trzeciego Oddziału, Loris-Melikow, gdy go ominęła kula Młodeckiego, został liberałem. Dotąd srogi, zaślepiony reakcjonista, zaczął przebaczać, darować winy, wracać z Syberii setki zesłańców. Cesarz wypełniał potulnie rozkazy Loris-Melikowa, ledwie rozumiejąc się na takich rządach, ledwie obejmując plan. A plan ten polegał na wyodrębnieniu grupy terroru rewolucyjnego i wpojeniu w ogół narodu wiary, że władza zwalcza nie ideę, nie przekonania, lecz zbrodnię. Środek ten byłby skuteczny, gdyby był uczciwy, gdyby nie obłudna obawa przyznania się do win popełnionych. Bo było niezaprzeczonym faktem, iż pośród ośmiu tysięcy wygnańców i katorżników politycznych, co najmniej siedem tysięcy skazano bez sądu, bez dowodu winy.

Ludzie ci przeto musieli mieć głębokie poczucie zaznanej krzywdy i nie chcieli łask ani przebaczenia, tylko wymiaru sprawiedliwości, tylko ujawnienia swej niewinności. Stąd niespodziewana łaskawość, niezrozumiały powrót ich do kraju był dla nich jedynie nowym udręczeniem, że ubogie przepisy prawa rosyjskiego są niczym wobec kaprysu naczelnika cesarskiej żandarmerii i każdy obywatel państwa jest skazany na humor, bądź nie, takiego samowładcy, że nic poddanego nie broni od samowoli pierwszego lepszego gubernatora. Słaby był więc efekt z fajerwerku łask wymyślony przez Loris-Melikowa.

Loris-Melikow miał jeszcze inne w zapasie, bo tuż po tym wstępie zaproponował Aleksandrowi II skasowanie Trzeciego Oddziału. Aleksander

przeraził się wolnodumstwem faworyta i ledwie że go w pierwszej chwili nie pozbawił władzy. Loris-Melikow umiał mężnie wytrzymać burzę i spokojnie dowieść prostej bardzo kombinacji, że „ochrona” zostanie, a tylko będzie się inaczej nazywała. Tu idzie o usunięcie nazwy znienawidzonej przez lud. Cesarz się uspokoił i podpisał edykt znoszący Trzeci Oddział. Figiel ten chwilowo zachwycił naiwnych, bo ci, których panowie z Trzeciego Oddziału najwięcej obchodzili, ci mieli ich po dawnemu na karku. Lecz Loris-Melikow, raz poszedłszy drogą ustępstw, miał w zapasie jeszcze coś, co było osią westchnień stuletnich całego ludu rosyjskiego. Loris-Melikow nosił się z zamiarem konstytucji.

Zabawna to sprawa z tą konstytucją rosyjską. Zabawniejsza jeszcze z dobrymi chęciami carów, którzy drżą, aby ukochanemu ludowi konstytucja nie zaszkodziła. Więc Piotr Wielki, dla tej pieczołowitości, zagarnął samowładztwo i krwią dziesiątków tysięcy ludzi zniszczył cały prastary samorząd rosyjski. Po Piotrze każdy z panujących miał swobody gotowe dla ukochanego ludu za pazuchą, tylko sięgnąć po nie zawsze było niepodobieńswem, gdyż car miał obie ręce zajęte – w jednej berło samowładcze, a w drugiej knut. Katarzyna II doszła już nawet do tego, że w roku 1767 zwołała przedstawicieli ludu na obrady nad nowym kodeksem. Zgromadzenie szło przykładnie, bo deputowani drżeli przed katorgą. Aliści najniespodziewaniej zabrali głos w zgromadzeniu prawodawczym „Samojedzi”. Ci półdzicy niedźwiedzie mieli odwagę odezwać się spokojnie: „My ośmielamy się prosić, aby w nowym kodeksie stało napisane, żeby panowie urzędnicy i gubernatorzy nie okradali nas, bośmy i tak bardzo biedni...” Ta samojedzka nowela do prawa stała się hasłem dla całej izby do czynienia równie dziwnych wniosków. Deputatów rozpędzono, a deputaci samojedzcy odebrali zaliczkę przyszłych batów już w Moskwie.

Ba, przed Katarzyną II o konstytucji myślał Piotr III, a potem i Paweł I. Aleksander I zaś nie na żarty rozprawiał o niej. Dość rzec, iż podczas rewolucji polskiej roku 1830 w Warszawie znaleziono w papierach po Nowosilcowie, zauszniku carów rosyjskich, dwa egzemplarze gotowej konstytucji rosyjskiej, sporządzonej według domysłów po roku 1815. Konstytucja przeto Loris-Melikowa nie była pierwsza, ale za to niewiele różniła się od swych poprzedniczek, gdyż opierała się na zasadzie, że car będzie samowładcą, a poddanym pozwoli się czasem, według fantazji, obradować nad tym, jakby stado utuczyć lepiej na pociechę pastucha.

Słowem, według projektowanej konstytucji, pastuch został pastuchem, bat batem, krowy zaś do przywileju dawania mleka i rodzenia cieląt otrzymywały prawo porykiwania chóralnego i na cześć pastucha, i na chwałę bata. Konstytucja Loris-Melikowa miała być więc znów tylko frazesem, miała znów otumanić na lata dobrodusznych, znów odwlec radykalne reformy. Ale mimo wszystko, nawet i taka karykatura samorządu miała wartość i musiała ją mieć choćby dlatego, że sankcjonowała obywatelstwo wyrazu. Tak, bo przecież za wyraz „konstytucja” szło się na Sybir. Cesarz wahał się, opierał, ociągał. Loris-Melikow nalegał, a dowodził paragrafami, że władza carska ani na jedno drgnienie osłabiona nie będzie. Księżna Jurjewska poparła konstytucję. Aleksander II ustąpił wreszcie, ustąpił w dniu 12 marca 1881 roku, ustąpił w wigilię swojej śmierci!

Po zamachu na Pałac Zimowy Komitet Wykonawczy „Narodnoj Woli” milczał. Milczał długo i jakby wsłuchiwał się w echa nowego kursu polityki Loris-Melikowa, jakby w kursie tym szerszego szukał dźwięku. Faktem bowiem jest, że „Narodnaja Wola” sama uznawała terror za ostateczność, lecz nigdy za cel. Faktem jest, że najuroczyściej zaprzysięgała poddać się woli przedstawicieli wszystkich klas, że nawet chętnie godziła się na

wyznanie uczuć wiernopoddańczych Aleksandrowi II, gdyby ten chciał stanąć na pozycji cesarza Austrii lub cesarza Niemiec.

Upływały miesiące. Półśrodki łagodzące raczej drażniły, zachęcały do walki, niż koiły. Z dnia na dzień najwięksi optymiści stwierdzali, że Loris-Melikow idzie drogą kompromisu, że prowadzi grę co najmniej nielogiczną, że pracuje nad pogodzeniem samowładztwa z samorządem, a właściwie nad wytworzeniem skądinąd niegodziwszego niż dotąd systemu. „Narodnaja Wola” milczała. Partie choć żyły, choć pracowały – nie planowały, ani nie dokonywały żadnych zamachów. Spiskowcy poszli między lud i tu poprzestali na nauczaniu, na pracy nad oświatą, na zwalczaniu ciemnoty i zabobonów. Wszystkie niemal życiorysy ówczesnych najwybitniejszych rewolucjonistów rosyjskich notują w tym okresie uciszenie się, wyczekiwanie. Wywrotowcy poniekąd sami nie oparli się złudzeniu pokojowego rozstrzygnięcia walki. Lecz co pośród optymistów odbiło się w gorzkim uśmiechu, u rewolucjonistów ozwało się zgrzytem, okrzykiem rozpaczliwej wściekłości. Nadto Aleksander II tak się ociągał, tak bronił się przed podpisaniem nawet pierwszego wystąpienia, że do ostatniego dnia sprawa konstytucji była tajemnicą, że sam Loris-Melikow bał się o niej wspominać, że nikt o niej nie wiedział nic pozytywnego. Chodziły jeno słuchy i pogłoski.

Naród rosyjski z okazji świąt Bożego Narodzenia i nowego 1881 roku spodziewał się z wysokości tronu zapowiedzi nowych łask, nowych swobód – nadzieje zawiodły. Komitet Wykonawczy podniósł głowę, przesłał Aleksandrowi II nowy wyrok śmierci i przystąpił do egzekucji. Gromadka bojowa terrorystów została wybrana przez komitet i otrzymała rozkaz. Gromadka ta składała się z kilkunastu najprzedniejszych i najdzielniejszych członków „Narodnoj Woli”. Na czele gromadki był Żelabow (znany już z zamachu Chałturina), za nim szła Zofia Perowska, Michał Rysakow,

Kibalczyc, Kobozew, Sablin, Michajłow, Hesia Helfman, Ignacy Hryniewiecki i kilku mniej wybitnych rewolucjonistów.

Żelabow opracował plan zamachu, zamachu dynamitowego, gdyż ochrona osoby cesarza i doświadczenie pouczyło, że tylko wysadzenie w powietrze, tylko eksplozja ma widoki dosięgnięcia Aleksandra II. Zamach dynamitowy naturalnie marzyć nie mógł o pałacu cesarskim, gdyż pałace samowładcy, po ostatnim wybuchu, zamieniły się w fortece czuwające dzień i noc, niedostępne wyspy, na skałach których musiał się rozbić każdy podstęp.

Zamach nie miał również widoków powodzenia na kolei żelaznej, gdyż przy najmniejszej podróży cesarskiej, krocie ludu spędzano do pilnowania torów, dodatkowo wprowadzono zasadę trzech idących za sobą w krótkich odstępach czasu pociągów cesarskich. Monarcha niekiedy jechał w pierwszym, niekiedy w drugim, a czasem w drodze przesiadał się do trzeciego. Zamach kolejowy musiałby więc zgadywać, a na zgadywanie brakło czasu, zgadywanie szkodziłoby partii, bo nieudany zamach znów by podsycał zabobon o nietykalności. Namyślano się długo, aż nabrano przeświadczenia, iż tym razem należy uskutecznić podkop pod jedną z ulic Petersburga, najbardziej uczęszczaną przez pojazd cesarza. Taką ulicą w pierwszym rzędzie był Newski Prospekt. Ale szerokość prospektu nasuwała trudności, a nie mniej większy, drożyzna mieszkań. Podkop musiał przecież posiadać jakiś punkt wyjścia, w którym mogliby spiskowcy bez przeszkód operować. Po rozpatrzeniu danych przekonano się, iż ulica Mała Sadowa ma równie wielkie szanse, że właśnie tą ulicą cesarz przejeżdża dosyć często udając się na parady wojskowe do maneżu artyleryjskiego. A choć niekiedy zmienia drogę, to Mała Sadowa ogląda monarchę z tygodnia na tydzień. Postanowienie zapadło.

Kobozew wziął na swe barki najcięższe zadanie, ponieważ dotąd nie był notowany przez żandarmerię i nie był zamieszany w żaden proces, podczas gdy inni członkowie gromadki bojowej należeli nawet do ściganych, a Perowska i Helfman do uciekinierów. I Kobozew zabrał się do dzieła. Jakoż wkrótce w suterenie na Małej Sadowej stojącej pustkami założony został sklep z serami, owocami, rybami i towarami kolonialnymi. Sklep był zaopatrzony sumiennie, miał dobry i tani towar, a jego młody właściciel Kobozew był wesołym, uprzejmym kupcem, umiejącym jednać sobie ludzi i ściągać klientów. Klientela rosła z dnia na dzień. Kobozew pracował z zapałem, uskarżał się tylko na parobka i subiekta – ach, bo trudno przecież o ludzi zdolnych i przychylnych. Lecz cóż, oddalać nie warto, bo nowi nie będą lepsi. Biadał więc Kobozew w swej suterenie, pokrzykiwał na służbę, żartował z publicznością, z dostawcami się przekomarzał i pchał sobie taczkę poprzedniej troski i ledwie koniec z końcem wiązał.

Ale ulica Mała Sadowa należała do tych dróg życia petersburskiego, którymi jeździł cesarz, a więc podlegała nieustannej kontroli tajnej policji. Więc na Małej Sadowej stróż każdego domu był zawodowym agentem policyjnym, więc na Małej Sadowej każda piwnica, każdy strych, każdy lokator był strzeżony, pilnowany, śledzony. Stąd chociaż młody kupiec artykułów spożywczych miał wszelkie cechy lojalnego poddanego, choć w jego sklepie nie tylko wisiała ikona z Mikołajem cudotwórcą, ale i portret cesarza, jednak „Ochrana” natychmiast przystąpiła do zapoznania się z nowym mieszkańcem ulicy Małej Sadowej. Rezultat dociekań wypadł na korzyść Kobozewa. Młody kupiec miał papiery w porządku, a całe wnętrze sutereny znamionowało tylko człowieka pochłoniętego niewymyślnymi zabiegami, dorabiającego się handlowca. „Ochrana” uspokoiła się, lecz to nie znaczyło bynajmniej, aby zaniechała Kobozewa lub wykluczyła z opieki. O takim zaufaniu nie mogło być mowy. Sklep Kobozewa był

w suterenie, więc według tajnych przepisów żandarmerii przybocznej cesarza, musiał podlegać periodycznym rewizjom i ustawicznemu śledzeniu. Żandarmeria miała doświadczenie i naukę zarówno z eksplozji w Pałacu Zimowym, jak i z podminowań na drogach żelaznych. Kobozew bez szemrania poddawał się temu przywilejowi ulicy Małej Sadowej i prosił tylko, aby mu wiktuałów bardzo nie miętoszono przy rewizjach. Zresztą „ochrana" po kilku gruntownych rewizjach zadowalała się później częściowymi. Gdy Kobozew osiedlał się na Małej Sadowej – równocześnie chemik Kibalczyc założył nowe laboratorium materiałów wybuchowych. Laboratorium zostało ulokowane w mieszkaniu tajnej drukarni „Gazety Robotniczej", w mieszkaniu pozostającym pod opieką Hesi Helfman.

Kibalczyc przy pomocy Sablina przystąpił niebawem do prób. Było to zadanie bardzo trudne, gdyż chemicy ani marzyć nie mogli o posługiwaniu się jakimiś bardziej skomplikowanymi aparatami, ponieważ te naprowadzić mogłyby policję – a przecież próby odbywać się musiały w tajemnicy nawet przed nihilistami, nie należącymi do bojowej gromadki. Próby nadto wymagały nie tylko wielkiej ostrożności, z uwagi na możliwość niespodziewanego wybuchu, a więc co najmniej pokaleczenia pracujących, ale także z uwagi na łatwość zaalarmowania sąsiadów przy lada silniejszej eksplozji. Kibalczyc był wszakże chemikiem i uczonym, chemikiem i genialnym laborantem, i bystrym matematykiem. Z atomów umiał składać najstraszniejsze narzędzia, z atomów wyprowadzał siły wybuchowe, normował je i określał szybkość spalania się danej materii i ilość wytwarzanych gazów. Mina dynamitowa dla Kibalczyca była drobiazgiem, zabawką. Kibalczyc nie nad samą miną pracował, Kibalczyc komponował równocześnie nowe narzędzie królobójcze w postaci ręcznych bomb. Ale ochrona cesarska również nie próżnowała. Wyrok otrzymany przez Kancelarię Jego Cesarskiej Mości nie pozwalał wątpić, iż zapowiada coś

więcej niż pogróżkę. „Narodnaja Wola” panicznym strachem napełniała stróżów nietykalności monarszej. Wskutek tego wszystkich pachołków poderwano na nogi, wszystkich pół– i ćwierćszpiegów puszczono w ruch. Nad głowami nihilistów znów zawisło ostrze wzmocnionej czujności.

I doprawdy, aż dziwne się musi wydawać, dlaczego ci rozpaczliwi królobójcy, zmuszeni pędzić życie nieustannie tropionej zwierzyny, dlaczego oni sami tak otwarcie rzucali rękawicę, dlaczego nie korzystali z chwilowego uciszenia energii żandarmów, dlaczego rozmyślnie utrudniali sobie pracę? Odpowiedź na te pytania leżała w tym, że „Narodnaja Wola”, obwieszczając wyroki przed egzekucjami, chciała złożyć dowód swej siły niszczącej, wyzywającym swym zachowaniu pragnęła niejako zrównoważyć walkę, skrytobójstwu odebrać zdradzieckość. Te ambicje „Narodnoj Woli” były dla niej samej groźne. Ochrona cesarska bowiem nie zastanawiała się nad literą kutej przez Loris-Melikowa konstytucji i szła utartymi szlakami Mezencewa, Derntelna, Murawiewa-„Wieszatiela”.

Nagonka ruszyła z miejsca; przy pomocy najzajadlejszych ogarów policyjnych aresztowania znów się rozpoczęły, a za nimi i śledztwa. Niebezpieczeństwo było tak wielkie, że Kibalczyc z Sablinem musieli wyprowadzić się ze swym laboratorium na ulicę Tieleżną, bo w lokalu „Gazety Robotniczej” nawet tak przytomna i zdeterminowana rewolucjonistka jak Hesia Helfman postrzegła niechybnie oznaki zakradania się gończych. Przeprowadzka była zadaniem piekielnie trudnym, gdyż każdy stróż petersburskiej kamienicy był zobowiązany meldować komisarzowi nie tylko, kto w danym domu mieszka i co robi, ale z kim przestaje i jak spędza czas. Więc, o ile łatwo było otumanić przygodnych, wałęsających się agentów tajnej policji, o tyle argus, stróż domu nastrojony z góry na podejrzliwość, nie dał się wyprowadzić w pole byle czym.

Gromadka bojowa zmobilizowała wszystkie swe siły i szczęśliwie dokonała przenosin. Działo się to już w lutym 1881 roku, działo się to wówczas, gdy „robota” w sklepie Kobozewa na Małej Sadowej szła w całej pełni, gdy podkop był na ukończeniu! I jaki podkop! Rewizje na ulicy Małej Sadowej znów się wzmogły, a strzeżenie prawomyślności znów się zaostrzyło. Kobozew był już poniekąd osobistością znaną w okolicy, nierównie więcej zasługującą na zaufanie niż ktokolwiek inny. Agenci przeto ze szczerym zakłopotaniem schodzili do sutereny, ale „dura lex sed lex” – przeglądali przeto kąty sklepu spożywczego. Lecz sklep Kobozewa był wzorem ładu i czystości. Nawet w zakamarkach swych nie zawierał niczego, zdolnego urazić najskrupulatniejszego higienistę, dbającego już nie o ludzkie życie a o zdrowie. Jedynym może przedmiotem, który mógłby w sklepie Kobozewa urazić czyjś zmysł estetyczny, była wielka beczka z cukrem. Ale za to taka dobra, taka przeciętna, taka zadufana w swą reputację beczka tak poczciwie rozpierająca swe brzuchy światowidzkie tuż przy samym wejściu, iż wprost obrazą byłoby pomawiać ją o jakieś cele uboczne, stojące poza chęcią osłodzenia ludziom gorzkiego żywota. Nadto beczka była sobie zwykłym dopełnieniem umeblowania, właściwego setkom i tysiącom tego rodzaju sklepów rosyjskich. Obecność jej nie tylko nie dziwiła, a raczej zastanowić mogłaby dopiero jej nieobecność. Beczka z cukrem w głowach a zatem niewinna reklama, pasująca drobnego kupca na hurtownika, świadcząca dobrze o prowadzonym interesie. Beczka przy wejściu, więc niby krawat, bez którego można się znakomicie obejść, zarówno pod biegunem, jak i pod równikiem, a który jednak stał się czymś w rodzaju generalnego, symbolicznego węzła w opakowaniu cywilizowanego obywatela. Otóż ta poczciwa, zacna beczka cukru miała dla Kobozewa nie lada znaczenie, bo była dlań nie tylko szyldem, nie tylko składem podręcznym wielkich serów, ale i składem na wydobywaną ziemię.

Firma bowiem „Skład Rosyjskich Serów E. Kobozew” pracowała podobno i w nocy...

I jak pracowała! Przede wszystkim do sklepu sprowadziła się pani Kobozew, która zdążyła powrócić z jakiejś oddalonej guberni z wyprawy do rodziców i z całą gorliwością stanęła do pracy przy mężu. A praca była nie lada. W dzień urwanie głowy z klientelą a w nocy – w nocy podkop pod ulicą. Zadanie było ciężkie, było to zadanie nad siły. Podkop musiał być prowadzony tak, aby nie było żadnego śladu zewnętrznego, aby na każde wejście żandarmerii mógł być ukryty, aby najmniejszym szmerem nie zdradził kreciej roboty spiskowców. Lecz Kobozew, a raczej gromadka bojowa umiała głęboką wiedzę i wynalazczość łączyć z wytrwałością. Plan podkopu był prosty. Równolegle do sklepu po prawej stronie od wejścia był pokój mieszkalny, a po części i składzik. W tym pokoju przy ścianie, od ulicy, stanęła kanapa, która nie tylko służyła za łóżko dla pani Kobozew, ale i za parawan osłaniający otwór wejściowy do podziemnego chodnika, idącego aż ku środkowi Małej Sadowej. Chodnik ten kończył się nabojem dynamitu, dosięgającym stu funtów, a więc ilością zdolną całą, niewielką zresztą, ulicę Małą Sadową wysadzić w powietrze. Od tego naboju szły przewody do baterii elektrycznej, ustawionej już w samym sklepie pod półkami, tuż przy wejściu, tak, że człowiek wprowadzający baterię w ruch mógł równocześnie widzieć co się dzieje na ulicy. Taka mina byłaby zapewne drobiazgiem dla oddziału saperów, którzy umieliby ją w kilka godzin poprowadzić i nastawić. Ale nihiliści potrzebowali miesięcy trudów i miesięcy niesłabnącej przytomności umysłu i zimnej krwi. Dość tu zaznaczyć, że wejście do miny szło przez mur fundamentu, że ten mur trzeba było nie kilofami rwać, ale ułamkami żelaza dłubać, że wydłubany mur należało w postaci garnków ze śmietaną i paczek z serem, sprzedawać kolegom nihilistom następnego dnia, że podkop natrafił na węzły rur

gazowych i wodociągowych i musiał nad program się zagłębić i przedłużyć, że nareszcie szło tu o podstęplowanie sklepienia w chodniku i o wyniesienie kilkunastu fur ziemi i gruzu w formie zakupu i to wyniesienie tam, gdzie ani gruz, ani ziemia niczyich nie raziłaby oczu.

A tymczasem ani na chwilę nie można było zaniedbać żadnej ostrożności, gdyż choć policja nabrała widocznego zaufania do prawomyślności „Rosyjskiego Składu Serów” – zaufania tego nie podzielał stróż domu hrabiny Megden. Stróż ten ani myślał przejąć się arystokratycznymi związkami właścicielki domu i z całą zajadłością mużyka nie tylko zgadywał w Kobozewach inteligentów, ale niemal był tego pewny. Inteligent zaś, udający w suterenie prostaka – handlarza serów, do żywego poruszył mużyka policjanta i skłaniał do ciągłego szczucia tajnych agentów. Bezowocne rewizje nie zdołały stróża oszukać, nawet napomnienia policji, że oskarża bez poszlak, nie obaliły domysłów cerbera. Stróż był oczywiście zbyt ciemny, aby móc przeanalizować swe podejrzenia lub je wytłumaczyć, lub nareszcie swą czujność odpowiednio skierować. Niby stary kundys zwietrzył coś niezwykłego i naszczekiwał, choć sfora wyżłów opuszczała teren z podkulonymi ogonami. Mina była na ukończeniu. Kibalczyc lada dzień miał założyć przewodniki, aż naraz pośród gromadki bojowej powstały skrupuły – skrupuły na myśl, iż dynamit, prócz cesarza, pochłonąć musi już nie dziesiątki, ale setki niewinnych ofiar. Stąd za radą Żelabowa spróbowano jeszcze innego środka, który miał oszczędzić ulicę Małą Sadową. Wskutek tej rady, w połowie lutego 1881 roku, cesarz Aleksander otrzymał z Londynu pudełko z pigułkami, mającymi własność kojenia nerwów. Pudełko nadeszło do kancelarii cesarskiej i zostało przez starszego kamerdynera przedstawione Aleksandrowi II. Cesarz nieco zdziwił się tą przesyłką i w pierwszej chwili chciał rozerwać sznureczek, opasujący dyskretnie

pudełko, lecz zastanowiwszy się polecił pigułki odnieść lejb-medykowi, doktorowi Botkinowi do zbadania. Doktor Botkin oddał ją swemu pomocnikowi. Ten rozciął sznureczek... Rozcięciu towarzyszył lekki wybuch... Zawartość pudełka szybko została zanalizowana. Pigułki były sporządzone z nitrogliceryny i wystarczyły na rozszarpanie na części trzech ludzi, którzy by się w pobliżu pudełka znaleźli. Wybuch był obliczony na to, że wątły sznurek będzie nie rozcięty lecz rozerwany...

Ten nieudany zamach lutowy, którego skutkiem była jeszcze gorliwsza czujność ochrony – zdopingował bojową gromadkę. Wyrok musiał być wykonany w najkrótszym czasie i nieodwołalnie. Mina na ulicy Małej Sadowej nie była całą bronią spiskowców. Doświadczenie nauczyło ich, że może zajść coś, co pokrzyżuje ich plany, co udaremni eksplozję. Nadto, cesarz w celach bezpieczeństwa tak często zmieniał swe rozkazy, tak się strzegł jednych i tych samych dróg, że nikt z najbliższego otoczenia nie był pewien, czy i o której godzinie cesarz wyjedzie z pałacu i dokąd się uda. Spiskowcy przeto uradzili, aby o ile mina na Małej Sadowej nie znalazła dla siebie pola do popisu, dopomóc jej bombami ręcznymi Kibalczyca. Kibalczyc dokonał właśnie wynalazku nowego systemu bomb i to systemu, który miał w zdumienie wprowadzić najznakomitszych chemików. Bomby Kibalczyca, według protokołu ekspertyzy, były sporządzone w sposób następujący: Bomba miała formę cylindrycznej, blaszanej puszki o średnicy półtora cala, a długości dziewięciu. Puszka ta była wypełniona szczelnie dynamitem, przez środek którego przeprowadzony był drut poprzeczny z przymocowaną doń miedzianą, ogniwową rurką. Równolegle do rurki miedzianej szła rurka szklana, napełniona kwasem siarczanym, i łącząca się z pojemnikiem zawierającym ciężarki ołowiane, tudzież mieszaninę soli Bertholeta z antymonem. Pojemnik ten znów był połączony rurkami kałczukowymi, napełnionymi miałkim proszkiem prochu strzelniczego,

z rurką miedzianą, ogniwową, zawierającą pyroksylinę, zwilżoną nitrogliceryną. Rurka opatrzona była kapslem, wyładowanym piorunianem rtęci. Cała bomba dochodziła do siedmiu funtów wagi. Konstrukcja bomby zmierzała do natychmiastowego, błyskawicznego, automatycznego wybuchu. Konstrukcja pozornie skomplikowana była bajecznie prosta. A więc za lada silniejszym wstrząśnięciem bomby ciężary ołowiane musiały rozbić szklaną rurkę i tym samym spowodować wylanie się kwasu siarczanego w rezerwuar z solą Bertholeta i antymonem, a więc i płomień. Płomień zapalał proch strzelniczy, ten rwał ku piorunianowi rtęci, ten ostatni gromem przejmował dynamit. Ta skądinąd wzorowa konstrukcja bomby Kibalczyca natrafiła jednak na niewiarę wśród bojowej gromadki, która uparcie bomby chciała mieć za środek ostateczny, za środek raczej obronny niż atakujący, o równej skuteczności co rewolwer lub sztylet. Gdy już prace przygotowawcze były ukończone, a gromadka bojowa zmobilizowana do upolowania chwili ukazania się pojazdu cesarskiego na ulicy Małej Sadowej, niespodziewanie Andrzej Żelabow, dyktator gromadki i jej głowa, jeden z najznakomitszych członków Komitetu Wykonawczego, dla wielkich swych zalet i dystynkcji zwany popularnie „Milordem”, został aresztowany i uwięziony.

Aresztowanie Żelabowa było aktem przypadku, gdyż policja nie wiedziała kogo ma w swych rękach i nadawała Żelabowowi nawet inne nazwisko, zaledwie tyle wiedząc, iż ma pod kluczem jakiegoś nihilistę. Zresztą i tu policja przy dobrej woli Żelabowa miała poważne wątpliwości, a ten w śledztwie z zimną krwią oświadczył, iż uwięzienie go nie ma w tej chwili znaczenia zapobiegawczego dla bezpieczeństwa cesarza, gdyż ten skazany został na śmierć jeszcze w dniu 7 września 1879 roku i że egzekucja wykonana zostanie w najkrótszym czasie. Otwartość i godność, z jaką Żelabow czynił swe zeznania, obudziła w ochronie cesarskiej

podejrzenie, iż ma przed sobą nie nihilistę, lecz szaleńca. Szaleniec mówił jednak prawdę, gdyż miał pewność, iż nawet jego aresztowanie nie zdoła ani na sekundę opóźnić strasznej egzekucji. Żelabowa aresztowano w niedzielę jedenastego marca, we wtorek trzynastego cesarz Aleksander II wyjechał z Pałacu Zimowego do Maneżu Michajłowskiego na tygodniową odprawę wart. Czuwający spiskowcy spostrzegli, około godziny dwunastej w południe, kawalkadę cesarską na ulicy Małej Sadowej. Kawalkada przeleciała nad miną z szybkością huraganu. Kobozew nie miał czasu na połączenie drutów, wybuch się spóźnił. Ale cesarz musiał wracać z maneżu. Spiskowcy stanęli na czatach. Dowództwo objęła Zofia Perowska – spiskowcy oddali się jej rozkazom bez protestu, bo nikt, może prócz Żelabowa, nie wzbudzał większego poszanowania, większego zaufania, większej przytomności umysłu. Perowska pokierowała spiskowcami. Kobozew stanął w pobliżu baterii elektrycznej, gotowej do zapalenia dynamitu. Żona Kobozewa zajęła miejsce przed sklepem, obserwując Michajłowa, który wysunął się w stronę maneżu i uważał na sygnały dawane przez Rysakowa i Hryniewieckiego, ci zaś śledzili ruchy Perowskiej. Rysakow, Hryniewiecki i MIchajłow byli uzbrojeni w rewolwery, sztylety i bomby Kibalczyca. Perowska obliczała w ten sposób: cesarz wraca – spiskowcy pozwalają mu wjechać na Małą Sadową i uderzają nań bombami, Rysakow ma zacząć. Dopiero gdyby skutek chybił – Kobozew podpala minę. Mina oczywiście pochłonie i spiskowców – lecz cóż im – gorzej, że tyle niewinnych ofiar. Nieznośnie upływały długie chwile dla królobójców. Młody Rysakow z trudnością panował nad nerwami, niecierpliwił się Kobozew, znużył Michałjow i Hryniewiecki – jedna Perowska krążyła spokojnie, obojętnie, w pobliżu maneżu, gdzie kareta cesarska, tłum policji, kozaków i wojskowych włącznie z gromadkami ciekawych, znaczył pobyt monarchy.

Na Perowską nikt nie zwracał uwagi, ponieważ z łatwością udawać mogła ciekawą oglądania cesarskiej kawalkady, a ponadto znajdowała się w tak wielkiej odległości od cesarskiej karety, iż niepodobieństwem było posądzać ją o jakieś zamiary. Zresztą o zamiarach takich nie mogło być mowy, ponieważ agenci policyjni, rozstawieni na sto kroków wokół karety, nie pozwalali się do niej nikomu zbliżyć. Któż zresztą spojrzawszy na jasne, piękne oblicze Perowskiej śmiałby upatrywać w niej królobójczynię. Perowska! Podobno żaden spisek, żadne sprzysiężenie nie miało dotąd postaci tak czystej, tak podniosłej.

Hesia Helfman była równie jak Perowska oddana i poświęcona sprawie „Narodnoj Woli”, równie bez wątpienia zdeterminowana i odważna, ale Helfmanówna wyszła z mroków, była dzieckiem niedoli i prześladowań. Poczęła się z ciemności klątwy, która zawisła nad niemowlęciem, należącym do stanu poniewieranego, skazanego wraz ze swym pokoleniem na głód duszy i ciała. Helfman była tą istotą, która wyprowadzona z mroku na światło, musi mieć bezwiedną świadomość przeżytej nocy, musi cały ogrom tych kontrastów poznać i ocenić. Takich istot jak Helfman nie brakowało nigdy dotąd w żadnej walce Arymana z Ormuzdem, takie istoty były wczoraj, są dzisiaj i będą jutro. Lecz takich jak Perowska braknie zawsze, bo zawsze nie starcza tych, co do walki idą nie w obronie swych praw, swych ognisk, ale którzy, choć sami syci, idą na głód z głodnymi. Perowska w chwili przełomowej dla spiskowców dziewczyna zaledwie dwudziestosiedmioletnia, dziewczyna wykształcona i piękna. I nie dziewczyna lecz panna, mogąca stanowić partię dla nie lada młodzieńca, posażna, ustosunkowana, skoligacona z najprzedniejszymi rodami. Bo Perowska należała do rodziny będącej bliską gałęzią rodu słynnego księcia Razumowskiego, morganatycznego męża carowej Elżbiety. Dziadkiem Perowskiej był potężny Lew Aleksiejewicz, minister Oświaty, minister

Spraw Wewnętrznych, naczelnik carskiej kancelarii. Brat dziadka Perowskiej, hrabia Wasyl był wielkim generałem, który koronę carów wzbogacił zdobyczami ogromnych przestrzeni w Azji środkowej. Na koniec, ojciec Perowskiej był niedawno petersburskim gubernatorem!!! Młoda i piękna hrabianka, pomimo tych danych życiowych, które ją stawiały ponad tłumem, poza niedolą, poza przygnębieniem, nie zawahała się wstąpić do szeregów „Narodnoj Woli”.

Co ją przywiodło, co sprowadzało z wyżyn do podziemnej Rosji? Nauka i tylko nauka. Hrabianka Zofia od najmłodszych lat objawiała żarliwą chęć do wiedzy. Jeszcze jako podlotek rwała się do ruchu emancypacyjnego. Od myśli o wyzwoleniu kobiet do myśli o wyzwoleniu ludu był jeden krok. Nauki społeczne obudziły hrabiankę Zofię – Czernyszewski i Dobrolubow rozwarli przed nią księgi niedoli milionów. I hrabianka Zofia poszła za nimi. Ile Perowska potrzebowała hartu, aby zwalczyć przeciwności, stawiane jej przez rodzinę zapory, aby pokonać nieufność do hrabiowskiego tytułu i wszędzie miłość i cześć dla siebie ocalić – można by o tym księgi pisać. Można drugie księgi poświęcić heroizmowi dziewczyny, jej oddaniu się idei, samozaparciu.

Perowską aresztowano po raz pierwszy już w dziewiętnastym roku życia (1873), gdy w Petersburgu pośród gromady robotników apostołowała nowym prądom społecznym. Wtrącono ją wtedy do kazamat w Twierdzy Pietropawłowskiej. Kilkumiesięczny pobyt w więzieniu zamiast ją załamać, zgnębić – wzmocnił. Perowską wypuszczono za kaucją – ale wypuszczono ją, by tym lepiej strzec. I już od roku 1873 jest ścigana, otoczona dozorem policyjnym. Hrabianka Zofia nie myśli wyrzec się przekonań, nie myśli zaniechać pracy. W rok potem zostaje akuszerką, aby ludowi nieść pomoc tym dzielniejszą. Wszystkie swe fundusze oddaje biednym, obraca na zakupy dla nich książek, lekarstw, odzieży. Dwudziestoletnia dziewczyna

wydaje wojnę całej nędzy ludu rosyjskiego. „Proces stu dziewięćdziesięciu trzech” obejmuje Perowską. Ta ani myśli się bronić lub szukać koligacji. Hrabianka z całym zapałem mówi o niedoli i ucisku milionów. Sąd uwalnia Perowską, lecz „ochrana” ma zamiar zesłać ją administracyjnie. Perowska ostrzeżona znika, znika tak, że jest wszędzie, gdzie idzie o walkę, o poświęcenie, o energię. Słynny proces zakończony został w styczniu 1878 roku i od tej chwili Perowska staje się dla żandarmerii nieuchwytnym duchem. Perowska czuwa nad propagandą, ona przedsiębierze najśmielsze plany wyzwolenia więźniów politycznych, ona ciągle o nich pamięta i porozumiewa się z nimi, jest opiekunką zamachu Hartmana pod Moskwą, ona przykładem swym zachęca towarzyszy do wytrwania.

W ciągu tego czasu raz jeden zapragnęła Perowska odwiedzić ubóstwianą przez siebie matką mieszkającą w swej rezydencji na Krymie. Ale tu żandarmi od dawna zastawili sidła na hrabiankę, Perowską pochwycono. Krótka jednak była radość żandarmów, gdyż hrabianka, z góry zapowiedziawszy swą ucieczkę, uciekła podczas transportowania jej do Petersburga i najspokojniej dojechała sama do stolicy. Łatwo się domyślać, że taka silna osobowość jak Perowskiej była znakomitym nabytkiem dla partii. Ubiegano się też o nią zapalczywie. Hrabianka jeździła z krańca na kraniec, bo już jedno ukazanie się pośród młodzieży socjalistycznej nieciło skry zapału, wlewało nową otuchę, do nowej zachęcało pracy. Około roku 1878 Perowska poznała się z Żelabowem. Ten ostatni światłym, szerokim swym umysłem oczarował ją.

Czy tylko umysłem? Serce hrabianki zabiło podobno całą swą nieskalaną mocą dla wspaniałego rewolucjonisty. Czy miłość do Żelabowa popchnęła hrabiankę na drogą królobójstwa? Bez wątpienia nie. Wprawdzie dotąd program hrabianki Zofii polegał na krzewieniu światła, bronieniu uciśnionych i propagandzie socjalistycznej – jednak barbarzyństwo rządu,

tępiącego bez litości nawet ten humanitarny ruch, musiało w Perowskiej przygotować grunt do przekonania, iż obok tego programu potrzebna jest i walka z rządem, walka z jego terrorem. Zresztą Perowska zbyt wielkie przedtem złożyła dowody swej samodzielności, aby dla sentymentu wyrzekła się swych poglądów. Przeciwnie, można by stąd wyprowadzić wniosek, że właśnie jedność idei, jedność celu przyczyniła się do skucia jej serca. Stosunek Perowskiej do Żelabowa był czysty i bardziej wyrażał się w harmonii myśli i czynów dla dobra partii niż w jakichś egoistycznych urojeniach o szczęściu. Stosunek ten zresztą był tajemnicą nie całej gromadce bojowej znaną. Spojrzenia Żelabowa i Perowskiej krzyżowały się niekiedy podczas dyskusji nad planami zamachów, ręce ich spotykały się na powierzchni bomb, na złomach dynamitu. Żelabow i Perowska wiedzieli i czuli, że poślubi ich jedna dola – jedno męczeństwo. Gdy na dwa dni przed zamachem Perowska dowiedziała się o aresztowaniu Żelabowa – ani jeden muskuł jej twarzy nie drgnął.

„Narodnaja Wola” nie znała chwil słabości. Taka kobieta czuwała w pobliżu Maneżu Michajłowskiego na powrót cara. Ale dzień 13 marca był dniem niespodzianek. Cesarz wyszedł z maneżu i wsiadł do karety. Kawalkada stawiła się w oka mgnieniu. Kawalkada może barwna, lecz zakrawająca raczej na konwój eskortujący niebezpiecznego przestępcę niż na orszak samowładnego monarchy. Więc przodem lejb-kozak, niby szpica kawalkady, kozak na rozhukanym, zataczającym koła koniu. Za kozakiem tym dwóch kozaków, za nimi kareta cesarska, otoczona szczelnie kozakami i znów kozacy, a za nimi sanie z pułkownikiem policji Dworzeckim. Kawalkada ruszyła z miejsca. Perowska wyciągnęła chustkę, aby Rysakowowi i Hryniewieckiemu dać umówiony sygnał, gdy naraz kawalkada cesarska zatoczyła krąg w pobliżu Mojki i Jekateryńskim Kanałem skręciła w ulicę Inżynierską do Pałacu Michajłowskiego. Cesarz

Aleksander pojechał na śniadanie do wielkiej księżnej Katarzyny Michajłówny. A zatem monarcha nie tylko przedłużył sobie życie, ale zdołał pokrzyżować plany spiskowców, bo z ulicy Inżynierskiej do Pałacu Zimowego najkrótsza droga wiodła przez Kanał Jekateryński, wzdłuż sztachet Ogrodu Michajłowskiego, na most Teatralny. Wątpliwą rzeczą było, aby cesarz wracał przez Małą Sadową. Perowska oceniła położenie i zdawała sobie sprawę, iż zamachu niepodobna odkładać, bo uwięzienie Żelabowa mogło dać ochronie nić spisku. I Perowska z zimną krwią zmieniła plan. Rysakow, Hryniewiecki i z nimi Michajłow przesunięci zostali na Jekateryński Kanał. Pani Kobozew objęła straż nad aparatem, a sam właściciel „Rosyjskiego Składu Serów” pilnował ukazania się kawalkady w wylocie ulicy Małej Sadowej.

Teraz szanse dla spiskowców się zmniejszyły, bo gdy poprzednio na tym samym trakcie mogły były działać i bomby, i miny, obecnie mogły albo same bomby dokonać dzieła, albo sama mina. Perowska zajęła stanowisko na rogu ulicy Inżynierskiej i prawego skrętu na Jekateryński Kanał, w stroną mostu Teatralnego. Około godziny drugiej po południu cesarz ruszył z Placu Michajłowskiego. W tejże samej chwili na rogu ulicy Inżynierskiej powiała chustka Perowskiej. Powiała tak, że spiskowcy ją zrozumieli. Nadeszła ostateczność... cesarz jedzie drogą przez Kanał Jekateryński – cała nadzieja w bombach Kibalczyca! Spiskowcy rozsunęli się, aby działać pojedynczo i szli ociężale trotuarem w odstępach. Pierwszy zdążył Rysakow, za nim Hryniewiecki, w odwodzie był Michajłow. Kawalkada z cesarzem wypadła z ulicy Inżynierskiej i skręciła, Rysakow obojętnie pozwolił jej nadjechać. Dopiero, gdy kareta miała go ominąć, wysunął się i rzucił bombę...

Wybuch piorunujący wstrząsnął powietrzem, kłębami dymu spowił całą kawalkadę. Rysakow wymierzył celnie, co nie było trudne, ponieważ Kanał

Jekateryński w tym miejscu ma dość wąską ulicę, od strony ogrodu zaopatrzoną w trotuar, a ze strony przeciwnej zamkniętą poręczą nad płynącą wodą. Wybuch, mimo dymu, nie dał długo czekać na ukazanie swych skutków. Kilkanaście ciał ludzkich i końskich tarzało się na śniegu we własnej krwi. Konie zaprzężone do sanek pułkownika Dworzeckiego rwały wystraszone, konie ocalałych kozaków poniosły. Jęki ludzkie były przedłużeniem echa eksplozji. Rysakow stał ogłuszony, osłupiony strasznym obrazem, spoglądając na strzaskaną na poły karetę. Wtem drzwiczki karety się otworzyły. Z karety wyszedł cały i nietknięty Aleksander II. Rysakow zatrząsł się. Miał jeszcze sztylet i rewolwer! Ale już było za późno, na rękach królobójcy zacisnęły się żylaste dłonie dwóch znajdujących się w pobliżu wybuchu marynarzy. Pułkownik Dworzecki przypadł do cesarza, nadciągnął zwabiony eksplozją tłum przechodniów, gwizdawki policjantów podniosły alarm, nadbiegli rozproszeni Kozacy.

Aleksander II, choć bladosiny z przerażenia, zwrócił się do Dworzeckiego z zapytaniem... „czy kto nie ranny?”. Potem spostrzegłszy szamocącego się Rysakowa zagadnął go: – Co ty za jeden?! Rysakow zmieszał się, ale ze służbistością i w sposób czysto rosyjski, który nade wszystko nakazuje wymienić swój stan, odpar

ł: – „Riażskij mieszczanin, wasze imperatorskoje wieliczestwo!...” – „Miłyj!” – rzucił przez zęby cesarz i kazał Rysakowa aresztować. Lecz na to zarządzenie z odpowiedzią pospieszył Hryniewiecki, który nadszedł na miejsce wybuchu i spostrzegł, że bomba nie dosięgnęła tego, przeciw komu była skierowana. Hryniewiecki nie zawahał się ani chwili – nie dopuścił, aby go ominęła kolej i rzucił swoją bombę, rzucił ją wówczas, gdy nikt nie spodziewał się, że w cztery minuty po pierwszym może nastąpić drugi zamach – rzucił ją między siebie i cesarza – rzucił z odległości kilku kroków... Tym razem posiew dynamitu wydał plon straszny. Cesarz padł jak

kosą podcięty z porwanymi na strzępy nogami, z wyrwanym bokiem, Dworzecki wił się okryty ranami, kilku najbliżej stojących widzów śmiercią, bądź okrutnymi kalectwami okupiło ciekawość czy wiernopoddańczą gorliwość – a sprawca wybuchu Hryniewiecki leżał bez życia, a raczej leżał tylko jego zmasakrowany kadłub. Dogorywającego cesarza ułożono na sankach Dworzeckiego i odwieziono do Pałacu Zimowego. Tu usadowiono go w gabinecie, na kanapie, gdzie Aleksander II zwykł był pracować. Stan rannego nie budził najmniejszych nadziei, strzępy nóg wisiały na kawałkach skóry, ciało sączyło ostatkiem krwi. Medycy udawali, że zakładają jakieś kauczukowe bandaże, że radzą o potrzebie amputacji, że w ogóle spełniają obowiązek, a w istocie czekali śmierci Aleksandra II, bo ona podobno była tu jedynym ratunkiem i ukojeniem. Po kilkugodzinnych męczarniach, nie odzyskawszy przytomności, cesarz Aleksander II skonał.

Skonał pozostawiając ową konstytucję podpisaną, skonał może ze skargą na złość ludzką, na niewdzięczność! Śmierć Aleksandra przejęła zgrozą Europę i sympatię budziła dla tak ponurej doli najpotężniejszego z monarchów, i filozoficzne nieciła uwagi o znikomości doczesnego majestatu, i podkreślała obrachunek panowania. Dorobek był lichy, mizerny. Cesarz – szumnie nazwany „oswobodzicielem” chłopów, oswobodzając lud nie dał mu ni połowy tego, co wziął mu przed dwustu pięćdziesięciu laty Piotr Wielki. Cesarz-reformator poprzestał na prowadzeniu do samowładztwa pozorów samorządu, w porywach łaskawości zdobywał się na półśrodki, ćwierćustępstwa, a każdą taką chwilę wynagradzał zwrotami do najgwałtowniejszej reakcji. Aleksander II, prawda, nie miał ludzi, odebrał dziedzictwo zdeprawowane przez system Mikołaja I, ale czemuż tyle tysięcy umysłów dzielnych, serc prawych skazał na męczeńską śmierć za przekonania, za myśl, za pozór winy?

Czemu tyle tysięcy wymordował już nie za politykę, ale za przekonania religijne, za niechęć do prawosławia? Okrutna była śmierć Aleksandra, ale czyż liczba stu tysięcy ludzi jest zdolna objąć tych, których Aleksander II pogrzebał żywcem bez dowodu winy, bez sądu? – Nie. Więc miałoby w tym zestawieniu leżeć uniewinnienie spiskowców? – także nie.

XV

Na tron wstąpił Aleksander III, drugi syn Aleksandra II i księżniczki Hessen-Darmstadt. O nowym cesarzu chodziły rozmaite słuchy i to korzystne a niejednokrotnie przeciwstawiające następcę tronu ojcu, niby zapowiedź godziwszych rządów i jaśniejszej przyszłości. W jaki sposób Aleksander III zdołał urość na liberała pozostanie to tajemnicą bujnej wyobraźni współczesnej – tyle tylko wiadomo, że nowy cesarz ani na sekundę nie pozwolił wątpić o swym światopoglądzie, przekrajanym na modłę Mikołaja I, i podobnych mu samowładców. Śmierć Aleksandra II przeraziła pozostałą rodzinę, lecz bez wątpienia nie obudziła w gronie najbliższym szczerego żalu. Jedna może księżna Jurjewska odczuła głęboko stratę kochanka i męża. A o ile ktoś śmiał podrwiwać z księżnej, że w chwili rozpaczy obcięła sobie swe piękne jedwabiste włosy i złożyła je na ciele miłowanego człowieka – musiał w następstwie doznać zawstydzenia, gdyż księżna swym cichym, wzorowym i osamotnionym życiem na wygnaniu w Nicei złożyła dowody, iż kochała Aleksandra, a nie cesarza.

Miarą zaś zasmucenia dzieci po stracie ojca może być fakt, iż w godzinę po śmierci Aleksandra II morganatyczna jego żona księżna Jurjewska została przez pasierba wypędzona z pałacu, a dalej, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin z granic państwa rosyjskiego i to na zawsze. Banicja dosięgnęła i dzieci księżnej. Czyn ten podjęty wobec nie zastygłego jeszcze ciała rodzica, podjęty z całą bezwzględnością dla uszanowania form bodaj

mieszczańskiej przyzwoitości, był zarazem wróżbą dla nowych rządów i podobno niezawodną.

Rozprawiwszy się z Jurjewską, Aleksander III wydał manifest pamiętny, manifest mocno podkreślający samodzierżawie. Manifest cesarski spotkał się z manifestem „Narodnoj Woli", która również mówiła o zabójstwie cesarza i również mówiła o „wytrwaniu". Manifest „Narodnoj Woli" wstrząsnął posadami Rosji Manifest Aleksandra III dał na razie okazję do ułożenia żartobliwo-satyrycznej parafrazy: „My z łaski Bożej, Żelabowa i Perowskiej itd." Społeczeństwo rosyjskie lekkomyślnie przesądzało potęgę narodowców i najlekkomyślniej nie zdawało sobie sprawy ze słów Aleksandra III. A przecież ten ostatni nie darmo był uczniem tak płytkiej i złej jednostki, jak Pobiedonoscew, nie darmo Pobiedonoscew podniósł głowę, nie darmo drżenie przejęło wszystkich co wyższych a liberalniejszych dostojników.

Nie było już mowy o żadnym kierunku reakcyjnym, o żadnym zwrocie do takiej lub innej polityki, bo sam cesarz był najskrajniejszym reakcjonistą, zaślepionym w swym boskim powołaniu, zarozumiałym i z całą bezwzględnością nie dopuszczającym żadnej uwagi. Lecz tu nie był koniec groźnych właściwości charakteru monarchy rosyjskiego. Aleksander III był zabobonny, z góry uprzedzający się do rzeczy i ludzi, porywczy i nigdy nie mogący uznać własnego błędu a na koniec nieufny, podejrzliwy, obawiający się każdej łyżki strawy, własnego cienia.

Prawda, Aleksander III wychowywał się w atmosferze ciągłej walki ze skrytobójstwem, z carobójstwem, lecz nikt go nie zmuszał do wdziewania „cierniowej" korony. Więc sam deklarował się na niebezpieczeństwa, powinien przeto był mieć ku temu odwagę, a przynajmniej ją okazywać. Kto wie, czy Aleksander III nie miał dobrej woli, kto wie, czy mocniejszemu nie zabrakłoby sił. Wszak w dniu swego wstąpienia na tron

cesarz Aleksander III odebrał pamiętną odezwę, odezwę Komitetu Wykonawczego „Narodnoj Woli”. Odezwa ta znalazła sobie drogą wprost do kieszeni cesarskiego surduta. Odezwa napisana zresztą zupełnie pokojowo wzywała Aleksandra III do zwołania przedstawicieli narodu, do udzielenia ludowi rosyjskiemu konstytucji, żądała wolności sumienia, angielskiej *habeas corpus* amnestii dla przestępców politycznych i zaprzysięgała złożenie broni, zaniechanie spisków.

W odpowiedzi na ultimatum narodowców, Aleksander III otoczył się takim murem, takim tłumem żandarmów i policjantów, że z władcy, z monarchy, zszedł na więźnia, że cały urok panującego pogrzebał, a nawet w maluczkich wątpliwości co do potęgi swej obudził. Aleksander III tylko w żandarmów wierzył i tylko im ufał. Ministrowie, dygnitarze koronni rekrutowali się teraz z żandarmów, z dawnych policmajstrów. Żandarmi i jedynie żandarmi posiedli teraz władzę – żandarmi rządzili cerkwią i oświatą, wojskiem i cesarzem. Niezawodnie po zabójstwie Aleksandra II a następnie po mordzie w kilka miesięcy później (2 lipca 1881 roku) prezydenta Stanów Zjednoczonych – Garfielda, wszyscy monarchowie przedsięwzięli środki ostrożności i powiększyli kadry ochrony osobistej, ale środki te były niczym wobec zarządzeń Aleksandra III.

Rezydencje cesarskie poddawano nieustannej pieczy żandarmerii, bez względu czy w danej chwili cesarz zamieszkuje w Petersburgu czy w Liwadii. Piecza polegała na śledzeniu służby dworskiej, na prowadzeniu wokół pałacu zapobiegawczych przekopów, na rewidowaniu wszystkich i wszystkiego. A gdy do tak strzeżonej rezydencji zjeżdżał cesarz – wówczas napływał tłum żandarmów pałacowych, którzy znów kontrolują, znów sprawdzają, bo to są żandarmi żandarmów. Cesarz jeszcze ani myśli ruszyć z Pertersburga, a tam w jakiejś o setki mil położonej rezydencji już kordon wojska otoczył ogrody, już bez legitymacji, bez rewizji nic nikomu

nieść, nic nikomu wynieść nie wolno. Cesarz ma wyjechać, lecz dokąd, o tym nie wolno wiedzieć nikomu. Cesarza wolno się spodziewać, w ostateczności wolno wiedzieć, że „na jesieni” będzie w Moskwie, a „przed Nowym Rokiem” w Odessie. Ale ani dnia, ani godziny nikt nie może znać naprzód. Telegram „z drogi” wzywa dopiero władze na powitanie...

Tajemnica ruchu monarchy musi być tak wielka, że na przykład tam, gdzie się cesarz nie zatrzymuje, mieszkańcy na drugi dzień ze zdumieniem dowiadują się, iż cesarz raczył przejechać. Lecz to początek zabezpieczenia osoby cesarskiej. Więc w miastach ulice, którymi ma monarcha przejeżdżać, są „oczyszczone” z publiczności i to tak, że powóz może dowolnie kilkoma różnymi kierunkami ulic rozporządzać, czyli drogę zmienić. Domy na ulicach są zawczasu zrewidowane, poddasza i piwnice zamknięte i bez obecności stróża dla lokatorów niedostępne, okna na ulicę przejazdu cesarskiego i balkony również zamknięte, bo nikt nie ma prawa podczas przejazdu wyglądać. Na ulicy przejazdowej wszelkie roboty budowlane muszą być zawieszone, a fabryki obstawione policją.

Pojazdy cesarskie mają dna stalowe, konie cesarskie są zaprawione do huków i wybuchów, i do szalonego kłusa. Eskorta towarzyszy cesarzowi wszędzie, gdzie zbytnio nie razi. W ostateczności zastępuje ją korowód pojazdów, podobnych do siebie, a nie pozwalających nigdy zgadnąć z góry, czy powóz wiozący monarchę jest pierwszy czy drugi. Cesarz nie uprawia zresztą żadnych stałych wycieczek, żadnych spacerów na drogach publicznych. O ile zaś gala, parada lub uroczystość wymaga obwieszczenia uprzedniego o ukazaniu się cesarza – o tyle wszystkie arterie komunikacyjne zamieniają się w koszary i kazamaty forteczne.

Podróż koleją żelazną ma nie mniej skomplikowane formy. Na tydzień naprzód linia obstawiona jest łańcuchem wojska, które zaciąga warty na

dystansie pięćdziesięciu kroków żołnierz od żołnierza, które pod każdym mostkiem i przy każdej zwrotnicy musi ustawiać całe oddziały strażnicze. Więc na tydzień naprzód, w każdej budce dróżniczej lokuje się żandarm, każdą stację obsiadują gromady agentów. Aż cesarz jedzie. Ruch na kolei musi stanąć, pociągi towarowe i pasażerskie muszą godzinami wyczekiwać na zapowiedziany przejazd i przejazd aż trzech pociągów – bo cesarza wiozą wszystkie trzy pociągi naraz! A jakie to są pociągi! Trzeba być nie lada specjalistą, aby określić wytrzymałość pociągów nie tylko na karcie, na prężność osi, ale i na opór pancerzy, na wybuch ewentualnych min, bomb czy maszyn piekielnych. Zważywszy teraz rozległość państwa rosyjskiego i przestrzeń bodaj jedną, a tak często przebywaną przez monarchę, jak z Petersburga do Liwadii, łatwo wyobrazić sobie, że te ostrożności są co najmniej kosztowne i tak bardzo kosztowne, że gdyby cesarz niemiecki, zwolennik ciągłych podróży, chciał je stosować, to zrujnowałby całą swą listę cywilną w ciągu roku. O ile zaś te ostrożności istotnie zabezpieczają przed zamachami, miał się o tym przekonać sam cesarz Aleksander III i to w krótkim czasie.

Wymienione zarządzenia są oczywiście cząstką przepisów o bezpieczeństwie, boć sama kuchnia cesarska i sposób sprawdzania artykułów spożywczych to nieomal laboratorium Morgi Paryskiej. A dopiero przepisy o dopuszczeniu do monarchy osób postronnych, a dopiero system wart pałacowych, otchłań podejrzenia, nie dopuszczająca wiary w niczyją uczciwość, w niczyją lojalność. Zaiste nie lada trzeba nerwów, aby w podobnej atmosferze żyć i panować.

Miał je też istotnie silny organizm cesarza Aleksandra III – miał je, lecz nie na długo. Wstąpienie na tron, poza tymi „reformami”, było hasłem do najżarliwszego pościgu za nihilistami, za wspólnikami Rysakowa. Wszczęto śledztwo na całym obszarze kolosa państwowego, poruszono

wszystkie sprężyny policyjne – i wykryto raptem tyle, ile nihiliści chcieli, pochwycono tylko tych królobójców, którzy dobrowolnie poszli na męczeństwo. Żandarmeria do góry nogami przewróciła Petersburg, prokuratura wytoczyła akty oskarżenia, sąd wydał wyrok i gdyby nie późniejsze, dobrowolne wyjaśnienie spiskowców, wiele szczegółów i nazwisk pozostałoby w ukryciu. Czy policja rosyjska była tak źle wyćwiczona?

Nie, to tylko system wyszkolił tak zdeterminowanych, bacznych i zapobiegliwych przestępców politycznych. Dość zapamiętać, że 11 marca aresztowano Żelabowa, przypadkiem i nie wiedziano, że to był szukany od dawna Żelabow. Dnia 12 marca dokonano na skutek denuncjacji stróża nadzwyczajnej rewizji w sklepie Kobozewa, na ulicy Małej Sadowej, i to pod osobistym kierunkiem wilka żandarmskiego, generała inżyniera Mrowińskiego! Dnia 13 marca cesarz został zabity. Dnia 14, po wydobyciu na torturach od Rysakowa zeznań, dosięgnięto laboratorium „Narodnoj Woli", gdzie Sablin, po krwawej obronie zastrzelił się, gdzie zdobyczą policji stała się Hesia Helfman. No i z czego do akt weszła bajka o jakimś nihiliście Nawrockim, podczas, gdy był to Sablin, brat podpułkownika gwardii konnej. Sablin, który był niegdyś z ramienia „Narodnoj Woli" urzędnikiem policji odeskiej! Tego samego dnia, 14 marca uwięziony Żelabow dowiedziawszy się o wykonaniu wyroku i pochwyceniu Rysakowa, wystosował prośbę do prokuratora, aby go przypisał do sprawy, gdyż on, Żelabow, choć nie mógł brać czynnego udziału w królobójstwie (jako pozbawiony wolności), jednak brał udział moralny, że jako stary rewolucjonista, wielokrotnie do zamachów się przyczyniający, ma i on do tego procesu... prawo.

Dnia 15 marca, mimo zajadłej, morderczej obrony, pochwycono Michajłowa, gdy szedł na schadzkę z Sablinem. A więc policja miała

wszystkie nici w ręku, miała Rysakowa, który torturowany prądami elektrycznymi, wył i mówił, a przecież policja nie wiedziała jeszcze nic. Hryniewieckiego zwała Jelnikowem, szukała jakiejś panny Trigoni i nie słyszała ani o Kibalczycu, ani o Kobozewie. Dopiero gdy dnia 16 marca stróż domu hrabiny Mengden zawiadomił komisarza, że „Rosyjski Skład Serów” od dwóch dni jest zamknięty, a właściciele jego zniknęli – gdy po wejściu do sklepu znaleziono rubla z kopiejkami i kartkę z prośbą o wypłacenie tej sumy rzeźnikowi za dostarczone ostatnio mięso – dopiero rewizja odkryła podkop! Kobozew z żoną i służbą zniknął. Plon śledztwa był lichy – i byłby uboższy o wiele, gdyby Żelabow sam nie podał prośby o włączenie go do procesu.

Rysakow bowiem, choćby miał szczerą ochotę do zeznań, nie był dostatecznie wtajemniczony, Michajłow również. Tymczasem Perowska chodziła po Petersburgu, odwiedzała towarzyszy, a przez wysokie wpływy partii dowiadywała się pilnie o losach uwięzionych. Wiadomości z Twierdzy Pietropawłowskiej były ponure – los królobójców był rozstrzygnięty, postanowiony. Komedia sądu i wyroku opóźniała się dla nadziei powiększenia liczby ofiar, Żelabow zaś na pytanie, co go skłoniło do dobrowolnego zgłoszenia swej winy – odparł, że proces skierowany tylko przeciw Rysakowowi, Michajłowowi i Helfmanównie wyszedłby „za blado”...

Odpowiedź Żelabowa wstrząsnęła Perowską. Hrabianka ani słuchać nie chciała o wyjeździe za granicę, ani myślała się ukrywać i szła wprost w sidła. Perowska szła do Żelabowa. W dniu 22 marca Perowską uwięziono. Na śledztwie hrabianka z całym spokojem winę swą wyjawiła i broniła Rysakowa, Michajłowa i Helfmanówny, jako pionków, jako narzędzi. Na wolności był jeszcze chemik Kibalczyc. Lecz ten, jak na uczonego i filozofa przystało, pracował dalej i nie troszczył się o to, czy

i kto go szuka. Również ani myślał przerywać swych studiów nad związkami chemicznymi i machinami. Kibalczyc właśnie był zajęty rozstrzyganiem problemu o kierowaniu balonami, gdy w dniu 29 marca zjawiła się u niego żandarmeria. Kibalczyc uśmiechnął się, złożył starannie papiery i ruszył do kazamat Twierdzy Pietropawłowskiej, nie przestając pamięciowo prowadzić wyliczeń. śledztwo rozwinięto z podwójną energią, mniemając, że cały związek da się teraz zmiażdżyć.

Ale śledztwo mimo rewizji, poszukiwań i aresztowań dało ubogie rezultaty, bo parę plików proklamacji i około ośmiu tysięcy funtów dynamitu. Ta potwornie wielka ilość materiałów niszczących wskazywała tylko, że Kibalczyc miał uczniów, a „Narodnaja Wola” niepoślednią organizację terroru – w gruncie rzeczy jednak nikogo nie skompromitowała, nikogo nie pozwoliła ująć. Nihiliści byli wokół i rozprawiali w oparach wiosennych. Uwięzieni zaś milczeli uporczywie, mówili tylko to, co oskarżało rząd i wykazywało ujemne strony samowładztwa. śledztwo czyniło, co mogło, byle skłonić królobójców do mówienia – dość rzec, że komendant Twierdzy Pietropawłowskiej, generał Majdel, umarł z „irytacji” (urzędowy raport), której nabawiły go rozprawy śledcze z nihilistami. Śmierć Majdla wywołała z góry idący nakaz – „skończyć”.

Wyrok był wydany. Królobójcy mieli być powieszeni, ale wyrok potrzebował dekoracji, miał być przykładem i przestrogą. Ustawiono sąd i zarządzono rozprawy „publiczne”, to jest rozdano kilkaset biletów pośród reakcjonistycznych potentatów i żandarmów. Rozprawy trwały trzy dni i przez trzy dni mrozem ścinały krew w żyłach sędziów, którzy ledwie śmieli podnosić oczy ku ławie oskarżonych, ława bowiem sama oskarżała. Jeden Rysakow „mówił” i bronił się, lecz Rysakow miał lat dziewiętnaście. Michajłow, prosty robotnik, także tracił równowagę, Helfmanówna winę swą ograniczała – ale za to Perowska, Żelabow i Kibalczyc z całej mocy

trwali na swym ideowym stanowisku, na siebie brali odpowiedzialność, i nie tylko nie obciążali Rysakowa, ale go ochraniali. Żelabow, student prawa odeskiego uniwersytetu, bronił się sam, a raczej bronił wszystkich towarzyszy, bronił „Narodnoj Woli” a siebie nie oszczędzał. Kibalczyc zaś z flegmą podejmował dyskusję z ekspertyzą akademicką o środkach wybuchowych i dowodził uczonym fałszywości ich wniosków i obliczeń.

Perowska mówiła mało – odpowiadała spokojnie i dobitnie, a chwilami uśmiechała się ironicznie w stronę prokuratora Murawiewa, synowca słynnego „Wieszatiela” (później ambasadora w Rzymie), który z zapałem karierowicza zwalczał nawet najhumanitarniejsze odezwanie się nihilistów. Perowska mogła uśmiechać się, bo przecież Murawiew był towarzyszem lat dziecinnych hrabianki!

Gdy przed „naradą” ostatni raz dano głos oskarżonym, Żelabow rozwinął po raz drugi program „Narodnoj Woli”, mówił o zgromadzeniu narodowym, o zniesieniu ucisku, o wolności sumienia i nietykalności obywatelskiej, mówił o zachodzie Europy. Sala słuchała z zaciśniętymi ustami – przecież salę wypełniali żandarmi, dla których plany Żelabowa były grobem. Aż gdy „dyktator” rzucił dumnie słowa: – Jako i wy, Rosjaninem jestem! – sala warknęła ponuro gniewnie.

Żelabow zbladł, oczy jego zaszkliły się, odetchnął głęboko i umilkł. Perowska rozumiejąc Żelabowa, wyraziła żal z powodu daremnego rzucania myśli w bezmyślność sądu. A Kibalczyc? Kibalczyc zakomunikował swemu obrońcy istotę wynalezionego przez siebie, podczas rozpraw, przyrządu balonowego! Sąd skazał wszystkich królobójców na powieszenie. Perowska, Żelabow i Kibalczyc wysłuchali wyroku bez wzruszenia i zgodzili się nań. Helfmanówna złożyła deklarację o swym odmiennym stanie. Rysakow i Michajłow podali się do łaski monarszej o darowanie im życia. Senat został upoważniony do wydania opinii

o „łasce”, choć skądinąd prostym obowiązkiem senatu zdawało się być rozstrzygnięcie pytania, czy w państwie, w którym od stu dwudziestu lat kara śmierci nie istnieje, sąd może skazywać kogoś na powieszenie!

Senat nie ważył się na podobny heroizm, zresztą narodnowolcy bynajmniej nie napadali z tego powodu na samowolę, gdyż bodaj za przywilej musieli mieć dla siebie śmierć natychmiastową, w zamian męczeńskiej agonii w okrutnych więzieniach i katorgach. Senat atoli poszedł dalej, bo Rysakow miał dopiero lat dziewiętnaście, a Michajłow zaledwie w więzieniu skończył dwadzieścia jeden. Więc jeżeli ten ostatni miał prawo korzystać z przywilejów pełnoletności rosyjskiej, to pierwszy bezwzględnie powinien być w myśl kodeksu skazanym tylko na poprawcze więzienie.

I cóż począł senat? Senat poszedł za wolą cesarza i w „Prawitielstwiennym Wiestniku” ogłosił historyczne dwa motywy, które wykluczyły możliwość darowania życia Rysakowowi i Michajłowowi. Pierwszy motyw oświadczał, że niegodziwość przestępców nie ma usprawiedliwienia, bo dosięgnęła cesarza, „który całe swe życie poświęcił trosce o dobro państwa i poddanych.” Drugi motyw stwierdzał, że nie ma życia dla tych, którzy popełnili największą zbrodnię, jaką widziała ziemia. Wiele lat minęło od chwili obwieszczenia światu tych słów, a przecież ledwie można uwierzyć, ledwie wyobrazić sobie, aby jakieś ciało prawnicze, składające się z ludzi żywych, mogło podobne bluźnierstwo, podobną obelgę rzucić ludzkości!

Uwierzyć trudno, lecz uwierzyć trzeba, bo są akta procesu, jest pamiętny ukaz i istnieją egzemplarze „Prawitielstwiennawo Wiestnika”. Śmierć Aleksandra II była największą zbrodnią, jaką widziała ziemia? Czy Aleksandeer III i powolny mu senat zastanowił się, iż te wyrazy starczą, aby najspokojniejszego Rosjanina, najlojalniejszego poddanego zamienić

w komunistę? Czyż cesarz samowładca istotnie mniemał, że w Rosji już zgasła wszelka myśl, wszelkie zastanowienie, wszelki odruch krytycyzmu?! Tak – zbrodnią było zabójstwo Aleksandra II! Polityczną zbrodnią, ale zbrodnią! Lecz godząc się na to stanowcze orzeczenie, godząc się na prawo śmierć za śmierć – mimo woli trzeba by zapytać, ile lat za wiele panował cesarz Aleksander II? O ile lat spóźniły się mordercze bomby Rysakowa i Hryniewieckiego? Pytania to straszne, bo zmierzające do zbrodni królobójstwa, człowiekobójstwa, ale słuszniejsza stokroć jest gangrena, rzucona przez senat Petersburski, przez Aleksandra III w 1881 roku.

Mogło i cesarzowi, i senatowi brakować woli, chęci współczucia czy pobłażania dla dziewiętnastoletniego młodzieńca, wolno go było powiesić. W ludzkim, współczesnym rozumieniu byłoby to czynem powszednim, wytłumaczonym. Wspaniałomyślność bowiem, dobroć, łagodność są dotąd tylko cnotami. Obecność ich wita pochwała i uznanie, ale brak nie budzi jeszcze potępienia. Między krańcami zła i dobra jest pośredniość i obojętność. Lecz temu samowładcy i temu senatowi nie wolno było zapominać, że pamięć imienia ofiary mordu wymaga pobłażania i to wielkiego! Bo, zaiste, nie lada trzeba wysiłku, aby cesarzowi Aleksandrowi II zapomnieć wszystko zło, aby chociaż sekundami jego dobrych chęci tak serdecznie się przejąć, aby zapomnieć mu bodaj skargi dziewczyn wydanych na pohańbienie w sławetnych instytutach! Odrzucenie podań Michajłowa i Rysakowa wywołało wrażenie przejmujące. Lud rosyjski, z ciekawą grozą, ale i bez współczucia dla nihilistów, spoglądający na ich dolę mruknął niechętnie i zagadał. Gawęd było wiele i to jakich.

Oto profesor Sołowiew, powaga naukowa, nie wahał się mówić publicznie o przebaczeniu, o wyrozumieniu dla bliźnich w imię własnych win. Oto młody wielki książę Mikołaj Konstantynowicz odezwał się z sympatiami dla carobójców. Oto mówić zaczęto, iż narodnowolcy mają

nawiązane nici z postępowym odłamem rodziny cesarskiej. A gdy takim pogłoskom nie dawano wiary, raptem rozkaz cesarski aresztowania wielkiego księcia Mikołaja Konstantynowicza i dymisja udzielona ojcu wielkiemu księciu Konstantemu Mikołajewiczowi, odezwały się aż nadto wymownie.

Z egzekucją tymczasem zwlekano. Dlaczego zwlekano, dlaczego wyrok wykonano dopiero 15 kwietnia 1881 – nie wiadomo. Powiadają, że królobójców poddano torturze dla wydobycia od nich nazwisk spiskowców. Tortura była prawdopodobna, lecz nie stwierdzona, skazańcy już byli na łasce i niełasce pietropawłowskich kazamat i nie mieli się komu zwierzyć ani do kogo odezwać. No i tortura nie była nowiną dla nihilistów – mówił o niej cały Petersburg, a adwokaci nie ukrywali skarg swych klientów na elektryczność i na belladonnę, którą postępowa inkwizycja chciała doprowadzić badanych do rozprężenia nerwów i mocy panowania nad wolą.

Jeżeli przeto uciekano się do tych środków przed wyrokiem – dlaczego by miano o nich zapomnieć wówczas, gdy królobójcy byli dla świata trupami. Wykonanie wyroku odbyło się w Petersburgu na placu Siemionowskim. O godzinie dziewiątej rano skazańców przywieziono na wozach, przywieziono ich powiązanych i przymocowanych rzemieniami do ław, przywieziono pod eskortą i w takt łomotu bębnów i piszczałek, wygrywających kozaki i skoczne piosenki. Skazańcy przez łomot pozbawieni możliwości odezwania się do zgromadzonego ludu – uśmiechali się i słali mu ukłony głowami. Zresztą krom Rysakowa, objawiającego niepokój, nikt z królobójców nie zdradzał wzruszenia. Nawet młody Michajłow pogodził się z myślą i uśmiechał się do tablicy z napisem „carobójca”, którą każdy ze skazanych miał zawieszoną na szyi.

Na placu, pod pięcioma szubienicami, czekał kat Frołow w towarzystwie czterech pomocników i zabrał się do roboty. Skazańców ustawiono rzędem w porządku – Rysakow, Żelabow, Perowska, Michajłow i Kibalczyc. Zarzucono im na głowy śmiertelne koszule. Gdy kat zbliżył się do Rysakowa, ten zagadnął cicho – „prawda, że mnie ułaskawią". Nieszczęśliwy młodzieniec jeszcze przed szubienicą wierzył w łaskawość cesarską. Frołow zaczął od Kibalczyca, bo egzekucja nie miała być równoczesna. Z chemikiem „Narodnoj Woli" nie było ambarasu. Zarzucono mu na głowę stryk, zaciągnięto i Kibalczyc zawisł w śmiertelnych skurczach. Z Michajłowem było inaczej, bo zaledwie ciało jego zakołysało się w powietrzu, stryk się zerwał i Michajłow runął na ziemię. Tłum wydał okrzyk zgrozy. Kat z pomocnikiem po raz drugi zarzucił stryk i MIchajłow zawisł. Frołow zaczął operować już Perowską, gdy Michajłow zerwał się po raz drugi... Tłum zawył, bębny straciły rytm, piszczałkom zabrakło tchu! Okrzyki „łaski – dosyć!" zerwały się w tłumie. Bóg był wysoko – cesarz daleko. Frołow jął dźwigać tarzające się ciało Michajłowa i ciągnąć na trzeci stryczek. A Perowska, Żelabow i Rysakow stali i czekali...

Aż potem, potem czasopisma europejskie powtórzyły urzędową depeszę o wykonaniu wyroku, depeszę wytworną i salonowo zaokrągloną w zakończeniu: „Po siedemnastu minutach wszystko było skończone. Pogoda prześliczna – był to pierwszy dzień wiosenny". A Helfmanówna? Helfmanównie wyrok odroczono, aż do czasu jej rozwiązania, a gdy w kilka miesięcy później nihilistka dała życie dziecięciu, ułaskawiono ją skazując na dożywotnie ciężkie roboty i odbierając jej niemowlę. Ale Helfmanówna ledwie rok przetrzymała w kazamatach Twierdzy Pietropawłowskiej i w lochu zgasła. Niemowlę uprzedziło zgon matki w jakimś przytułku.

Tak zakończyła się historia bojowej gromadki narodnowolców – tak zginęli: prawnik Żelabow, hrabianka Perowska, chemik Kibalczyc, student Rysakow, robotnik Michajłow, mieszczka Helfmanówna i szlachcic Sadlin. Nowy rząd nie myślał poprzestać na tym żniwie, rozumiejąc nie bez słuszności, iż organizacja „Narodnaja Wola” na tym się nie kończy, i wszczął nagonkę. A gdy spostrzegł bez trudu, iż związki rewolucjonistów otwarcie działają w Genewie, Paryżu i Londynie, i tam przedsięwziął kampanię dyplomatyczną. Osią, wokół której wszyscy ambasadorzy do pracy się zabrali, był Hartman, twórca zamachu kolejowego pod Moskwą w roku 1880.

Dlatego Hartman, gdyż osoba jego nie ginęła z oczu zagranicznej policji rosyjskiej, i dlatego, że on sam najlepiej się nadawał do zasadniczego układu z państwami o wydawanie przestępców politycznych. Noty, tajne pisma, konferencje z mocarstwami trwały z górą cały rok, ale oprócz zawsze uczynnych dla Rosji Niemiec i uległej Austrii – żadne inne mocarstwo nie godziło się na wydanie nihilistów. Przez rok z górą trwały płatne napaści na potworności nihilizmu, grożącego całemu światu, przez rok rząd rosyjski przekonywał dwory, iż akcja musi być wspólna, bo wróg jest wspólny, ale szczery zachód Europy odmówił, i to odmówił kategorycznie. Szczery zachód Europy wiedział wybornie, kim są nihiliści, wiedział, że ten ich terror i te ich wywrotowe cele są i mogą być tylko groźne dla rosyjskiego samowładztwa i że nawet nie mają nic wspólnego z anarchizmem.

Niepodobna przesądzić, ile w tym przekonaniu zachodniej Europy było ludzkości, ile wolnomyślnego porywu, a ile złośliwej przekory – dość, że Rosja pozostała odosobniona, Hartman zaś, Wiera Zasulicz i cały tłum nihilistów mógł spokojnie żyć na wygnaniu i strzec się jeno porwania. Jednakże rok 1881 i po śmierci tylu wybitnych terrorystów nie poprzestał

na bombach marcowych, bo w tymże roku sztylety narodnowolców powaliły dwóch tajnych agentów. Pryma w Petersburgu i Nejmana w Warszawie. Nadto rok 1881 dał dwanaście procesów politycznych, a w tym słynny proces Szczedryna – (26 – 29 maja), no i rok ten dał sześć razy większą ilość śledztw, zakończonych katorgą i zsyłką bez sądu.

W końcu rok 1881 tak zaostrzył barbarzyńskie obchodzenie się z więźniami, iż statystyka urzędowa notuje po raz pierwszy strajki głodowe więźniów, wykazuje czternaście ucieczek z katorgi więźniów politycznych (w tym osiem nieudanych), dwa samobójstwa w więzieniu i trzy śmierci z wycieńczenia po pałkach.

XVI

A konstytucja, którą podpisał Aleksander II? Konstytucja otrzymała już w marcu stanowczą dymisję razem z Loris-Melikowem. Nowy cesarz ani myślał o jakichś nadaniach, ani pozwolił komukolwiek o nich wspominać.

I znów nastały rządy twarde, nieubłagane dla postępu, dla cywilizacji, dla oświaty. Prześladowanie religijne, pościgi za widmem nihilizmu, oddanie młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej na łaskę i niełaskę żandarmerii, zgaszenie nawet tych drobnych ulg, ustanowionych niedawno dla gospodarstwa rolnego i dla miast, zaostrzenie cenzury, zakazy, ustawiczne zakazy i jeszcze raz zakazy rozhulały się niby za czasów Pawła I, Piotra czy Birona. Kto rządził, kto sterował nawą państwa? Cesarz sam i podobno tylko cesarz – przynajmniej w to najmocniej sam Aelksander wierzył. Poddani wszakże sądzili zupełnie inaczej. Aleksander III po całych dniach ślęczał nad papierami, ministrów traktował niby kamerdynerów, całe pliki papierów sam wertował, sam podpisywał, bo nikomu nie ufał, nikomu nie wierzył, bo wszystkich miał za złodziei lub spiskowców. Może słusznie. Wszak już Aleksander II wyrzekł sławetne *bon mot ~á la Piotr I*. „W Rosji wszyscy są sprzedajni... prócz mnie jednego... i dlatego, że ja tego nie potrzebuję!”

Syn przeto, Aleksander III, miał wzór, miał bliski przykład na stryjku Mikołaju Mikołajewiczu – a sam nadto był gorącym wrogiem nieuczciwości i człowiekiem bardzo skąpym. Skąpstwo cesarza, choć niemiłe dworakom, było wielką zaletą i stanowczą cnotą Aleksandra III, bo monarcha rozrzutny tam, gdzie lista cywilna panującego jest dowolnym

zanurzeniem ręki w złocie i dobytku ogólnym, jest klęską. Aleksander III obciął budżet dworu, obciął pensje książętom, odsunął ich zupełnie od steru i dalej liczył, dodawał i przeglądał rachunki. Niekiedy, przyznać należy, wykrywał bajeczne figle mądrości administracyjnej.

Takim klasycznym figlem jest bez wątpienia historia dziesięciu tysięcy pudów świec łojowych. Aleksander III nie był bystry ani łatwo orientujący się, jednakże pozycja dziesięciu tysięcy pudów łojówek w wydatkach dworu cesarskiego, pod koniec wieku dziewiętnastego, musiała nawet takiego monarchę zastanowić i poruszyć. Cesarz zarządził poszukiwania w archiwach dworu. Poszukiwania ciągnęły się tygodniami pod okiem samego cesarza, aż sprawa łojówek znalazła swoje upragnione wyjaśnienie. A więc w roku 1791, Jego Cesarska Wysokość wielki książę Aleksander Pawłowicz, syn cesarzewicza następcy tronu, biorąc udział w paradzie wojskowej w dniu imienin Jej Cesarskiej Mości Katarzyny II, odparzył sobie dostojną część ciała, zniewoloną do pozostawania w bezpośredniej styczności z siodłem, a nie dość dzielnie łosiowymi rajtuzami opiętą. Stąd wielki marszałek dworu, na wezwanie lejb-medyka, dostarczył świecy łojowej, która zasmarowana na bibule, zaaplikowana została do wygojenia wysoko urodzonej, a mocno obolałej części wielkoksiążęcego ciała. I stąd wielki marszałek uznał za konieczne dla zdrowia wielkoksiążęcego mieć w zapasie pewną ilość łojówek i stąd nareszcie po dziewięćdziesięciu latach ilość łojówek do gojenia odparzonych od jazdy konnej części dolnego pozakorpusu wysoko urodzonych dosięgnęła ilości dziesięciu tysięcy pudów!

Tego rodzaju odkrycia podniecały pracowitość Aleksandra III, lecz nie zawsze równie skutecznie docierały do nadużycia. Cesarz zakopywał się w papierach, tonął w odmęcie przedmiotów i daremnie chciał być wszystkimi ministrami razem. Myśl samowładcza monarchy doprowadzała

go do wycieńczenia umysłowego, do humorystyki. Aelksander III czytał papiery i opatrywał je uwagami, nawet wykrzyknikami. Posłuszne urzędy słowa cesarskie musiały mieć za nieomylne i ostateczne. Telegraf z dnia na dzień obwieszczał poddanym, że na takim a takim to raporcie „własną jego cesarskiej mości ręką napisano słowo „zobaczymy” albo „może być”.

Klasycznym przykładem tych dopisków jest polityczny koncept petersburski, który dosadnie i prawdziwie charakteryzuje drobiazgowość monarchy i chęć opiniowania o wszystkim! „Na najpoddańszym raporcie dyrektora obserwatorium astronomicznego w Pułkowie, przy wyrazach „osiemnaście stopni mrozu” własną, jego cesarskiej mości ręką, napisano „to zimno!” Przy czym słowo „wiatr” podkreślono dwa razy. Ale samodzielność Aleksandra III była tylko pozorna, ograniczała się do dopisków, podpisów. Choć nie uznawała żadnych wpływów, żadnych podszeptów, żadnych faworytów, przecież stała się zdobyczą partii i jej narzędziem. Właściwie partia owa miała program nie wymyślony, bo zgodnie z reakcyjnością Aleksandra III, schlebiający mu, a jedynie o własnych korzyściach myślący. Głową tego stronnictwa rządzącego był Pobiedonoscew – w roli oberprokuratora synodu i niemal prawosławnego papieża. Pobiedonoscew, dawny nauczyciel Aleksandra III, znał swego ucznia, umiał podniecać w nim mistyczny zabobon, umiał i zacząć od Boga, i skończyć na Bogu, a w środku najmniej chrześcijański podpis dobyć. Jaki był Pobiedonoscew – najlepszą odpowiedź daje po temu popularny czterowiersz rosyjski. Pobiedonoscew?! *Pobiedonoscew dla synoda, donoscew dla caria, biedonoscew dla naroda, złotonoscew dla sibia.*

Oberprokurator synodu nie miał licznych sprzymierzeńców, ale za to oddanych mu, wiernych i karnych. Więc dowódcę ochrony cesarskiej Czerewina, więc Sablera, swego pomocnika w synodzie, więc nadwornego

protojereja i spowiednika Janyszewa, więc Katkowa, redaktora „Moskiewskich Wiadomości”, więc ojca Joana Kronsztadzkiego i kilku generałów. Taka partia, choć z pozoru słaba, była tak zharmonizowana, tak umiała motać pajęczą przędzę intryg, iż za nią oświadczyła się sama cesarzowa Maria Teodorówna. Aleksander III był wiernym mężem, za wielkim na panującego domatorem, cesarzowa nie mogła się podobno ani razu poskarżyć na motyle chęci małżonka, cesarzowa była matką pięciorga dzieci, cesarzowa miała i należne jej miejsce u boku Aleksandra III, lecz cesarzowa również miała ambicje panowania.

Aleksander III był nieubłagany dla swej, jak mówił, „Maszy” i z całą gwałtownością nie pozwalał jej się „wtrącać”. Cesarzowa więc przystąpiła do Pobiedonoscewa – i odtąd zaczyna się datować jej wpływ, o którym wiedzieli wszyscy, prócz cesarza samowładcy. Za przykładem cesarzowej poszli ci, którzy pragnęli coś u dworu znaczyć, czymś być w państwie rosyjskim. Wobec Pobiedonoscewa schylili głowy nawet wielcy książęta, lecz nie wszyscy. Linia Konstantynowiczów, pochodząca od Konstantego Mikołajewicza, niedoszłego współzawodnika Aleksandra II, była w niełasce zupełnej. Również w niełasce był stryj cesarza, Mikołaj Mikołajewicz, pamiętny operacjami finansowymi podczas wojny rosyjsko-tureckiej (1877-1878). Jeden stryj Michał cieszył się względami Aleksandra III.

Lecz Aleksander III miał rodzonych braci, Włodzimierza, Aleksieja, Sergiusza i Pawła. Dwaj ostatni jako jeszcze młodzieńcy znaczyli mało – dwaj pierwsi jednak starali się realizować najsilniej swe uprzywilejowane stanowiska. No, lecz tu nie było innej rady, jak przylgnąć do Pobiedonoscewa, gdyż on jeden dawał widoki wpływu na cesarza. Ba, a przecież o wpływ ten musiało iść bardzo i Włodzimierzowi, i Aleksiejowi, którzy chcieli ratować swe obcięte listy cywilne i nie myśleli ograniczać swej żyłki utracjuszowskiej. I tu oszczędność Aleksandra III zgubne

wywołała objawy, bo przekupstwo rozwielmożniła nawet wśród rodziny monarszej.

Są to rzeczy gorzkie, smutne, przykre, ale prawdziwe i znane Petersburgowi, że po dworach wielkoksiążęcych zaczęła się gra w karty, gra obracająca krociami. A do gry garnęli się wszyscy, którzy chcieli coś uzyskać u nieprzystępnego dworu, ministerstwa, władzy. Kupcy, przedsiębiorcy, fabrykanci, przemysłowcy, delegaci całych gromad – zanim złożyli podanie o koncesje, o ulgi, o jakieś zezwolenia, cisnęli się do stolików gry i na nie rzucali przywożone pieniądze. W Petersburgu z góry mówiło się, że trzeba przegrać tyle i tyle, inaczej nic z tego... Monarcha oczywiście nic o tym nie wiedział, nie wiedział o tym, że dla handlującego każdy obstalunek od dworu wielkoksiążęcego, od generała-gubernatora, od ministra, od żandarma, od policjanta, był kontrybucją. Monarcha nie wiedział również nic o rozpuście swych bliskich, nie wiedział o pijatykach, orgiach i skandalach wielkoksiążęcych, rozgrywających się w sławetnych lokalach Petersburskich „Niedwiedia” i „Cubat”.

Aleksander III był dobrym mężem i dobrym ojcem, w pożyciu domowym bardzo moralnym człowiekiem, lecz za to wielcy książęta w dwójnasób pracowali, aby tradycje Aleksandra II, Piotra III, a nawet Katarzyny, nie zginęły. Nawet Katarzyny, bo żona księcia Włodzimierza, Maria Pawłówna (Meklemburska), dawała okazję już nie do plotek i nie do obmów. A Pobiedonoscew? Pobiedonoscew mrużył oczy, uśmiechał się chytrze, groził książętom palcem, a dopiero, gdy któryś z nich szarpnął się lub objawił krnąbrność, szedł do cesarza z raportem o pierwszym z brzegu figlu wielkoksiążęcym. Monarcha burzył się i krnąbrność bywała tak dotkliwie ukarana, iż wielki książę bał się Pobiedonoscewa niby ognia.

Tymczasem walka z nihilistami nie ustawała i ustać nie mogła, gdyż rewolucjoniści ani myśleli oręża do pochwy chować. Żandarmeria wpadała

raz po raz na ślady zamachów i spisków na życie cesarza. Wykrywała zamachy i wtedy, gdy ich nie było. Co łatwo zrozumieć, biorąc pod uwagę, że monarcha rosyjski zasnąć już nie mógł, nie wysłuchawszy raportu, że znów mordercze zamiary zostały udaremnione. Każde wykrycie dawało Aleksandrowi III pewien odpoczynek dla wyobraźni. Stąd tajna policja wiedząc, że brak nowych wykryć powoduje przeświadczenie, że ona nie dość energicznie się sprawia, zaczęła sama fabrykować zamachy, aby je potem udaremniać. Za przyczynek do historii paniki, która grasowała na dworze cesarskim, niech posłuży ten stwierdzony fakt. Koronacja Aleksandra III (1883 rok) napawała lękiem dwór, bo albo trzeba było lasami bagnetów otoczyć monarchę, a więc i cały urok odebrać uroczystości, albo mieć pewność, że tylko przypadek może uchronić cesarza od bomb nihilistów.

Ówczesny minister dworu, książę Woroncow-Daszkow, wymyślił pojednanie z nihilistami i wraz z potentatami takimi jak Szczerbatow i Szuwałow wygotował plan przymierza. A więc postanowiono za cenę okupienia bezpieczeństwa cesarza podczas koronacji – dać wolność więźniowi Dobrolubowowi i zobowiązać się do wyjednania konstytucji na wzór pruskiej, a na poręczenie tych zobowiązań wypłacić nihilistom milion franków. Na posła wybrano Polaka, doktora Nowińskiego. Nowiński ruszył do Paryża i tu dotarł do Ławrowa. Ławrow zgodził się, ale żądał poręczenia od samego Nowińskiego. Nowiński, człowiek porządny, był szkolnym kolegą znakomitego pisarza, żołnierza-patrioty T.T. Jeża. Imię Jeża miało należną mu cześć i u nihilistów. Układ zawarto.

Nowiński pojechał po milion i wtedy stała się rzecz niespodziewana. Woroncow-Daszkow zwierzył się ze swoich planów jeszcze jakiemuś dostojnikowi – sprawa doszła do Pobiedonoscewa i cesarza. Aleksander III wezwał Woroncowa i obił mu policzki tak, że ministrowi krew pociekła.

Woroncow wpadł w chwilową niełaskę, a koronacja miała charakter policyjno-wojskowej parady. Jakoż od śmierci Aleksandra II już cały grad zamachów spada jeden po drugim. Z miesiąca na miesiąc ochrona znajduje bomby, maszyny piekielne, wyrwane podkłady na liniach kolejowych przed przejazdem cesarskiego pociągu, sztylety i rewolwery królobójcze i stosy proklamacji. Tropieni nihiliści już nie obawiają się rewizji, ale obawiają się, aby rewizja nie podrzuciła im sfałszowanych papierów, sfabrykowanych przez żandarmów bomb.

Od śmierci Aleksandra II powstaje zamęt. Kroniki przepełnione są wiadomościami o zamachach, ale o tym, które są prawdziwe, kroniki milczą. Milczą i nihiliści, bo to ledwie zdarzenia dnia wczorajszego, bo przedawnienia nie ma dla samowoli rosyjskiej władzy. Ale mimo to narodnowolcy odzywają się od czasu do czasu i odzywają tak, że nie ma wątpliwości, nie ma dwóch zdań, że to ich głos. Więc na początku marca, roku 1882, prokurator kijowski Strelnikow, bezlitośnie terroryzujący socjalistów i rewolucjonistów, odebrał wyrok śmierci z podpisem Komitetu Wykonawczego „Narodnoj Woli” a dnia 30 tegoż miesiąca, gdy przechadzał się na bulwarze nadmorskim w Odessie został położony trupem kilkoma wystrzałami rewolwerowymi, skierowanymi doń przez dwóch zamachowców.

Na ten nowy objaw terroru nazajutrz rząd odpowiedział rozstrzelaniem słynnego rewolucjonisty, oficera Suchanowa w Kronsztadzie a w cztery dni później powieszeniem w Odessie Żełwakowa i Chałturina, twórcy pamiętnego wybuchu w Pałacu Zimowym. Zabójstwo Strelnikowa i tuż po tym mordzie idące poszukiwania dały plon obfity, bo wykryły naraz dwóch Bogdanowiczów. Szef tajnej policji petersburskiej Sudejkin zarządził poszukiwania i konfrontacje, polegające na tym, że Bogdanowiczów zaprezentowano wszystkim po kolei stróżom domów stolicy. Rezultat był

nadspodziewany. Otóż stróż domu z ulicy Małej Sadowej w jednym z Bogdanowiczów poznał właściciela „Rosyjskiego Składu Serów” i dynamitowej miny. Poznał Kobozewa! Sława przeto i kariera Sudejkina była zdecydowana. Młody podpułkownik żandarmów miał teraz drzwi otwarte do najwyższych stanowisk i odznaczeń. Ba, nie koniec na tym. Sudejkin taką rozwinął energię, iż niezależnie od dziesięciu procesów politycznych, około sześciuset osób zesłał administracyjnie na wygnanie i katorgę, a drugie tyle trzymał miesiącami pod śledztwem w kazamatach.

Rewolucjoniści podnosili więc gwałtowne ciosy, zabójcze nawet, bo choć wielu z nich nie miało nic wspólnego z „Narodną Wolą”, choć pojmani narodnowolcy milczeli, ale brak dowodu nie uwalniał, starczyło podejrzenie na skazanie. Jeżeli zaś partia terroru istniała, jeżeli zasilana była przez nowe zaciągi ochotników, to w tym tylko zasługa policji rosyjskiej. Trzeba pamiętać, że w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia ruch socjalistyczny rozpalał na całym obszarze Europy swoje pochodnie. Europa różnie z nimi postępowała i rozmaitymi środkami usiłowała go zniszczyć, aż w końcu tylko starała się go umiejscowić, sprowadzić do ekonomicznego zatargu robotnika z fabrykantem. Socjalizm więc, choć tamowany, szedł i iść musiał, bo niósł sztandar wyzyskiwanych milionów.

Jakoż powoli i strajk, i zmowa robotnicza, i interesy klas pracujących z idei przewrotu, z idei rewolucyjnych, grożących państwom – brały stanowiska polityczne w parlamentach, osiągały należne im prawa głosu, prawo otwartego ścierania się z kapitałem. Rządy europejskie usiłowały stanąć jedynie poza terenem walki, dowieść iż trwają poza myślą popierania którejkolwiek ze stron walczących i przechylały się z zasady, choć bez sympatii, na stronę robotników... byle ci nie powodowali zamieszek, rozruchów i tym podobnych. Słowem, cały zachód Europy zaczynał szukać

oparcia dla *modus vivendi* z socjalistami. Ciasny jednak i krótkowidzący rząd rosyjski miast czym prędzej, na wzór Zachodu, otworzyć klapę bezpieczeństwa dla agitacji socjalistycznej, miast tym samym pozostawić ją poza rewolucjonizmem – jął z całą zawziętością tępić i ścigać wszelkie ruchy robotnicze, słuszne skargi czy utyskiwania pracujących karać szubienicą, katorgą i knutem, i w ten sposób wytwarzać całe setki mścicieli i malkontentów.

Rewolucjonizm rosyjski miał przeto pomimo pogromu wciąż nowe siły, produkowane przez system. Ale podpułkownik, szef tajnej policji, Grzegorz Sudejkin, odznaczał się niesłychaną perfidią i na wytępienie rewolucjonizmu miał w zanadrzu piekielnie złośliwe środki, o których nikomu się przedtem nie śniło. Sudejkin na przykład sam zaczął wydawać rewolucyjne pisemka, sam redagował i drukował odezwy! Nie dość tego, to i agentów swoich przedzierzgnął w nihilistów. Plan Sudejkina był wyjątkowo sprytny. Szpiegostwem ogarnąć i na wskroś przejąć wszystkie tajne związki, wprowadzić do nich niezgodę i rozłam wewnętrzny, osłabić je, a potem za jednym zamachem zgnieść. Ten plan Sudejkina stał się nie lada ciosem dla narodowców. Nihiliści zanim się spostrzegli, już byli opętani szpiegostwem i zdradą. Nieufność do towarzyszy paraliżowała swobodę ruchów. Policja teraz choć rzadziej się pokazywała, ale za to zawsze w chwilach najkrytyczniejszych. Szpiedzy byli wszędzie i na zebraniach, i w komitetach, i w tajnych drukarniach, udawali męczenników w więzieniach i oskarżonych na śledztwach. Nihiliści tracili równowagę, wzajemne oskarżenia i podejrzenia trawiły ich, osłabiały. A Sudejkin tak umiał podwładnymi mu pionkami manipulować, tak ich nawet nie oszczędzać, że gdy w pamiętnym „procesie dwudziestu” (21-28 lutego 1882) dla dobra śledztwa był obwiniony szpieg Merkułow, szef tajnej policji z zimną krwią przyjął wiadomość, że gorliwy pachołek udający

nihilistę, także został skazany na katorgę. Sudejkin ani myślał kompromitować się wobec nihilistów i zdradzać grę. I Merkułow musiał wędrować na Sybir.

Energia szefa tajnej policji petersburskiej zachwyciła rząd i dwór. Nareszcie zdołano wyrobić siłę, nareszcie genialny żandarm rokował wycięcie zarazka, uzdrowienie monarchii. Sudejkin rósł w powagę i wpływy, a zaczynał już być potentatem z potentatów, lada dzień spodziewano się dlań tytułu szefa żandarmów, a co za tym idzie, stopnia ministra spraw wewnętrznych. Łatwo przeto wyobrazić sobie przerażenie Petersburga, gdy w nocy z dnia 28 na 19 grudnia 1883 roku rozeszła się wieść o zamordowaniu potężnego szefa policji, o zamordowaniu go razem z siostrzeńcem, żandarmem Sadowskim. Ciała pomordowanych znaleziono zastygłe w domu na jednej z uliczek, w pobliżu Newskiego Prospektu i ciała nie tylko pokryte ranami od kul rewolwerowych, ale pomiażdżone uderzeniami pozostawionego przy trupach kilofa. Niesłychana śmiałość zabójstwa poruszyła całą stolicę, całe państwo.

Policja zaczła szukać, domyślać się, śledzić, słać listy gończe. Wyłapano wszystkich nihilistów sfabrykowanych przez Sudejkina. Posądzono jakiegoś Jabłońskiego, który miał dwóm naraz bogom służyć, a coraz zajadlej wracano do faktu, że równocześnie z mordem zginął bez wieści kapitan żandarmów, prawa ręka szefa, Degajew. Ale skąd Degajew? Wszak przy trupach znaleziono wyrok śmierci Komitetu Wykonawczego! Prędzej może w zbrodni brał udział ktoś z kijowskich wrogów Sudejkina, który właśnie tam rozpoczął znakomitą karierę. Wątpliwości były krótkie. Wykonawcą wyroku był istotnie kapitan żandarmów – Degajew.

Zimny dreszcz przeszedł wszystkich żandarmów rosyjskich. Poszlaki zmieniły się w niezbite, niezaprzeczalne dowody. Degajew od lat służył w żandarmerii i służył rewolucjonistom, lata pracował na zaufanie.

Degajew sam wykrywał maszyny piekielne i dynamit, sam dokonywał rewizji, zarządzał obławy i chwytał nihilistów, choć podobno tych, których Komitet Wykonawczy podejrzewał o zdradę. Degajew z bliska patrzył na robotę Sudejkina, sekretarzował mu i pomagał. Ale nawet czujność Degajewa nie mogła opanować przebiegłości Sudejkina, aż Degajew sam musiał się tej przebiegłości obawiać. Obawiać się musiał jeszcze i dlatego, że z drugiej strony nihiliści zarzucać mu zaczęli dwulicowość. Zresztą i Sudejkin spostrzegł, że ktoś psuje mu szyki i to ktoś bliski. Szef tajnej policji zwierzył się z tego kapitanowi, ten zaś zastawił na Sudejkina pułapkę, wyciągnął Sudejkina razem z siostrzeńcem na połów i rozprawił się z nimi.

Policja nie wątpiła, że Degajew miał wspólników, że z silnymi a zawsze gotowymi do obrony oficerami żandarmerii, choć sam żandarm, nie poradziłby sobie tak łatwo... A mowy nie było o wspólnikach nieznanych bez Degajewa. Degajew jednak przepadł jak kamień w wodę. Najzajadlejsze poszukiwania nie dały rezultatu. Listy gończe, rysopisy, telegramy nic a nic nie pomogły. Rosyjska policja zagraniczna równocześnie raz po raz donosiła, że i „tam” Degajewa nie ma, z tego rodziły się domysły, że ukrywa się w granicach Rosji i stąd nowe wszczynano poszukiwania. Aż w końcu żandarmeria rozesłała do wszystkich władz setki fotografii Degajewa, a nadto wszystkie miasta i wsie ozdobiła osobliwymi plakatami. Plakaty te zaczynały się sześcioma fotografiami Degajewa w różnych ubraniach i zmianach zarostu – w czapce, z gołą głową, z pełnym zarostem, z wąsami, ogolonego zupełnie i z faworytami i wąsikami. Pod tymi podobiznami wielkie napisy głosiły, że kto wskaże na ślad zbrodniarza, otrzyma pięć tysięcy rubli nagrody, a kto wykryje go i wskaże, otrzyma dziesięć tysięcy rubli. Chętnych i łakomych nagród nie brakowało, ale Degajewa nie było, a w zamian za to raz po raz

alarmowano żandarmerią, dostarczając jej podobnych do „zbrodniarza” biedaków, Bogu ducha winnych ludzi. Koroną tych alarmów był jednak gorliwy urzędnik policyjny spod Irkucka. Służbista ten i pijanica zarazem długo zbierał żądany komplet sześciu Degajewów, aż w dwa lata po zabójstwie Sudejkina zawiadomił władze, że ma Degajewa. Władza petersburska, otrzymawszy depeszę, nie zwróciła uwagi na liczbę mnogą, przyjmując błąd telegraficzny i zażądała wyprawienia Degajewa do Tomska, do dalszego rozporządzenia. Darowano by pewnie głupotę pijanicy, gdyby choć jeden z pół tuzina Degajewów pasowałby do nagrody, ale że ci biedacy nie mieli żadnego z kapitanem związku, przeto wypuszczono ich na wolność, a gorliwego urzędnika wypędzono ze służby.

Kapitan żandarmerii Degajew uszedł raz na zawsze. Podobno dwa lata później dopiero przekonano się, iż kapitan, rok z górą po zabójstwie, mieszkał w Petersburgu i był robotnikiem w składzie węgla, a dopiero gdy sprawa ucichła wyjechał spokojnie za granicę. Ale dzieje mordu Sudejkina to ledwie że silniejsze intermezzo w historii podziemnej Rosji, bo ruch rewolucyjny nie słabnie odtąd, a wzmaga się i potężnieje. Prawda, ziarno nieufności i niezgody, rzucone przez Sudejkina, obudziło walki osobiste, walki partyjne, lecz na tym rozbiciu się na niezależne partie, na oddzielne organizacje, tylko całość ruchu zyskała, bo zdławienie jednego spisku nie groziło wykryciem innych. Aleksander III czynił co mógł, ale stugłowej chydrze trudno było dać radę. Podejmowano rozmaite środki i sposoby oddziaływania na lud i zwalczania propagandy. Cesarz znaczne sumy wydawał na rozrzucanie rozmaitych broszur, krzepiących poddańczego ducha. Cesarz umundurował trzy czwarte Rosji, aby mundur z daleka znaczył osoby, aby tłum łatwiej dawał się pilnować, a nieprawomyślność piętnować i ścigać. Cesarz, a właściwie jego ochrona, skasował zupełnie publiczne egzekucje przestępców politycznych, skasował wszelką jawność

sądów, a nieomal i sądy same, wskutek czego rewolucjonistów pozbawił wszelkiej możności świecenia przykładem męczeństwa, zimnej krwi, odwagi, ideowości.

Porachunek z nihilistami dla świata miał odtąd jeden widomy akt – aresztowania, choć i aresztowań dokonywano możliwie bez hałasu i bez świadków. Rewolucjoniści czy podejrzani o rewolucjonizm ginęli, ginęli bezpowrotnie. Walki te były straszne, lecz snadź i one nie wystarczyły, bo gdy wywrotowcy znów ozwali się w jakimś zamachu – Pobiedonoscew orzekł, iż tylko brak religii może ludzi do takiego obłąkania doprowadzić. Pobiedonoscew poradził i oto znowu ujrzał światło dzienne bajeczny ukaz. Ukazu tego w Rosji europejskiej nie odważył się wydrukować nawet Katkow z „Moskiewskich Wiadomości".

Mniej przezorny był jednak redaktor czasopisma „Sybir" w Irkucku, który w dniu 10 czerwca 1883 roku ogłosił, że policja otrzymała surowy rozkaz napominania wszystkich zaniedbujących się w spełnianiu obowiązków religijnych, a w szczególności w przyjmowaniu najświętszego sakramentu – i to pod rygorem surowych kar. Radykalny ten środek krzewienia uczuć religijnych snadź niewiele pomógł do obudzenia poszanowania dla osoby pomazańca Bożego, skoro w dniu 29 października 1888 roku rewolucjonizm rosyjski zgotował na drodze żelaznej kursko-azowskiej pod stacją Borki pamiętny zamach na pociąg cesarski. Pomieniony zamach nazywa się urzędowo czwartym – jakie były trzy pierwsze i czy tylko były do roku 1888 trzy, o tym bodaj sama ochrona cesarska nie wiedziała. Mówi się jedynie o „wypadku" Aleksandra III na polowaniu, mówi się o innym „wypadku" wypadnięcia z sań i mówi się o „wypadku" pod Smoleńskiem i o dynamicie na torze kolejowym. Zamach pod Borkami jaki był i na czym polegał – przekazał dokładniej świadek naoczny jadący z rodziną cesarską, malarz nadworny, Zichy. Pociąg

cesarski szedł z całym rozmachem w czasie pogodnego dnia jesiennego, szedł torem, szczelnie przez warty obstawionym. Było południe, rodzina cesarska zbierała się w wagonie stołowym na śniadanie. Kucharz z dwoma kuchcikami uwijał się, kończąc ostatnie przygotowania. Nagle jeden z kuchcików zachorował i to tuż przed stacją Taranówka, na której pociąg cesarski miał zatrzymać się dla zmiany lokomotywy i skontrolowania osi i bandaży kołowych. Lejb-medyk opatrzył kuchcika, skonstatowawszy gorączkę i objawy jakiejś niezdecydowanej choroby orzekł, iż oczywiście w pociągu cesarskim nie ma miejsca dla chorego kuchcika i to może chorego na jakieś zaraźliwe a niezdeklarowane krosty i że na najbliższej stacji trzeba kuchcika zostawić. Opinia lejb-medyka była słuszna, naturalna i zgodna z przepisami o podróżach cesarskich. Pociąg zatrzymał się, kuchcika wysadzono, obdzielając go środkami bądź na dokonanie podróży dalszej zwykłymi pociągami, bądź leczenie się na miejscu, a po załatwieniu się ze zmianą lokomotywy oraz skontrolowaniu osi kół, ruszono w drogę ku Borkom. Pociąg wpadł w tempo osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Dzwonek elektryczny zawiadomił kuchnię, że rodzina cesarska wraz z osobami świty zebrała się w jadalni. W kilka sekund po dzwonku rozległ się ogłuszający łomot i huk – piekielna eksplozja zmieniła w oka mgnieniu cały cesarski pociąg w spiętrzoną gromadę złomów żelaza, poszarpanych wagonów, potrzaskanych osi, zmiażdżonych ciał ludzkich. Gromadę buchającą dymem wszczynającego się pożaru, a rozbrzmiewającą jękami skarg i wezwań na pomoc. Zniszczenie było tak straszne, a przęsła pociągu tak rozbite, że stojące wzdłuż toru warty wojskowe były przekonane, że żywa dusza z pociągu cało nie ujdzie, że cesarz Aleksander III z żoną i dziećmi śmierć pod szczątkami znalazł.

Los zrządził inaczej – wagon z salą jadalną, który miał być trumną monarchy i jego najbliższej rodziny i świty, stał się dlań zbawieniem,

ocaleniem... Wagon bowiem z salą jadalną, choć był rozbity, choć miał potrzaskane dno i sufit, zachował ściany boczne. Ściany te pochyliły się ku środkowi, zaparły na sobie i niby namiot z dwóch kart zawisły nad skotłowanymi ciałami biesiadujących... Cesarz Aleksander III wraz z żoną, dziećmi i wszystkimi uczestnikami śniadania cesarskiego ocalał. Eksplozja mordercza swą siłę wywarła głównie na służbie cesarskiej, na kuchni, na kolejowych pionkach. Eksplozja pod Borkami sprawiła wrażenie piorunujące, ale eksplozja jednocześnie posłużyła władzy za przedmiot opowieści o widomym „cudzie boskim". Nabożeństwa dziękczynne, szczegóły fantastyczne, ryciny przedstawiające rodzinę cesarską na złomach pociągu w oświetleniu aureoli, spływającej z nieba, spadły na Rosję i miały ją przekonać o nadziemskiej nietykalności osoby samodzierżcy.

Ocalenie w urzędowych papierach nazywano cudownym, a dzień wypadku nakazano obchodzić z roku na rok świętem, nabożeństwami solennymi i stosownymi naukami o majestacie. Zastanawiając się zupełnie bezstronnie nad wypadkiem pod Borkami, trzeba przyznać, że istotnie rodzina cesarska bardzo szczęśliwemu zdarzeniu zawdzięcza życie, że dzięki jakiemuś milimetrowi stalowej ściany wagonu nie zginąła, że na loterii życia, w której na sto biletów śmierci jeden zachowuje istnienie, miała ten jeden bilet wyciągnąć. Zamach jednak pod Borkami był tak piekielny, że nawet darowując życie, zwracał je skrócone. I rodzina cesarska, mimo powieści o nietykalności majestatu – ucierpiała mocno, ucierpiała zarówno moralnie jak i fizycznie. Kontuzje dosięgły w pierwszym rzędzie Aleksandra III, a potem księcia Jerzego, drugiego syna, dalej najmocniej odbiły się na zdrowiu następcy tronu, księcia Mikołaja, dokuczyły i księżnej Oldze, a w organizmach wszystkich ocalonych różne poczyniły spustoszenia.

Rozpoczęto najenergiczniejsze, natychmiastowe śledztwo. Cesarz sobie kazał składać raporty z dnia na dzień. Na kilka mil wokół miejsca katastrofy zrewidowano wszystko, co się dało zrewidować, tłum techników, inżynierów i chemików zjechał na zbadanie każdego złomka pociągu. Cesarz się niecierpliwił. Na pierwszą ofiarę katastrofy poszedł nic niewinny minister dróg i komunikacji Possjet. Dlaczego Possjet? Przecież droga żelazna była w porządku, przecież nie było ani podkopu, ani wyrwanych szpał, przecież nie brakło ani jednej warty na stanowisku. Odpowiedź łatwa – ktoś musiał paść ofiarą, skoro winowajców nie było, skoro rezultat śledztwa „nie nadawał" się do opublikowania, gdyż mógł obudzić przesadzone wyobrażenie o sile i środkach rewolucjonizmu rosyjskiego. Nadworny malarz, Zichy, tak zrelacjonował protokół śledczy. Twórcą zamachu był kuchcik – kuchcik miał pod swą kontrolą głowy cukru. Jedna z tych głów była opatrzzona zegarowym aparatem. Kuchcik nastawił aparat, puścił w ruch i zachorował gwałtownie, zażywszy odpowiednio spreparowane pigułki. Aparat zegarowy szedł tymczasem wybornie. Rozrachunek kuchcika nie chybił. Na stacji, gdzie zmieniano lokomotywy, kuchcika wysadzono – pociąg odjechał z machiną piekielną wewnątrz. Chory kuchcik tymczasem nie czekał na alarmujące depesze, ani na wiadomość o skutkach eksplozji i pod pozorem, że ma krewnych w okolicy, u których chce wydobrzeć, wsiadł na brykę i ruszył w świat, tak, że zostawił po sobie w aktach urzędowych tylko fałszywe nazwisko i przy nim znak zapytania.

Zamach roku 1888 do odosobnionego życia cesarza Aleksandra III wsączył nowy strumień goryczy, żółci i niepokoju. Zdenerwowanie władcy nie było bezpodstawne, skoro fakty pouczały, że do najbliższego otoczenia cesarskiego zdołał dostać się i Chałturin, i kuchcik. I znowu poddano całą służbę cesarską szczegółowej obserwacji, i znów zarządzono gromadne rugi

w pałacach i po raz nie wiadomo który starano się stworzyć niewątpliwej wierności szeregi. Lecz przy nowej reorganizacji już nie wierzono Rosjanom ani prawosławnym, lecz przekładano Tatarów, sprowadzano nawet Murzynów i Abisyńczyków. Pałace monarchy zapełniły się kolorowymi twarzami, wyznawcami Mahometa i Buddy, jakoby wierniejszymi w swym niewolniczym poszanowaniu pana, a już dla chrześcijańskiej propagandy stanowczo niedostępnymi.

Aleksander III sam wynajdował obostrzenia obrony i wprowadzał wszelkie ostrożności, podpowiedziane mu przez kogokolwiek z otoczenia, a w ostatku cesarz w kieszeni munduru jął nosić siedmiostrzałowy rewolwer i nie rozstawał się z nim ani na chwilę. Fatalność chciała, że i ten rewolwer miał cesarzowi zgotować nową chwilę strapienia. Wkrótce po zamachu pod Borkami cesarz zasiadł późnym wieczorem do biurka i papierów w swoim gabinecie. Dyżurny oficer warty pałacowej, odprawiający służbę w przyległym do gabinetu pokoju, znając nawyki cesarza, usadowił się wygodnie, rozumiejąc, że monarcha przed północą drzwi nie otworzy. Było lato i upał nieznośnie duszny, nie złagodzony nawet powiewem wieczoru. Upał ten dla opiętego w uroczysty mundur oficera był łaźnią trudną do zniesienia. Oficer jednak, dworak obyty, nie wahał się ani na chwilę i rozpiął haftki kołnierza, rozluźnił pas, odczepił kaburę z rewolwerem, i rozparł się wygodnie na kanapce, pod oknem. Było to uchybienie służbowe, uchybienie jednak przez wszystkich oficerów, skazanych na nudne, bezcelowe wysiadywanie pod drzwiami komnat pałacowych, uprawiane z powodzeniem. Zresztą uchybienie zawsze mogące ujść oka zwierzchności, bo dające się kilkoma ruchami usunąć.

Oficer wyglądał oknem na pusty, głuchy dziedziniec pałacowy – aż się znużył. Brała go ochota zapalić papierosa, lecz brakło mu odwagi. Papieros groził wydaleniem ze służby, lecz oficer był dworakiem doświadczonym,

sięgnął więc po tabakierką i pociągnął potężny niuch tabaki. Następnie rozkichawszy się przyglądał się z upodobaniem tabakierce. Ta szczerozłota była darem od cesarza, była przedmiotem zazdrości kolegów, była niewątpliwym zadatkiem innych faworów i odznaczeń. Oficer uśmiechnął się i zapatrzył w dal komnatki, oświetlonej dyskretnie przyćmioną lampą, zapatrzył się w swą przyszłość, która mu się wydawała tak jasna, tak piękna. Wtem drzwi wiodące do gabinetu cesarskiego otwarły się z trzaskiem, Aleksander III ukazał się na progu. Niespodziewane zjawienie się panującego gromem poraziło oficera. Zerwał się na równe nogi pomieszany i cofnął się w róg pokoju, chcąc ukryć roznegliżowanie. Dla świadomego przyczyny konfuzja i gorączkowe, nerwowe zachowanie się oficera było zrozumiałe. Cesarz jednak osiągnął wrażenie odmienne. Aleksander III, otworzywszy drzwi, postrzegł, iż oficer służbowy cofnął się pomieszany w tył, że skurczył się zamiast wyprostować, że skulił się może do skoku.

Monarcha drgnął, wszystkie widma królobójcze targnęły nim. Ręka cesarza machinalnie sięgnęła po rewolwer. – „Ty kto takoj?!” – huknął surowo cesarz. Oficer zatrząsł się z przerażenia. W tejże samej chwili złota tabakierka błysnęła w cieniu ku Aleksandrowi. Aleksander III nie namyślał się. Szybkim ruchem wyciągnął rewolwer, podniósł i trupem położył nieszczęśliwego oficera. Wszczął się alarm. Cały dwór ruszył do cesarza. Aleksander III był przekonany, że zabił królobójcę. Gdy okropna pomyłka wyjaśniła się, monarcha przeraził się. Protojerej Janyszew z Joanem Kronsztadzkim mieli sposobność wzmocnić swe wpływy na dworze.

Tak, Aleksander III był wybornym strzelcem, zdolnym ubiegać się o tytuł króla kurkowego, nie tylko zresztą strzelcem, ale i atletą. Cesarz Aleksander III łamał w rękach podkowy, a zbytek sił fizycznych skłaniał go nawet do szukania rozrywek w zabawianiu się w tracza, przy czym ofiarą

topora i piły monarszej stawały się najpiękniejsze okazy starodrzewu w parkach cesarskich. Ale siły fizyczne, rzec można, rozwinęły się kosztem sił duchowych. Cesarz nie umiał panować nad samym sobą, nie mógł opędzić się wewnętrznemu niepokojowi. Aleksander III nie posiadał ani dziesiątej części zimnej krwi, determinacji lub godności Aleksandra II. Atletyczne muskuły, imponujący wzrost, donośny, silny głos – kryły nerwy poszarpane na strzępy, chorobliwą imaginację, przesadnie do dziwactwa posuniętą i ciągłą trwogę o życie. Stąd muskuły raczej zawadzały cesarzowi niż pomagały – raczej potęgowały tragizm jego położenia, przysparzały mu utrapień. Oficer służbowy nie był jedyną ofiarą – stał się nią wkrótce także zaufany i zasłużony kamerdyner.

Było to w Liwadii. Cesarz odprawiał popołudniową siestę. Kamerdyner przed siestą otrzymał od cesarza rozkaz obudzenia monarchy po godzinie spoczynku, gdyż Aleksander III często zasypiał snem twardym. Kamerdyner święcie dopilnował nakazanego czasu i jął budzić cesarza. Aleksander III jednak nie tylko spał, ale śnił jedną z tych groźnych, ponurych mar, które mu i jawę nieraz zatruwały, bo zaledwie kamerdyner dotknął z lekka monarchy i stereotypową wyrzekł formułkę, cesarz zerwał się na równe nogi i w półśnie w półoszołomieniu kopnął kamerdynera. Cesarz był siłaczem, atletą, kopnięcie w brzuch okazało się śmiertelne. Biedny kamerdyner runął na ziemię i u stóp pana ducha wyzionął. Monarcha głęboko odczuł i odchorował ten fatalny wypadek i uczynił co mógł dla nieboszczyka – kazał mu wystawić pomnik na liwadyjskim cmentarzu.

A nihiliści? Ci nie zasypiali sprawy, nie opuszczali rąk, knuli, szli na męczeństwo, co dnia ginęli i rodzili się co dnia. Partia narodnowolców pozornie w tym czasie znikła jako tytuł – ale w istocie rozbiła się, rozrosła na dziesiątki komitetów, stowarzyszeń, kółek. Policja pracowała bez

wytchnienia, kazamaty więzień ledwie pomieścić mogły przestępców politycznych, ciasno było już i na syberyjskiej katordze, a ruch nie gasł, lecz wzmagał się. Ale wzmagać się musiał, bo samowładca rozmyślnie burzę siał i to bez przyczyny, bez powodu, bez żadnej uprawnionej racji stanu. Berło rosyjskie skupiające czterdzieści narodów, z których kilka tylko do szczepu słowiańskiego należy, zapragnęło wszystkie sprowadzić do jednego mianownika państwowego.

Jakoż rząd rzucił się na cichych Finów, pokornych Tatarów, upartych Polaków i Litwinów, pracowitych Ormian, pogodzonych z losem Gruzinów, lojalnych Kurlandczyków i Estończyków – rzucił się na zniszczenie ich tradycji, ich wierzeń, ich przyrodzonych praw. Samowładczemu rządowi i tego jeszcze było mało – rządowi zawadzały nawet ludy ruskie, nawet Ukraińcy, nawet Białorusini, na koniec rząd miał drakońskie prawa i dla najrdzenniejszych Rosjan, bo ku nim zwrócił prześladowania religijne. Więc gnębiono nie tylko obcoplemieńców, ale i Rosjan – prześladowano nie tylko Żydów i Mahometan, nie tylko protestantów i katolików, ale i prawosławnych, ale i wszystkie kulty wschodniogreckiego Kościoła, różniące się czymkolwiek od poglądów Janyszewa i ojca Joana Kronsztadzkiego...

Prawda, sekciarstwo rosyjskie wkraczało nieraz w granice tak wielkich zboczeń społecznych, że zwalczać je było poniekąd obowiązkiem. Ale ciemność rozpraszać można światłem, nie ciemnością. System zaś wierzył tylko w knut, szubienice i katorgę. Sekciarzom więc przysparzał tylko męczenników, więc podsycał płomienie, zamiast wyrozumiałością i nauczaniem je gasić. I stąd rewolucjonizm krzepł, stąd państwowość co dnia wytwarzała sobie nowych wrogów!

Tymczasem Aleksander III rósł na „twórcę pokoju”. Europa z ciasnym krótkowidztwem, z samolubstwem przewrotnej polityki, manifestowała swe

uznanie dla pokojowych dążności monarchy. Tymczasem od Piotra I nie było na tronie rosyjskim cesarza, który tyle i równie krwawych wojen prowadził i to wojen z bezbronnymi! Aleksander III bał się tylko rozprawy z uzbrojonym przeciwnikiem, bał się, bo instynktownie przeczuwał, że wróg wewnętrzny podałby zewnętrznemu rękę. Lecz domowe wojny Aleksandra III były nie mniej straszne od wojen prusko-francuskiej i rosyjsko-tureckiej. Bo jeżeli liczba stu tysięcy ofiar w danej wojnie nie jest zbyt wygórowana, to rządy Aleksandra III przeszły ją, a nawet podwoiły. Tak, Aleksander III unikał jedynie zatargów z sąsiadami, lecz swoim poddanym nie żałował żadnego z morderczych narzędzi.

Zamach pod Borkami nie był więc odosobniony i nie był sporadyczny. Kroniki mówią, że na trzy dni przed wybuchem, podczas pobytu cesarza w Kutaisie na Kaukazie, pochwycono kozaka kubańskiego, uzbrojonego dynamitowymi pociskami. Kroniki mówią, że w dniu 1 marca 1887 roku, a więc w szóstą rocznicę śmierci Aleksandra II – pochwycono w pobliżu Kazańskiego Soboru pięciu studentów, którzy bombami chcieli powitać cesarza, jadącego na żałobne nabożeństwo. Powieszenie tych pięciu studentów (Uljanow, Generało, Andrejuszkin, Osipow, Szewyrew) najlepiej objaśnia „plotkę”. I kroniki mówią dalej o rozmaitych podkopach, zabójczych przesyłkach, truciznach, bombach itp., grożących raz po raz życiu monarchy. A zamach pod Borkami był tylko ogniwem łańcucha zabójstw politycznych. Już 11 stycznia roku 1890 szef tajnej policji w Moskwie, kapitan żandarmerii Zołotuszin, podzieli los Sudejkina. W listopadzie zaś tego roku kula powaliła generała Seliwestrowa, dawnego szefa żandarmów i naczelnika inkwizycyjnego Trzeciego Oddziału. Oddziału wskrzeszonego przez Aleksandra III.

Kula skrytobójcy dosięgnęła Seliwestrowa w hotelu „Badeńskim” w Paryżu. Mord ten wywołał gwałtowną akcję ze strony ambasady

rosyjskiej i mord ten musiałby być, bez względu na pobódki, ukarany na ziemi francuskiej, gdyby zabójca nie znalazł dzielnych przyjaciół w osobie pani Severine i dziennikarza Gregoire'a i gdyby nie uciekł do Belgii, a dalej do Ameryki. Lecz pobódki dokonanego mordu były raczej osobiste niż polityczne. Seliwestrow wprawdzie zjechał do Paryża, nie tylko dla łatwych zwycięstw wśród ćwierćświatka nadsekwańskiego, Seliwestrow miał z bliska przyjrzeć się organizacji policji rosyjskiej, działającej w Paryżu. Ale, jak się później okazało, zabójca mógł być uważany prędzej za mściciela niż za wykonawcę wyroku. Zabójcą Seliwestrowa był Padlewski, brat rodzony rewolucjonisty, który w roku 1878, wskutek wycieńczenia po zadanych mu na śledztwie torturach, umarł w szpitalu Mikołajewskim, w Petersburgu. Zabójstwo to niemało przyczyniło kłopotu rządowi Trzeciej Republiki i zmusiło go – mimo całej sympatii objawionej przez społeczeństwo francuskie dla winowajcy – zwrócić ostrze prawa przeciwko tym, którzy ułatwili ucieczkę Padlewskiemu, a więc pani Severine i Gregoire'owi.

XVII

Śmierć Seliwestrowa długo żywiła oficjalne organy prasy rosyjskiej i dawała im okazję do bezsensownych wniosków o tożsamości charakteru przestępstwa z zabójstwem króla Humberta I włoskiego. Breschiego łączono z Padlewskim i znów usiłowano wmówić w Europę, że rosyjski ruch rewolucyjny ma wspólne źródła z Zachodem. Trwały te uczone a przewrotne wywody przez kilka miesięcy, aż raptem ucichły zagłuszone przez dziwne wieści idące z pałacu cesarskiego. Wieści te mówiły o zatargu cesarza ojca z synem, następcą tronu. Cesarzewicz Mikołaj miał dwadzieścia jeden lat. Dotąd mówiono o nim mało. Plotki czy nieplotki rozsiewały od czasu do czasu pogłoski, że następca tronu jest młodzieńcem chorowitym, że cierpienie jego jest tej samej natury, co niszczący nałóg zmarłego w Nicei cesarzewicza (pierwszego syna Aleksandra II), że dopiero panna Łabuńska próbuje uzdrowić młodego księcia itd. świat petersburski tyle tylko miał dowodów na usprawiedliwienie tych plotek, że istotnie panna Łabuńska, nadobna gwiazda teatralna, zajęła niedwuznaczne stanowisko przy osobie cesarzewicza.

Stąd, gdy na stolicę spadła nowina o nieporozumieniu między ojcem a synem, niespodzianka była tym większa, bo jawnie przecząca wszelkim komentarzom o charakterze i usposobieniu cesarzewicza. Według tej nowiny, następca tronu miał dostrzec śmieszność w manii podpisywania bardzo często przez Aleksandra III rozporządzeń, których doniosłości monarcha nie rozumiał, lub dla nawału akt zbadać nie był w stanie. Następca tronu z tego powodu w rozmowie z ojcem ośmielił się wytknąć

cesarzowi, że pomimo uwag, często nie wie co podpisuje. Monarcha ukarał syna aresztem domowym. Syn jednak nie dał się upokorzyć i sporządziwszy formalny reskrypt do ministra dworu, nakazujący mu, aby cesarzową Marię Teodorówną wywiózł w ciągu czterdziestu ośmiu godzin z granic państwa, umieścił ten reskrypt w swojej obwolucie i położył na biurku ojca. Cesarzewicz bowiem od czasu do czasu w tej formie wyjednywał u monarchy jakieś drobne łaski dla swego otoczenia. Aleksander III bez wahania i namysłu podpisał ów reskrypt. Cesarzewicz otrzymawszy swą obwolutę, zażądał posłuchania i ponowiwszy poprzednie wywody, pokazał ojcu, że w zapale kaligrafowania swego podpisu, skazał swą żonę i matkę cesarzewicza na banicję.

Aleksander III wpadł w furię. Gromy gniewu monarchy spadły na cesarzewicza. Niełaska i uraza miały zapuścić tak głęboko korzenie, że aż zakwestionować porządek następstwa tronu. Bezpośrednim wynikiem gniewu było odsunięcie syna od dworu, bo dekret skazywał go na odbycie długiej, ciężkiej podróży na Daleki Wschód. Ile w tej opowieści fantazji a ile prawdy dociec niepodobna. Jedynym bezpośrednim faktem było to, że w roku 1891 cesarzewicz wyjechał w pamiętną podróż po Syberii. Podróż taka, przedsięwzięta do miejsc, gdzie dotąd nigdy stopa członka rosyjskiej rodziny panującej nie stanęła, mogłaby być nie lada czynnikiem rozwoju dla młodego cesarzewicza, gdyby nie ograniczała się do wysiłków syberyjskich satrapów, wysiłków starających się ukryć to, co Syberia ma istotnie ciekawego. Cesarzewicz ani śmiał pytać o więźniów politycznych, ani śmiał wnikać w istotne tajemnice niedoli syberyjskiej. Zresztą podobno nie mógł, bo Aleksander III wyraźne w tej sprawie wydał rozkazy. Następca tronu z góry nie miał złudzeń, aby cała jego podróż miała co innego na celu, jak wydalenie ze stolicy, jak ukaranie krnąbrności, następca nie spodziewał się niczego, prócz nudy urzędowego ceremoniału, ale zapewne

nie spodziewał się, aby w jakiejś „półdzikiej” Japonii los mu zgotował zamach.

W dniu 23 kwietnia 1891, na jadącego przez Osta (pod Kioto) w Japonii następcę tronu napadł z szablą w ręku funkcjonariusz policji japońskiej. Towarzyszący cesarzewiczowi książę grecki odparował pierwsze cięcie i osłabił powtórny cios w głowę. Zbrodniarza pochwycono i uwięziono. Cesarzewicz zaś odniósł dotkliwą ranę w głowę, ranę, która jakoby zaciążyła mocno na zdrowiu przyszłego monarchy rosyjskiego. Urzędowe śledztwo zbrodnicze pobódki japońskiego policjanta przypisało fanatyzmowi – wieść nazywała je porachunkiem osobistym za pokrzywdzenie i wymieniała kobietę, fantazja zaś próbowała zastanowić się nad zamachem, jako nad oczywistym dowodem nihilizmu. Tymczasem, nie tyle zdrowie cesarzewicza w kołach znających tajniki życia petersburskiego nasuwało obawy, ile wprost życie samego cesarza.

„Cudowne” ocalenie z katastrofy pod Borkami, które przyprawiło księżniczkę Olgę o ułomność, bo skrzywienie klatki piersiowej, odezwało się raptem w atletycznym organizmie Aleksandra III i niszczyło go bardzo pospiesznie. Potłuczenie sprowadziło skomplikowaną i groźną chorobę nerek. Nic tu nie pomogły środki lekarskie, nic zwoływanie powag europejskich i nic wpływy niebieskie ojca Joana Kronsztadzkiego i protojereja Januszewa. Aleksander III gasł w oczach. Aż stan cesarza pogorszył się na tyle, że sprowadzony z Berlina profesor Leiden, przychylając się do diagnozy rosyjskiego profesora Zacharina, zwiastował niechybną i bliską śmierć.

Wobec tego, zobowiązano profesora Zacharina do powiadomienia cesarza o smutnym wyniku badań. Aleksander III odpowiedział biednemu Zacharinowi kałamarzem i zamiast ratować resztki życia, zdwoił sztab jałmużników dworu i nakazał solenniejsze odprawiać nabożeństwa. Stan

psychiczny cesarza samowładcy zaczął graniczyć z szaleństwem, bo Aleksander III jeszcze podpisywał, jeszcze chciał rządzić, jeszcze panować. Wokół chorego zebrała się rodzina cesarska z cesarzewiczem na czele. Aleksander III nie dopuszczał jej do siebie, synowi jedynie, pod groźbą klątwy, wręczył przyszły programowy manifest. Monarcha jakby się bał, żeby cesarzewicz nie dał się unieść jakiejś wspaniałomyślności, nie dał porwać jakimś liberalniejszym ideom, których on tak bardzo nienawidził. Nad manifestem czuwał zresztą Pobiedonoscew, ten sam, który do ambasadora Stanów Zjednoczonych wyrzekł sławetny aforyzm, aforyzm urągający chyba zdrowemu rozsądkowi oberprokuratora synodu prawosławnego.

Czy wiesz pan, który z ludów na kuli ziemskiej jest najszczęśliwszy? – zagadnął pewnego razu Pobiedonoscew ambasadora amerykańskiego. Ambasador uśmiechnął się czule, rozumiejąc, że usłyszy lada chwila niezgrabny komplement i odparł grzecznie. – Doprawdy, nie wiem, ekscelencjo! – Lud rosyjski! – zakonkludował płytki ciemiężca – Bo lud rosyjski dotąd ostał się zarazie, nazywanej „wolnością”.

Pobiedonoscew był więc dobrym strażnikiem testamentu politycznego, czego dowodem, że gdy w dniu 1 listopada 1894 roku Aleksander III skonał, potworny system ani drgnął i miażdżył dalej. Cesarz Aleksander III, mimo pozorów śmierci naturalnej, znów jest tylko ofiarą królobójstwa, które pod Borkami, nie mogąc przeciąć od razu życia monarchy, skróciło je do lat niespełna sześciu. Panowanie cesarza atlety, który obejmujec rządy wróżył, iż na tronie Matuzalowych doczeka lat, skurczyło się do trzynastolecia zaledwie. Trzynaście lat na tronie, a czterdzieści dziewięć lat życia to nie za wiele na atletę – lecz stanowczo za wiele na skrajny reakcjonizm. Trzynaście lat walczył Aelksander III.

O co walczył? Walczył jedynie o własne utrapienia, własny niepokój, własne katusze. Bo czyż zaślepienie, wiara w potrzebę utrzymania poddanych w ciemnocie, wiara w bat pogromcy – mogła władcy co innego przynieść niż złorzeczenia, bomby, pomstę uciemiężonych. Czyż trzynaście lat najzajadlejszych zapasów z naturalnym prądem ruchu społecznego i socjalnego mogło do innych doprowadzić rezultatów?

Aleksander III pracował nad ładem wewnętrznym i porządkiem – ale pracował tak, jak obłąkaniec, spieszący na stłumienie pożaru z bańką nafty! Gorzkie było życie Aleksandra III i bardzo smutne, tak smutne, iż żadne udawane hołdy zachodu Europy nie były zdolne osłodzić jadu, zatruwającego każdą sekundę życia najpotężniejszemu z potężnych. Zastanawiając się i ważąc ponurą dolę monarchy, z łatwością można by się oddać współczuciu – gdyby nie tysiące jęków i skarg, dobywających się z więzień.

Aleksander III budował cerkwie Bogu, a więzienia ludziom. Wyrzekał na los i rad był słyszeć wokół siebie słowa współubolewania – ale głuchy był na żale innych, nieugięty na cudze cierpienie. Najdosadniejszym bodaj zwierciadłem czynów Aleksandra III jest statystyka jednej tylko Twierdzy Szlisselburskiej. Statystyka odpowiadająca ściśle co do dnia trzynastoleciu panowania „twórcy pokoju”. Gdy Aleksander III wstępował na tron, więzienie owo posiadało ogółem dziesięć miejsc politycznych i było raczej przejściowe niż stałe. Z rozkazu monarchy wybudowano nowe więzienie w Szlisselburgu już na miejsc czterdzieści osiem. Dawne zaś cele przeznaczono do „operacji”. Te czterdzieści osiem nowych cel w ciągu lat 1881-1894 zdołało pomieścić w oddzielnych celach siedemdziesiąt dwie osoby. Zadanie to matematycznie niemożliwe znakomicie rozwiązane zostało przez szefa sztabu żandarmów Petrowa i jego „pomocnika” do opieki nad więźniami szlisselburskimi, Sokołowa.

A więc po pierwsze, dwóch więźniów rozstrzelano (Minakowa w 1884 i Myszkina w roku 1885) – rozstrzelano ich za to, iż ważyli się za pomocą „strajku głodowego” zniewolić zarząd inkwizycji do dawania przestępcom książek. Minakow nadto, którego „lekarz” więzienny kazał w swojej obecności karmić przemocą, spoliczkował „lekarza”. Miszkin zaś opierał się, gdy go za „strajk” bito. Dalej trzech więźniów odebrało sobie życie – więc Klimenko powiesił się w 1884, Graczewski oblał się naftą i podpalił w 1888, Zofia Gincburg w 1891 poderżnęła sobie gardło nożyczkami. Pamiętać należy, iż byli to już więźniowie po wyroku – a zatem śmierć ich na celu miała jedynie wyzwolenie się za wszelką cenę spod opieki inkwizytorów. Siedmiu przestąpców dostało pomieszania zmysłów: Tichanowicz, Aronczyk, Ignacy Iwanow, Szczedrin, Juwaczew, Konoszewicz i Pochitonow. Z tych, trzech pierwszych umarło w fortecy – a czterej ostatni, po kilku latach, już jako zdeklarowani furiaci, doczekali się cel w domu wariatów. Na koniec dwunastu umarło z wycieńczenia jako suchotnicy (Maławski, Bucewicz, Złatopolski, Kobylański, Isajew, Dołguszin, Hellis, Bogdanowicz, Niemołowski, Waryński, Buciński i Jurkowski).

W ten sposób liczba więźniów zredukowała się z czterdziestu ośmiu do dwudziestu czterech – a tym samym zarząd posiadał dwadzieścia cztery wakanty. Ta sama statystyka trzynastolecia Szlisselburga poucza, iż wszyscy więźniowie z liczby pierwszych czterdziestu ośmiu byli w wieku od dwudziestu do dwudziestu siedmiu lat, a więc w pełni sił żywotnych i ta sama statystyka notuje dobrodusznie, że taki a taki był skazany administracyjnie (bez sądu) na pięć lub trzy lata fortecy i tego samego więźnia po trzynastu latach więzienia wysyła na zakończenie na katorgę.

A przecież forteca szlisselburska to ledwie ciasny i niepakowny przytułek, wobec kazamat i lochów więziennych, które bogobojny „twórca

pokoju” miał już nie dla spiskowców, rewolucjonistów czy po prostu królobójców, ale dla tych, którzy potęgę państwa rosyjskiego łączyli z pełnią cywiliczacji. Aleksander III umarł – umarł – może budząc żal serdeczny w sercach Czerewinów, Orżewskich, Klinbergów von Wahlów, Hurków, Pobiedonoscewów i tym podobnych figur, skrojonych na modłę siepaczy Iwana Groźnego – ale wśród poddanych tyle uczuć wdzięczności zostawiając, ile nadziei pokładano w następcy tronu. Cesarz MIkołaj II miał lat dwadzieścia pięć, miał więc lata Aleksandra I, miał młodość, miał przed sobą nieuprzedzone, nie zniechęcone do siebie miliony, miał zaparte oddechy poddanych, miał wokół bijące przychylnością serca. *Tzar est mort! Vive le tzar!*

XVIII

Historia się powtarza – a więc przyszłość daje się wyrozumować przeszłością, a bodaj w części odgadnąć. Mikołaj II wstąpił na tron rosyjski w roku 1894, więc zasiadł w gronostajach w trzysta dziesięć lat po śmierci Iwana Groźnego, jako dwudziesty szósty cesarz – jako dziewiętnasty po pierwszym Romanowie – jako trzynasty samowładca (pierwszym autokratą był Piotr I), jako ósmy monarcha nazwiska Holstein-Gottorp, jako piąty z potomków Pawła I. Dane odnoszące się do dwudziestu pięciu poprzedników cesarza Mikołaja pozwalają się uszeregować w następujący sposób. Na dwudziestu pięciu władców Rosji – dwunastu było zamordowanych, sześciu zmarło śmiercią podejrzaną, nasuwającą prawdopodobieństwo zabójstwa, jeden odebrał sobie życie, a sześciu doczekało się śmierci naturalnej, tj. w różnym stopniu i wieku chorobami sprowadzonej. Czyli, że śmierć naturalna na tronie rosyjskim przypada na każdego czwartego monarchę.

Lecz wniosek ten byłby błędny, a to z tego względu, że do Piotra III (1761) założyciela linii Holstein-Gottorpów przypadają wszystkie śmierci naturalne; od niego zaś są: cztery morderstwa, jedno samobójstwo i dwa zgony podejrzane. Nadto śmierć naturalna miała szczególniejsze względy dla kobiet, bo na cztery imperatorowe trzem pozwoliła umrzeć bez królobójstwa i bez przypuszczenia królobójstwa. Trzech tylko cesarzy dokonało żywota w zwykły dla ludzi sposób, a mianowicie: Michał Teodorowicz, Aleksy Michajłowicz i Piotr II. Stąd z liczby dwudziestu sześciu monarchów, wyłączywszy cztery kobiety, otrzymamy, że tylko co

siódmy umiera śmiercią naturalną. Horoskop taki byłby smutny dla cesarza Mikołaja II, bo jest piątym z kolei po morderstwie Pawła I – gdyby mógł być horoskopem. Taki rozrachunek otrzeć musiałby się o śmieszność, o ile innych nie dostarczyłby faktów. Ostatnim cesarzem, któremu życie skróciła choroba, był Piotr II (1730 rok), ostatnia naturalna śmierć dosięgła Elżbietę (1761), a później idą Piotr III (mord), Katarzyna II (śmierć podejrzana), Paweł I (mord), Aleksander I (śmierć podejrzana), Mikołaj I (samobójstwo), Aleksander II (mord) i Aleksander III (śmierć wskutek doznanych potłuczeń w zamachu).

Z dwudziestu pięciu poprzedników cesarza Mikołaja II najdłużej panował Iwan Groźny (bo pięćdziesiąt cztery lata), następnie czterech przeszło trzydziestolecie, czterech przeszło dwadzieścia lat, czternastu nie doczekało nawet dziesiątego roku panowania. Przeciętna panowania dla władcy rosyjskiego wynosi dwanaście lat i cztery miesiące z okruchem kilku dni. Tych dwudziestu pięciu monarchów dokonało w ciągu trzystu dziesięciu lat szesnastu zamachów stanu i popełniło dwanaście królobójstw. Trzech z tych monarchów dopuściło się zbrodni zabójstwa bezpośrednio, inni działali przez zbirów. Ostatnim królobójcą na tronie jest Aleksander II, ostatnią ofiarą królobójstwa dla zagarnięcia władzy – Paweł I.

Czy te ponure liczby stanęły młodemu monarsze kiedyś przed oczami – należy wątpić. Mikołaj II odebrał wykształcenie stosowne do czekającej go korony, a nadto wykształcenie pod okiem reakcjonisty ojca i reakcjonistów nauczycieli (generała Daniłowicza). Prawda historyczna niewątpliwie zatajona została przed następcą, bo chyba nie dopuściłby do stawiania w Wilnie pomnika Katarzyny II. Prawda historyczna w ogóle w Rosji równa się zdradzie stanu, żaden profesor uniwersytetu nie odważyłby się w auli wspomnieć o zabójstwie Piotra III lub Pawła I. Uczony tej miary co Szylder, gdy następuje fatalny rok śmierci, ucina swą drobiazgowość

historyczną i milknie. W tym skądinąd nie ma nic nadzwyczajnego, bo i Francja nie znałaby swoich Ludwików, gdyby w Pałacu Elizejskim mieszkał Ludwik XXI.

Niewątpliwie zatem Mikołaj II nie miał nie tylko sposobności poznać kiedykolwiek bez osłonek swoich poprzedników, ale bodaj nabrać jasnego poglądu na swoje własne posłannictwo. Popi, Pobiedonoscew, żandarmi, otaczający tron królikowie i zażywający władzy, a na koniec polityka europejska, pospieszyły przekonać młodego monarchę, że idąc śladami ojca najlepiej spełni obowiązek panującego. Cesarz Mikołaj II przez jakąś bezwiedną intuicję zdawał się wątpić o prawdzie tych słów, zdawał się postrzegać świat inny, lepszy i lepsze życie – ale fatalność przysłoniła mu go, zakryła.

Niepodobna wątpić, aby do uszu następcy tronu rosyjskiego nie miały dojść jęki, skargi i utyskiwania stu dwudziestu milionów poddanych, aby sam przykład sąsiadów, same zewnętrzne różnice między jednym państwem a drugim nie zastanowiły przyszłego monarchy. I niepodobna wątpić, że cesarz tak bardzo młody miał w sobie odruchową wolę czynów, wolę nowych celów, nowego ładu. Otoczenie działało – temu młody cesarz niezawodnie nie uwierzyłby.

Lecz reakcjonistom rosyjskim, krwawym satrapom i zaślepionym kacykom podawała rękę Europa. Mikołaj II wiedział, że chłopi błagają, aby ich nie bito, że poddani proszą, aby ich nie karano bez sądu i obrony, aby nie wleczono do cerkwi, aby ich wyzwolono od pijawek państwowego przekupstwa, aby prawo było prawem a nie dobrym humorem ministra, aby wolno im było uczyć się, aby było im wolno bronić dobytku przed urzędowymi złodziejami, aby pamiętano o humanitaryzmie, o statutach zabezpieczających angielskie konie, niemieckie pudle i szwedzkie koty od znęcania się nad nimi.

Mikoołaj II wiedział o tym i choć nie miał żadnego stanowczego planu, jednak coś napomykał o reformach i coś mówił o równości prawa. Niezdecydowanie to trwało bardzo krótko. Podróż młodego monarchy za granicę przechyliła szalę na rzecz reakcji. Podróż cesarza była jednym triumfalnym pochodem samodzierżcy, jednym nie milknącym zachwytem i aplauzem. Zachód Europy podniecony przez politykę poszedł w zapałach swych aż tam, gdzie kończyła się jego duma, jego ambicja. Lud rosyjski ze zgrozą słuchał burzy okrzyków rozbrzmiewających nad Sekwaną, słuchał ze ściśnionym sercem nawet wiwatów niemieckich. Ludowi rosyjskiemu dotąd zdawało się, iż entuzjazm dla Aleksandra III był sztuczny, i że niepodobieństwem jest, aby narody tak wysoce kulturalne mogły nie pamiętać, że samowładca wszechrosyjski w osobie swej zaprzecza wszystkiemu, czym te ludy się szczycą.

I gorycz wykrzywiła usta rosyjskich inteligentów i pod czaszką ich powstała myśl, że zachód Europy jest w swym egoizmie tylko pospolitym barbarzyńcą, że licho warte są nadzieje pokładane w sumieniu zachodu, że cała ta „Europa” woli jeden łaskawy uśmiech samowładcy niż sto dwadzieścia milionów serc poddanych białego cara. Lud rosyjski nie potrafił pogodzić się z tą prawdą, że na przykład Francja dopiero wówczas zaczęła bić na dobre pokłony przed tronami, gdy doczekała się Trzeciej Republiki, gdy wyrazy „wolność, braterstwo i równość” upstrzyły wszystkie mury i parkany francuskie i pokumały się z policyjnym hasłem „nie wolno nalepiać ogłoszeń”.

A cesarz MIkołaj II? Ten otrzymał oczywisty dowód, że nawet Zachód, nawet narody obce, nawet głowy wolnych ludzi chylą czoła przed rosyjskim tronem, rosyjskim rządem, rosyjskim ładem. I reakcja zwyciężyła ostatecznie. Do ogarnięcia tego zwycięstwa trzeba zapamiętać jeszcze kilka danych. Na parę miesięcy przed śmiercią Aleksandra III ułożono

małżeństwo Mikołaja II z księżniczką Hessen-Darmstadt – choroba i zgon „Twórcy pokoju” odwlekły ceremonię ślubu tak, że odbyła się w miesiąc po śmierci Aleksandra III i przybrała charakter skromnej uroczystości familijnej.

Ślub odbyć się musiał z uwagi na rację stanu przedłużenia dynastii. Dotychczas następcą tronu ogłoszony był brat cesarza, książę Jerzy. Ale książę Jerzy był młodzieńcem chorowitym, młodzieńcem skazanym na przebywanie z dala od rodziny, bądź na Krymie, bądź na Kaukazie. Książę Jerzy, według domysłów, był nie lubiany przez ojca z powodu swych wolnomyślnych idei, a także dla zapałów miłosnych skierowanych ku poddance. Wprawdzie i następca tronu, Mikołaj, w ostatnich czasach zmienił pannę Łabuńską na baletnicę Krzesińską i spędzał u niej wszystkie wolne chwile, ale Mikołaj był uległym synem, łatwo dającym się przekonać.

Gdy więc nawiązano rokowania z dworem heskim, Mikołaj dał Krzesińskiej dom, dał rentę, dał tytuł i pensję pierwszej tancerki dworu i rozpoczął życie przykładne. Książę Jerzy zaś nie tylko nie myślał brać wzoru z brata, ale gdy Aleksander III umarł, zawarł śluby potajemne z wybranką serca. Zażądano odeń wówczas zrzeczenia się następstwa tronu na rzecz księcia Michała. Jerzy zgodził się bez wahania. Zrzeczenie to dla nierewoltowania niepotrzebnie opinii zachowane zostało w tajemnicy. Raz dlatego, że cesarz Mikołaj mógł mieć męskiego potomka i po wtóre dlatego, że książę Jerzy nie wróżył długich lat życia. Anemiczny organizm księcia po katastrofie pod Borkami zapowiadał suchoty.

Poprzestano więc na zupełnym oddaleniu nieszczęśliwego następcy tornu od dworu, otoczono go kordonem pretorianów i kazano pływać po Morzu Czarnym. Tymczasem zamiast upragnionego syna, młoda cesarzowa Aleksandra powiła córkę. Wypadek ten mocno poderwał stanowisko

i cesarzowej, i cesarza. Dwór rosyjski stara się, jak i każdy zresztą dwór, pamiętać o jutrze. Dwór rosyjski wszak pouczony doświadczeniem, że jeśli w ogóle życie ludzkie jest lichym kagankiem, gasnącym za lada podmuchem wiatru, to życie cesarza rosyjskiego jest źdźbłem tego kaganka. Stąd dwór rosyjski musiał pamiętać o tym, który może nastąpić, odziedziczyć koronę, musiał liczyć się z najmłodszym synem Aleksandra III, księciem Michałem, a więc z cesarzową wdową, która nie odstępowała swego ulubionego syna, a więc z księciem Włodzimierzem, na którego znów spadało berło, gdyby z kolei zabrakło księcia Michała.

Samowładny cesarz przeto, rad nie rad, był zniewolony dzielić się władzą. Zresztą Mikołaj II nie myślał specjalnie o wyłamaniu się spod opieki matki, stryjów i Pobiedonoscewa. Mikołaj II zdawał się być rad takiemu obrotowi rzeczy i sam usilnie dbał, aby mieć wokół zadowolone twarze swej dostojnej rodziny. Około 1896 roku wieść z Petersburga mówiła coś o rewolucji pałacowej, dowodziła uparcie, że młody monarcha wpadł na ślady knowania dworskiego, które miało na celu zniewolić Mikołaja II do abdykacji na rzecz brata Michała i cesarzowej wdowy jako regentki. Ta sama wieść głosiła, że cesarz wezwał do swego gabinetu kilku najbliższych członków rodziny, a gdy ci się zgromadzili zaalarmował naciśnięciem ukrytego dzwonka wartę pałacową. Warta tajnym przejściem wpadła do gabinetu monarchy. Cesarz miał wówczas wyrzec po angielsku kilka niezrozumiałych dla żołnierzy, lecz nadto jasnych dla członków rodziny cesarskiej słów. Dla stolicy tyle było dowodu na potwierdzenie wieści, że alarm miał miejsce i że żołnierze słyszeli wzburzony głos cesarza.

Zewnętrznie wieść o pałacowej rewolucji nie znalazła potwierdzenia. Stosunki rodziny cesarskiej poza wyjątkami powierzchownie były znakomite. Wielcy książęta od razu podreperowali swe listy cywilne i jęli

każdy na swoją rękę i na swój sposób panować. Cesarz dowiadując się o skandalicznych historyjkach, marszczył się, chmurzył, ale powolny, łagodny jego charakter dawał się zawsze otumanić i przekonać. Cesarz w ten sposób zasłużył sobie na popularną u dworu pieszczotliwą nazwę „Nika”. Nazwa ta aż nadto dobrze mówiła, iż z „Niką” łatwo dać sobie radę. Na domiar cesarzowa Aleksandra po raz drugi i trzeci zawiodła i znów córkom dała życie. Dynastia przeto niewątpliwie miała zboczyć.

Książę Michał potężniał i nie tyle zresztą on ile cesarzowa matka, która kierowała nim do spółki z Pobiedonoscewem. Aż w roku 1899, następstwo tronu Michała, dotąd polegające na zrzeczeniu się księcia Jerzego, stało się oficjalne, bo książę Jerzy umarł w wypadku motocyklowym w Abbas Tumanie na Kaukazie. Umarł na jakimś głuchym załomie bezludnej drogi. Motocykl się rozbił? Nie! Dola księcia była zdeklarowana. Księciu wolno czynić było wszystko, co zdolne byłoby skrócić mu życie. Suchotnik i neurastenik zabawiał się motocyklem, pomimo iż zaczęły go dręczyć coraz częstsze krwotoki. Na jednej z wycieczek, w pełnym biegu motocykla, książę dostał krwotoku i runął na skałę.

Naturalnie przy księciu nie było żywego ducha. Kogóż mógł bowiem obchodzić brat cesarza będący w niełasce? Księcia Jerzego znalazła na drodze uboga wieśniaczka. Książę był przytomny, mówił coś, konał długo i wolno. Wieśniaczkę za samarytański poryw skierowany ku księciu, którego ani znała, ani zgadła, spotkało nade wszystko śledztwo i zakaz mówienia.

Ogłoszenie wielkiego księcia Michała następcą tronu wzmocniło ostatecznie partię Marii Teodorówny – a tym samym i wielkich książąt, którzy pilnie trzymali się Pobiedonoscewa. Największe wpływy jednak posiadał Włodzimierz, a za nim Sergiusz. Pierwszy z wieku i praw do dziedziczenia po bratanku Michale, a drugi najpierw z uwagi na osobistą

przyjaźń, a następnie z uwagi na jeszcze jedno pokrewieństwo z monarchą przez żonę – rodzoną siostrę cesarzowej Aleksandry. Wpływy te były, jak się okazało, zgubne dla ludów berła rosyjskiego i zgubne dla tronu. Włodzimierz i Sergiusz byli zawsze reakcjonistami, zawsze drżeli, aby widmo konstytucji nie sprowadziło ich pod arkę praw, aby te prawa przez nich dotąd kute nie zażądały porachunków i od książąt. Włodzimierz z Sergiuszem, choć zwalczali się – ale spostrzegając niebezpieczeństwa, brali się za ręce.

Był jeszcze wielki książę Aleksy, był i dziadek Michał, lecz ci nieporównanie mniejszą odgrywali rolę. Aleksy stanowczo miał niewielkie roszczenia, choć na ogół stanowił dzielne ogniwo w piątce synów Aleksandra II. Naród rosyjski nie darmo ułożył z początkowych liter pięciu synów Aleksandra II (Mikołaj, Aleksander, Władymir, Aleksiej i Siergiej) odpowiedź na co zasłużyli: – „na was” – mówią początkowo litery czytane w prostym kierunku, „sawan” – powiadają te same litery wspak. Co znaczy „dla was całun”.

Ale cesarz Aelksander II miał jeszcze i szóstego syna, Pawła. Wielki książą Paweł jako najmłodszy ze stryjów Mikołaja II może nigdy nie wyszedłby na widownię, gdyby nie miłość do hrabiny Pistolkors, gdyby nie ucieczka z ukochaną za granicę, ślub wbrew woli cesarza w Livorno, zupełna niełaska i wygnanie. Te przygody zjednały księciu w Rosji nawet sporo sympatii i dały powód do różnych wniosków o ludziach i przymiotach serca najmłodszego ze stryjów cesarskich. Rodzina cesarza Mikołaja II nieraz umiała być znakomitym kąskiem dla amatorów kroniki skandalicznej, bo los pominąwszy jakieś dwuznaczne opowieści o zamążpójściu wielkiej księżniczki Kseni Aleksandrówny lub dzieje choćby jednego pobytu w Cannes takiej leciwej już bachantki jak Maria

Pawłówna, nie odmawia tej kronice nawet takich tajemniczych więźniów stanu, jak wielki książę Mikołaj Konstantynowicz.

Wielki książę Mikołaj Konstantynowicz? Wszak żaden urzędowy rodowód domu cesarskiego imienia podobnego nie wymienia! Ba, nie wymienia go już od lat dwudziestu pięciu. Mikołaj Konstantynowicz, najstarszy syn znarłego w roku 1892 księcia Konstantego Mikołajewicza, a więc syn tego samego, który niegdyś współzawodniczył z Aleksandrem II o tron, a więc po prostu brat stryjeczny Aleksandra III i stryjeczny stryj cesarza Mikołaja II, brat greckiej królowej i książąt Konstantego i Dymitra Konstantynowiczów, urodzony w 1850 roku. Otóż ów nie znany prawie w Rosji urzędowej wielki książę jest więc tym samym wielkim księciem, który pomówiony w roku 1881 (po zabójstwie Aleksandra II) o sympatię dla nihilistów, został w tymże roku w dniu 5 kwietnia zesłany na wygnanie do Taszkientu, a ostatnio został przeniesiony do Stawropola i tu w dalszym ciągu pokutuje pod opieką żandarmów. To długie i zawzięte więienie księcia krwi musi zaiste w nie lada sposób podkreślać wieść o tym, że książę wręcz przy pomocy nihilistów zamierza zdobyć koronę dla ojca (Konstantego Mikołajewicza), a dalej drogą następstwa i dla siebie.

Dla ścisłości godzi się przypomnieć, że dotąd kursuje o uwięzionym jeszcze i taka wersja, że książę musi być trzymanym pod kluczem, bo zdradza wprost „okropne” instynkty, czego dowodem jest, iż zrójnowawszy się jako młodzieniec dla głośnej piękności Fanny Blackfort ukradł brylanty ozdabiające jakąś bardzo szacowną ikonę w kaplicy rodzicielskiego pałacu. Lecz ta wersja zakrawa mocno na chęć odjęcia uwięzionemu uroku męczeństwa, na chęć wytępienia wszelkiego współczucia dla nieszczęśliwego i podobno jest nią istotnie. Ta wersja aż cuchnie kuźnią „ochrany” przewidującej możliwość nowej pugaczowszczyzny pod wezwaniem Mikołaja Konstantynowicza.

Wzięto tu przykład z pamiętnej historii Hurki, syna sławetnego satrapy i młodego dygnitarza, który popełnił głośną kradzież i zbójecki napad na senatora Połowcewa w Nicei, a który pochwycony w Paryżu został za wiedzą uprzejmego rządu francuskiego otruty w więzieniu. Wolano spotwarzyć wygnańca, ogłosić złoczyńcą niż w osobie wielkiego księcia uznać publicznie politycznego przestępcę. Mikołaj II panował. Cisza głęboka zaległa całą monarchię – nigdzie ani głosu żywszego, ani silniejszego westchnienia... Umilkli rewolucjoniści i socjaliści, demokraci i ludy uciemiężone. Umilkli dlatego, aby żadnej sylaby ze spodziewanych słów cesarskich nie stracić. Rosja nie zraziła się pierwszym manifestem Mikołaja II, zgadywała, że to był nie program, ale akt poszanowania pamięci ojca. Rosja sama usprawiedliwiała swego monarchę i nie chciała zakłócać chwili oczekiwania.

Tymczasem złe wróżby objawiły się dla nowego panowania. Więc najpierw katastrofa podczas koronacji w Moskwie pochłonęła dwa tysiące ludzi. Katastrofa wynikła z niecnej głupoty miejscowej administracji, która święto cesarskie zamieniła w jatki ludzkie, spadała przede wszystkim na Sergiusza, jako moskiewskiego generała-gubernatora. Spodziewano się, że te dwa tysiące trupów uwolni Moskwę od znienawidzonego stryja cesarskiego. Daremnie! Stanowisko Sergiusza ani drgnęło. A silne musiało być zaiste, jeżeli nawet niedwuznaczne skargi żony, więc siostry cesarzowej Aleksandry, nie działały. W maju 1896 w czasie uroczystości koronacyjnych w Moskwie na placu Chodyńskim zebrały się olbrzymie tłumy ludzi w oczekiwaniu na rozdawnictwo prezentów, co było tradycyjnym elementem tego rodzaju świąt. Na terenie, na którym prowadzono roboty ziemne, pełnym wybojów i ograniczonym z jednej strony głąbokim rowem, stłoczyły się dziesiątki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. W nieopisanym tłoku zatratowano ponad tysiąc osób.

Według powszechnej opinii, winę za tę tragedię ponoszą ówczesne władze Moskwy, ich beztroska i indolencja. Książę Sergiusz, co było tajemnicą poliszynela, był nieprzyjacielem kobiet i oddawał się pewnemu zboczeniu płciowemu, które poza granicami Rosji podlega kodeksowi kryminalnemu, a które szczególnie na południu państwa rosyjskiego jest tylko rodzajem tolerowanej przez rząd prostytucji. Daremnie księżna Elżbieta, żona Sergiusza, zabiegała o ocalenie bodaj pozorów – małżonek był głuchy, a monarcha nie chciał wiedzieć o niczym. Po katastrofie na Polu Chodyńskim zapanował głód. Głód w państwie na skroś rolniczym, w państwie wywożącym miliony kilogramów zboża, głód w warunkach, że gdy w jednej guberni ludzie leżeli pokotem w agonii tyfusu głodowego, w drugiej tysiące pudów ziarna gniło z powodu braku kupców.

Wieść o głodzie w Rosji ozwała się hucznymi zapowiedziami o energicznej pomocy zarządzonej przez najwyższe sfery. Ogłoszono składki dobrowolne i przymusowe, zebrano miliony, no i oddano je na pastwę urzędowych złodziei. Rezultatem całej akcji było wykrycie niegodziwych malwersacji w łonie komitetu pomocy, zaprzepaszczenie funduszy publicznych i śmierć kilku tysięcy ludzi z głodu, śmierć nie na pustyni, lecz tuż pod skrzydłami zacnej Europy u schyłku dziewiętnastego wieku. Panowanie Mikołaja II zaczęło się od „chodynki” i głodu.

A Rosja? Rosja zacisnęła zęby i czekała, czekała cierpliwie. Inne państwa rozbrzmiewały zamachami, spiskami i mordami politycznymi, w Rosji jakby zabrakło nihilistów. Tymczasem dzieje notowały kolejno: zabicie prezydenta Carnota przez Caseria (24 czerwca 1894), mord szacha perskiego Nasr-Eddina (1890), mord Cánovasa del Castillo, premiera hiszpańskiego (8 sierpnia 1897), wykrycie spisku na Ferdynanda Bułgarskiego (listopad 1898), zabójstwo cesarzowej Elżbiety austriackiej (1898), awanturniczy zamach na prezydenta Loubeta (1899), zamach na

cesarza Wilhelma II (1900), zabójstwo prezydenta Stanów Zjednoczonych Mc Kinleya (1901).

Dzieje z miesiąca na miesiąc wykrywały spiski, piekielne maszyny i mordercze narzędzia gotowane przedstawicielom najwyższej władzy, gdy równocześnie dyszącą niedawno rewolucjonizmem Rosję ciągle jeszcze zalegała cisza. Pierwsze cztery lata panowania Mikołaja II zeszły na nadziejach i zakończyły się tylko wrzeniem młodzieży uniwersyteckiej. Wrzenie to stłumiono, ale nie ugaszono. Cesarz istoty wrzenia albo nie znał, albo nie rozumiał, gdy więc znów nastała chwilowa cisza, pozwolił dalej unosić się autokratyzmowi i zabrał się do tak zwanych „testamentów", to jest pracy nad dokończeniem planów Piotra I, Katarzyny II, Mikołaja I itd.

Testamenty te polegały na zrusyfikowaniu i zprawosławieniu wszystkich zagarniętych pod rosyjskie berło ludów lub mających być zagarniętymi w przyszłości, oraz na zniewoleniu ich do oddawania czci prawosławnemu Bogu w niebie i prawosławnemu cesarzowi na ziemi. Wspomniane testamenty były zresztą ulubioną pracą sfer wojskowo-urzędowych, bo dawały znakomitą sposobność do napełniania kieszeni, do uśmierzania krnąbrnych, do zasług i honorów. Właściwie poddani białego cara byli już tak pognębieni, tak skuci, że niewiele można było łańcucha zacisnąć. Ale na uciechę pachołków samowładztwa znalazł się testament, który dowiódł, że kiedy będzie w państwie zupełny spokój, trzeba się rozprawić z Finami i ich konstytucją.

Finlandia bowiem konstytucję swą i samorząd utrzymywała. Utrzymywała ją kosztem pokory, graniczącej z podłością, kosztem palenia kadzideł wszystkim barbarzyńskim zakusom carów. Finlandia strzegła tylko własnych praw – a władcom rosyjskim dostarczała najwierniejszych sług, najzajadlejszych stronników samowładztwa, w czym szła o lepsze z wynaturzoną szlachtą niemiecką nadbałtyckich guberni. Kraik tysiąca

jezior był tak lojalny, mimo szwedomańskich sympatii, że wprost nie było sposobności nic mu odciąć, nic odebrać. „Testament” jednak miał swoje prawa i cesarz Mikołaj najniespodziewaniej zwrócił swój miecz przeciwko Finom. Na testamencie nie poznała się ani młodzież fińska, ani rosyjska.

Wprawdzie po śmierci Aleksandra III, generał Bogdanowicz, naczelnik propagandy domu cesarskiego, rozdał kilka milionów pięknie kolorowanych rycin, przedstawiających „wniebowzięcie” (tak) „twórcy pokoju” w pełnym generalskim uniformie generała-adiutanta, przy czym Bóg, w otoczeniu antenatów cesarza, witał „raczącego” przybywać z otwartymi ramionami – ale te ryciny jednak nie umoralniły młodzieży, bo po fińskich protestach znów zaczęło się wrzenie. Czy tylko młodzież wszczynała pomruk niezadowolenia? Bez wątpienia nie – ona jedynie jako gorętsza i zapalczywsza stanowiła przednią straż ruchu, a raczej tysiąca różnorodnych ruchów, tysiąca tryskających źródeł jednego szukających ujścia. Monarcha stropił się i zwrócił się o radę do najbliższych. O radę, a właściwie o rozkaz. I rozkaz padł – rozkaz zgnębienia, nielitościwego zdławienia każdego protestu.

Żandarmeria zakasała rękawy i zabrała się do roboty, jak za najlepszych czasów nihilizmu. Ale czasy były zgoła inne i hasła inne, a raczej tak rozplenione, tak poplątane, że żadne pochwycenie tajnej drukarni, żadne wykrycie fabryki bomb, żadne ujęcie nici spisku – nie było dla ruchu klęską, nie było tamą. Socjalizm miał w swych szeregach krocie liberałów, różnych barw i odcieni mnożyło się tysiące, separatyzmy ujarzmionych narodów pulsowały zawzięcie, prześladowania wyznaniowe co dnia nowych przysparzały wrogów, lud prosty, ciemny, wyzyskiwany przez policjantów, szamotał się i brał do obrony. Już nie jedna bolączka, nie sprawa jednej warstwy, ale tysiące palących kwestii uderzyło o tron. Tron pomny na „testament” wyciągnął knut zza pasa. Niesfornych studentów

kazano brać w rekruty bez praw na pięcioletnią służbę wojskową. Ten radykalny środek zaprowadzenia porządku w uniwersytetach pociągnął za sobą rozstrzelanie kilkunastu młodzieńców, którzy wciśnięci przemocą do szeregów, odmówili przysięgi, a dalej wywoływał szereg demonstracji we wszystkich miastach uniwersyteckich Rosji, demonstracji zakończonych 4 marca 1901 roku krwawym pogromem bezbronnego ludu pod Soborem kazańskim w Petersburgu, przez siepaczy słynnego Klejgelsa.

Pogrom ten był tak wielką niegodziwością, że wywołał pamiętne wystąpienie księcia Wiaziemskiego, generała i członka Rady Państwa. Książę, świadek znęcania się żołdactwa, z najostrzejszym napomnieniem zwrócił się do Klejgelsa. Klejgels – policjant i żandarm – poskarżył się cesarzowi, książę Wiaziemski odebrał surową naganę. Lud rosyjski przestał się łudzić, ale lud rosyjski miał tyle dobrej woli dla swego monarchy, tak głęboko wierzył, iż cesarz-młodzieniec nie zdolny byłby do podobnych środków, że nienawiść swą zwrócił na doradców monarszych, na tych, którzy stali między poddanymi a tronem. I ta zmiana frontu miała podobno wielkie usprawiedliwienie. Bo monarcha, ten sam okrutny, nieubłagany monarcha, podpisujący najdziksze wyroki, ten sam monarcha, ilekroć bezpośrednio ktoś doń dotarł, był zawsze wyrozumiały, zawsze przebaczający, zawsze pełen dobrej woli.

Lud to spostrzegł, odczuł i nie wątpił teraz, że samowładca jest tylko biernym narzędziem Pobiedonoscewa, matki, książąt i żandarmów, że jest tylko trzymanym pod strażą dalajlamą tybetańskim, że sam jest więźniem, oszukiwanym, straszonym widmami bomb, nie mającym wyobrażenia co się dzieje za murami jego pałaców. Lud przekonał się nareszcie, iż tragedia samowładczych rządów Mikołaja polega na nieświadomości, na oszukiwaniu cara, na wmawianiu weń zalet, których nie ma, lub w danej chwili nie objawia. Setki i dziesiątki faktów posłużyły tu za dowód, że

monarcha studwudziestomilionowego państwa o najprostszych zagadnieniach nie ma wyobrażenia.

Jedna z garderobianych cesarzowej Aleksandry wychodziła za mąż. Minister dworu, baron Friederyks, przedstawiając listę wydatków dworu Mikołajowi II, napomknął, że w myśl przyjętego zwyczaju, trzeba wyznaczyć wspomnianej garderobianej posag. Cesarz zafrasował się nad oznaczeniem sumy, wreszcie zakonkludował: – Dać jej sto tysięcy rubli! Minister dworu skłonił się pokornie i odważył się nadmienić, że jednak sto tysięcy rubli to za wiele. – Za wiele?! – ozwał się cesarz – hm! Jeżeli myślisz, że za wiele, no to daj jej sto rubli! I lud rosyjski zmieniwszy front, zmienił taktykę i powiedział sobie, że terror powinien być skierowany przeciwko zausznikom, przeciwko doradcom, przeciwko rzeczywistym samowładcom. To przeświadczenie znalazło niebawem swój wyraz. W pięć dni po pogromie pod Kazańskim soborem, Mikołaj Łagowski, urzędnik samarskiego biura statystycznego, strzelał z ulicy do gabinetu Pobiedonoscewa.

Jeszcze winowajcy nie zdołano wyprawić na katorgę, gdy 15 tegoż miesiąca skrytobójcza kula szukała znienawidzonego gnębiciela, ministra spraw wewnętrznych Sipiagina, a w dniu 30 marca minister oświaty Bogolepow padł trupem. Mordercą był Karpowicz, student dotąd nieposzlakowany na honorze, za narzędzie śmierci posłużył mu rewolwer, za hasło chęć uwolnienia młodzieży od ponurego reakcjonisty. Rząd odpowiedział znów katorgą, znów aresztowaniami, a Ministerstwo Oświaty powierzył staremu stupajce generałowi, nie mającemu nic wspólnego z wychowaniem publicznym, Wannowskiemu.

Wannowski niby podjął jakieś reformy, niby uznawał głośno, że oświata nadto została zdeprawowana przez szpiegostwo i policję – ale nie ruszył z miejsca zardzewiałej maszyny. Po zabójstwie Bogolepowa znów nastała

chwilowa cisza, przerywana tylko odgłosami nagonki, prowadzonej pod wodzą ministra Sipiagina. Aż 15 kwietnia 1902 roku Sipiagin padł ugodzony śmiertelną kulą. Zbójcą znów był młodzieniec, znów student, znów inteligent, nigdy przedtem nie zdradzający złych instynktów. Mord ten wywołał panikę wśród petersburskich satrapów. Ponieważ minister Sipiagin nie łudził się co do uczuć żywionych ku niemu i nie żałował pieniędzy na swoją własną *garde du corps*, budżet ochrony osoby ministra spraw wewnętrznych doszedł do sumy dwustu tysięcy rubli. Minister nigdzie nie ruszył się bez tłumu agentów i strzegł się z całą perfidią zawodowego żandarma. Ale zabójca, Bałmaszew, umiał powziąć i przeprowadzić śmiały plan, dotąd nie notowany w kronikach zamachów politycznych. W dniu zamachu przed gmach, mieszczący salę posiedzeń komitetu ministrów, zajechał powóz z wyświeżonym adiutantem placu. Adiutant zameldował się do ministra Sipiagina, który właśnie znajdował się na posiedzeniu. Zjawienie się adiutanta i objaśnienie, że ma doręczyć ministrowi do rąk ważne depesze od wielkiego księcia Sergiusza, nie zdziwiły nikogo, bo misje takie bywały chlebem powszednim. Po małej chwili Sipiagin wyszedł do adiutanta, a choć uderzyło go, że ma przed sobą nie znanego oficera, odebrał podaną mu kopertę. Gdy minister kopertę rozrywał, padł śmiertelny strzał...

Popłoch wokół powstał tak wielki, że „adiutant” mógł z łatwością ujść. Bałmaszew jednak ani myślał ruszać się z miejsca lub uchylać od odpowiedzialności. Gdy na koniec zatroszczono się o ujęcie przestępcy, Bałmaszew oddał spokojnie pałasz swój i rewolwer generałowi Wannowskiemu i oświadczył z przekonaniem – „zabiłem łotra”. Zabójstwo drugiego ministra w ciągu zaledwie trzynastu miesięcy powinno było dać do myślenia władzy, powinno było skłonić ją do głębszego zastanowienia, chociażby dlatego, że o nihilizmie najzacofańsi nie mieli odwagi

rozpowiadać, że najkonserwatywniejsi mówili, że jednak wiele trzeba zmienić, bo czasy się zmieniły.

Rząd rosyjski ani myślał o uzdrowieniu chorych stosunków wewnętrznych, dowodząc, że słabością byłoby i ujmą dla tronu czynić ulgi lub zaprowadzać reformy w chwili terroru, równałoby się to przestrachowi i trwodze. Rewolucjonizm należy najpierw zniszczyć, a potem, w godzinę lojalnej ciszy, można będzie niejedno przeinaczyć. To postanowienie stało się znów przestrogą dla tajnej policji. A gdy 19 maja, a zatem w miesiąc po zabiciu Sipiagina, strzelano w Wilnie do gubernatora von Wahla, a 11 sierpnia krwawy zamach spowodowano gubernatorowi charkowskiemu, księciu Oboleńskiemu, cesarz gradem łask obsypał ofiary obowiązku i ani wyobrażał sobie zapewne, że jednak warto było dociec, dlaczego von Wahl i Oboleński aż taką budzili nienawiść.

Ministrem spraw wewnętrznych został von Plehwe, jeden z plejady wynaturzonych Niemców, którzy od wieków są strażnikami Holstein-Gottorpów. Nowy minister miał ustaloną reputację, miał zasługi położone przy śledztwie twórców bomb marcowych (Żelabowa, Perowskiej i innych), miał świetną przeszłość w żandarmerii i policji, a więc posiadał wszystkie dane na kierownika stu dwudziestu milionów ludności. I Plehwe nie zawiódł Pobiedonoscewa. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy, nie wdając się ani w sądy, ani rozprawy – sześćset osób wysłał pod biegun północny, drugie tyle wtrącił do więzień. Plehwe miał taktykę bardzo prostą. Jeżeli jeden rewolucjonista ukrywa się w tłumie stu ludzi, jeżeli są dane, iż w tłumie tym jest, ale wykryć go niepodobna, to trzeba wysłać na Syberię stu ludzi, a rewolucjonista będzie dosięgnięty.

„Energia” nowego ministra poruszyła do żywego całą monarchią. Do stóp tronu posypały się podania, odezwy, adresy, prośby, przedstawienia, programy, wnioski. Lecz Plehwe umiał sobie poradzić nawet

i z marszałkami szlachty, nawet i z obywatelskimi uczuciami. Terror ministra nie miał litości dla nikogo, nikogo nie oszczędzał. Cesarz Mikołaj równocześnie zabawiał się w samowładcę, choć rządził Pobiedonoscew i cieszył się z godności twórcy sądu rozjemczego, choć mu ministrowie gotowali za plecami wojnę, oburzał się na mord belgradzkiej pary królewskiej (10 czerwca 1903), choć w mordzie tym ruble tak piękną odegrały rolę, bardzo był poruszony niegodziwością ręki zbrodniczej, która położyła trupem Bogdanowicza, gubernatora Ufy (19 maja 1903), choć Bogdanowicz sam od dawna na katorgę zarobił, potępił nieudany spisek na Ferdynanda bułgarskiego (1903 rok), choć w spisku tym znów ruble pracowały – i w ogóle monarcha odzywał się tak, jakby rezydował w Londynie, a nie w Petersburgu.

Plehwe pracował bez wytchnienia, ale skrytobójcze strzały i uderzenia znów się rozległy pod koniec 1903 roku i zabiły gubernatora kaukaskiego, Galicyna, 27 października i policmajstra białostockiego, Mietlenkę. W grudniu 1903 roku Rosja znalazła się u wrót wojny. Mikołaj II „nie chce wojny” – mówiła Europa wówczas i Mikołaj II niezawodnie jej nie chciał, ale wojny chciał Pobiedonoscew i chcieli jej ministrowie i książęta. Oberprokurator synodu w wojnie widział zbawczą klapę bezpieczeństwa, która za jednym zamachem „oczyści” powietrze, rozrzedzi siłą nagromadzonych gazów, a byle mobilizacja szła dowcipnie to, przy triumfie, da się i żywioły niepewne wytępić – ba, potem i całą Mandżurię na prawosławie przechrzcić.

Ministrowie z wielkimi książętami krom tego widzieli w wojnie żywotniejszą dla siebie sprawę... bo rozproszenie chmur. A chmury te groziły aferą, niczym panamska, chmury te dotyczyły milionów wydanych na koleje, na Port-Artur, na gmachy nigdy nie wybudowane, na magazyny zawsze puste. Wojna ta na koniec miała uprawnić aneksje chińskiej

prowincji, no i wojna ta była wynikiem testamentu Piotra I, który chciał mieć nie zamarzający port na otwartym morzu.

„Testament” przekonał monarchę. I wojna się zaczęła – a właściwie wybuchła tylko druga, zewnętrzna. Dyplomacja europejska przeraziła się, boć wojna wróżyła zbyt wielki wzrost wpływów rosyjskich na wschodzie, dyplomacja mimo pierwszego zwycięstwa japońskiego nie przestała się obawiać... Lud rosyjski z początku najmniej podobno rozumiał za co i dlaczego ma krew przelewać na krańcu Azji, lud rosyjski wcale nie doceniał wartości portu na nie zamarzających wodach, ani doniosłości poczynionych wydatków na kolej, ani osobistych interesów kierowników nawy państwowej – i lud mniemał, że cała wojna będzie uśmierzeniem „nowego polskiego” buntu w jakiejś „japońskiej guberni”.

Ale niebawem wypadki wkroczyły na znane w Rosji tory dziejów kampanii krymskiej, przypomniały całą grozę niegodziwości popełnianych na skórze żołnierzy. Zanim wojska Kuropatkina spotkały Japończyków, lud rosyjski dostrzegł złodziei. Co to byli za jedni ci złodzieje, niech posłuży za odpowiedź dosadna charakterystyka dawnego ministra komunikacji, Possjeta. Rzeczony minister znajdował się w wagonie jadalnym razem z cesarzem Aleksandrem III w chwili katastrofy pod Borkami. Otóż autentyczny dowcip dworu petersburskiego opowiada, że gdy nastąpił wybuch, Possjet wiedziony instynktem odruchu samozachowawczego, schował do kieszeni trzymaną w ręku srebrną łyżeczkę. Wrzenie się spotęgowało, wzmogło nadużyciami podczas mobilizacji. Do alarmów o kradzieżach przyłączyły się nadużycia przy dokonywaniu mobilizacji a potem i klęski ponoszone przez wojsko, świadomość przyczyn wojny, jej celów i skandaliczne zachowanie się wielkiego księcia Borysa, który reprezentację rodziny cesarskiej na placu boju sprowadził do pijatyk i napastowania sióstr miłosierdzia, z dnia na dzień mnożące się dowody

rabunkowej gospodarki, niedołęstwa i zaślepienia obłąkanych sterników nawy państwowej.

Rozprzężenie, które wskutek tego powstało, musiało nie tylko istniejące już związki i partie ośmielić, zdeterminować, ale i wytworzyć dziesiątki gromad, ale i rozewrzeć nawet przymrużone oczy. Poddani białego cara umieli wprawdzie oswoić się z warunkami bytu, urągającymi stosunkom monarchii padyszacha; poddani białego cara byli tak zaprawieni do rozboju na równej drodze i w biały dzień, że obruszali się tylko wówczas, gdy dany przedstawiciel władzy „nie po czynu warował” (kradł ponad rangę), bo zresztą nie dziwiła ich ani nahajka, ani szubienica. Ale poddani białego cara nigdy dotąd tak boleśnie nie czuli klęsk, bo choć cesarze zawsze wygrywali wojny, przegrywając bitwy, choć ich całą taktyką było posłać na każdą nieprzyjacielską siekierę sto rosyjskich owiec – jednak pogromy szły z zachodu, szły z ręki tych, którzy bądź co bądź przodowali cywilizacji, podczas gdy obecnie klęskę zadawał ubogi, nieznany lud wyspiarzy zachińskich. I poddani białego cara ogarnęli całą swą nędzę, całe kalectwo analfabetyzmu, całą grozę własnej ciemnoty.

Daremnie rząd silił się na sztuczne fajerwerki, mające poruszyć uczucia patriotyzmu i godności narodowej. Daremnie chciał uderzyć w ten sam dzwon, z którego wyrwał serce. Nic nie pomogły wywody o żółtej rasie, nic śmieszne hasła, że pułki żebraków, bosych, głodnych, sponiewieranych, nieoświeconych, są obrońcami cywilizacji europejskiej wobec azjatyckiego barbarzyństwa i nic nie pomogły obrazy, którymi cesarz błogosławił wysyłanych na śmierć żołnierzy. Rosja zgrzytała zębami, lecz nie na „Japońców”. Wieści hiobowe zaczęto witać szyderstwem. I tak całą odpowiedzią stolicy Rosji na depeszę o śmierci admirała Makarowa i uratowaniu się księcia Cyryla – była uwaga, że „kat pływa, a żelazo tonie”. A królobójcy – a nihiliści? Ci zniknęli, zapadli się w fale

szemrzących milionów, milionów drżących świadomością potrzeby dokonania przewrotu, milionów rwących do rewolucji, milionów już nie błagających, nie żebrzących o ulgi i reformy, ale sięgających po nie własnymi rękami.

Samodzierżawie ulękło się i jęło przebąkiwać raptem o nowych prądach, o racji dopuszczenia pewnych warstw do głosu w sprawach państwa. Plehwe równocześnie wzmacniał pękające łańcuchy. Monarcha zaś obiecał odbyć pielgrzymkę do relikwii mianowanego przez siebie świętego Serafina, aby w ten sposób za namową Pobiedonoscewa wzmocnić ducha religijnego, tymczasem zaś wybierał się na Kaukaz, znów obrazami błogosławić pułki skazane na śmierć. Lecz tu minister dworu najniespodziewaniej zaoponował. Państwo miało już za mało wojska, aby móc obstawić tor drogi żelaznej od Petersburga do Kaukazu, ponadto, wobec podniecenia ogólnego, nawet taka straż nie poręczyłaby życia monarszego.

I cesarz Mikołaj II rozpłakał się z żałości. Aż echom salw armatnich ponad brzegami Jalu i przekopami fortyfikacji laojańskich zawtórowały bomby rewolucjonistów, aż komendy rozległy się i nad Newą, i nad Wołgą, i nad Dnieprem, i nad Wisłą. Na pierwszy ogień poszedł Bobrikow, fiński generał-gubernator (16 czerwca 1904), znienawidzony rusyfikator i despota. Bobrikow padł z ręki Schaumana, syna senatora, młodzieńca rokującego najpiękniejsze nadzieje, padł w gmachu senatu fińskiego w Helsingforsie. Rząd rosyjski warknął i chciał z mordu dostojnika wziąć dla siebie prawo odcięcia Finlandii wszystkich przywilejów, gdy już w dniu 17 lipca, na drugim krańcu imperium, wicegubernator jelizawietpolski, Andrejew, padł jako ofiara żandarmskich obowiązków. A w jedenaście dni później – 28 lipca 1904 roku wybuch bomb dynamitowych rozszarpał na miazgę ministra spraw wewnętrznych von Plehwego. Zabójstwo filara

żandarmerii, najznakomitszego sługi reakcji, osłupiło stolicę. Grobowa cisza zaległa sfery dworskie, sfery rządzące. Nikt nie śmiał manifestować sympatii dla ofiary, nikt się nie ważył odezwać ze słowami współczucia do wdowy po ministrze.

Plehwe, wielki Plehwe, postrach stu dwudziestu milionów poddanych zapadł się jak pod ziemię. Wraz z ostatnim echem morderczej eksplozji zaginął o nim słuch. Dwór przeszedł do porządku dziennego. Prasa ozwała się z surową naganą pogromu zabitego potentata, cenzura straciła głowę i zezwoliła na apologię mordu. Zaiste straszny musi być stan moralny studwudziestomilionowego państwa, w którym zbrodnia znajduje tak jednomyślną pochwałę, w którym zbrodnia dopiero wprowadza strumień ożywczego powiewu. Sazonowa pochwycono i już podobno nie próbowano szukać wspólników – bo moralnymi wspólnikami byli wszyscy poddani Holstein-Gottorpów. I Sazonowa już nie ośmielono się wieszać, już nie chciano mieć w nim męczennika, który własnym życiem okupił zgon ciemiężcy. Zresztą nie było czasu na śledztwa, bo trzy dni za Plehwem (1 sierpnia 1904) poszedł pułkownik Bogusławski, administrator sormalińskiego okręgu na Kaukazie, bo płomień buntów, strajków i rozruchów wybuchł w całej monarchii, bo rewolta dosięgła obozy mandżurskie, bo cały gmach samowładztwa chwiał się, pękał, groził zawaleniem.

Na premiera do zagaszenia pożaru powołano księcia Mirskiego i książę zaczął objawiać liberalny poryw Loris-Melikowa i podobno dosyć śmiałe budować plany odrodzenia Rosji i to Rosji konstytucyjnej. Monarcha słuchał Mirskiego i radził się Marii Teodorówny, liczył się z Pobiedonoscewem i obawiał się wielkich książąt. I znów zapanowała przerwa, znów Rosja czekała. Mirski obiecywał, może nie czując, iż władza jego jest złudzeniem, tolerowanym dotąd, dopóki zwycięskich pułków

Kuropatkina nie da się zwrócić na zmiażdżenie wszystkich nowatorskich zakusów.

Mikołaj II zgadzał się, zgadzał z każdym prądem, z każdym kierunkiem – a co mimowolna humorystyka urzędowej depeszy o patriarchalnym życiu samowładcy zsumowała się w wiadomości: „Najjaśniejszy Pan raczył w dniu dzisiejszym zabawiać się z wysoko urodzonymi dziećmi w ciuciubabkę". Jednak Mirski w swojej pojednawczej polityce od przyrzeczeń chciał przejść do czynów. Wielcy książęta zadrżeli ze zgrozy i ruszyli na ratunek samodzierżawia. Dźwignięto schorowanego i zeschniętego ze starości Pobiedonoscewa, do monarchy pospieszyła Maria Teodorówna, a gdy cesarz jeszcze się chwiał, zaalarmowano księcia Sergiusza. I Sergiusz zjechał z Moskwy, i zjechał w towarzystwie dwóch wypróbowanych ludzi, którzy lata całe umieli w żelaznym uścisku pięści utrzymać Moskwę, którzy od lat potrafili strzec od zamachów osobę cesarskiego stryja. Ludźmi tymi byli Bułygin i Trepow, syn znanego żandarma z czasów Aleksandra II, syn tego, do którego strzelała Wiera Zasulicz, a któremu mniej rewolucyjnie usposobieni poprzestawali na wymierzaniu policzków.

I Sergiusz, o ile w Bułyginie mógł podejrzewać ambitnego akrobatę, zdolnego do najtrudniejszych łamańców, to już z Trepowa mógł być dumny, bo to krew z krwi, kość z kości, figura rywalizująca z zasługami Murawiewa „Wieszatiela". Przybycie Sergiusza do Petersburga zeszło się z wypadkiem podczas Jordanu – 19 stycznia 1905 roku. Salwa wiwatowa artylerii gradem ołowiu obsypała orszak cesarski nad Newą i dosięgnęła jednej z sal Pałacu Zimowego. Czy to był przypadek? Trudno orzec. Tyle tylko, że nabicie armat wiwatowych ostrymi ładunkami, sfery rządzące najmocniej za przypadek chciały poczytywać, czym zdradziły tylko trwogę

o zachowanie pozorów. Bo od lat kilku samodzierżawie zgoła innego nabrało obyczaju.

Za Mikołaja I i Aleksandra II z całą otwartością przyznawało się do surowych wyroków, z całą szczerością opisywano niegodziwe knowania rewolucjonizmu, nie żałowano jaskrawych barw na grozę, bo grozą chciano wdrożyć poszanowanie dla tronu. Od Aleksandra III taktyka się zmieniła. Zamachy stały się tajemnicą stanu, tajemnicą stanu są wyroki polityczne i krwawe rozprawy z ludem. Dawniej raport dla nauki i przykładu liczył skrupulatnie trupy – dziś i to już od czasów Ignatiewa, Tołstoja, Czerewina, czy po prostu Pobiedonoscewa, inteligencja autokratyzmu skupia się na przekonaniu całego świata, że Rosja jest państwem ładu, ciszy, sprawiedliwości i miłości do batiuszki.

Po „wypadku jordańskim” nastąpił pogrom robotniczego ludu. Gwardia cesarska pod dowództwem swego szefa, księcia Włodzimierza i komendą księcia Wasilczykowa, odniosła bajeczne zwycięstwo na placu przed Pałacem Zimowym, nad bezrobotnym ludem rosyjskim. Książę Włodzimierz okazał się nie lada energią i nie lada sprytem. Ktoś inny zapobiegłby zebraniu, udaremniłby sformowanie się tłumów – stryj cesarza odważnie pozwolił się skupić „nieprzyjacielowi” i dopiero zgotował mu pogrom. Monarcha uszedł do Carskiego Sioła i tam zapadł w lesie bagnetów, ani myśląc pokazać się w stolicy, którą oddał na łaskę i niełaskę Trepowa. Trepow zaś otrzymał na mieszkanie skrzydło Pałacu ZImowego.

Ale te tysiąc dwieście styczniowych trupów, którymi samowładztwo usiało stolicę, ale to jedyne zwycięstwo armii rosyjskiej po całorocznej wojnie było rzuceniem rękawicy wszystkim ludom berła Holstein-Gottorpów. Było dobrowolnym zerwaniem ze wszystkimi, którzy nie są w Rosji szpiegami lub pretorianami caratu i było początkiem łańcucha buntów otwartych, pogromów, zamachów, mordów i rabunków. Stąd

zabójstwo jakiegoś prokuratora fińskiego senatu Johnsona zeszło do prostego epizodu, stąd ledwie śmierć wielkiego księcia Sergiusza 17 lutego 1905 sprawiła niejakie wrażenie. Sergiusza rozerwała bomba rzucona przez Kalajewa, Sergiusza zgubiło oddanie Trepowa cesarzowi. Póki bowiem Trepow czuwał w Moskwie nad życiem swego opiekuna i protektora, póty Sergiusz mógł spać spokojnie.

Kalajew nie był pierwszym, godzącym w znienawidzonego wielkiego księcia. Czy Kalajew był wykonawcą wyroku i czyjego wyroku, odrzec trudno, gdyż rewolucjonizm rosyjski przybrał rozmiary tak wielkie, że niepodobna przed rozwianiem się dymów i zgaśnięciem łun, ogarnąć marszruty pożarów. Do znanych szczegółów o Kalajewie dorzucić należy, iż był synem rewirowego, synem wypróbowanego policjanta warszawskiego i że nikogo nie wydał i wbrew oficjalnym kłamstwom o skrusze, odrzucił myśl prośby o ułaskawienie. Pogrzeb Sergiusza odbył się w murach Kremla i prawie bez udziału rodziny, która bała się wychylać na świat. Jeden Trepow zjechał do Moskwy na pogrzeb swego dobrodzieja, lecz go potem takie zdenerwowanie ogarnęło, że drogę powrotną z dworca kolejowego w Petersburgu odbył w furgonie wojskowym. Zabójstwo Sergiusza wydało plon i to plon nieoczekiwany. Samowładztwo zaczęło przębąkiwać o ulgach. Zabójstwo Sergiusza wydało plon, bo naraz cała Rosja aż w posadach dygotała od dynamitowego łomotu, bo już odtąd zamachy i mordy polityczne stały się czymś tak powszednim, tak zwykłym, naturalnym, że aż nudnym, aż nie dającym się objąć statystyką. Zabójstwo Sergiusza było hasłem do dźwignięcia się rosyjskiej rewolucji.

Czy rewolucji? Czy rosyjskiej? Wyrażenie to jest za silne i za słabe. Za silne, bo zamęt krwawy wynikły w granicach państwa rosyjskiego nie był żadnym zaogniskowanym i świadomym celu ruchem politycznym i za słabe, bo zamęt ten w grozie swej przeszedł podobno najkrwawsze karty

rewolucji francuskiej, bo stał się tragedią, nie mającą sobie równej, bo nie jedną, ale tysiąc miał myśli, bo był nie tylko walką o prawa obywatelskie, ale i o polityczne, narodowe, wyznaniowe, agrarne, socjalistyczne. Ale przecież samowładztwo zagadało o ulgach! No tak, więc ustanowiło dwa tuziny rozmaitych komisji i rozpowszechniało najpiękniejsze obietnice reform, no i czyniło wszystko, aby zyskać na czasie. Owo zyskanie na czasie łudziło MIkołaja II, łudziło nadzieją, że nareszcie uda się Kuropatkinowi wygrać jakąś bitwę i w ten sposób da sposobność do pogodzenia się z Japończykami, do wybrnięcia z wojny zewnętrznej, aby tym dzielniej prowadzić wewnętrzną!

Rząd rosyjski stał się zyskać na czasie, a więc sam zabrał się do agitacji, do rewolucji. I na mordy antypaństwowe odpowiedział mordami i ruchami antystudenckimi, antymagnackimi, antytatarskimi, antyormiańskimi, antypolskimi, antyestońskimi, antyfińskimi, antyżydowskimi. Mordy te polegały na judzeniu jednej klasy przeciw drugiej, na zapaleniu antagonizmów, na popieraniu rzezi. Kaukaz zawrzał pierwszy, łunami pożarów spłynął ponad najuboższymi nawet sadybami, rzekami krwi trysnął. Wojna domowa tatarsko-ormiańska przejęła go wskroś. Rząd?

Rząd usunął dyskretnie wojsko, przeciął druty telegraficzne i czekał spokojnie, że rychło będzie mógł między wyniszczoną ludność wypuścić kozackie sfory dla uśmierzenia cmentarzyska. I pośród tego pożaru, pośród jęków, skarg, przekleństw i podniesionych ku tronowi pięści, pośród huku armat, łomotu nahajek, szczęku łańcuchów i kajdan, ujrzał światło dzienne syn Mikołaja, Aleksy. Ale syn ten, który przed dwoma jeszcze laty mógł dać monarsze oścień, mógł mu co najmniej oszczędzić błędów, popełnionych za podszeptem Marii Teodorówny i Pobiedonoscewa, już nie zdołał żadnej rozproszyć chmury, żadnego błysku lepszego jutra zapowiedzieć. Mikołaj II ufortyfikował się w Carskim Siole i tu jeszcze

zszedł na dobrowolnego więźnia, bo i tu nawet, mimo kordonu bagnetów, nie brak było wieści o aresztowaniu paziów, o wykryciu bomb, o planie porwania następcy tronu.

Państwo dygotało w posadach, rozbrzmiewało terrorem i czerwonym, i białym, a cesarz miał wciąż wzrok wytężony na Daleki Wschód, bo tam płynęła flota Rożdziestwieńskiego, bo tam Stoessel odgrywał komedie bohaterskiej obrony. Lecz telegraf działał coraz ociężalej, coraz wolniej, coraz więcej łgał, aż mu już i do kłamstwa zabrakło konceptu. Bo jak złodziejskiej intendentury i posiewu nikczemnych satrapów nie ocaliły dwa wagony „Ikon", ofiarowanych na pożegnanie jadącemu na „poskromienie" Japończyków, Kuropatkinowi, tak i teraz, po Mukdanie, po najsromotniejszej porażce półmilionowej armii, nastąpiła kapitulacja Portu-Artura, a dalej pogrzeb marynarki rosyjskiej pod Cuszimą i coraz groźniejsze bunty armii rosyjskiej. Samowładztwo już nie mogło roić bodaj o zachowaniu pozorów, musiało czym prędzej iść do Canossy po pokój. Rosja słaniała się, chwiała i warczała coraz śmielej wezwaniami do abdykacji. Cesarz schronił się na odmianę do Peterhofu, zapadł między ciżbę kozacką i tu co dnia pił na zdrowie kozactwa, co dnia inny pułk obdarzał rublami, co dnia innemu pułkowi sprawiał libacje.

Wielcy książęta uciekli za granicę i tam pocieszali się na starą modłę i zawsze za pieniądze z tych samych płynące źródeł. Tymczasem panował Trepow, Trepow w randze ministra, a z władzą dyktatora. Bo choć Mikołaj, tuż po Cuszimie, wydał znów manifest, zapowiadający swą intencję nadania poddanym swobód, ale i nie zapomniał o ukazie, mocą którego Trepowowi wolno było (dosłownie) zabraniać czynności nawet dozwolonych przez prawo! I ruszyli przedstawiciele stanów do cesarza i niemal przemocą zdobyli posłuchanie i przedstawili Mikołajowi II grozę położenia. Cesarz był rozczulony, miał niezawodnie łzy w oczach

i ściskając ręce deputowanych, rzekł: Nasza wola cesarska, aby zwołać przedstawicieli ludu jest niewzruszona. Deputowani rozpromienieli – jednak nim progi pałacowe opuścili, otrzymali urzędowy tekst odpowiedzi monarchy, która ku ich zdumieniu, brzmiała tylko... – Nasza wola cesarska... jest niewzruszona! środkowych słów brakło. Może wykreślił je Trepow, a może tylko cesarz „grał dalej w ciuciubabkę”. Bo czy bezwiednie, czy ze świadomością, lecz grał podobno.

Więc gdy, na przykład, chcąc czymś uspokoić umysły rzucił pompatycznie manifest o tolerancji religijnej i usunął nareszcie Pobiedonoscewa, już nazajutrz opracowanie rozmiarów tolerancji religijnej powierzył takiemu zajadłemu despocie, wzbogaconemu na budowaniu cerkwi, jak Ignatiew. Lecz pogrom pod Cuszimą i zdemoralizowanie armii pod Liniewiczem, i bunty resztek floty w Kronsztadzie i Sewastopolu, i brak pieniędzy, i pożar rebelii szerzących się w całym państwie, musiało pchnąć samowładztwo do Portsmouth. A w Portsmouth wypłynął na widownię Witte, znany minister Aleksandra III, typowy czynownik-reakcjonista, typowy pan z czasów „twórcy pokoju”... bo wolnodumiec z knutem w ręku, pan spasiony na dostawach, a o tyle gorszy od Trepowa, że zawsze obłudny i przewrotny.

Stany Zjednoczone aż zawyły z uciechy na widok takiego dostojnika, Jankeski aż biły się o skrawek chustki tego, który „przepełniony humanizmem powołany był do zawarcia przymierza”, no i który miał Rosję pchnąć na drogę odrodzenia. Targi trwały krótko. Witte wywalczył akurat tyle, ile chcieli ustąpić Japończycy. „Zdobycze dyplomatyczne Wittego były ambicją paupra, który obity przez rodzica, pytającym go o powód płaczu koleżkom rozpowiada, zaginając potarmoszone majtczyny, że się niechcący uderzył w oko”. Europa tymczasem wpadła w zachwyt dla Wittego, wielbiąc jego przymioty serca, zalety umysłu i z rozrzewnieniem winszując

Rosji, że nareszcie posiadła mąża. Witte wracając odbierał pokłony, honory, a nawet ordery.

No a Rosja, Rosja z całej komedii w Portsmuth uknuła komentarz na tle działalności poprzedniej Wittego. Według tego komentarza, Witte godził się na zapłacenie dwóch miliardów kontrybucji, lecz pod warunkiem, że Mikado wyda mu kwit na trzy miliardy. Ale negocjacje w Portsmouth jakby dodały odwagi rebeliantom, bo owe zgotowały samowładztwu tyle naraz niespodzianek, że w wigilię ugody z Japonią cesarz znów wydał manifest, lecz znów wykrętny, znów połowiczny, znów zabezpieczający odwrót ku reakcji. Taki manifest przed pięciu laty okryłby chwałą Mikołaja II, przed rokiem jeszcze mógłby stłumić rewolucyjne spazmy, teraz jednak był tylko jednym dowodem więcej, iż nic słowem, nic argumentem, nic lojalnością wywalczyć niepodobna u samowładcy. I ten manifest był tylko niechybną oznaką pękania tronu.

Rosja odpowiedziała strajkami i to strajkami, które rozmiarami swymi przeszły wszystko, co dotychczas w tym kierunku zdziałano. Rząd bronił się zajadle, przepłacał siepaczy, którzy w dalszym ciągu wywoływali rzezie, rabunki i mordy wzajemne, którzy z całych sił dążyli do wywołania rozłamu klasowego, narodowościowego, wyznaniowego. Lecz rząd był już zbyt słaby, aby zapobiec federacji związków, bo rząd nie był pewny swego pierwszego i ostatecznego argumentu, wojska. Federacja związków zażądała konstytuanty. Kaukaz płonął, Finlandia odmówiła posłuszeństwa i formowała własny rząd, na południu Rosji już całe pułki się buntowały, pancerniki rosyjskie wywieszały czerwone sztandary, już i urzędnicy państwowi solidaryzowali się z rokoszem, dręczona przez „prawosławnych” Niemców nadbałtyckich Estonia wybuchnęła powstaniem, ziemie polskie pożądały praw, nie politycznych, nie obywatelskich, ale ludzkich.

Trepow pławił się we krwi, całą Rosję ogłosił w stanie wojennym, palił wsie, wyprawiał dzicz kozacką na rabowanie opornych, na gwałcenie kobiet, na katowanie bezbronnych. Aż Trepow osłabł. Witte, zwycięzca z Portsmuth, został mianowany prezesem Rady Ministrów i zaczął od bicia się w piersi i ściskania rąk naczelnikom ruchu wyzwolenia. A cesarz Mikołaj II, cesarz nie mógł już widocznie wątpić o tym, czy jego poddani dorośli do konstytucji i ogłosił manifest konstytucyjny. Czy konstytucyjny? Tak zdawać się mogło, wnioskując ze słów, a zamykając oczy na czyny. Bo Witte do spółki z Trepowem, z bandą zbójecką w rodzaju Ignatiewa, Durnowa, Dubasowa, Neuhardta wziął w jedną rękę manifest, a w drugą oszczep i poszedł dalej kłamać, oszukiwać, wieszać, torturować, zabijać.

I znów cesarz wspaniałomślnie i pompatycznie wrócił Finlandii to, co równie wspaniałomyślnie i pompatycznie zabrać usiłował. I znów na to zapowiedział wolność słowa, aby tę wolność oddać na łaską i niełaskę najniższego z siepaczy. I znów ustanowił Dumę, aby z góry zepchnąć ją na stanowisko bezsilnego manekina, zniewolonego do ślepego posłuszeństwa samowładnemu wciąż monarsze i bezwzględnej uległości ministrom. Rosja targnęła się. Moskwa, wierna, spływająca lojalizmem, Moskwa poszła na barykady. Admirał Dubasow zakasał rękawy, gwardia cesarska ruszyła odważnie ratować imię rosyjskiego oręża, poszła na lud moskiewski.

Dziesięć dni trwały mordy moskiewskie, przez dziesięć dni karabiny maszynowe rwały serce Rosji, przez dni dziesięć nie przepuszczano ani kobietom, ani rannym rewolucjonistom. Siemionowski pułk gwardii odznaczył się tak, że aż mu pozazdrościły inne pułki, równie gwardyjskie. Mikołaj II pił na zdrowie „mołodców”, a „mołodcy”, pojeni alkoholem, obdarzeni orderami, rublami, hulali, mordowali, gwałcili kobiety i rabowali. „Reakcja wzięła górę – państwo rosyjskie zaczęło się uspokajać”... Spalił się Władywostok, cała Syberia jęknęła rozpaczą zgłodniałych maruderów

mandżurskich, ale tam był Rennenkamf, bitny generał, który pół Syberii w pień wyciął, tam była cała sfora tych, co swe tchórzostwo wojskowe ratować chcieli znęcaniem się nad bezbronnymi.

A Estonia, a południe Rosji, a kolumny karne, a środek Rosji, a wschód, a zachód, a północ? Czyż liczba stu tysięcy trupów jest zdolna objąć ofiary dotychczasowe (od dwóch lat) samodzierżawia, broniącego swych „praw”? Czyż nie dość wyobrazić sobie, iż w sześć miesięcy po ogłoszeniu konstytucji, liczba więźniów politycznych doszła do siedemdziesięciu tysięcy ludzi, iż żadna rzeź z czasów Dżingis-Chana, Atylli czy Tamerlana nie dorówna orgiom zwierzęcości, których w Estonii dopuszczali się i dopuszczają oddziały pod wodzą takich „prawosławnych” Niemców, jak Sacken lub takich dziedzicznych zbirów, jak Orłow? I czy tu koniec zapasów, czy tu koniec morza krwi, lejącej się pod berłem tego, który tak często mówi o swej miłości ku swym poddanym? Czyż te krocie niedoli ludzkiej jeszcze nie przeważą szali, na której rozsiadła się pycha jednej rodziny Holstein-Gottorpów? Czyż istotnie ta karykatura swobód, to oszustwo polityczne zwane Dumą starczy poddanym białego cara za gałązkę oliwną?!

Głusza! Rosja zabija, Rosja dalej szamoce się rozpaczliwie w uściskach wampira autokratyzmu. U steru zmieniają się niby dostojnicy, lecz w rzeczywistości Witte jest tylko rodzonym bratem Trepowa, a Goremykin Wittego. Wszystkich wydała jedna i ta sama żandarmsko-barbarzyńska szkoła, Wszyscy chcąc najdłużej utrzymać się przy złotodajnym źródle władzy, wyją na wyścigi u stóp monarchy: *pereat mundus fiat* – twoje samowolne panowanie. Cesarz znów głośniej pragnie dobra swych poddanych!

Lecz gdzie się to dobro zaczyna? Czy zna istotę dobra ten, którego od dzieciństwa uczono, iż ma obowiązek zdawania porachunku ze swoich

czynów tylko przed Bogiem? Czy panujący monarcha ma ponieść odpowiedzialność za wieki, czy godzina śmierci samowładztwa wybiła? Czy Dumę rosyjską spotka los przedstawicieli ludu, zwołanych niegdyś przez Katarzynę II, czy też przeznaczenie chce, aby Duma odegrała rolę Zgromadzenia Prawodawczego i powtórzyła ostatnie lata panowania Ludwika XVI?

Mrok! A z mroku tego dobywa się niemilknący odgłos rozpaczliwej walki i obustronnych mordów. A Europa? Europa czyniła i czyni co może. Więc spoglądała swymi trupio cynicznymi oczyma na rzezie, więc wzdychała płaczliwie nad dolą poddanych cara, ba, gotowa była podobno ruszyć z hołdem zarówno do Mikołaja II, który zdołał purpurę swą we krwi wypławić, jak pospieszyć z wyrazem czci do prezydenta republiki rosyjskiej, choćby ten prezydent miał na rękach królobójcze ślady. Ale ponieważ wypadki zaczęły układać się i ułożyły się tak szczęśliwie, więc Europa osuszyła czym prędzej łzy rosyjskimi rublami i dwadzieścia razy pokryła pożyczkę rosyjską. Ach, bo daje przecież całe pięć procent! Europa zresztą już jest znużona tym wszechrosyjskim zamętem, już rada, by się skończył, aby można było wrócić do ulubionych gawęd o humanitaryzmie, o powszechnym rozbrojeniu, o przywilejach należnych koniom, psom, kotom czy papugom.

Jeszcze tysiąc czy sto tysięcy trupów, a gdy nareszcie na nowym cmentarzysku zalegnie cisza, cisza gotowania się do nowych zapasów bratobójczych – znów zabrzmi pusty frazes, głuchy dźwięk, niezrozumiały dla wielkich umysłów, wielkich celów, i szeptanie – nie zabijaj! Cywilizacja uśmiechnie się sentymentalnie i odpowie z westchnieniem: życie moje biorę ze śmierci!

Po latach dwudziestu i kilku rzut wstecz, rzut w najbliższą przeszłość, nawiązanie jeszcze jednej karty do ostatniego rozdziału, garść popiołu

raczej na skotłowane rozsypiska potęgi carów wszechrosyjskich. Majestat Holstein-Gottorpów padł w gruzach. Zniknęły świetne zastępy wiernych gwardii, tłumy kornych dworaków, jarzących się złotem i srebrem dostojników cerkiewnych, czereda wielkorządców, armie strażników i argusów. Zbutwiały nawet orły dwugłowe, rozsypały się spiżowe pomniki, harde znaki chwały i pychy, mające urągać piramidom i sfinksom. Wszystko to już minęło, odeszło. W Pałacu Zimowym w złotych izbach Kremla, w salonach Petersburga i Carskiego Sioła panoszy się dzisiaj wczorajszy nędzarz i wyrodek, wczorajszy przestępca i katorżnik, a dzisiejszy wybraniec i potentat. Chciwe ręce handlarzy drogich kamieni przebierają w kosztownościach i klejnotach koronnych, zdobiących niedawno skronie, szyje i ręce pomazańców bożych. Nawet trupy carskie, nawet carskie grobowce nie ostały się przed pożądliwością tłuszczy. Z kościotrupa Wielkiej Katarzyny, z piersi Cara oswobodziciela, z zeschniętych resztek Piotra Wielkiego ściągnięto sczerniałe blachy, sychy i manele. Nie uszanowano skarbów cerkiewnych, zagrabiono drogocenne naczynia. Zgliszczami napiętnowano miejsca, gdzie wczoraj jeszcze skrzyły się butne siedziby kniaziów, dumnych bojarów, wzbogaconych plebejuszy.

Carskie manifesty i carskie ukazy, prawa odwieczne i odwieczne przywileje, ustrój państwowy i społeczny, zwyczaje i obyczaje, cały plon mrówczej pracy urzędniczych pokoleń, pojęcie dobra i zła, cnoty i występku, tradycji narodowych i rodzinnych wyrzucono na śmietnisko. Nie ma carów, nie ma carskiej Rosji, nie ma podziału klasowego, nie ma monarchii i nie ma nawet konstytucji, nie ma wyrazu woli zbiorowej całego ludu. Rewolucja prysnęła wszystkimi porami rosyjskiego olbrzyma. Nie miała litości ani dla gramatyki, ani dla pisowni, ani dla słownictwa. Splugawiła nawet szanowane rodowody słowiańskie. Wycisnęła swe krwawe piętno na każdym objawie życia, pracy, myśli.

Nie miała litości ani dla uczonego, ani dla artysty, ani dla dziecka, ani dla niemowlęcia. Sponiewierała tak mocno burżujską moralność, burżujską obyczajność, iż nakazała prostytucję powszechną i duchową, i cielesną. Tak wszechstronne i powszechne ogłosiła wyzwolenie, tak wielką wolność, iż zamieniła miliony ludzi w niewolników, iż zakazała nawet tego, czego wczorajszy samowładca zakazać by się nie ważył. Cały carski ład, carski system, carskie dziedzictwo a nawet i dziedzictwo rosyjskie są tylko wspomnieniem.

NIie ma dzisiaj prawie ani śladu z tego, co było wczoraj. Jeszcze niekiedy ze zdławionej piersi dobędzie się skowyt, jeszcze niekiedy trzaśnie oschle rewolwer mściciela czy oprawcy, ale zaczęła się już nowa era bytowania rosyjskiego. Reformy szybkie, gwałtowne, piorunowe zdołały, jeżeli wierzyć urzędowym zapewnieniom, przeistoczyć nawet duszę rosyjską, nawet rosyjską umysłowość, nawet rosyjską twórczość. Jednego przecież te reformy nie zdołały dokonać na jeden jedyny wysiłek zabrakło mocy budowniczym nowej Rosji. Oto choć zburzono wszystko co wczorajsze, pozostali jednak wczorajsi żandarmi, wczorajsi szpiedzy, przestępcy i kaci, pozostała zsyłka i katorga dla tych, którzy inaczej, nie po rządowemu, nieprawomyślnie czują, sądzą, pragną. Pozostała zawsze ta sama mongolska nahajka i tatarski knut. Jak się to wszystko stało? Jakże mogła tak olbrzymia, tak potężna machina państwowa pęknąć pod naporem jakichś Leninów, Sobelsonów, Trockich czy w ogóle bezsilnej zgrai bolszewików?

Gdzie się narodziła, z czego poczęła ta niesłychana w dziejach rewolucja? Rodowód jej jest długi, równy bowiem latami dziejom rosyjskiego samowładztwa. Ten rodowód można wykreślić choćby z czasów panowania Iwana Groźnego, można połączyć z pierwszym mordem, popełnionym na stopniach tronu, z pierwszą ofiarą, złożoną na

ołtarzu wolności przez dekabrystów. Dla nas wszakże, dla współczesnych, najbliższym rodzicem Rewolucji Rosyjskiej będzie niezawodnie dzień 4 marca 1901 roku, kiedy to generał von Klejgels, pod Kazańskim Soborem w Petersburgu, tłumom manifestującego na rzecz studentów ludu zgotował krwawy pogrom. Od tego dnia podobno zaczął się w Rosji szereg następujących po sobie zamachów, tłumionych ciągle i ciągle wzrastających w odwagę i siłę rozruchów, manifestacji i protestów.

Kulminacyjnym punktem w tym pasmie była pamiętna „krwawa niedziela”, dzień 22 stycznia roku 1905, kiedy to pop Gapon, mając za sztandar święte wizerunki, portrety cara i carycy, poprowadził lud do bram Pałacu Zimowego, na posłuchanie do miłościwego monarchy, a kiedy słynące jeszcze z wierności swej gwardie zamieniły ten pochód w masę zabitych, rannych i poturbowanych. Był to dzień pamiętny i tym, iż lud rosyjski szedł jeszcze pod hasłem wiary swej głębokiej do białego cara, iż jeszcze tulić się chciał do stóp pana nad pany, iż szedł bezbronny żale mu swoje nieść, iż szedł jeszcze prosić, szedł błagać tylko.

Mikołaj II bał się jednak własnego ludu, drżał przed tłumem nawet jęczącym. Bardziej jeszcze tego tłumu, tego ludu bała się ta, która nigdy go nie rozumiała i nigdy nie mogła zrozumieć, cesarzowa Aleksandra Teodorówna, udająca Rosjankę – Niemka z Darmstadtu. Car odmówił audiencji delegacji Gapona. Stryj cesarski, dowódca gwardii, wielki książę Włodzimierz, tę odmowę, według ustalonego od dawna zwyczaju, przetłumaczył na wyprawienie jatek petersburskiej hołocie. Po tej pamiętnej „krwawej niedzieli” nastąpiły strajki we wszystkich większych ośrodkach przemysłowych cesarstwa. Za strajkami poszły represje, wojenne trybunały, ogłaszanie stanu wzmocnionej ochrony, stanu wojennego nawet, dalej manifestacje, parady tajne i publiczne, agitacje i konspiracje.

Dopiero w tym krytycznym momencie zaczęły się rozchodzić pierwsze wieści o zamierzonym przez rząd utworzeniu jakiegoś ciała prawodawczego złożonego z reprezentantów ludności, oczywiście reprezentantów klas uprzywilejowanych. Te pierwsze jaskółki powitane były przez dwa, idące po sobie, bardzo znamienne protesty. A mianowicie, w dniu 19 lipca zjazd ziemian i przedstawicieli miast odbywany w Moskwie, zażądał dopuszczenia do proponowanego ciała zarówno robotników jak i rzemieślników. W miesiąc później, w dniu 15 sierpnia, Związek Chłopski zażądał już nie tylko równego i powszechnego, i bezpośredniego głosowania, ale i unarodowienia ziemi oraz podziału majątków koronnych i klasztornych.

Lecz bardziej doniosłe uchwały powzięła podobno otwarta rewolta floty Morza Czarnego i tuż idące za nią bunty marynarzy w Rewalu, Libawie i Kronsztadzie. Teraz już nie było ani godziny do stracenia. Trzeba było co tchu ratować tron rosyjski, trzeba było zrzucić motłochowi kość do obgryzienia. Jakoż w dniu 19 sierpnia 1905 roku ukazał się pierwszy manifest o utworzeniu Dumy Państwowej. Cesarz przychylał się więc do pragnień swej ludności, najwspaniałomyślniej obdarzał ją prawem obradowania w Dumie, pod kontrolą Rady Państwa nad tym, nad czym obradować będzie miała nakazane. Cesarz w głębokiej swej trosce o szczęście swych poddanych ograniczał reprezentację i ograniczał prawo udziału w wyborach sumą godnej zaufania własności, no i milczał łaskawie o tym wszystkim, co się nazywało wolnością zebrań, wolnością słowa i wolnością druku.

Niewdzięczny lud rosyjski podziękował za ten manifest nowymi strajkami, które unieruchomiły wszystkie arterie ruchu i pracy. Do strajku tym razem stanęli nawet sądownicy. Sytuacja była krytyczna. Rewolucja wisiała w powietrzu. Samowładca wszechrosyjski zadrżał. Nie było punktu

wyjścia. Mały człowieczek, mizerak, który miał wszelkie kwalifikacje na dobrego kupczyka, wił się w swym płaszczu gronostajowym. Nie było rady, znów trzeba było dać. I oto w bólach porodowych, w mękach z tradycjami carów-ojców i carów-dziadów, z testamentami Piotra i Katarzyny, z całym faryzeuszostwem dworskiej bandy, z przestrachem zacnej rodziny wielkich i małych książąt i książątek, przyszła na świat sławetna konstytucja, akt ogłoszony w dniu 30 października roku 1905, który miał w następstwie utworzyć stronnictwo polityczne „październikowców” a który miał być nade wszystko zlany obficie krwią tysięcy ofiar.

Akt z dnia 30 października ogłaszał, iż monarcha polecił swemu rządowi, aby ten opracował takie statuty, które „oparte byłyby o niezachwiane podstawy wolności osobistej, a więc dawały *habeas corpus* – dawały wolność sumienia, wolność słowa, wolność zebrań”. Żadne prawo, powiadał ów akt, nie może być odtąd wprowadzone bez przyzwolenia Dumy, wybranej przez lud dla sprawowania istotnej kontroli nad prawnopaństwowym działaniem władzy wykonawczej.

Akt z dnia 30 października 1905 roku dał więc nareszcie wszystko. I akt ten cała olbrzymia monarchia powitała wybuchem szalonej radości. Lud wyległ na ulice miast i miasteczek. W jednym dniu, w jednej godzinie, w tysiącu zakątkach naraz, odbywać się zaczęło tysiące wieców, pochodów, nabożeństw dziękczynnych, manifestacji pełnych zaufania, wiary w lepsze jutro. Powiały na wietrze sztandary i chorągwie, portrety „ukochanego” cara-dobrodzieja ustroiły się w girlandy, rozpoczęły się iluminacje i rozpoczęły wyjaśnienia słów manifestu tym ciemnym, tym maluczkim.

Hydra samodzierżawia jakby na to czekała. Wojska i chmary policji zmobilizowane w koszarach czekały na rozkaz. I rozkaz padł. Kto go wydał? Czy car-kupczyk, czy caryca-Niemka, czy Niemcy udający rosyjskich wielkich książąt, czy Trepow-rozbójnik, czy Witte, ożeniony

z Żydówką – ćwierć-Niemiec, czy Judasz sprawy Holstein-Gottorpów, czy ludu rosyjskiego wróg – dość, że rozkaz padł. Na rozradowane, wiwatujące, upojone wolnością, konstytucją tłumy rzuciły się chmary kozactwa, kawalerii, lasy bagnetów, nahajek i knutów. Zginęły tysiące ludzi, tysiące ludzi okupiły chwile uciechy dozgonnym kalectwem. Tego wszakże było mało. Rząd postanowił znaleźć jeszcze winowajców, postanowił zwrócić nienawiść motłochu przeciwko ukrytym nieprzyjaciołom. Z głównej kwatery generała Trepowa, wielkiego dowódcy głównej cesarskiej kwatery i najwyższego szefa policji padło hasło: – Bić Żydów! I zaczęto bić Żydów, mordować Żydów, palić ich domostwa i niszczyć ich dobytek.

Zanim odetchnięto po żydowskich rozprawach, wrzaśnięto znów z góry: wszystkiemu Polacy winni, Polacy myślą oderwać się od matki-Rosji, Polacy oczywiście o powstaniu zamyślają – dalejże na Polaków! Polakom wyprawiono więc sumiennie pogrom za zachwyty nad wolnością sumienia i wolnością słowa, zaprowadzono im stan wojenny, no i ogłoszono w dniu 13 listopada, że miłościwe słowa cesarskie, zawarte w manifestach z dnia 19 sierpnia i 30 października do takich niepoprawnych jak Polacy buntowników stosować się nie będą. Było to więc upuszczenie krwi, było to więc zaczajenie się na tych niespokojnych duchów, przyłapanie ich na gorącym uczynku manifestacji i stratowanie kopytami konnicy. Panowie Witte i Trepow, a z nimi i sam car-kupczyk liczyli na to, że teraz atmosfera się oczyści, że nic już nie stanie na przeszkodzie ku zamienieniu aktu z dnia 30 października w jeden więcej cesarski frazes. Stało się inaczej.

W dniu 21 grudnia 1905 roku w Moskwie dźwignięto barykady. Wybuchła tym razem zbrojna rewolucja, rewolucja w Moskwie, tej niezachwianie dotychczas u stóp tronu leżącej. Walki uliczne trwały cały dzień. Pięć tysięcy ludzi poległo. Wojsko jeszcze raz dotrzymało przysięgi. Znów upuszczono krwi, atmosfera znów oczyściła się z niepożądanych

elementów, bo zresztą pięć tysięcy poległych na barykadach Moskwy to był drobiazg. Wszak bez rewolucji, podczas koronacji Mikołaja II, na Polu Chodyńskim zginęło dwa tysiące, wszak jeden dzień głodu w rolniczej Rosji, za rządów carskich, zawierał trzy razy tyle trupów. Teraz więc zaczęła się zabawa cesarska w Dumę. Przed nadchodzącym Nowym Rokiem ogłoszono wybory do Dumy, odprawiano te wybory w marcu, no i w tym samym miesiącu (dnia 6 marca 1906 roku) manifest ogłosił reorganizację Rady Państwa, czyli uznanie jej za Izbę Wyższą z tym, że połowa członków rady ma się składać z członków mianowanych przez cara, a połowa ma być wybierana. Nareszcie Duma została zwołana do stolicy na dzień 10 maja. W dniu 18 tegoż miesiąca uchwaliła już swój „wiernopoddańczy” adres w odpowiedzi na mowę tronową i w adresie tym postawiła żądanie, stosujące się ściśle do miłościwego manifestu carskiego z dnia 30 października, domagając się nadto zniesienia stanów wojennych, skasowania Rady Państwa, a przede wszystkim domagając się amnestii dla tysięcy więźniów politycznych i ziemi dla bezrolnych.

Na adres Dumy odpowiedział minister Witte odmownie i podał się przebiegle do dymisji. Miejsce Wittego objął Goremykin, stary, wytrawny żandarm ze szkoły Pobiedonoscewa i Aleksandra III. Goremykin oświadczył Dumie, że wchodzi nierozsądnie w zasadnicze prawa państwowe i przekracza kompetencje. Duma uchwaliła wotum nieufności, żądając poddania się Goremykina do dymisji. Goremykin był mianowany przez cesarza, a nie przez Dumę. A ponieważ na południu Rosji znów rozpoczęły się wrzenia rewolucyjne, przeto dla odmiany wyprawił Żydom pogrom w Białymstoku – 14 czerwca. Z powodu tego pogromu Duma znów zaatakowała Goremykina, dalej doszła z nim do porachunku z powodu mordu w prowincjach nadbałtyckich, aż na koniec w chwili, kiedy

przygotowywała apel do ludu rosyjskiego, została rozwiązana ukazem cesarskim z dnia 22 lipca 1906 roku.

Goremykina zastąpił człowiek „opatrznościowy” w osobie Stołypina, w roli już nie urzędnika, lecz polityka. Równocześnie dwustu członków Dumy wyjechało do Wyborga, do Finlandii, i tam przygotowywało słynne wezwanie do ludu rosyjskiego, aby ten sam zabrał się do obrony swych praw przez niepłacenie podatków i przez odmawianie stawiania się do służby wojskowej. Wezwanie to na razie zawiodło. W dniu 30 lipca, a więc w kilkanaście dni po rozwiązaniu Dumy, wybuchnął bunt załogi w fortecy Sweaborgu, bunt uśmierzony obfitym upustem krwi. W dniu 25 sierpnia nastąpił pierwszy zamach na życie Stołypina, wysadzenie jego rezydencji, poprzedzony zresztą nowym buntem, zmierzającym do opanowania przez rewolucjonistów fortyfikacji Kronsztadu.

Stołypin wprowadził w ruch sądy wojenne, nakazał żelazną karność. Chciał być wyrazem sprawiedliwego terroru, przez dążenie do pewnych reform społecznych. Stołypin szukał oparcia w ziemianach, w rosyjskich chłopach. Opracowywał plany zaspokojenia bezrolnych lub małorolnych wieśniaków, a to przez skasowanie całkowite tak zwanej wspólnoty ziemi i przez obdarzenie ziemią za pośrednictwem banków, które miały zakupywać obszary i rozdawać je chłopom za spłaty wieloletnie. Tymczasem odprawiano wybory do Drugiej Dumy. W dniu 5 marca 1907 roku rozpoczęła obrady ta nowa Duma i to pod znakiem już bardzo wyraźnego zróżnicowania stronnictw politycznych.

„Kadeci” (partia konstytucyjno-demokratyczna) stanowili przewagę liczebną i moralną, wywierając silny wpływ na mrowie posłów Mużyków. Lewica natomiast zasadniczo uważała wysiłki tej Drugiej Dumy za równie daremne i sądziła, że lepiej iść między lud i zachęcać do radykalnych czynów, aniżeli trwonić energię na spieranie się z odmawiającym ustępstw

rządem. Lewica przeto oponowała z zasady. Najostrzej ta opozycja lewicy rosyjskiej zaznaczyła się przy uchwaleniu budżetu Ministerstwa Wojny. Socjaldemokraci zostali oskarżeni wprost o przygotowanie rewolucji zbrojnej.

Druga Duma została więc rozwiązana dlatego, iż do składu jej wchodzili jawni wrogowie państwa oraz, że o losach państwa rosyjskiego zaczęli decydować „innorodcy”. Wraz z ogłoszeniem rozwiązania Drugiej Dumy nastąpiło ogłoszenie nowej ustawy wyborczej (3 czerwca 1907 roku), ta nowa ustawa jeszcze raz wykręcała cesarski manifest, raz jeszcze zmieniła swoją osnowę ograniczając liczbę posłów do Dumy z pięciuset dwudziestu czterech do czterystu czterdziestu dwóch. Ofiarą tutaj padli posłowie prowincji nierosyjskich, a nade wszystko z prowincji czysto polskich. Ponieważ ich to głosy w Drugiej Dumie zadecydowały o budżecie wojny i o kontyngencie rekruta, przeto władza monarsza poczytała to za niesłychaną obrazę, że dopiero głosy „innoplemieńców” miały stanowić o potędze militarnej państwa.

Aby więc tacy posłowie nie odgrywali na przyszłość roli języczka u wagi, przeto liczbę ich zredukowano do całkowitej bezsilności. Trzecia Duma rozpoczęła swój żywot dnia 14 listopada, 1907 roku i pomimo burz i zatargów z rządem dotrwała szczęśliwie do roku 1912. Ten długi, pełny żywot Trzecia Duma zawdzięczała swemu już nader umiarkowanemu składowi. Wyborów do Trzeciej Dumy dokonano pod silniejszą, chytrzejszą kontrolą i presją rządu Stoyłpina. Lewica słaby w wyborach wzięła udział i tym słabszy, że zmieniony system wyborczy dawał od razu przewagę klasom posiadającym, zmniejszając reprezentację chłopsko-robotniczą. Stronnictwem rządzącym w Trzeciej Dumie stali się niejako „październikowcy”, otrzymawszy aż sto pięćdziesiąt cztery mandaty

i mając obok siebie pięćdziesiąt jeden prawicowców oraz osiemdziesięciu umiarkowanych prawicowców i narodowców.

Kadeci spadli do pięćdziesięciu trzech mandatów, grupy lewicy miały po kilku lub kilkunastu przedstawicieli. Stołypin mógł teraz rządzić i pracować z „taką” Dumą, no i mógł załatwić porachunki z rewolucjonistami. Za najlepszą metodę dla swej polityki wewnętrznej uznał Stołypin ten dawny wypróbowany sposób: budzenie nacjonalizmu, wyładowanie wewnętrznej energii na rzecz pracy rusyfikacyjnej. Narodowi rosyjskiemu, prawym synom Rosji należy się wszystko i ci prawi synowie Rosji otrzymają od wspaniałomyślnego swego monarchy wszystko, lecz między monarchą i rosyjskim narodem nie ma miejsca dla obcych ras, dla obcych wichrzycieli, dla powstańców czy buntowników.

Trzeba przedstawić społeczeństwu rosyjskiemu niebezpieczeństwo, grożące ze strony wrogów wewnętrznych, jakimi są Polacy, Finowie, a zwłaszcza przeklęci Żydzi, nie mówiąc nic o innych „obconarodowcach”. Pod tym sztandarem należy skupić „młodą” Rosję. Młodej tej Rosji wolno choćby mieć własne nieporozumienia, wolno jej się ścierać, lecz wara od mieszania się do tych starć „innoplemieńcom”. W tej polityce Stołypin znalazł gorliwego i oddanego sobie sprzymierzeńca. Oto pod wpływem ruchów liberalnych skrajna prawica utworzyła własną organizację pod mianem „Istinno Ruskich Ludiej”.

Ta organizacja, łącząca w sobie najdalej idące plany czarnosotniowców, reakcjonistów, zmierzających do zdławienia choćby samego parlamentaryzmu, wyznająca ze wszystkich sił wiernopoddańczość, rozwinęła skrzydła. I praca twórcza zaczęła się. Hasłem tej pracy był najpierw porachunek z anarchią, likwidacja rewolucji, czyszczenie urzędów, szukanie tylko jednostek „niezawodnych” i szukanie ukrywających się wrogów państwa. A dalej, drugim hasłem była

rusyfikacja, już nie powierzchowne, lecz celowe i systematyczne rusyfikowanie „innorodców”. Działał tutaj już nie ten dawny brutalny, ale sławny w następstwach program – lecz już na doświadczeniach germańskich oparty sposób pochłaniania obcych żywiołów.

„Istinno Ruskije Ludi” służyli za straż przednią, byli projektodawcami i byli denuncjatorami, wykrywali każdy ślad odrębnej kultury, inaczej stworzonej duszy, odrębnej myśli i stawiali winowajców pod pręgierzem opinii. Już nie ukaz carski działał, już nie satrapa, gubernator, jakiś pałacowy eunuch, ale opinia fałszowana przez dziesiątki tysięcy druków, przez całe olbrzymie czasopisma. Polakom, którym zamąt rewolucyjny przyniósł kilka ulg ku potulniejszemu dźwiganiu łańcuchów niewoli, znów dopiekano gwałtowniejszą rusyfikacją urzędów, ściąganiem do Polski nowych zastępów Rosjan, zacieraniem odrębności podziału politycznego monarchii, akcentowaniem nierozerwalności polskich guberni z ich rosyjską „macierzą”.

Finom doskwierano może jeszcze gwałtowniej, w Finlandii bowiem więcej było do zmieniania, do rusyfikowania aniżeli w Polsce. Pamiętano i o Czerkiesach, i o Gruzinach, baczono na Ormian i Kamczadałów – a już na każdym kroku dręczono Żydów. Żydzi płaszczyli się przed tronem, wyli pokornie w rosyjskie święta dworskie, śpiewali na cześć cara, jego rodziny, jego lokai, jego psów i koni prawie, składali tysiące dowodów swego przywiązania do tronu, jak w Polsce, gdzie rozmyślnie i prowokacyjnie chlubili się swą rosyjskością – nic tu nie pomogło. Antysemityzm był oficjalnym prawem rosyjskim, pogarda żydostwa przywilejem i obowiązkiem, kopnięcie nogą jedyną odpowiedzią rosyjskiego szanującego się człowieka.

Polityka stołypinowska szła konsekwentnie naprzód, poszła tak daleko już, iż teraz ustawy prześladowcze, ograniczenia, wynaradawiające

programy nie wychodziły z Trzeciej Kancelarii Jego Cesarskiej Mości – ale stały się rezultatem pracy zbiorowej narodowego przedstawicielstwa. Już nie Murawiew, nie Hurko, nie pomysłowość Berga, Trepowa, czy Szuwałowa pracowały nad krzywdzeniem całych społeczności – lecz pracowała i Duma Rosyjska, pracował rosyjski parlament. A w parlamencie tym działały nowe powagi, nowe siły polityczne. Tam zasiadał znakomity Lwow, poważny Guczkow, Rodzianko, Milukow, twórca partii „październikowców" Puryszkiewicz, najuczciwszy z najskrajniejszych prawicowców, i cały legion obywateli, działaczy, którzy teraz już bez złości i bez zemsty żandarmskiej, lecz z westchnieniem pobożnym godzili się na to samo, co poprzednicy ich, marni karierowicze, ubodzy duchem oprawcy czy tylko carscy pachołkowie. Dopiero sprawa słynnego Azewa, agenta-prowokatora, którym się posługiwał rząd Stołypina do wykrywania rewolucjonizmu, dopiero ta sprawa dotknęła Trzecią Dumą rosyjską, zmusiła ją do ostrej interpelacji. Azew był tylko prowokatorem, był rewolucjonistą na służbie „ochrany", organizował zamachy, przygotowywał bunty tylko dlatego, aby w ostatniej chwili sprzymierzonych zdradzać, a tym samym tępić anarchię i tym samym „likwidować" rewolucję. Druga sprawa, nie mniej głośna, sprawa Beilisa, Żyda posądzonego i skazanego za rzekome dokonanie mordu rytualnego na dziecięciu chrześcijańskim, była jakby wtórem, objawieniem Stołypinowskiej pracy zmierzającej ku odrodzeniu, ku uzdrowieniu chorego organizmu państwowego.

Epilogiem rządów człowieka opatrznościowego, za jakiego uważany był przez cara Mikołaja II i cały dwór premier rosyjski Stołypin, było zamordowanie go w dniu 5 września 1911 roku[1]. Po śmierci Stołypina do władzy powrócił znów ten sam weteran caratu, ale zawsze gotowy do pójścia za podmuchem wiatru, powrócił Goremykin, złożywszy solenne oświadczenie, że będzie szedł śladami swego dostojnego poprzednika.

ślady były utarte, droga wymoszczona prowokacją, prześladowaniem, opieraniem się na filarach ładu – miłości cara i miłości ojczyzny.

Filarami tymi byli: możnowładztwo, duchowieństwo i chłopi. Dwa pierwsze filary były niezbyt silne, natomiast trzeci filar, jeszcze dotychczas nie wygrany całkowicie, nie spożytkowany, był doprawdy opoką, na której mogłaby się monarchia Holstein-Gottorpów ostać jeszcze całe i długie wieki. Osiemdziesiąt procent ludności czysto rosyjskiej dokładnie wielkorosyjskiej, stanowili chłopi, kacapi jak ich popularnie zwano, albo „krystianie" czyli po polsku chrześcijanie – lub pracujący na roli i bytujący na swej własnej lub cudzej roli.

Otóż ci „chrześcijanie", z wyjątkiem nieznacznego odsetka już zatrutego prądami wywrotowymi idącymi z fabryk i warsztatów, odznaczali się zawsze wielkim, bałwochwalczym prawie przywiązaniem do tronu. W protestach swych bodaj, w ruchach buntowniczych choćby, zawsze i na każdym kroku wykluczali ubóstwiane imię cara. Gdy się skarżyli, gdy utyskiwali na zły los, gdy śpiewali nihilistyczną dubinuszkę, to jeszcze wspominali zaledwie, że Bóg jest wysoko, a car daleko. „Chrześcijanie" rosyjscy byli więc elementem najbardziej podatnym, byli elementem „najzdrowszym" i najsilniejszym w skotłowanym państwie. Na nich się należało oprzeć, zatroszczyć się lepiej, pewniej aniżeli dotychczas o ich byt, o ich dolę – a zwycięstwo będzie pewne, niezawodne. „Chrześcijanie" rosyjscy to uosobienie konserwatyzmu, przywiązania do zwyczajów i obyczajów. Wśród nich należy pracować, budzić ich, nie dopuszczając budzicieli wywrotu – a wówczas umilkną ujadania kominów fabrycznych, wielkomiejski proletariusz uszy po sobie położy, bo niechby wieś rosyjska się ruszyła, niechby śmiała uczynić porządek. A chcieć będzie – na to głowa państwowa Stołypinów, Goremykinów, aby wiedzieć, jak rosyjskiego „chrześcijanina" poprowadzić do zwycięstwa. Chwiejącej się Rosji nie

brakło dobrych pomysłów, nie brakło świetnych planów – lecz brakło podobno wykonawców.

Między planami Stołypina, Goremykina, sztabu „Istinno Ruskich Ludiej” a owymi „chrześcijanami” były krocie pośredników, były legiony urzędników, pachołków, służalców, wychowanych w miazmatach, wywiewach carskich piwnic, były zastępy nieprzebrane nędzarzy, skazanych prawie na przymus czynienia nadużyć, szukania łapówek, okradania przede wszystkim „chrześcijan”. O te właśnie krocie, o te legiony, o te zastępy miały się rozbić kunsztowne projekty rosyjskich mężów stanu. Od mordu Stołypina rosyjskie stosunki wewnętrzne zaczęły iść dalej zwykłym trybem, nie zdradzając już ani zbyt żywych wybuchów, ani nie ustając w dotychczasowych objawach nieprawomyślności. Były całe miesiące jakby zawieszenia broni, jakby wyczekiwania i znów następowały starcia terroru białego z terrorem czerwonym i znów ciągle kogoś ścigano, tępiono, nawracano na katorgę czy też wyprawiano na tamten świat.

Młodzież uniwersytecka przyczyniła jak dotychczas wiele kłopotów swoimi wystąpieniami. Robotnicy bardzo często „zmuszali” opiekunów ładu do użycia nieco drastyczniejszych środków, czasami, jak w roku 1912 w kopalniach nad Leną, nawet bardzo drastycznych. Podziemna agitacja ekstrymistów również zatrudniała całe tysiące szpiegów i agentów tajnych. Materiału palnego było zawsze dość na wysadzenie w powietrze bodaj Wielkiej Brytanii razem ze Szwecją i Holandią – ale kolos wszechrosyjski trawił jeszcze doskonale te drobne „trudy” panowania. Cesarz Mikołaj II bywał najczęściej zamknięty na dwadzieścia spustów przez swych „tiełochranitielej”, a sprawami z góry do nieba wezwanej duszy dziedzica korony św. Włodzimierza, najpomyślniej kierowała gromadka dworskiego duchowieństwa. W zimie uciekał na Krym, do swych zacisznych willi. W lecie znów uciekał na wyspy bałtyckie i „pływał” otoczony całą flotą,

trzymaną zresztą w przyzwoitym oddaleniu. Podczas tych podróży morskich spotykał się raz po raz ze swym ukochanym kuzynem Wilhelmem II i zasięgał bardzo często jego cennych rad i wskazówek, zwłaszcza odnośnie lepszego zamienienia Polaków na prawowitych Rosjan.

Mikołaj II nie lubił podobno Wilhelma II, nie lubił ani jego przechwałek, ani jego pewności siebie, ani jego arogancji, ani jego cieknącego, niepachnącego ucha i suchej rączki – niemniej i jemu, i carycy-Niemce, imponował ten butny krewniak, jeżdżący po całym świecie, wszędzie gadający, wygrażający pięściami i cieszący się miłością swego niemieckiego ludu. W zamian tenże sam Mikołaj II miał całkowitą przyjaźń i wszystkie zachwyty dla wszystkich swych dalszych niemieckich krewnych, począwszy od rozmaitych Meklemburgów, Hessen-Darmstadtów, Saxen-Altenburgów, Glucksburgów, Koburgów i w ogóle całej swej niemieckiej rodziny. Z Niemców sam pochodził, był przecież rezultatem kolejnych porodów, dokonanych łaskawie przez siedem z rzędu Niemek. Niemcami się lubił otaczać, Niemców tych, rzekomo zrusyfikowanych, uważał za ozdoby tronu, a nawet lubił i wyprowadzał na dygnitarzy takie typy, jak słynny szambelan i potentat, hrabia Henrikoff, który jak na złość wcale po rosyjsku nie mówił i nie chciał mówić, podobno aż do śmierci.

Niemniej Mikołaj II strzegł aliansu francusko-rosyjskiego, strzegł go raczej na przekorę, dla uszanowania testamentu carów rosyjskich, uważających Austrię za groźnego przeciwnika, jako współzawodniczkę na gruncie polityki słowiańskiej i jako przeszkodę do zawładnięcia Konstantynopolem, tym od Boga najwidoczniej wskazanym Rosji portem na „ciepłym” morzu. Mikołaj przy tym sam bardzo gorąco wyznawał słowianofilstwo, potrzebę złączenia wszystkich Słowian pod jednym berłem, a za najpewniejszą drogę do tego zjednoczenia uważał rusyfikację

Polaków, Białorusinów i Ukraińców, bo to również należało zapewne do jednego z testamentów, których car Mikołaj II uważał się za wykonawcę.

Po Trzeciej Dumie nadeszła Czwarta Duma (28 listopada 1912 roku), nieodrodna następczyni Trzeciej, niewiele odbiegająca od swej poprzedniczki pod względem sił partyjnych. Natomiast tym inna, że działająca początkowo pod wpływem wzrastającego znów w państwie niezadowolenia, a więc przymuszona do objawiania swego niehumoru. Te kwasy członków Dumy uspokoiły się niebawem. Czwarta Duma podniosła wysoko sztandar racji stanu i bardzo uprzejmie poszła na rękę rządowi, godząc się całkowicie na wszelkie jego pomysły przerabiania Finlandii i Polski na rosyjskie prowincje. I na tak obywatelskiej i szlachetnej pracy panowie członkowie Dumy zostali nagle zaskoczeni przez Wojnę Wszechświatową.

Wojna wybuchła. Wielka Wojna. Uderzono w stolicy Rosji w wielki dzwon miłości ojczyzny i na zew tego dzwonu odpowiedzieli wszyscy zgodnie, z zapałem, z porywem. Tak, nie czas spierać się, nie czas swarzyć, nie czas zmiany wprowadzać czy o nowatorstwie myśleć, kiedy ku granicom państwa ciągną miliony nieprzyjaciół. Cztery płomienne przemówienia i parlament rosyjski uczynił, jak zwykł był każdy czynić parlament – partie wyciągnęły ręce do zgody, ramiona do uścisku. – Niech żyje Rosja. Car niech żyje. Gorze wrogom naszym! Rosja weszła w okres Wielkiej Wojny. Cały ten okres bardzo długiego panowania Mikołaja II, od wstąpienia na tron, a więc od 1 listopada 1894 roku aż do Wielkiej Wojny, czyli prawie przez całe lat dwadzieścia, zaznaczył się brakiem zamachów na życie tego monarchy. Rosja rewolucyjna jakby świadomie wykluczyła osobę cesarza, jakby ją postawiła za nawiasem. Rosja rewolucyjna walczy ciągle, zawzięcie, walczy na śmierć z systemem państwowym, z samowładztwem, walczy o władzę, o prawa obywatelskie, Mikołaja II

jednak nie atakuje wprost. Strażnicy czuwający nad bezpieczeństwem Mikołaja i jego najbliższych niezawodnie udowadniali mu czarne na białym, że tutaj chciano go wysadzić w powietrze, tam udusić, a ówdzie ukamienować, kronika rewolucyjna wszakże milczy o tych zamachach, wspomina zaledwie strzały artylerii, wymierzone podczas święta Jordanu w stronę Pałacu Zimowego.

Rosja rewolucyjna doszła do przeświadczenia, że usunięcie jednostki nie dokona zmiany, że trzeba walczyć z wykonawcami, że trzeba godzić w cały gmach autokratyzmu, a nie tylko w jego symbol. Po zabitym symbolu nastąpuje nowy symbol – a machina państwowa zostaje ta sama. A może Rosja rewolucyjna w tym lękliwym, nieśmiałym, cichym, niepozornym człowieczku dostrzegła jakoweś dobre chęci, jakoweś lepsze intencje, może pragnęła cesarza Mikołaja II opromienić przydomkiem odrodziciela, budowniczego Rosji konstytucyjnej, Rosji praworządnej, Rosji liberalnej? Najbardziej królobójczym czynem rosyjskim jest poszarpanie na strzępy wielkiego księcia Sergiusza, zdegenerowanego, złego człowieka, przynoszącego wstyd nawet i rosyjskim reakcjonistom. Poza tym trwały rozprawy z satrapami i gnębicielami, walka z bronią w ręku lub walka z portretem cara Mikołaja w ręku.

W tym samym czasie Europa była bardziej bezwzględna, na ten okres przypadają mordy i zamachy, że najpierw przypomnę już wyliczone, a więc na prezydenta Carnota, na szacha Nasr-Eddina, na premiera hiszpańskiego Canovasa del Castillo, na Ferdynanda bułgarskiego, na cesarzową Austrii Elżbietę, na prezydenta Loubeta, na Wilhelma II niemieckiego, na prezydenta Stanów Zjednoczonych Mc Kinleya, na Aleksandra serbskiego i jego żoną Dragę Maszyn. Dalszy ciąg kroniki przynosi w tym samym okresie już całą litanię zamachów i spisków, z ofiarami lub bez ofiar, udaremnionych lub chybionych. Sama tylko historia nowoczesnej

i wczorajszej Hiszpanii mogłaby już sama przez się wypełniać karty specjalnej księgi. Biorąc jednak pod uwagę jedynie królobójstwa brzemienne w daleko sięgające następstwa, należy przypomnieć tutaj zamordowanie króla portugalskiego i jego syna, następcę tronu w dniu 1 lutego 1908 roku. A w roku 1910 dnia 5 października ucieczkę przed zamachami z Portugalii króla Manuela. 18 marca 1913 roku był dniem zamordowania króla greckiego Jerzego, zamordowaniem w Salonikach tego, jak głoszono, najlepszego z królów, Duńczyka z rodu, mającego zawsze jedną i tę samą ambicję używania życia i wyprawiania uciech, za które płaciła Grecja. W ostatku dzień 29 czerwca roku 1914 stał się dniem mordu popełnionego na osobach arcyksięcia, następcy tronu austriackiego Franciszka Ferdynanda i jego morganatycznej żony, popełnionego w Sarajewie, a przygotowanego być może w Białogrodzie, w Petersburgu, a może nawet w Wiedniu albo Berlinie. Dwa pierwsze z ostatnich trzech mordów były typowymi królobójstwami dla obalenia nienawistnego tronu, dla spowodowania zmiany ustroju państwowego, mord ostatni, trzeci, był mordem na tle walki o tron, walki o panowanie, walki między władcami o władzę. Instygatorom zabójstwa austriackiego nie szło o koronę św. Stefana, ani o pałace w Schönbrunnie, ani o królowanie w Hoffburgu, lecz o Bośnię i Hercegowinę, o wpływy austriackie na Bałkanach, a może szło o niewygodnego, knującego wielkie plany zaborcze księcia. Zamachu dokonali ci, dla których zgon arcyksięcia, a nawet wybuch Wielkiej Wojny zdawał się wróżyć korzyści.

Szczęk oręża, trzask karabinów straży pogranicznych, zgiełk mobilizacji, przewartościowanie cywilnego bytowania, wszystko to odwróciło uwagę od ofiar mordu czy ofiar tej doniosłej polityki. Europa stanęła w ogniu. Przyszła ta wróżona, ta spodziewana od dziesiątków lat chwila strasznego porachunku, likwidacji „świętego przymierza”,

likwidacji skutków wojny francusko-pruskiej i likwidacji zatargu z Anglią o panowanie na morzu.

Rosja szła pod sztandarem walki o zagrożoną Serbię, szła po Konstyntynopol, szła po swe bałkańskie wpływy, szła nawet po swe własne odrodzenie. Czego nie zdołała dokonać wojna z Japonią, miała dokonać Wielka Wojna, a więc miała stopić w jedną bryłę wewnętrzne rozterki, miała wychować nowe, lepsze pokolenie, dziejom imperium dać poczet nowych bohaterów, a stopnie tronu okolić wałami miłości ojczyzny. Jeżeli Rosja w tej wojnie miała niewiele do zyskania do zdobycia, to cesarstwo rosyjskie, to chwiejące się rosyjskie samowładztwo mogło było odzyskać każdy listek utraconej chwały, każdy promień aureoli.

Carat podjął rzuconą rękawicę z powagą i godnością, z wiarą w olbrzymie swe siły, w niewyczerpane środki. Wypadki od razu ułożyły się tak, jak sobie Mikołaj II życzył, jak być może roił. Nigdzie zgrzytu, nigdzie objawów niechęci, nigdzie śladu niezadowolenia czy buntu. Na pierwszy rozkaz, po całej Rosji zachrzęściła broń, po całej Rosji setki tysięcy co najprzedniejszego luda stawiły się na wezwanie, armie rozpoczęły pochody, forpoczty, chmary kawalerii wysunęły swe macki ku nadciągającym zastępom nieprzyjacielskim. Zewsząd tylko akty wiernopoddańcze, tylko zaręczenia gorące, dowody szczodrej ofiarności poświęcenia, hasła zaniechania waśni. Cesarskie manifesty, proklamacje głównej kwatery brzmiały podniośnie, budziły najpiękniejsze uczucia, skłaniały nawet tych prześladowanych wczoraj, gnębionych przez rząd, Polaków i Finów do czynienia zadość podatkowi krwi, do chętnego spełnienia tych najpierwszych obowiązków obywatelskich.

Wodzem naczelnym został mianowany wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, najbardziej wojskowości oddany członek rodziny cesarskiej, zresztą trzymający się z dala od dworskich intryg i swych awanturniczych

kuzynów. Ci zresztą również usiłowali działać w sztabach i urzędach wojskowych. Pierwszy okres wielkiej Wojny dla cesarstwa rosyjskiego zdawał się pomyślne nieść wróżby. Zwycięstwa były okupione może życiem kroci tysięcy, kalkulowane nazbyt często zasadami bojowymi tysięcy szczurów, rzucających się na jednego zwierza, lecz front rosyjski trzymał się, nawet wcinał coraz głębiej w posiadłości austriackie.

To „wcinanie się" rosyjskiej armii w granice Austrii, a dokładnie w granice tak zwanej Galicji, było podobno mniej pożądanym przez aliantów rezultatem. Alianci, a szczególnie Francja, wyczekiwała ze strony Rosji takich posunięć na szachownicy, które by odciągnęły od jej frontu jak najwięcej wojsk niemieckich. Alianci spodziewali się, że ostra ofensywa rosyjska spowoduje upragnioną dywersję. Armie Rennenkampfa i Samsonowa wykonały wprawdzie kilka groźnych ruchów na granicy Prus Wschodnich, dotarły do jezior mazurskich, lecz pod Tannenbergiem uległy częściowemu rozbiciu, rozpoczęły i zakończyły na tym ofensywę na front niemiecki. Odtąd na tym froncie Rosjanie mieli już tylko prowadzić walki obronne. Natomiast południowe wojska rosyjskie, pod wodzą Brusiłowa i Ruskiego, zdołały przełamać front austriacki, zagarnęły część Galicji ze Lwowem i opanowały Przemyśl.

Koniec roku 1914 uczynił więc Mikołaja II panem znacznej części Galicji, pozbawił go wprawdzie w zamian obszarów Królestwa Kongresowego, bo w Łodzi, Piotrkowie, Kaliszu, Częstochowie a nawet w KIelcach rządziły niemieckie i austriackie władze, ale miał Galicję. Z tego zwycięstwa chwilowego, połowicznego, Rosja cesarska zdecydowała się wyciągnąć natychmiastowe korzyści. Zanim rosyjskie garnizony zdołały się usadowić w miastach wschodniej Galicji, już za garnizonami pośpieszyły tłumy rosyjskich urzędników, zjechało prawosławne duchowieństwo. Zaczęto Galicję na gwałt rusyfikować,

zamieniać unickie kościoły na cerkwie, wprowadzać język rosyjski, wygłaszać prowokujące ludność oświadczenia, uroczystymi aktami stwierdzać powrót tej „prastarej rosyjskiej ziemi” na łono cesarstwa rosyjskiego.

To rozpętanie mizernego nacjonalizmu rosyjskiego w cudzym kraju było jednym z pierwszych i niepowetowanych błędów cesarskiej polityki. Rosję upijano haszyszem rzekomego zwycięstwa, powiększeniem znów posiadłości kosztem polskiego dziedzictwa, a tymczasem zaniechano czujności nad dolą własnego żołnierza, nie martwiono się o jego zasadnicze potrzeby, niewiele troszczono o zorganizowanie tyłów milionowej armii. Jakoż już w kilka miesięcy po rozpoczęciu wojny magazyny wojskowe, arsenały, składy zbożowe zaczęły się wypróżniać z przerażającą szybkością, wojsko zaczęło cierpieć dotkliwe braki. Teren wojny, zamożne, zasobne łany polskie wykluczały na razie widmo głodu, żołnierz miał co jeść, bogactwa wszelakiego było dość pod ręką, papieru było dość na pisanie kwitów rekwizycyjnych – strawy przecież nie dostawały armaty i karabiny. Wszczęły się szmery, groźne pomruki. Niedołęstwo intendentury, nieuczciwość dostawców, nieporządek rachunkowości wojskowej, kradzieże oficerów, zaprowiantowania przekraczały skalę zwykłych w Rosji nadużyć. Wykrywano teraz już nie tylko całe sieci germańskiego szpiegostwa, ale i widome oznaki zdrady stanu, zaprzedawania własnego kraju. Hierarchia urzędników i dygnitarzy cywilnych i wojskowych była wypełniona po same brzegi Niemcami, których rzeczywiste sentymenty żadnych nie budziły wątpliwości. Cesarstwo rosyjskie jako potęga wojskowa było stoczone, podminowane, nie miało żadnych tajemnic dla wojsk nieprzyjacielskich. Każda pozycja, każdy punkt strategiczny, każdy schron, każdy szczegół obrony czy ofensywy był znany sztabowi niemieckiemu. Losy wojny po stronie rosyjskiej były zdecydowane.

Następstwa tej korupcji nie dały na siebie długo czekać. Wystarczyło, aby sztab niemiecki zwrócił baczniejszą uwagę na swój front wschodni. Rozpoczęty na wiosną roku 1915 kontratak sił austro-niemieckich wyleczył od razu rosyjskich optymistów ze wszelkich złudzeń. „Czapki" rosyjskie nie wystarczyły. Armia rosyjska została wyparta z Galicji, odrzucona od Sanu, od Lwowa, od Wisły, od Dniestru, od Buga. Taktyczne rzekomo z początku cofanie się Rosjan zamieniło się w pogrom. Rosyjskie fortece, linie obronne padły, jakby za podmuchem wichury. Biuletyny nie mogły nadążyć w zapisywaniu zmian na froncie. Gdy podawały, że Niemcy są już pod Warszawą, w istocie Niemcy byli już w Brześciu Litewskim, kiedy mówiły o walkach pod Grodnem – już Wilno było wzięte. Był to pogrom. Lecz był to pogrom tym straszniejszy, tym okrutniejszy, iż rezerwy rosyjskie szły na front bez karabinów, bez armat, że szły na to, aby na froncie dziedziczyć broń po rannych, po poległych, że zapasy wojenne ginęły, topniały w mgłach porannych, że nie nadchodziły, że naboje nie pasowały do miary broni, że pociski nie wybuchały, że natomiast wybuchało wszędzie zniechęcenie i demoralizacja.

Na koniec w sztabie generalnym znaleziono oberszpiega, pułkownika-dygnitarza, znaleziono największego ze zdrajców na stanowisku ministra wojny, Suchomlinowa. Ten sam minister, który odmówił przyjęcia pomocy aliantów, nastręczających się z zapasami materiału bojowego – ten sam minister zajmował się szantażem i kradzieżą tych nikłych, posiadanych przez Rosję materiałów i środków wytwórczych. Przyszły na Rosję dni grozy. Tradycja wojskowości rosyjskiej uciekła się do pomysłu z roku 1812 i zaczęła palić wszystko porzucane, wypędzać miliony ludzi z ich sadyb i domostw i pozostawiać nieprzyjacielowi rumowiska, zgliszcza, spalone spichlerze, puste obory i stajnie, nędzę własnych poddanych.

A samowładca? A cesarz? A Mikołaj II? Mikołaj II przez pierwsze osiem miesięcy wojny błogosławił pułki, rozdawał im obrazy, odprawiał modły, odbywał parady, wiwatował we Lwowie na cześć „zaokrąglonej” znów cudzą ziemią granicy swego państwa i dawał posłuch podszeptom swej żony, upartej, zawistnej Niemki. Partia niemiecka bowiem podczas wojny miała w Petersburgu silne oparcie, miała swe wpływy, żywiła ciągle przekonanie, że uda się doprowadzić do porozumienia między kuzynami, że waśń familijna skończy się potłuczeniem Francji, a może skasowaniem Belgii. Partia niemiecka w Petersburgu bolała nad tą nieszczęsną wojną, chciała potęgi dynastii niemieckiej nie tylko w Berlinie i Wiedniu, ale i Petersburgu.

Jednym z nieprzejednanych wrogów partii niemieckiej był wielki książę Mikołaj Mikołajewicz. Tego należało usunąć. Nadszedł ostateczny czas. Zresztą Mikołaj Mikołajewicz swemu bratankowi cesarskiemu i tak dość życia zatruwał skargami na złodziejstwa intendentury, na brak amunicji, na szpiegów, na intrygi petersburskich Niemców, na brak organizacji tyłów armii. A w dodatku tenże Mikołaj Mikołajewicz zabiegał widocznie o popularność w wojsku, szukał w szeregach zwolenników, wpływy jego rosły, ambicje rosły, wszystko co dobre spadało na niego, a wszystko co złe waliło w Petersburg, waliło w fundamenty cesarskich pałaców. Mikołaj II cichy i skryty, nieśmiały zawsze „Mika” był już względem stryja uprzedzony. Dłużej nie chciał być „pionkiem”, zapragnął zabawić się sam w Aleksandra, przynajmniej w Aleksandra I, rosyjskiego.

I oto minister wojny Suchomlinow został zaaresztowany i oddany sądowi, a wielki książę Mikołaj Mikołajewicz został uwolniony z obowiązków wodza naczelnego i wydelegowany na dowódcę na Kaukaz, byle jak najdalej od stolicy, od armii zachodnich, od frontu, od sztabów i od zdobytej popularności. Na wszystkie te wypadki nie pozostała głucha ani

Duma rosyjska, ani rosyjskie społeczne i polityczne organizacje. Znów zażądano w Dumie nie tylko reform, ale i rządu odpowiedzialnego wobec Dumy i znów zażądano zreformowania ministerium obrony narodowej, złożonego z przedstawicieli wszystkich aprtii. Dumę zawieszono na kilka miesięcy, odesłano do domowych pieleszy hardych, coraz bardziej bezczelnych jej posłów i zażegnano w ten sposób niebezpieczeństwo.

Zresztą czyniono nie lada jakie wysiłki. Tutaj zbierano komisję, która miała radzić nad przyszłością Polski i nad przyznaniem Polsce daleko idących samorządów, ówdzie troszczono się znów o Finlandię, nawet Żydom i Karaimom obiecywano poważne ułatwienia życiowe. A równocześnie jakiś Bobryński prawił w dalszym ciągu o potrzebie zrusyfikowania Galicji lub przeniesienia uniwersytetu polskiego z Lwowa do Warszawy, bo we Lwowie nie śmie dłużej bytować żaden polski uniwersytet. Do tego zamętu teraz przyczyniali się już nie sami obywatele państwa rosyjskiego, nie sami jego dostojnicy z carem na czele, lecz nawet reprezentanci państw sprzymierzonych.

Dyplomacja państw alianckich, rezydująca nad Newą, była zatrwożona. Wpływy Niemców Rosyjskich podnosiły głowę. Na każdym objawie polityki rosyjskiej widać było ślady niemieckiej roboty, niemieckiej intrygi. Dyplomacja wobec tego oglądała się mimo woli dookoła, śmielej teraz wdawała się w rozmowy z przywódcami stronnictw politycznych, szukała kontaktów z klubami, konferowała z kadetami, oktobrystami, nawet ekstrymistom nie odmawiała posłuchu. Dyplomacja nie mogła się była dłużej łudzić.

Upadek Mikołaja Mikołajewicza, cesarz Mikołaj w charakterze wodza naczelnego pod kierunkiem cesarzowej Aleksandry – był to triumf partii niemieckiej, to zbliżająca się ewentualność zawarcia przez Rosję odrębnego pokoju, opuszczenia szeregów alianckich. Sygnał do zmiany taktycznej dał

podobno pan Buchanan, ambasador angielski, który miał powody urość jakby na pośrednika między cesarzem samowładcą a partiami przewrotu czy partiami reform. Mikołaj II tymczasem po otwarciu nowej „stawki” (głównej kwatery naczelnego wodza), po pokazaniu kilkadziesiąt razy z rzędu wiernym swym wojskom swego maleńkiego syna Aleksego, wystrojonego w odznaki najwyższego atamana wszystkich wojsk kozackich całego imperium, znalazł nowy talizman, posiadł skarb nad skarbami w osobie mędrca nad mędrcami. Tym mędrcem był mużyk rosyjski, kacap, chłop-prostak, lecz chłop chytry, przebiegły, chłop sadysta; brutalny i sromotny, ale zdolny zaimponować zblazowanym umysłom dworskich kokot, a więc godny podziwu całego dworu cesarskiego i cesarskiej przyjaźni.

Grigorij Nowicz, syn młynarza spod Tomska, był jednym z wielu tułających się po carskiej Rosji mużyków-szarlatanów, wiodących próżniaczy żywot na koszt ogłupiałych kumoszek i skłonnych do „płciowego” mistycyzmu bab. Siła magnetyczna owego młodego starca, jak w Rosji nazywano podobnie uduchowione typy, musiała być niezawodnie nadzwyczajna, skoro z zapadłego Tomska „sława” jego dotarła aż na dwór cesarski, dokładniej do salonu histerycznej i przekwitłej damy dworu, pani Wyrubowej. Z sypialni tej wpływowej pani na pokoje cesarskie był tylko jeden krok. I oto Grigorij Nowicz, pod nazwiskiem Rasputina, zjawił się na dworze cesarskim jako nowa potęga, jako tajemnicza siła, wywierająca wpływ bezpośredni na cesarzową Aleksandrę Teodorównę, a przez nią na Mikołaja II.

Rasputin wyrósł na główną sprężyną wszystkich zakulisowych intryg, na dostojnika, przed którym głowy chylić musieli nawet ministrowie, nawet członkowie cesarskiej rodziny a drżeć ambasadorowie mocarstw alianckich. W jedwabnej „rubaszce”, aksamitnych hajdawerach, długich, palonych

butach, Rasputin stał się bożyszczem najwspanialszych rautów i zebrań towarzyskich, konieczną ozdobą cesarskich herbatek i poufnych rozmów. Syn natury o żywiołowej zdolności wyładowywania swej męskiej energii zachwycał damy i pokojowe, drżały przed nim księżne i książniczki, bali się go przedstawiciele duchowieństwa, lękali „jasnowidzącego” urzędnicy. Rasputin miał swój osobliwy chłopski rozum, miał instynkt oceniania ludzi, umiał zachwycać prostotą i umiał przejmować zabobonnym lękiem. Magnetyzer i czarownik zarazem, goryl rozpasany i jagnię, parafrazujący teksty z Pisma świętego, hulaka, myślący jakby najdłużej używać na carskim chlebie i szarlatan nie przebierający w środkach.

„Święty” ten „starzec”, jak go zwano na carskim dworze, pochwycił zręcznie ową „pieśń bez słów”, która kołysała ciągle niemiecką partię cesarzowej. I na falach tej pieśni zawładnął i cesarzową, i jej stronnictwem. Aleksandra Teodorówna ze wzruszeniem wsłuchiwała się w melodyjny bas „świętego” człowieka, niosącego jej słowa pociechy, zgadującego jej myśli i spieszącego z cennymi radami. Mikołaj II był zdumiony tą samorodną siłą duchową. Stolica Rosji a z nią cała Rosja ulękły się. „Starzec” bywał wszędzie, gdzie go nie posłano. Karki ministrów zginały się. Dygnitarze w krytycznej chwili zasięgali jego zdania. Sam Trepow bał się tomskiego mużyka. Szlachetni mężowie zamykali oczy na okultystyczne wpływy „starca”, a otwierali je szerzej na widok wpływów realnych. Rasputin tymczasem używał, broił, pił, umiał nawet policzki zachwyconym damom obijać, a poza tym modlił się, jakoweś odprawiał zaklęcia i psalmami straszył.

W Rosji zaś, a zwłaszcza na froncie, działo się coraz gorzej. Przez całe miesiące monotonne biuletyny wojenne mówiły jedno i to samo o tym, co się miało stać nad Strypą, około Strypy, przed Strypą i znów nad Strypą. Armie rosyjskie od czasu do czasu święciły chwilowe zwycięstwa, lecz

każde zwycięstwo pogrążało coraz bardziej widoki ostatecznego zwycięstwa. Wołyń, Bukowina, okolice Kowla były ciągle krwawym terenem, zaścielanym dziesiątkami trupów. Żołnierz rosyjski bił się zawzięcie, bił się jak może żaden żołnierz, bo bił się bardzo często bez jednego ładunku, bez naboju armatniego, bił się głodny, obdarty. Nareszcie atak przypuszczony przez Brusiłowa, we wrześniu roku 1916, stał się koroną wysiłków armii rosyjskiej. Atak się nie powiódł, bo rozbiły go poszmery konspiracyjne w szeregach, bo udaremnił go głód, bo demoralizacja dosięgała już oficerów, bo wojsko masakrowane przez austro-niemieckie armaty, a równocześnie pozbawione zaprowiantowania, krzywdzone przez złodziejstwa, nadużycia, miało na ustach rosyjskie „naplewat”.

Jeden tylko Mikołaj Mikołajewicz, choć za górami Kaukazu, dawał znać o sobie, darł się na skały, przebywał śnieżne pustkowia, jakieś ksenofontowe podejmował wyprawy, uwalniał Armeńczyków, dobywał Eżerumu, przyprawiał Turcję o ciążkie zgryzoty, ale tymi powodzeniami raczej wrogów sobie przyczynił w Petersburgu, teraz Piotrogrodem nazwanym. Równocześnie wpływy Rasputina rosły, partia carowej coraz silniejsze zdobywała stanowisko. Lud zaś wyrzekał, miliony przymusowych wygnańców, wysiedlanych gwałtem włóczyło się, roznosząc swą nędzę i niedolę, masy robotnicze zwierały się, radzili coraz śmielej ziemianie, debatowali mieszczuchy, rozprawiali nawet czynownicy, ci najsumienniejsi strażnicy carskiego systemu.

Rosja zapadała coraz ciężej na zdrowiu. Potrzeba było jak najprędzej ratować ją jakąś reformą, jakąś bolesną operacją, jakimś cesarskim cięciem. Cesarza na takie cięcie przecież nie było stać. Wlokło się więc wszystko z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, byle najdalej od hiobowych wiadomości, od raportów i kurierów dworskich. W zaciszu pałacowym,

przy herbatce, na pogawędce z tym „świętym”, uduchowionym Rasputinem bywało najmilej i carowi, i carycy, i wszystkim damom dworskim, wszystkim dworskim pachołkom. Nagle, niespodziewanie postrzelone zwłoki tego „świętobliwego” Rasputina znaleziono pewnego ranka, prawie pod powłoką lodową Newy. Zamordowano go, zbezczeszczono, odebrano carowej i carowi tego jedynego jeszcze wiernego sługę, pociechę ich mączeńskiego żywota, najmilsze, za pośrednictwem tego wyjątkowego człowieka, z Najwyższym obcowanie przerwano!

Rasputin został zamordowany. Cesarzowa zemdlała. Cesarz rzucił się jak ryś raniony. Dwór cesarski jęknął. Rosja cała zdumiała się, nawet Europa się zdumiała, nawet niezawodnie sam pan cesarz Wilhelm się zdumiał, gdy się dowiedział, kto był mordercą szarlatana. Grigorij Rasputin został zamordowany przez wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza i przez spokrewnionego z cesarską rodziną księcia Feliksa Jusupowa. Do mordu, co więcej, przyczynił się słynny poseł Puryszkiewicz, podpora tronu, przywódca partii konserwatywnej, najbardziej tradycjom cesarskim oddany. Młodego „starca” zaproszono na książęcy obiad, tam próbowano go otruć, a gdy trucizna zawiodła, zastrzelono jak wściekłego psa. Anarchia, rewolucja dosięgła już sfer tak wysokich! Wypędzono więc natychmiast książąt Dymitra Pawłowicza i Jusupowa, wypędzono Trepowa, który na stanowisku prezesa rady ministrów nie roztoczył należytej pieczy nad osobą jasnowidzącego mużyka, a na koniec doczesnym resztkom tego „świętego” samca zgotowano pełne pietyzmu ceremonie. Do władzy został powołany Protopow, w charakterze ministra spraw wewnętrznych, a więc wielkorządcy całej Rosji. Prezydium objął książę Galicyn. Teki ministerialne poodbierano różnym i innym porozdawano.

Atmosfera stolicy była teraz coraz cięższa, brzemienna zapowiedzią nadchodzącej burzy. Działy się tam rzeczy, o których przed kilku jeszcze

miesiącami nikt by się nie poważył myśleć. Oto na przykład na kilka dni przed zabójstwem Rasputina, Milukow nie wahał się oświadczyć w Dumie, że „siły tajemnicze” poważyły się nie tylko uwolnić od odpowiedzialności takich przestępców (wczorajszych ministrów) jak Manuiłow i Sturmer, ale te same „siły tajemnicze” przyczyniły im i ich bandzie zaszczytnych odznak. Milukow więc już w Dumie mówił wprost o partii cesarzowej Aleksandry, oskarżał proniemieckie knowania tej partii. Milukow uchybiał już majestatowi – a w Rosji jakby brakło dość odważnego żandarma na ujęcie śmiałka i zesłanie na syberyjskie wczasy.

Rok 1917. Do utrapień wewnętrznych, nieładu, niezadowolenia, konspiracji, rozprężenia władzy, głód jeszcze się przyplątał. Głód już od wielu miesięcy tułał się po Rosji, aż w końcu zawitał do stolicy. W dniu 7 marca 1917 roku Petersburgowi zabrakło chleba. Fabryki stanęły, warsztaty pracy zamilkły. Rozpoczął się strajk powszechny. Dzienniki przestały wychodzić. Na ulice wyległy tłumy, uformowały pochody. Żołnierze i kozacy połączyli się po raz pierwszy z tłumami. Duma uchwaliła jednogłośnie, aby zaopatrywanie się w żywność zostało powierzone reprezentacjom miejskim i ziemskim, aby było natychmiast odebrane sferom urzędniczym czy rządowym. Cesarz Mikołaj II nie mógł pozwolić na taką zmianę, która zupełnie wyraźnie czyniła apostrofę do złodziei urzędowych czy urzędujących. I w odpowiedzi na uchwałę Dumy raczył rozkazać zawieszenie jej obrad aż do końca kwietnia.

Tym razem Duma nie usłuchała i obradowała dalej. Minister spraw wewnętrznych Protopopow miał na nieposłuszną Dumą wypróbowany sposób. Protopopow miał pod rozkazami cztery tysiące policjantów, ludzi pewnych, i miał tysiąc, wyraźnie cały tysiąc kartaczownic (zwanych z niemiecka „karabinami maszynowymi” a z rosyjska „kulomiotami”) i to kartaczownic hojnie wyposażonych w zapasy amunicji. Protopopow dał

rozkaz. Policja wystąpiła. Nastawiono kartaczownice. Rzeź miała jeszcze raz oczyścić „powietrze” Petersburga. Cesarz „bawił” wówczas w głównej kwaterze, no i zapewne „nie wiedział”, co zamierza Protopopow.

W momencie przecież, kiedy kartaczownice miały przemówić do tłumów, garnizon stolicy oddał się pod rozkazy krnąbrnej, występnej Dumy! Garnizon stolicy, przeto gwardia, wyborowe pułki, kwiat młodzieży, kwiat przywiązania do dynastii Holstein-Gottorpów wypowiedział posłuszeństwo, zagroził policjantom Protopopowa wojną, a raczej wobec swej przewagi – wycięciem w pień. Protopopow wysłał telegram do „stawki”. Rodzianko zaś wysoki prezes Dumy, uosobienie praworządności i racji państwowych, przystąpił do rewolucji. W Pałacu Taurydzkim, gdzie Duma obradowała, posłowie tworzyli pierwszy rząd tymczasowy, a tuż obok, w tymże samym pałacu radził już pierwszy komitet robotniczo-żołnierski nad tym, aby nie wdawać się w żadne połowiczne środki, lecz od razu przyjąć program socjalistyczny, a z kim należy rozprawić się krótko i jak najprędzej. Mikołaj II, zaalarmowany przez Protopopowa, przebywał w swej kwaterze, znajdującej się w Mohylewie, kazał się wieść natychmiast do Carskiego Sioła, aby tam przede wszystkim rozmówić się z Rodzianką. Pociąg cesarski rozkazu nie wykonał! Dowlókł się do Pskowa i tutaj stanął, stanął przed generałem Ruskim, jednym z dowódców armi rosyjskiej.

Dnia 14 marca, a więc w tydzień po pierwszym braku chleba w stolicy, Mikołaj wyraził generałowi Ruskiemu całą gotowość i zgodę na wszelkie i jak najliberalniejsze zarządzenia, jakich okoliczności wymagają. Na gotowości tej nie poznał się już nawet cesarski generał i dowódca jednej z cesarskich armii i odrzekł Mikołajowi II, iż na reformy jest za późno. Był wieczór, była noc, kiedy skończyła się pierwsza szczera rozmowa między cesarzem i jego generałem. Następny ranek przyniósł Mikołajowi II informację wyraźniejszą. Generał Ruski, po porozumieniu się z Rodzianką,

prezesem Dumy, doradzał Mikołajowi II abdykację. Cesarz się wahał. Byli jeszcze dwaj wodzowie dwu armii – Ewert i Brusiłow. Ich oschłe odpowiedzi telegraficzne zażądały jednak także abdykacji. Nareszcie w kilka godzin później przybyli do cesarza delegaci Dumy, domagając sią już bez ogródek natychmiastowego zrzeczenia się tronu.

Mikołaj II zrozumiał tym razem i z wezbranym sercem, z najwyższą troską o przyszłość ukochanej Rosji i drogiego mu narodu rosyjskiego, przepojony bólem na oczywisty dowód czarnej niewdzięczności, podpisał w imieniu swoim i w imieniu swego syna przejście w stan spoczynku. Cesarz Mikołaj II, przed podpisaniem abdykacji w nocy z dnia 16 na 17 marca 1917 roku, chciał pozostawić ojczyźnie pewne wskazówki, mianował był, na przykład, ponownie swego antagonistę, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza wodzem naczelnym. Sądził prawdopodobnie, że nastąpi ewentualnie zmiana osoby cesarza, lecz że ród Holsteinów-Gottorpów po dawnemu jaśnieć będzie.

W ogóle, jak twierdzą naoczni świadkowie, Mikołaj II zachowywał się w te pamiętne dni z godną tej chwili powagą. W swych ostatnich rozmowach, w akcie abdykacyjnym był przejęty do głębi przeświadczeniem o zachodzącym najwidoczniej nieporozumieniu. Chciał przecież dać teraz wszystko, gotów był do najdalej sięgających ustępstw, już „naprawdę” chciał dobrodziejstwami obsypać swych poddanych... a ci tutaj właśnie jego poddani niczego już nie chcieli, a raczej postanowili wziąć sami to, co im potrzebne było do szczęścia.

Delegaci Dumy zagadali w zamian o możliwości powołania na tron syna Mikołaja II, małoletniego księcia Aleksego, przy regencji choćby księcia Aleksandra Michajłowicza, ożenionego z księżniczką Ksenią, siostrą ustępującego cesarza, albo księcia Michała, brata cesarza. Mikołaj II się nie zgodził, abdykował, jak rzekliśmy i w imieniu syna, chorowitego

zresztą, anemicznego chłopczyka, pozbawionego nadto modlitw i opiekuńczych skrzydeł, jakimi otaczał go zamordowany Rasputin. Natomiast Mikołaj II zrzekł się tronu na rzecz swego rodzonego brata księcia Michała Aleksandrowicza, ulubieńca cesarzowej matki Marii Teodorówny.

Duma przecież nie zdradzała bynajmniej entuzjazmu dla tych kombinacji następstwa tronu i ani myślała spieszyć z wyrażeniem swego zdania. Czy książę Michał Aleksandrowicz zrozumiał właściwie intencje Dumy, czy stojąc na uboczu miał lepsze o wypadkach pojęcie, czy też miał własne skrupuły, dość, że ogłosił natychmiast deklarację stwierdzającą, iż jedynie wówczas mógłby przyjąć koronę cesarską, gdyby ta ofiarowana mu była z woli ludu. Lud odpowiedział milczeniem. Duma milczała również i nawet nie uwzględniła oświadczenia księcia Mikołaja Mikołajewicza, który zgłosił gotowość służenia swym generalskim doświadczeniem. Rosja była więc bez cesarza, Mikołaj II bez następcy. Zdetronizowany monarcha został odwieziony do Carskiego Sioła, tam wyznaczono jemu i jego najbliższej rodzinie oraz najbliższej służbie jedno ze skrzydeł pałacu na mieszkanie i pozostawiono w tym, zresztą pysznym, więzieniu w spokoju.

Mikołaj II mógł teraz rozpatrywać przeszłość i mógł się przyglądać rezultatom swego własnego panowania, a może i rezultatom panowania całego pokolenia obcych ludzi w obcym kraju. Było na co patrzeć i było co rozpamiętywać. Cara nie było. Rosja chwiała się, zataczała, jakby rozsadzona wewnętrzną siłą. Tej siły zdawała się mieć aż za wiele na utrzymanie olbrzymiej monarchii w równowadze, na podołanie dwu wojnom naraz – wewnętrznej i zewnętrznej. Rosja była jak ów umierający z pragnienia człowiek, który w ostatnim tchnieniu przypina usta do pełnej kruży krystalicznej wody i pije, i zapija się na śmierć. Tą krużą były wiekowe sny o wolności, o prawach obywatelskich, o prawach ludzkich,

o równości, o braterstwie, o Królestwie Bożym na ziemi. Wszystko zło miało teraz odejść, wszystko miało teraz iść ku odrodzeniu. Każdy według swego pojęcia radował się, cieszył, wiwatował, bo każda racja znajdowała posłuch, każdy pogląd szacunek. Rząd tymczasem odurzał się własną tolerancją, własną dobrocią. Tworzyły się dookoła niego jakieś komitety, jakieś ciała, jakieś środki społeczno-polityczne. Słusznie się tworzyły. Rząd był rad i wielkim, i maluczkim, i ubożuchnym, i zasobnym, i tym naiwnym prostaczkom, mierzącym dni wolności stanem własnego żołądka, i tym natchnionym inteligentom, pragnącym ziszczać swe reformatorskie pomysły. Zadość było miejsca dla wszystkich pod słońcem rewolucji. I była rewolucja, i był rząd rewolucyjny, była już prawie republika demokratyczna, najbardziej demokratyczna, tylko brakło chleba, brakło ładu, brakło silnego ramienia, brakło bystrego spojrzenia w najbliższe jutro. Haseł podniosłych, zaręczeń, aktów wiekopomnych wystarczyło na kilka tygodni. Braterskie uściski, wyznania miłości bliźniego, nadzieje tego innego, lepszego życia, ucieszyły, rozchmurzyły całą Rosję, nawet poniewierające się w okopach krocie żołnierzy podniosły na duchu. Piękne to były dni. Niezapomniane dni panowania nowej, młodej, Rosji.

Na pierwsze skinienie opadły wrzeciądze więzień politycznych, pękły kajdany katorżników, męczenników idei. Zesłańcy, przymusowi osiedleńcy, ci nieprawomyślni stali się ojcami ojczyzny. Polskę uchwalono oddać Polakom, Finlandię Finom, Kaukaz Czerkiesom, co tatarskiego przyznano Tatarowi, rozwiązano sumienia, rozwarto księgę praw człowieka i obywatela. Dni jednak szare, bezbarwne ostudziły zapały. To, co było wczoraj, było i dzisiaj, musiało być jutro jeszcze. A tu głód, niedola, nędza, wolność o głodzie i chłodzie, rozprężenie bodaj większe, większa niepewność, lęk przed decyzją, lęk władania, a w ostatku ta sama

zardzewiała, spękana machina cesarska i tyle jaśniejszego widoku, ile nadziei na hen, odległą przyszłość.

I jeszcze wojna, wielka wojna, potrzeba utrzymania frontu obronnego, obowiązek, „najświętszy” obowiązek dotrzymania zobowiązań zachodowi Europy. Posłowie mocarstw alianckich czuwali, przyrzekali pomoc, nieśli uznanie nowemu rządowi, ale i wymagali. Na terenie wojny, na froncie rosyjskim, działo się teraz zupełnie źle. Sztaby straciły na pewności siebie. Dowódcy niby wydawali rozkazy, a przestali baczyć na ich wykonanie. W pułkach, batalionach, bateriach, kompaniach żołnierze odprawiali narady. Popularność zyskiwali wczorajsi niedołędzy, oficerowie źli, czy niewydarzeni. Każdy zwierzchnik strzegł się, aby nie spowodować niezadowolenia. Najmniejszy pionek wyczekiwał nowin ze stolicy. W okopach panowała cisza, przerywana niekiedy manifestacyjnymi okrzykami, a niekiedy urozmaicana rozmowami z Niemcami. Ci snadź otrzymali dokładne instrukcje. Ogień niemiecki ustawał coraz częściej, wychylający się a nawet wychodzący z transzei żołnierz rosyjski mógł być pewny swego życia. Tymczasem rząd rewolucyjny rozprawiał, naradzał się, wysłuchiwał nawet życzeń, występował na coraz liczniejszych mityngach i wiecach, coraz bardziej przygotowanych, coraz trudniejszych do zjednania. Rząd tymczasowy dźwigał w swym własnym łonie własną zgubę. Zdrada, chęć władzy, chęć opanowania władzy, zagarnięcia władzy czaiła się nawet na zebraniach ministerialnych. Rząd tymczasowy nareszcie ulękł się, spróbował mocniej ująć za ster, lecz nie zdołał go utrzymać. Fala ludu wzbierała, kłębiła się, wspinała. Walka była krótka.

Zwyciężyli, bo musieli zwyciężyć ekstermiści, ci, którzy więcej obiecywali, mniej posiadali, a więc więcej mieli do rozdania ci, którzy przyrzekali szbciej realizować odrodzenie Rosji. Na czele nowego rządu stanął Kiereński, minister w rządzie wczorajszym, a teraz gorący, zadufany

w sobie trybun ludowy, wódz naczelny wojsk rosyjskich i wódz całej Rosji. Kiereński zabawił się w najpopularniejszego człowieka. W czapce naciśniętej na ucho, w zgrzebnej sołdackiej kurcie stanął przed dygnitarzami i oczarował lud. Ideolog, zakrojony na miarę najlepszych teorii Marksa i Engelsa, wyszkolony w dezyderatach najszerszego mrowia ludzkiego, przejęty zasadami rewolucji socjalnej, otoczył się od razu ludźmi pewnymi, niezawodnymi, ani przypuszczając, iż wybiera właściwie kandydatów do jutrzejszego stryczka. Miał wiele zalet, wiele cnót, brakło mu tylko jednej, a mianowicie sztuki obliczania następstw, umiejętności przewidywania.

Kiereński miał za sobą masy ludu robotniczego, miał żywioły drobnomieszczańskie, zapragnął jeszcze zdobyć wojsko, podał przeto wojsku obie ręce. Słuszna wszak była racja, aby obrońcy ojczyzny, aby ci, którzy własne życie nieśli w ofierze Republice Rosyjskiej mieli głos, mieli posłuch. Dość było wojskowego „rabstwa”, dość stawania na baczność, dosyć tej ciemnej, ślepej dyscypliny. Żołnierz w szeregu jest żołnierzem, ale poza szeregiem jest obywatelem, a więc jako taki nie jest obowiązany do bicia pokłonów przed oficerską gwiazdą, przed kawałkiem srebrnego czy złotego sychu – jako taki ma równe z oficerami prawo głosu. Pułki jako gminy być powinny. Pułki, brygady, dywizje, powinny wybierać swych własnych przedstawicieli, a przedstawiciele tych brygad, pułków, dywizji powinni brać udział w naradach nad sprawami państwa na równi z przedstawicielami gmin. Rady żołnierskie mają odtąd być zawiązywane we wszystkich oddziałach i jednostkach wojskowych.

Kary na żołnierzy? Kary na przestępców wojskowych? Kary na nie spełniających należycie swych obowiązków? Czyż sąd żołnierski, koleżeński sąd, nie będzie najsprawiedliwszym? I Kiereński jednym swym rozporządzeniem o zaniechaniu salutowania oficerów rozbił milionowe

armie rosyjskie. Wprowadzenie „rad żołnierskich”, żołnierskich „sowietów” te rozbite armie miało potargać na strzępy i otworzyć na oścież wrota temu, co już się skradało, co już się czaiło. Kiereński w ten sposób zdobył prawie dyktaturę – ale Rosję pogrążył. Zamiast konstytuanty, miała w Moskwie zasiąść „czerezwyczajka”.

Lecz ten niefortunny trybun ludowy łudził siebie i łudził całą Rosję, że pomimo swych antymilitarnych zarządzeń zdoła obudzić w żołnierzu ducha obywatelskiego, że ten duch powiedzie do niewątpliwego zwycięstwa. Jakoż po Petersburgu żołnierze obnosili napisy olbrzymie: „Zwycięstwo nad Wilhelmem jest gwarancją wolności”, „Wojna za wolność aż do ostatecznego zwycięstwa”, wygłaszali piękne mowy do tłumów, dowodząc hardo, że rozbicie Austro-Niemców stanie się podwaliną rosyjskiej demokracji. Zapał był wielki. Tworzono oddziały kobiece. Organizowano pomoc dla walczących. Krzątano się, docierano chmarami do linii bojowej. Szyto mundury, składkowano i wyglądano upragnionego zwycięstwa.

Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Wojny po stronie aliantów było bodźcem niesłychanym. Byle teraz tylko wytrwać, byle podołać jeszcze kilka miesięcy. Główna kwatera Austro-Niemiecka była zawiedziona. Wybuch Rewolucji Rosyjskiej napełnił ją wiarą, napełnił otuchą. Austro-Niemcy kalkulowali, że na wschodniej ich granicy nareszcie wojna się skończyła. Rozprężenie w armii rosyjskiej, nieład, niedostatek, wydawały się Austro-Niemcom niezawodnymi sprzymierzeńcami. Wszystko zdawało się zapowiadać zwycięstwo nad Rosją, zaniechanie wojny przez Rosję. Gdy niespodziewanie te zrewolucjonizowane masy wojska rosyjskiego zaczęły się znów zwierać, a nawet wykonywać pojedyncze ataki i kusić się o wyłom w austro-niemieckim froncie. Austro-niemiecki sztab uląkł się tej zmiany.

Rosja Kiereńskiego wstydziła się oddzielnego pokoju. Rewolucja w Rosji albo słabła, albo zabrakło jej odpowiednich sił. O te siły Austro-Niemcy postanowiły się postarać, skoro nie skutkowały ani odezwy do żołnierzy, ani destrukcja szpiegowska, ani partia wczorajszej carycy, ani miliony tajnych funduszy. Austro-Niemcy mieli pod ręką „odpowiednich" ludzi. Oto władze niemieckie sprowadziły do Niemiec ze Szwajcarii znanego agitatora-anarchistę, niejakiego Uljanowa, razem z kilku jego kolegami. Z największym „szacunkiem" przewiozły pana Uljanowa w zamkniętym i opieczętowanym wagonie przez całe Niemcy i odstawiły dobrze zaopatrzonego do Sztokholmu, dnia 16 kwietnia 1917 roku.

Równocześnie prawie niejaki pan Lejba-Trocki, równie znany działacz, przebywający w zaciszu Stanów Zjednoczonych, jako obywatel sprzymierzonego państwa, zdołał teraz uzyskać paszport i również ku Rosji się skierować. Pan Uljanow, zwany następnie Leninem, a za nim Trocki zjawili się na bruku petersburskim. Ci nie mieli zawieść pokładanych w nich nadziei. Sztab austriacko-niemiecki miał święcić niebawem jeden więcej sukces „wojskowy". W Petersburgu rosła jak na drożdżach gromada wyznawców tak zwanego „maksimum", maksimum wolności osobistej, maksimum reform – czyli gromada wyznawców bolszewizmu. Kiereński tymczasem był jako Garibaldi i jako Bonaparte, i jako Hoche. Śnili mu się po nocach bohaterscy sankiuloci, roiły Demostenesowe do wojska przemowy. Objeżdżał front, zasiadał w radach żołnierskich, zagrzewał, budził owego ducha obywatelskiego i armie drgnęły, rzuciły się na Austro-Niemców, poturbowały ich nawet kilkakrotnie. Kiereński nie ustawał. Tak jak stał z rewolwerem w ręku, umiał wypaść z okopów i pociągnąć za sobą żołnierzy. Na tyłach oficerowie angielscy zbierali tchórzów czy uciekinierów. Kobiety napędzały do szeregu piecuchów czy ociężalców. Tak w dniu 1 lipca 1917 roku Kiereński okrył się sławą odwagi wojskowej,

a w dniu 3 sierpnia tegoż roku armie rosyjskie były już tylko rozproszonymi strzępami wojska.

Austro-Niemcy odebrali resztki Galicji i mieli przed sobą Rosję stojącą prawie otworem. Wprawdzie ten sam KIereński, który oddawał radom żołnierskim utrzymanie karności w szeregach, skończył na tym, iż armatami raził własnych, uciekających w popłochu żołnierzy, lecz i ten niezawodny sposób mnożenia męstwa bojowego już teraz nie dopisał. Dopisał natomiast pan Uljanow. Gdy bowiem Kiereński na froncie chciał polec lub zwyciężyć, w Petersburgu już dnia 17 lipca terkotały karabiny maszynowe, kierowane przez sprzymierzeńca mocarstw centralnych. Po pogromie na froncie czekał Kiereńskiego pogrom w stolicy. Trybun socjalistyczny próbował opanować bolszewików, próbował im się przeciwstawić. Wypromowany przez Kiereńskiego generał, a raczej wódz rewolucyjny Korniłow zamierza ustanowić dyktaturę. Zamach staje się niemożliwy, Kiereńskiemu roi się dyrektoriat francuski, proklamuje republikę i rząd z pięciu ludzi. Jest już za późno.

Jeszcze jedna próba porozumienia z bolszewikami. Na próżno. W nocy z dnia 6 na 7 listopada 1917 roku bolszewicy wykonują przygotowany zamach. Opanowują telegraf i rozsyłają po całej Rosji wiadomość, że ustanowiony został rząd bolszewicki i że wszystkie władze mu się poddały. W tej samej chwili zastępy robotniczo-żołnierskie atakują słynny Pałac Zimowy, siedzibę rządu. Kiereński ratuje się ucieczką. Zbiera oddziały „wiernego” wojska i stacza bitwę z bolszewikami pod Carskim Siołem. Przegrywa jeszcze tę bitwę i ratuje się jeszcze raz szczęśliwą ucieczką, ratuje życie.

Pan Uljanow, Lenin, ogłasza natychmiast swoje trzy idące po sobie dekrety. Pierwszy o zawieszeniu bezwzględnym prasy narodowej i burżujskiej. Drugi o unarodowieniu ziemi, bez jakiegokolwiek

odszkodowania dla właścicieli. Trzeci o zniesieniu kary śmierci. W chwili, gdy ukazał się ten trzeci dekret, w Rosji rozpoczęła się masowa rzeź, bezkarna i zalegalizowana, z wyrokami i bez wyroków, ale rzeź tysięcy, dziesiątków tysięcy ludzi inaczej myślących, inaczej mogących myśleć, wychowanych do innego światopoglądu, pojmanych w działaniach antybolszewickich z bronią w ręku czy z kawałkiem chleba czarnego w kieszeni. Ponad Rosją powiał czerwony sztandar nie zwycięstwa praw robotniczych, lecz zwycięstwa strasznej, krwawej zemsty. Na czele tej zemsty stanęli przede wszystkim Żydzi. Oni to wyrośli nieraz po całej Rosji jakby spod ziemi, ukazali się jak złowrogie widma i zaczęli posokę ludzką poniewierać i deptać to wszystko, co wczoraj wdrażało im lęk, posłuch, przed czym się musieli korzyć, pełzać.

Mordowano najpierw tych, którzy mieli oddać ziemię bez odszkodowania, następnie mordowano tych, którzy w ogóle coś posiadali, mordowano jednych dlatego, że byli generałami, dygnitarzami, a drugich dlatego, że byli nikłymi osobistościami. Jednych rozstrzeliwano za białe, nie dość zgrubiałe ręce, drugich za suknię duchowną, za całą koszulę, za buty nie podarte. Mordowani zaczęli stawiać opór, mordowano więc ich za opór. Odważniejsi zbierali się w gromady, formowali oddziały, zdołali nawet skłonić mocarstwa sprzymierzone do interwencji, do współdziałania. A więc mordowano ich za bunt, za działanie antyrewolucyjne.

Cała Rosja stanęła w ogniu bratobójczych rozpraw. W zamian front rosyjsko-niemiecki umilkł. Rzejm był podpisany od razu, nawet przed zawarciem pokoju, nawet przed zawieszeniem broni. Ceremonia w Brześciu Litewskim odprawiona między Austro-Niemcami i bolszewikami w dniu 15 grudnia 1917 roku była już tylko banalną formalnością. Działania wojenne rządu bolszewickiego miały ważniejsze zadania: zgniecenie rebeliantów, rozbicie oddziałów Denikina, Wrangla,

Kołczaka i setki innych przygodnych wodzów ruchu antybolszewickiego. Walki były krwawe, zajadłe. Nie było miłosierdzia, nie było przebaczenia, zmiłowania. Nie o zwycięstwo szło, lecz o wytępienie. Ten ocalał, kto zdołał uciec z Rosji, kto zdołał za granicę własnej ojczyzny się wydostać. Mordowaniu sekundował wytrwale geniusz zniszczenia, burzenia, rozbijania, palenia, równania z ziemią wszystkiego, co ponad nią ważyło się jeszcze wystawać.

Żagiew dosięgała i obracała w perzyną nie tylko siedziby wielkopańskie, ale i dworki, i kamieniczki, i biblioteki, i dzieła sztuki, i parki, i ogrody. Niszczono nie tylko pałacowe obejścia, ale i drzewa, zaorywano trawniki i kwietniki, palono żywcem ludzi i palono róże, konie nazbyt rasowe, psy pańskie, palono i bezczeszczono cerkwie, pozostawiono jedynie w spokoju synagogi. Szła ta piekielna zemsta, szła przez całe lata i do dnia dzisiejszego jeszcze się snuje, jeszcze porachunki załatwia.

A Mikołaj II, a liczna rodzina cesarska? Od abdykacji do ostatecznej rozprawy miał upłynąć z górą rok cały. Mikołaj II był więźniem stanu w pałacu carsko-sielskim. Było to, jak powiedzieliśmy, pyszne, cesarskie więzienie, pełne początkowego sentymentu, należnego szacunku, czułostkowości. Zdetronizowany cesarz przyjął teraz miano „pułkownika Romanowa”, zachował jedynie rangę wojskową nadaną mu niegdyś przez ojca. Wdział na się uniform polowy i za całą jego ozdobę zachował krzyż św. Jerzego, najwyższe odznaczenie rosyjskie za męstwo na polu bitwy. Pierwsze tygodnie więzienia miał Mikołaj II i jego najbliższa rodzina bardzo znośne. Pułkownik Romanow i pani „pułkownikowa” mieli dość służby, mieli nawet towarzystwo kilku osób ze świty, mieli do dyspozycji piękny park i piękny salon.

Rząd księcia Lwowa zachowywał się bardzo powściągliwie. Pułkownik Romanow zdawał się nie wierzyć, aby się historia powtórzyła, aby miał

przejmować się cieniem Ludwika XVI i Marii Antoniny. Mieszkał sobie tymczasem z żoną i dziećmi i spodziewał się jakiegoś *modus vivendi*, może jakowejś listy cywilnej, może wczasów spokojnych nad brzegami Morza Śródziemnego. Tego samego przekonania zdawali się nabierać inni członkowie cesarskiej rodziny, rozproszeni po swych siedzibach i pałacach wielcy książęta. Strzeżono ich pilnie, ograniczono w wydatkach, nie pozwalano na przenoszenie się z miejsca na miejsce, ale czyniono tak może i z troskliwości.

Bądź co bądź rewolucja się jeszcze nie uspokoiła, bezpieczniej więc pod strażą niż bez straży. Byli wprawdzie i tacy wielcy książęta, jak dwaj synowie sławetnego Włodzimierza, Borys i Cyryl, którzy umieli skorzystać z pierwszej sposobności i umknąć. Nawet sam wielki książę Mikołaj Mikołajewicz miał pójść za ich przykładem. Były to jednak oderwane przypadki, raczej niefortunne, nieprzyjemne dla ogółu cesarskiej rodziny, mającej wysokie pojęcie o przymiotach ludu rosyjskiego. Po kilku tygodniach więzienie pułkownika Romanowa jęło się nagle psuć. Zmniejszono liczbę służby, Mikołajowi II pozwolono widywać się z żoną tylko podczas spożywania posiłków, dodano mu stałą wartę złożoną z trzech żołnierzy, która towarzyszyła mu ciągle, bez przerwy, dodano argusów i cesarzowej, i księżniczkom, i księciu Aleksemu, nawet lejb-medykowi, doktorowi Botkinowi. Demagogia brała górę.

Wszechpotężny pan Kiereński sam zastroszczył się o zdetronizowanego i odwiedził pułkownika w swym sołdackim uniformie, gadał wiele o zmienności losu i potrzebie liczenia się z opinią, ale w rezultacie, obostrzywszy reguły „więzienne”, zezwolił na prace ogrodnicze. Mikołaj II razem z dziećmi i ze zmniejszoną swą świtą zabrał się do przerobienia jednego ze wspaniałych trawników parkowych na ogród warzywny. Praca w parku szła ochoczo. Księżniczki Tatiana i Anastazja ciągnęły beczkę

z wodą, pomagał eks-cesarzewicz, „pułkownik” kopał zawzięcie, pomagali wszyscy, nawet strażnicy. A cesarzowa Aleksandra w wielkim fotelu spoglądała na krzątającą się gromadkę i haftowała przedziwny pas, nie wiedząc, czy zamieni go w ozdobę na stół, pod lampę, czy może w ornat dla archimandryty, czy w kapę dla samego archireja.

Nie dane przecież było pożywać rodzinie cesarskiej własnego warzywa, bo oto, w dniu 14 sierpnia, wywieziono ją niespodziewanie do Tobolska, na Syberię. Stało się to za sprawą Kiereńskiego. Była może w tym zesłaniu chęć ocalenia pułkownika Romanowa. Petersburg był tuż obok Carskiego Sioła, a w Petersburgu bolszewizm już zęby szczerzył. W Tobolsku już nie było pałacu cesarskiego. Na mieszkanie wyznaczono rodzinie cesarskiej pospolity dom miejscowego gubernatora. W domu tym pułkownik Romanow spędził szereg długich miesięcy. „Porządek domowy” w Tobolsku początkowo niczym się nie różnił od carsko-sielskiego. Było mniej przestronno, szczupło, lecz jeszcze dosyć zamożnie. Dopiero, gdy we wrześniu zjawił się w Tobolsku „komisarz” wydelegowany do czuwania nad rodziną cesarską, komisarz w osobie byłego więźnia politycznego, warunki zaczęły się zmieniać.

Komisarz zresztą stosował względnie jeszcze łagodne środki, mające nieco upokorzyć wczorajszego samowładcę. Więc, na przykład, wydano eks-cesarzowi, jego rodzinie i jego świcie, złożonej już z ośmiu tylko osób, karty tożsamości z fotografiami. Uwięzieni musieli teraz co chwila te karty pokazywać zmieniającym się strażom, które z powagą sprawdzały czy fotografia Mikołaja II jest podobna do Pułkownika Romanowa. Tutaj wszyscy uwięzieni ucierpieli mocno wskutek ostrego syberyjskiego klimatu i braku ruchu i to tak dalece, że komisarz sprowadzić kazał dla pułkownika zapas drzewa do rąbania, aby w ten sposób zapewnić mu odrobinę fizycznego zmęczenia, przy możności lepszego zaopatrzenia pieców.

Ponadto komisarz zezwolił łaskawie, w dni pogodne, wychodzić swym więźniom na przejście ponad dachem oranżerii i szukać promieni syberyjskiego słońca. Były to przecież ostatnie promienie nawet słońca Holstein-Gottorpów.

W dniu 1 marca 1918 roku więźniowie przestali wątpić, jaki los zamyśla im zgotować samowładztwo bolszewickie. W dniu tym nadzwyczajne rozkazy skasowały kuchnię i wyznaczyły porcje „żołnierskie". Równocześnie zaczęły znikać raptownie szczątki względów. Każdy dzień przynosił nowe obostrzenia. Zagadano teraz mocniej o ucieczce. Pułkownik, według świadectwa profesora Gilliarda, a raczej guwernera-Szwajcara, który należał do tej przedostatniej świty cesarza, odrzucał wszelką myśl ucieczki. Teraz jednak był już zdecydowany, byle wszyscy mogli uciec razem. Były plany, były zamiary, były przygotowania. Podobno w samym Tobolsku nie brakło ludzi gotowych spieszyć z pomocą. Gdy naraz w dniu 25 marca sprowadził się do Tobolska oddział czerwonej gwardii, oddział wypróbowanej mocy i zawziętości drabów bolszewickich. Wszystkie plany rozwiały się, prysły. Nie dość na tym, oddział czerwonej gwardii nie przebywał na próżno.

Oto o trzeciej rano dnia następnego, 26 marca, obudzono MIkołaja II i zapowiedziano mu rozkaz wyjazdu. Cesarzewicz Aleksy był ciężko chory. Aleksandra Teodorówna, nie bacząc na chorego syna, postanowiła iść za mężem, do niej przyłączyła się trzecia córka, księżniczka Maria. Reszta dzieci razem ze świtą miały pozostać w Tobolsku. Troje więźniów załadowano do opancerzonego wagonu i pod strażą czerwonej gwardii wywieziono. Po tygodniu blisko wleczenia od stacji do stacji, w dniu 3 maja, wagon pancerny przybył do Jekaterynburga. Tutaj władze bolszewickie wypędziły z domu Ipatiewa, zamożnego kupca, wszystkich jego mieszkańców, i pod silną strażą osadziły troje więźniów.

Dla Mikołaja II i Aleksandry Teodorówny nastąpiły tygodnie strasznej trwogi o pozostałych w Tobolsku. Tam, w Tobolsku, równym lękiem napawała myśl o tych, których wywieziono. Lecz władze bolszewickie snadź zmieniły zamiary. W Moskwie z izb złocistych Kremla padł inny rozkaz upraszczający najbliższe zamiary. Postanowiono zaniechać tego dzielenia. W dniu 22 maja pozostałe w Tobolsku dzieci, wraz z tylko już paru osobami świty, zwieziono do Jekaterynburga, do domu Ipatiewa. Był to dzień szalonej radości, uciechy niewysłowionej. Rodzina Mikołaja II była teraz razem, stanowili ją – pułkownik, Aleksandra Teodorówna, księżniczki Tatiana, Anastazja, Maria i najstarsza Olga, nareszcie książę Aleksy. Ze świty natomiast, a raczej ze służby, pozostali tylko lejb-medyk Botkin, Anna Demidowa, panna służąca, Troup, lokaj i Chariatanow, dawny kucharz cesarski. Pozostałych członków świty, jak hrabiny Henrikoff, lektorki cesarzowej, panny Schneider, generała Tatiszczewa i księcia Dołgorukiego, wielkiego marszałka dworu, nie dopuszczono do domu Ipatiewa, lecz osadzono w więzieniu jekaterynburskim i tutaj, nie wdając się w żadne dłuższe ceremonie, zamordowano w kilka dni później. Z tej ostatniej świty Mikołaja II, jeden Gilliard, Szwajcar ocalał. Wypuszczony w Jekaterynburgu na wolność nie czekał na nowy dowód uprzejmości bolszewickiej i zdołał umknąć tak, że słuch o nim zaginął.

Życie więźniów w Jekaterynburgu było twarde, ciężkie i wystawione na coraz ostrzejsze „przepisy”, coraz bezwzględniejsze szykany. Te jednak nabrały dopiero ostatecznej odwagi po przyjeździe nowego męża zaufania, wydelegowanego przez Moskwę, komisarza Jurowskiego, jednego z filarów „czerezwyczajki”, zbira i mordercy, mającego już setki ludzi na swym, tak zwanym „sumieniu”. Jurowski był jak ów zwierz, mający przed sobą bezbronne ofiary, ośmielony ich bezbronnością, ich biernością. We własnej złości, własnej pasji, własnym chamstwie zdawał się szukać powodu do

dręczenia, do poniewierania. Jurowski był panem życia i śmierci samowładcy wszechrosyjskiego i jego rodziny. On panował im, on rządził, on rozkazywał, on czekał ostatnich poleceń.

Polecenia nadeszły, bo Lenin i Trocki postanowili dokonać rozpoczętego dzieła zniszczenia, skończyć z tą czułostkową maskaradą. W nocy z dnia 16 na 17 lipca, Jurowski wpada do sypialni więźniów, położonej na pierwszym piętrze domu i każe im wstawać. Wstawać? Dlaczego? Jurowski się miesza, kłamstwem zbywa trwożne pytania. – Wstawać natychmiast i zebrać się na dole, trzeba jechać, rozruchy w mieście, pojedziecie i koniec, daleko pojedziecie, bo mnie się tak podoba. Szybciej, żebym nie potrzebował wam pomóc. Upływa chwila gorączkowego pośpiechu. W na poły pustym pokoju dolnym są już wszyscy: cesarz, cesarzowa, cztery młode księżniczki, cesarzewicz, doktor Botkin, panna służąca, lokaj i eks-kucharz. W pokoju są tylko trzy krzesła. Według ceremoniału zajmują je: Mikołaj II, Aleksandra Teodorówna i książę Aleksy, jako następca tronu. Ostatnia sekunda wątpliwości. Do pokoju wchodzi Jurowski, za nim „komisarze”, równie wypróbowani, Jermakow i Waganow, a dalej wsuwa się siedmiu drabów uzbrojonych, siedmiu austriackich Niemców (historycznie stwierdzone)!

Jurowski bełkocze jakieś bezładne wyrazy o wykryciu przygotowań do ułatwienia więźniom ucieczki, bluzga gradem obelg i strzela z rewolweru do Mikołaja II. Dziewięć innych strzałów wtóruje mu równocześnie. Nie wszystkie są celne, nie wszystkie śmiertelne, ale są inne w magazynkach. Nastąpuje zgiełk zajadłej strzelaniny, jęki konających, wycie rannych, szarpanie za włosy, targanie półtrupami. Krew płynie strumieniami po podłodze, do ścian przylegają wypryski mózgów. Jeszcze jeden wysiłek, jeszcze kilka salw do trupów i dalej na te trupy, zdzierać z nich odzienie, zrywać koszule i szukać ukrytych diamentów, szukać kosztowności. Tuż

u podjazdu Ipatiewa czekają już wozy. Na wozy teraz z tym carskim ścierwem, za miasto, w las najbliższy. Tam stosy smolnego drzewa gotowe, czekające na świeże, ciepłe trupy. Cieplej im uczynić!

Łuczywo podpalone, płomień bucha... O świtaniu już tylko mgły ostatnich dymów się snują. Wyrwać jeszcze tym dymom popieliska, powysypywać je na wozy i rozwieźć na wsze strony, po rowach, wertepach, śmietniskach, wądołach, ażeby i słuch zaginął, aby wiatr rozwiał do reszty, a woda zmyła prochów carskich marność. Tak skończył Mikołaj II, jego żona heska księżniczka, Aleksandra Teodorówna, cztery księżniczki: Olga, Tatiana, Maria i Anastazja, tak zginął cesarzewicz, następca tronu, ataman wszystkich wojsk kozackich i tak zginął lejb-medyk Botkin i troje służby, troje ludzi szlachetnych, dzielnych, bo wiernych w niedoli. Tak dokonano ostatniego w naszej epoce królobójstwa, tak załatwiono się z ostatnim, w prostej linii, potomkiem Pawła I, Mikołaja I, Aleksandra II i Aleksandra III. Ten okrutny ponury mord, chytry i podły. Bez wstrętu, bez oburzenia ani o nim wspominać.

Zamiast szafotu Ludwika XVI, zamiast sądu nad Karolem I angielskim, banda hyclów rozstrzeliwująca jakby stado wściekłych psów, stado napadnięte w nocy, znienacka, przebiegle i nikczemnie. Rewolucja francuska, rewolucja angielska miały swój majestat, miały poczucie honoru, miały odwagę pomszczenia śmiało, odważnie krzywd milionów. Mikołaj II był wielkim przestępcą. Był dobrym ojcem rodziny, był wzorowym mieszczuchem, ale był złym, był występnym monarchą, bo był słaby, bo był otoczony dworakami, bo był oszukiwany i chciał być oszukiwany, bo się wahał, bo stał się ofiarą intryg i podszeptów, bo przyrzekał i nie dotrzymywał, bo nie miał woli, bo nie miał odwagi, bo do ostatniej minuty panowania swego nie rozumiał, że każdy jego błąd, każda chwiejność,

każdy brak decyzji zmienia się w klęskę dla milionów, niesie zgubę krociom i tysiącom ludzi.

Mikołaj II pragnął żyć jeszcze, pragnął żyć w ciszy, w zapomnieniu, tego jedynie podobno pragnął. To życie bodaj mogli zachować Mikołajowi II i jego rodzinie jego najbliżsi krewni, więc pan Wilhelm II, cesarz wówczas jeszcze niemiecki, więc Franciszek Józef, czy jego następca Karol. Ale ci panowie nie usiłowali wywrzeć nacisku, woleli zamilczeć, woleli tego niewdzięcznego krewniaka oddać na pastwę „czerezwyczajki". Nie lepszy, nie inny spotkał los dalszych członków rodziny Holstein-Gottorpów. Pozostali ci tylko, którzy zbiec zdołali zawczasu. Innych pomordowano bez pardonu, pomordowano bez sądu, bez wnikania, który z nich zawinił, który miał wpływ na władzę, a który nie miał. Zarżnięto tak samo wielkiego księcia Pawła Aleksandrowicza, jak Michała Aleksandrowicza, tego, który cesarskiej korony się wyrzekł, który pragnął jej od ludu. Zginęli Konstantynowicze, choć się do niczego nie wtrącali, a boleli raczej nad zaślepieniem samowładztwa, zmarniały siostry cesarskie i cesarscy siostrzeńcy, i wielkie księżne, i mniejsze księżne. Jako ostatni „Mohikanin" pozostało widmo, wiekiem pochylone, wyrokami losu strzaskane, widmo carycy-matki, widmo Marii Teodorówny żony Aleksandra III, niegdyś siostry królowej angielskiej, widmo skuzynowane ze wszystkimi tronami na świecie, a poniewierające się w pałacyku kopenhaskim. Zresztą są już tylko pretendenci do tronu rosyjskiego, są wygnańcy tacy sami, jakimi byli wczoraj ostatni z Burbonów i Bonapartych, ostatni z Brangazów czy ostatni z Orleanów, a jakimi mogą stać się ostatni z Hohenzolernów, ostatni z Habsburgów, ostatni z Koburgów i ostatni z Wittelsbachów.

Wielka Wojna cały szereg tronów skasowała, przesunęła, czy jak w Niemczech zawiesiła, a nade wszystko posady cesarzy, królów, czy

w ogóle monarchów uczyniła bardzo niepewnymi. Coraz trudniej je zdobyć i coraz łatwiej utracić. Walka o gronostaje, o trony, o dziedzictwa tronu zaczyna cichnąć. Panującego można już prawie oddalić, jak na przykład króla greckiego czy tureckiego sułtana, można go coraz łatwiej skłonić do wyjazdu dobrowolnego z ukochanego kraju. Natomiast walka o władzę, o te gronostaje, o ten tron, który pozwala rządzić, który pozwala rozkazywać, nie ustaje ani na chwilę. Mord polityczny tutaj jeszcze rozstrzyga, jeszcze przez wieki całe za najwyższy służyć będzie argument.

Zaznał tej prawdy nawet pan Uljanow, nawet Lenin bolszewicki, kiedy go w dniu 30 sierpnia 1918, Dora Kapłan potraktowała dwiema kulami rewolwerowymi. Przekonał się o tym smutnej pamięci Mojżesz Urycki, krwawy pogromca rosyjski, kiedy w tym samym dniu położono go trupem w tym samym zawsze Pałacu Zimowym, tym symbolicznym gmachu samowładztwa carskiego i samowładztwa bolszewickiego. Mord polityczny nie ustał. Nie ustanie nawet, kiedy zabraknie królów, zbroić będzie i zbroi ręce mścicieli, ręce fanatyków, ręce obłąkańców. Zdołał nawet sięgnąć tam, gdzie nigdy jeszcze przedtem nie sięgał, zdołał ugodzić nawet w serce niewinnego, czystego człowieka.

Wiek dwudziesty jest i będzie taki sam, jak poprzednich wieków pięćdziesiątych i dalszych wieków nieskończoność. Zmieniły się i zmieniać będą metody naukowe, środki techniczne, urządzenia społeczne, polityczne racje, ale etyka, moralność, poczucie sprawiedliwości będą wyrzucane za nawias przy każdym starciu się z siłą, z oporem władzy czy z samą władzą. Etyka i moralność, chrześcijańskie dogmaty czy tylko zasady miłości bliźniego, jak i wszelkie poprzednie zasady, wyznawane przez starożytnych, zostały zepchnięte do wartości umów socjalnych, do przepisów kodeksowych, a zwłaszcza tam, gdzie panuje i tworzy wielki

umysł polityczny, gdzie duch jednostki, czy duch zwartej gromady chce uszczęśliwiać inne gromady.

To sponiewieranie uczuć ludzkich, to sprowadzenie ich z piedestału, to podporządkowanie ich sądowi „czystego” rozumu musi wywołać reakcję. Nie może być dwu moralności: jednej dla władzy a drugiej dla podwładnego. Potężne są prawa natury i bezwzględne. Podstawą tych praw jest ciągła i ustawiczna walka, walka każdego atomu z każdym atomem, walka każdego życia z każdym życiem o własne życie. Człowiek przecież wówczas jedynie może się uważać za człowieka, gdy zdolny jest stawić czoło tym prawom natury, kiedy wyłamuje się z tych praw, kiedy zdolny jest stanąć ponad wymogami tych praw.

Nie wolno człowiekowi raz działać w imię miłości bliźniego, a raz działać w imię tak zwanej racji stanu. Nie wolno człowiekowi raz być mikrobem, pożerającym słabszego od siebie mikroba, a raz odwoływać się do uczuć samarytańskich silniejszego od siebie mikroba. Albo zasada mikrobów, albo zasada ludzka, zasada człowieczeństwa. Pierwsze ćwierćwiecze wieku dwudziestego zasadom człowieczeńskim nie hołdowało i po dziś dzień nie hołduje. Rewolucja rosyjska trwa, zajmuje się niepożytecznym ciągle zniszczeniem lub odbieraniem bogactw jednym, a dawaniem tychże bogactw drugim, jakby stąd wielka miała wyniknąć różnica, że wczoraj był gnębiony Paweł przez Gawła, a dziś Paweł znęca się nad Gawłem. Rewolucja ta zresztą walczy tymi samymi środkami, jakimi niegdyś walczył i Iwan Groźny, i Piotr Wielki, i Katarzyna II, i siepacze Godunowa, i wrogowie dekabrystów.

I jak bolszewizm stał się reakcją samowładztwa cesarzy, tak powrót do caryzmu może się stać znów reakcją bolszewizmu. Przyszły Karamzin państwa rosyjskiego może z filozoficznym spokojem opowiadać potomnym, że Rosja przeżywała znów inne „Smutnoje Wremia” jakby za

czasów Łżedymitra czy Pugaczowa, że tam oto stawiano marmurowe pomniki gwałcicielowi praw boskich Leninowi, że ówdzie panoszył się jakiś Trocki czy Sobelson, aż nastąpiło przebudzenie, aż w morzu krwi krwawe pogrążono potwory.

[1] Wg kalendarza juliańskiego. Piotr Stołypin został śmiertelnie ranny 14 września, a zmarł 18 września 1911 r.

Copyright © 2011, Wydawnictwo MG

ISBN: 978-83-7779-019-9

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Opracowanie redakcyjne: Wydawnictwo MG

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Plik opracował i przygotował Woblink



www.woblink.com